

Orson Scott Card

Wezwanie ziemi

The Call of Earth

Tłumaczył Edward Szmigiel

Dla Dave'a Dollahite'a
— nauczyciela i marzyciela
męża i ojca
przyjaciela i współobywatela

PODZIĘKOWANIA

Za ułatwienie mi napisania niniejszej książki winien jestem podziękowania wielu osobom. Clark i Kathy Kidd zapewnili mi schronienie w ostatnim tygodniu pisania tej powieści; połowa książki powstała pod ich dachem i w ich dobrym towarzystwie.

Życie pisarza tak łatwo może przemienić się w okres rozleniwienia pozbawionego dyscypliny; moje ciało już od dawna odzwierciedla fizyczne lenistwo spowodowane psychicznie wyczerpującą karierą. Niniejsza książka wiele zawdzięcza temu, że podczas jej pisania znów rozbudziłem moje ciało: muszę podziękować Clarkowi Kiddowi i Scottowi Allenowi za to, że wraz ze mną się pocili, kiedy torturami zmuszałem nowy rower do posłuszeństwa na jezdniach i drogach dla rowerów w północnej Wirginii oraz na ulicach i plażach North Myrtle Beach.

Kilku czytelników — szczególnie Kathy Kidd i Russell Card — pomogło mi pogodzić tę książkę z jej poprzedniczką, czytając fragmenty rękopisu, kiedy wynurzały się one z mojej drukarki. Moją redaktorką niniejszej serii jest Beth Meacham; moim wydawcą Tom Doherty; nie jest przypadkiem, że dotychczas to właśnie dla nich pisałem najlepsze rzeczy w moim życiu. I mój agent, Barbara Bova, służyła mi nieustanną pomocą i mądrą radą w burzliwym okresie.

Niniejsza powieść miała być z założenia łatwa, ale okazało się, że taką nie jest. Moozh wszystko skomplikował, jednak to dzięki niemu warto było napisać tę książkę. Przypuszczam, że podczas moich długich zmagających na celu powiązanie Moozha z resztą opowieści byłem prawie nieznośny we współżyciu, a mimo to moja żona, Kristine, i nasze dzieci, Geoffrey, Emily i Charlie Ben, chcieli mnie mieć przy sobie; to dla mnie największa radość w życiu, że zawsze znajduję ich w pobliżu, kiedy wynurzam się z głębin mojej pracy. I tak jak zawsze Kristine była moją pierwszą i najlepszą redaktorką oraz czytelniczką, analizując krytycznie i rzetelnie moją pracę, a następnie mówiąc mi, co napisałem, abym zależnie od potrzeby mógł to kontynuować lub zmienić.

OBJAŚNIENIA GENEALOGICZNE

Z powodu zwyczajów małżeńskich panujących w mieście Basilika związki pokrewieństwa są nieco zawile. Być może poniższe tablice genealogiczne dadzą jaśniejszy ich obraz. Imiona kobiet pisane są kursywą.

RODZINA WETCHIKA

Volemak, Wetchik			
x	x	x	
(Hosni)	(Kilvishevex)	(Rasa)	
Elemak	Mebbekew	Issib	Nafai

RODZINA RASY

Rasa			
x	x	x	
(Wetchik)	(Gaballufix)	(Wetchik, drugi kontrakt)	
Issib	Sevet	Kokor	Nafai

SIOSTRZENICE RASY

(jej wzorowe uczennice, „zaadoptowane” poprzez udzielanie im stałego poparcia finansowego) *Shedemei Doi Eiadh Hushidh* i *Luet* (siostry)

RODZINA HOSNI

Hosni			
x	x	x	
(Zdedhnoi)	(kilku innych)	(Wetchik)	
Gaballufix		Elemak	
x	Psugal	Azh	Okhai
(Rasa)			
Sevet	Kokor		
(par. Vas)	(par. Obring)		

IMIONA ZDROBNIAŁE

Większość imion posiada zdrobnienia lub formy poufale. Przykładowo, bliski krewny, dobrzy przyjaciele, obecna partnerka i poprzednie partnerki Gaballufixa mogliby go nazywać Gab. Poniżej wyszczególniono inne imiona zdrobniałe. (I znów, ponieważ te imiona są obce, imiona kobiece napisano kursywą):

<i>Dhelembuvex — Dhel</i>	Obring — Briya
<i>Doi — Dolya</i>	<i>Rasa</i> — (nie ma zdrobnienia)
Drotik — Dorya	Rashgallivak — Rash
<i>Eiadh — Edhya</i>	Roptat — Rop
Elemak — Elya	<i>Sevet — Sevy</i>
<i>Hosni — Hosya</i>	<i>Shedemei — Shedy</i>
<i>Hushidh — Shuya</i>	Smelost — Smelya
Issib — Issya	Vas — Vasya
<i>Kokor — Kyoka</i>	Volemak — Volya
<i>Luet — Luty</i>	Wetchik — (nie ma zdrobnienia; tytuł rodziny Volemaka)
Mebbekew — Meb	Zdorab — Zodya
Nafai — Nyef	

WYMOWA IMION

Przy czytaniu niniejszej opowieści nie ma większego znaczenia, czy czytelnik wymawia imiona bohaterów poprawnie. Ale dla zainteresowanych podano kilka informacji dotyczących wymowy imion.

Zasady tworzenia samogłosek w języku Basiliki wymagają, aby w większości słów przynajmniej jedną samogłoskę wymawiać z wiodącą spółgłoską *j*. W przypadku imion może to być prawie każda samogłoska i mówiący może ją zmieniać — bez uszczerbku dla poprawności językowej — zgodnie ze swoimi upodobaniami. Dlatego imię Gaballufix można wymawiać G/W/–BAH–lu–fiks albo Gah–BAH–//w–fiks; tak się składa, że sam Gaballufix preferował wymowę Gah–BJAH–lu–fiks i oczywiście większość ludzi stosowała właśnie tę formę.

Dhelembuvex (del–EM–bju–weks)

Doi (DJOHL)

Drotik (DROHT–jik)

Eiadh (A–jahd)

Elemak (EL–jeh–mahk)

Hosni (HJOZ–ni)

Hushidh (HJU–szid)

Issib (IS–jib)

Kokor (KJOH–kor)

Luet (LJU–et)

Mebbekew (MEB–bek–kju)

Nafai (NJA–haj)

Obring (OB–rjing)

Rasa (RAZH–jah)

Rashgallivak (rahsz–

GJA–lih–wahk)

Roptat (ROPE–tjaht)

Sevet (SEW–jet)

Shedemei (SZJED–eh–mej)

Smelost (SMJE–lost)

Truzhnisha (truzh–NJI–szah)

Vas (WJAHS)

Volemak (WOHL–jeh–mak)

Wetchik (ŁET–czjik)

Zdorab (ZDOR–jab)

PROLOG

Główny komputer planety Harmonia nie był przeznaczony do takiej bezpośredniej ingerencji w sprawy ludzi. Głęboko niepokoił go fakt, że niedawno sprowokował młodego Nafaia do zamordowania Gaballufixa. Ale jak mógł główny komputer wrócić na Ziemię bez Indeksu? I jak mógł Nafai zdobyć Indeks bez zabicia Gaballufixa? Nie było innego wyjścia.

A może było? „Jestem stary”, powiedział do siebie główny komputer. „Mam czterdzieści milionów lat, jestem maszyną, która nawet w przybliżeniu nie miała tak długo istnieć. Skąd mogę wiedzieć, czy mój osąd jest właściwy? A jednak kierując się moim osądem, doprowadziłem do śmierci człowieka i młody Nafai zdręcza się poczuciem winy z powodu uczynku, do którego go namówiłem. A to wszystko w celu sprowadzenia Indeksu z powrotem do Zvezdakrooga, abym mógł powrócić na Ziemię.

Gdybym tylko mógł porozmawiać ze Stróżem Ziemi. Gdyby tylko Stróż potrafił mi powiedzieć, co teraz robić. Wówczas mógłbym działać z pewnością siebie. Wówczas nie musiałbym powątpiewać w mój każdy uczynek, zastanawiać się, czy wszystko, co robię, to nie przypadkiem skutek mojej degeneracji”.

Główny komputer miał ogromną potrzebę porozmawiania ze Stróżem, jednak mógł to zrealizować jedynie w przypadku powrotu na Ziemię. To było błędne koło przyprawiające o frustrację. Główny komputer nie mógł postępować mądrze bez pomocy Stróża; musiał postępować mądrze, żeby dotrzeć do Stróża.

„Co teraz? Co teraz? Potrzebuję mądrości, lecz któż może mną pokierować? Posiadam znacznie większą wiedzę, niż jakikolwiek człowiek może mieć nadzieję kiedykolwiek zdobyć, a jednak porady mogę szukać jedynie w ludzkich umysłach”.

Czy to możliwe, aby ludzkie umysły mogły wystarczyć? Żaden komputer nie był zdolny do takiej genialnej dezorganizacji jak ludzki mózg. Ludzie podejmowali najbardziej zdumiewające decyzje na podstawie zaledwie strzępków informacji, ponieważ ich mózg łączył je w dziwny i poprawny sposób. Z pewnością istniała możliwość, że można by z nich wyłuskać pewną przydatną mądrość.

Z drugiej jednak strony być może nie. Ale warto było spróbować, prawda?

Za pośrednictwem swoich satelitów główny komputer wysłał obrazy do umysłów ludzi najbardziej podatnych na odbiór jego przekazów. Te obrazy od głównego komputera zaczęły się wplatać we wspomnienia ludzi, zmuszając ich umysły do tego, aby je przyswoiły, dopasowały, rozwickły. Aby utworzyły z nich dziwne i wywierające ogromny wpływ opowieści zwane przez ludzi snami. Może w ciągu kilku następnych dni, kilku następnych tygodni, ich sny ujawnią jakiś związek lub dadzą jakieś wyjaśnienie, które główny komputer mógłby wykorzystać jako pomoc przy podejmowaniu decyzji, jak nakłonić najlepszych spośród ludzi do opuszczenia planety Harmonia i zabrać ich na Ziemię.

„Przez te wszystkie lata uczyłem, prowadziłem, kształtowałem i ochraniałem ich. Czy teraz, pod koniec mojego życia, są gotowi, by uczyć, prowadzić, kształtować i ochraniać mnie? To takie mało prawdopodobne. Takie mało prawdopodobne. Na pewno będę zmuszony sam o tym wszystkim zadecydować. A kiedy już to uczynię, na pewno zrobię to niewłaściwie. Być może wcale nie powinienem działać. Być może wcale nie powinienem działać. Nie powinienem działać. Nie będę. Muszę.

Czekać.

Czekać.

Jeszcze raz, czekać...”

1. ZDRADA

SEN GENERAŁA

Generał Vozmuzhalnoy Vozmozhno obudził się ze snu, pocąc się i pojękując. Otworzył oczy i wyciągnął rękę, zaciskając palce. Czyjaś ręka chwyciła ją i przytrzymała. Ręka mężczyzny. Był to generał Plodorodnuy. Jego najbardziej zaufany zastępca. Najdroższy przyjaciel. Najbliższy sercu powiernik.

— Śniłeś, Moozh. — Był to przydomek, którego tylko Plod ośmielał się używać w jego obecności.

— To prawda. — Moozh wzdrygnął się na wspomnienie.

— Co za sen.

— Czy był wróżebny?

— Tak czy owak przerażający.

— Opowiedz mi. Dobrze sobie radzę ze snami.

— Wiem, tak jak dobrze sobie radzisz z kobietami. Kiedy już z nimi kończysz, mówią to, co chcesz, żeby mówiły!

Plod wybuchnął śmiechem, lecz potem czekał. Moozh nie wiedział, dlaczego nie ma ochoty opowiedzieć tego snu Plodowi. Już tak wiele innych mu dawniej opowiedział.

— No dobrze, oto mój sen. Zobaczyłem stojącego na polanie mężczyznę, wokół którego fruwały straszne stwory — nie ptaki, były pokryte futrem, lecz znacznie większe od nietoperzy. Krążyły, pikowały, dotykały tego człowieka. On stał w miejscu i nic nie robił. Kiedy wreszcie wszystkie go dotknęły, odleciały z wyjątkiem jednego, który przysiadł mu na ramieniu.

— Ach — wtrącił Plod.

— Jeszcze nie skończyłem. Zaraz potem zaroiło się tam od olbrzymich szczurów, które powyłaziły z nor w ziemi. Liczyły co najmniej metr długości, były w połowie takie wysokie jak ten mężczyzna. I znów podchodziły po kolei, aż wszystkie go dotknęły...

— Czym? Zębami? Pazurami?

— I nosami. Dotknęły go, to wszystko, co wiedziałem. Nie rozpraszaj mnie.

— Wybacz mi.

— Kiedy już wszystkie go dotknęły, odeszły.

— Z wyjątkiem jednego.

— Tak. Przywarł do jego nogi. Widać ten sam schemat.

— Kto był następny?

Moozh wzdrygnął się. To była najstraszniejsza część snu, a jednak teraz, kiedy zdołał to wypowiedzieć, nie potrafił zrozumieć dlaczego.

— Ludzie.

— Ludzie? Przyszli, żeby go dotknąć?

— Żeby... żeby go całować. Jego ręce, jego stopy. Żeby oddać mu część. Były ich tysiące. Tyle że całowali nie tylko tego człowieka. Całowali też... latającego stwora. I olbrzymiego szczura, który trzymał się kurczowo jego nogi. Całowali ich wszystkich.

— Ach — skomentował to Plod. Wyglądał na zmartwionego.

— No i co ty na to? O co tu chodzi? Co to wróży?

— Człowiek, którego widziałeś, to oczywiście Imperator.

Czasami interpretacje Ploda wydawały się bliskie prawdy, ale tym razem serce Moozha

zbuntowało się przeciwko idei łączenia Imperatora z mężczyzną we śnie.

— Dlaczego to takie oczywiste? Z wyglądu wcale nie przypominał Imperatora.

— Naturalnie dlatego, że cała przyroda i ludzkość oddawały mu cześć.

Moozh wzruszył ramionami. Nie była to jedna z najbardziej inteligentnych interpretacji Ploda. Ponadto Moozh nigdy nie słyszał o miłości zwierząt do Imperatora, który uważał się za wielkiego myśliwego. Oczywiście polował tylko w jednym ze swoich parków, gdzie wszystkie zwierzęta oswojono tak, aby nie bały się ludzi, a wszystkie drapieżniki wytresowano tak, aby zachowywały się dziko, lecz nigdy nie atakowały. Imperator grał swoją rolę w wielkim spektaklu rywalizacji między człowiekiem i zwierzem, lecz nigdy nie był w niebezpieczeństwie, ponieważ zwierzę niewinnie wystawiało się na jego szybki cios strzałki, prosty rzut oszczepu, bezlitosne cięcie ostrza. Jeśli na tym polegało oddawanie czci, jeśli taka właśnie była przyroda, to tak, można było powiedzieć, że cała przyroda i ludzkość oddawały cześć Imperatorowi...

Plod oczywiście nic nie wiedział o takich myślach Moozha; jeżeli ktoś na swoje nieszczęście miał złeśliwe myśli na temat Imperatora, pilnował, żeby nie obarczać swoich przyjaciół wiedzą o nich.

Tak więc Plod kontynuował swoją interpretację snu Moozha.

— Co to wróży, ta cześć oddawana Imperatorowi? Sama w sobie nic. Ale fakt, że to wzbudziło w tobie o d r a z ę, fakt, że odskoczyłeś z przerażeniem...

— Oni całowali szczura, Plod! Całowali tego obrzydliwego latającego stwora...

Plod jednak nic nie powiedział, kiedy Moozh zawiesił głos. Nic nie powiedział i obserwował zwierchnika.

— Nie przeraża mnie myśl o ludziach oddających cześć Imperatorowi. Sam klękałem przed Niewidzialnym Tronem i czułem jego napawającą lękiem obecność. To nie było straszne, to było... uszlachetniające.

— Tak mówisz — powiedział Plod. — Ale sny nie kłamią. Być może musisz się oczyścić z jakiegoś zła w swoim sercu.

— Słuchaj, to ty powiedziałeś, że mój sen dotyczył Imperatora. Dlaczego tamtym mężczyzną nie mógł być... no, nie wiem... władca Basiliki.

— Ponieważ nieszczęsnym miastem Basilika rządzą kobiety.

— No więc nie Basiliki. Mimo wszystko uważam, że sen dotyczył...

— Czego?

— Skąd ja miałbym to wiedzieć? Oczyszczę się, tak na wszelki wypadek, gdybyś miał rację. Nie umiem interpretować snów.

Akt oczyszczenia oznaczał zmarnowanie kilku godzin w namiocie orędownika. Spędzanie tam co miesiąc pewnej ilości czasu było wielką nudą, lecz również polityczną koniecznością, gdyż w przeciwnym razie raporty o bezbożności danej osoby szybko docierały do Gollod, gdzie Imperator od czasu do czasu decydował, kto zasługuje na stanowisko dowódcy, a kto na degradację lub śmierć. Moozh i tak musiał niedługo złożyć wizytę w przybytku orędownika, ale nienawidził tego tak, jak dziecko nienawidzi kąpieli.

— Zostaw mnie w spokoju, Plod. Bardzo mnie unieszczęśliwiłeś.

Plod uklęknął przed nim i ujął prawą dłoń Moozha w swoje ręce.

— Wybacz mi.

Moozh oczywiście od razu mu wybaczył, ponieważ byli przyjaciółmi. Później tego samego ranka wyruszył z obozu i zabił przywódców tuzina wiosek w Khlami. Wszystkie wioski niezwłocznie przysięgły dożgonną miłość i oddanie Imperatorowi, i kiedy generał Vozmuzhalnoy Vozmozhno poszedł wieczorem oczyścić się w świętym przybytku, orędownik udzielił mu ochoczo wybaczenia, gdyż tego dnia Moozh bardzo przyczynił się do powiększenia sławy i

godności Imperatora.

BASILIKA, RZECZYWISTOŚĆ

Przybyli, żeby posłuchać śpiewu Kokor, przybyli z całego miasta Basilika i dziewczyna miała wielką przyjemność widząc, jak ich twarze rozpromieniają się, kiedy — w końcu — wyszła na scenę i muzycy zaczęli delikatnie trącać struny oraz dmuchać w swoje instrumenty, tworząc łagodny podkład muzyczny, który zawsze jej akompaniował. „Kokor wreszcie nam zaśpiewa”, mówiły ich twarze. Ten wyraz na ich twarzach podobał jej się bardziej od wszystkich innych, jakie w życiu widziała, nawet bardziej niż mina mężczyzny przepełnionego żądzą w ostatnich chwilach przed osiągnięciem zaspokojenia. Ponieważ dobrze wiedziała, że mężczyzna przywiązuje niewielką wagę do tego, kto mu daje rozkosz miłosną, natomiast publiczność przywiązuje dużą wagę do tego, że to właśnie Kokor stoi przed nimi na scenie i otwiera usta, wyśpiewując wysokie, podniosłe dźwięki swoim niewiarygodnie słodkim, lirycznym głosem, który płynie na fali muzyki jak płatki kwiatów na powierzchni strumienia.

Przynajmniej tak właśnie chciała, żeby było. Tak sobie wyobrażała, że jest, dopóki nie weszła na scenę i nie zobaczyła, jak na nią patrzą. Dziś wieczorem publiczność składała się głównie z mężczyzn. Mężczyzn, którzy omiatali ją wzrokiem od stóp do głów. „Powinnam odmówić śpiewania w komediach”, po raz kolejny powiedziała sobie w duchu. „Powinnam domagać się, żeby traktowali mnie tak poważnie, jak moją ukochaną siostrę Sevet z tym jej niskim jak u mężczyzny i skrzekliwym głosem. Na nią patrzą z wyrazem estetycznej ekstazy. Zarówno mężczyźni jak i kobiety na widowni. Oni nie lustrują jej ciała od stóp do głów, żeby zobaczyć, jak się ono porusza pod ubraniem. Oczywiście, być może, częściowo dlatego, że jej ciało jest takie tłuste, iż oglądanie go nie jest żadną przyjemnością — pod kostiumem porusza się bardzo niezgrabnie, biedactwo. Oczywiście, że zamykają oczy i słuchają jej głosu — to znacznie lepsze od oglądania Sevet.

Co za kłamstwo. Ależ jestem kłamczucha, nawet kiedy rozmawiam sama ze sobą!

Nie mogę być taka niecierpliwa. To tylko kwestia czasu. Sevet jest starsza — ja mam nadal zaledwie osiemnaście lat. Ona też musiała przez jakiś czas grać w komediach, dopóki nie zdobyła sławy”.

Kokor przypomniwała sobie, jak jej siostra mówiła w tamtym czasie na początku swojej kariery — ponad dwa lata temu, kiedy Sevet miała prawie siedemnaście lat — o tym, że musi ciągle ostudzać zapał swoich wielbicieli, którzy mieli skłonność do wchodzenia do jej garderoby w stanie pełnej gotowości do natychmiastowego uprawiania miłości, aż musiała sobie wynająć ochronę osobistą, żeby zniechęcić bardziej namiętnych adoratorów.

— W tym wszystkim chodzi tylko o seks — stwierdziła wtedy Sevet. — Pieśni, przedstawienia, w nich wszystkich chodzi o seks i tylko o tym marzy publiczność. Trzeba jedynie uważać, żeby nie marzyli zbyt gorliwie — lub zbyt konkretnie!

Dobra rada? Niezbyt. Im bardziej o tobie marzą, tym większa wartość pieniężna twojego nazwiska na ulotkach reklamujących sztukę. Aż w końcu, jeśli ci się poszczęści, jeśli jesteś wystarczająco dobra, ulotka nie musi wcale podawać tytułu spektaklu. Tylko twoje nazwisko, miejsce, dzień, godzinę... i kiedy wychodzisz na scenę, oni wszyscy tam są, setki ludzi, i kiedy muzyka zaczyna grać, nie patrzą na ciebie jak na ostatnią nadzieję umierającego z głodu człowieka, patrzą na ciebie jak na najwznioślejsze marzenie uszlachetnionej duszy.

Kokor wkroczyła na swoje miejsce na scenie i rozległy się oklaski, kiedy weszła. Zwróciła

się do widowni i zaśpiewała ekscytującym, wysokim głosem.

— Cóż to było? — zapytał Guły a, aktor odgrywający starego zbereźnika. — Czy już wrzeszczysz? Jeszcze cię nawet nie dotknąłem.

Publiczność roześmiała się, ale nie wystarczająco. Ta sztuka była w opałach. Kokor dobrze wiedziała, że ten spektakl od samego początku ma słabe punkty, ale przy takiej anemicznej reakcji ludzi skazany był na fiasko. Tak więc za kilka dni będzie musiała znów zacząć próby. Kolejne przedstawienie. Kolejny zestaw głupich słów i głupich melodii do zapamiętania.

Sevet sama decydowała, co zaśpiewa. Autorzy pieśni przychodzili do niej i błagali ją, żeby zaśpiewała ich kompozycje. Sevet nie musiała niewłaściwie używać swojego głosu, żeby wzbudzać śmiech publiczności.

— Nie wrzeszczałam — zaśpiewała Kokor.

— Teraz wrzeszczysz — zaśpiewał Gulya, przysuwając się do niej i zaczynając ją pieścić. Jego chrapliwy bas zawsze wywoływał śmiech, kiedy Gulya w ten sposób nim śpiewał, i publiczność tak właśnie zareagowała. Może w sumie uda im się wyciągnąć to przedstawienie z bagna.

— Ale teraz mnie d o t y k a s z !

Zaśpiewała najwyższy dźwięk w skali swojego głosu, który zawisł w powietrzu... Jak ptak, jak wzlatujący ptak, gdyby tylko widzowie słuchali, zwracając uwagę na piękno.

Gulya strasznie się skrzywił i cofnął rękę z jej piersi. Kokor natychmiast obniżyła dźwięk o dwie oktawy. Nagrodzono to śmiechem. Jak dotąd, najlepszy śmiech w trakcie tej sceny. Dziewczyna wiedziała jednak, że połowa publiczności śmieje się z tego, że Gulya wykonał taki świetny, komiczny obrót, kiedy zdjął rękę z jej piersi. Był mistrzem, naprawdę. To smutne, że błaznowanie, w którym się specjalizował, trochę wyszło ostatnio z mody. Gulya z wiekiem robił się coraz lepszy, a jednak tracił publiczność, gdyż ta szukała bardziej zjadliwych, złośliwych komedii młodych satyryków, brutalnych, ostrych komedii, które zawsze przynajmniej dawały złudzenie, że kogoś ranią.

Scena toczyła się dalej. Rozlegały się śmiechy. Scena dobiegła końca. Aplauz. Kokor wybiegła ze sceny z ulgą — i rozczarowaniem. Nikt na widowni nie skandował jej nazwiska; nikt nawet nie wykrzyknął go ani razu. Jak długo będzie musiała czekać?

— To było zbyt ładne — powiedziała Tumannu, kierownik sceniczny, ze skwaszoną miną. — Ten dźwięk ma brzmieć, jakbyś osiągała orgazm, a nie jak ptasi śpiew.

— Tak, tak — odrzekła Kokor. — Przepraszam. Zawsze ze wszystkimi się zgadzała, a potem robiła to, co chciała. Ta komedia nie była warta jej pracy, jeśli Kokor nie mogła przynajmniej od czasu do czasu popisać się swoim głosem. I ludzie roześmiali się, kiedy to robiła po swojemu, prawda? Nikt więc nie mógł powiedzieć, że zrobiła to źle. Tumannu po prostu chciała jej posłuszeństwa, a Kokor nie zamierzała być posłuszna. Posłuszeństwo było dobre dla dzieci, mężów i domowych zwierząt.

— Nie jak ptasi śpiew — powtórzyła Tumannu.

— A może jak śpiew ptaka osiągnącego orgazm? — zapytał Gulya, który tuż za nią przyszedł za kulisy.

Kokor zachichotała i nawet Tumannu zdobyła się na swój powściągliwy, kwaśny uśmieszek.

— Ktoś na ciebie czeka, Kokor — powiedziała Tumannu.

Był to mężczyzna. Ale nie żaden wielbiciel jej talentu, ponieważ w takim przypadku byłby na widowni, obserwując jej występ. Już go kiedyś widziała. Ach tak — pojawiał się od czasu do czasu, kiedy stały mąż Matki, Wetchik, przychodził z wizytą. Ten człowiek był głównym służącym Wetchika, nieprawdaż? Kierował jego interesem w branży egzotycznych kwiatów, kiedy Wetchik podróżował z karawaną. Jak się nazywał?

— Jestem Rashgallivak — przedstawił się. Miał bardzo poważną minę.

— Słucham? — zapytała.

— Z głębokim żalem informuję panią, że pani ojciec padł ofiarą brutalnej przemocy.

Co za niezwykła wiadomość. Przez chwilę Kokor nie mogła pojąć, o co chodzi.

— Czy ktoś go zranił?

— Śmiertelnie, proszę pani.

— Och — powiedziała. Kryło się w tym jakieś znaczenie i zamierzała je znaleźć. — A więc to by znaczyło, że... nie żyje?

— Zaczepiono go na ulicy i zamordowano z zimną krwią — wyjaśnił Rashgallivak.

Właściwie nie było to nawet zaskoczeniem, kiedy się nad tym zastanowić. Ojciec zachowywał się ostatnio jak tyran, wysyłając na ulice zamaskowanych żołnierzy. Zastraszając wszystkich. Ale Ojciec był taki silny i energiczny, że trudno było sobie wyobrazić, iż cokolwiek może mu stać na drodze przez dłuższy czas. Z pewnością nie na stałe.

— I nie ma nadziei, że... wyzdrowieje?

Gulya stał tak blisko, że mógł się teraz z łatwością wtrącić do rozmowy.

— Wydaje się, że to normalny przypadek śmierci, proszę pani, a to oznacza, że rokowania nie są dobre.

Zachichotał.

Rashgallivak popchnął go dość brutalnie i Gulya się zachwiał.

— To nie było zabawne — powiedział.

— Czy teraz wpuszczają krytyków za kulisy? — zapytał Gulya. — W trakcie przedstawienia?

— Idź sobie, Gulya — powiedziała Kokor. Błędem było pójście do łóżka z tym starym człowiekiem. Od tamtej pory wyobrażał sobie, że może rościć sobie prawo do intymności z nią.

— Naturalnie, najlepiej by było, gdyby pani poszła ze mną — zaproponował Rashgallivak.

— Ależ skąd — sprzeciwiła się Kokor. — Nie, wcale nie byłoby najlepiej. — Za kogo on się uważa? O ile wiedziała, nie był z nią w żaden sposób spokrewniony. Będzie musiała pójść do Matki. Czy Matka już wie? — Czy Matka...?

— Naturalnie, powiadomiłem ją na samym początku i powiedziała mi, gdzie mogę panią znaleźć. Czasy są niebezpieczne i obiecałem jej, że będę panią ochraniać.

Kokor oczywiście wiedziała, że on kłamie. Czemuż to miałyby potrzebować tego obcego człowieka do ochrony? Przed czym? Mężczyźni jednak zawsze zachowują się w ten sposób, upierając się, że kobieta, która niczego się nie boi, potrzebuje opieki. Posiadanie na własność — to właśnie mężczyźni mają zawsze na myśli, kiedy mówią o ochronie. Gdyby chciała, aby jakiś mężczyzna posiadał ją na własność, to miałyby męża, obojętne jaki by on był. Nie potrzebowała, żeby troszczył się o nią ten stary pizduk.

— Gdzie jest Sevet?

— Jeszcze jej nie znaleziono. Muszę nalegać, żeby pani ze mną poszła.

Teraz Tumannu musiała wkroczyć w sprawę.

— Nigdzie nie pójdzie. Ma jeszcze trzy sceny do zagrania, włącznie z punktem kulminacyjnym.

Rashgallivak odwrócił się do niej i teraz pojawiła się w jego zachowaniu jakaś oznaka godności zamiast zwykłego, bliżej nie sprecyzowanego oszołomienia.

— Jej ojciec został zabity — powiedział — a pani przypuszcza, że ona zostanie, żeby dokończyć sztukę?

A może od samego początku zachowywał się z godnością, a ona po prostu nie dostrzegała tego do tej pory?

— Sevet powinna się dowiedzieć o Ojcu — stwierdziła Kokor.

— Dowie się, gdy tylko ją znajdziemy.

„Jacy my? Mniejsza z tym”, pomyślała Kokor. „Ja wiem, gdzie ją znaleźć. Znam wszystkie

miejsca jej schadzek, do których zabiera swoich kochanków, żeby nie robić afrontu swojemu biednemu mężowi, Vasowi”. Związek małżeński Sevet i Vasa, tak jak Kokor i Obringa, był elastyczny, ale wydawało się, że Vas gorzej się z tym czuje niż Obring. Niektórzy mężczyźni są tacy... uczuleni na punkcie swojego terytorium. Prawdopodobnie dlatego, że Vas był naukowcem, a nie artystą. Z kolei Obring rozumiał artystyczne życie. Nigdy nawet by mu się nie śniło, żeby egzekwować od Kokor wszystkie postanowienia ich kontraktu małżeńskiego. Czasami dość wesoło żartował na temat mężczyzn, z którymi się widywała.

Choć oczywiście Kokor nigdy by nie znieważyla Obringa, wspominając swoich kochanków. Jeżeli słyszał pogłoski o jakimś, to jedna sprawa. Kiedy o tym wspominał, Kokor po prostu potrząsała głową i mówiła: „Ty głuptasie. Jesteś jedynym mężczyzną, którego kocham”.

I jakimś dziwnym sposobem była to prawda. Obring był taki kochany, nawet jeśli nie miał za grosz talentu aktorskiego. Zawsze przynosił jej prezenty i opowiadał najcudowniejsze plotki. Nic dziwnego, że już dwa razy odnawiała z nim kontrakt małżeński — ludzie często komentowali jej wierność, że już trzeci rok pozostaje żoną swojego pierwszego męża, a przecież jest młoda i piękna i mogłaby poślubić, kogo by tylko chciała. To prawda, że wyszła za niego przede wszystkim dlatego, żeby sprawić przyjemność jego matce, starej Dhel, która służyła jako jej ciocia i była najdroższą przyjaciółką Matki. Ale polubiła Obringa, naprawdę go p o l u b i ł a . Stan małżeński z nim był bardzo wygodny i słodki. Dopóki mogła sypiać, z kim jej się tylko podobało.

Zabawnie byłoby znaleźć Sevet, przyłapać ją na gorącym uczynku i zobaczyć, z kim jest w łóżku dziś wieczorem. Kokor już od lat nie zaskoczyła jej w ten sposób. Zastać ją z jakimś nagim, spoconym mężczyzną, powiedzieć jej, że Ojciec nie żyje, a potem obserwować twarz tego biednego mężczyzny, kiedy stopniowo zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że to koniec miłości dla niego tej nocy!

— To ja powiem Sevet — oznajmiła Kokor.

— Pójdzie pani ze mną — nalegał Rashgallivak.

— Zostaniesz do końca spektaklu — oświadczyła Tumannu.

— To przedstawienie to zwykłe... otsoss — powiedziała Kokor, używając najbardziej ordynarnego określenia, jakie zdołała wymyślić.

Tumannu zatchnęła się, Rashgallivak poczerwieniał, a Gulya zachichotał swoim niskim głosem.

— To jest pomysł — powiedział stary aktor. Kokor poklepała Tumannu po ramieniu.

— W porządku — rzekła. — Wylatuję z pracy.

— Tak, wylatujesz! — krzyknęła Tumannu. — I jeśli wyjdiesz stąd dziś wieczorem, to twoja kariera jest s k o ń c z o n a !

Rashgallivak uśmiechnął się do niej szyderczo.

— Z takim dużym udziałem w spadku swojego ojca wykupi pani teatrzyk razem z pani matką. Tumannu spojrzała wyzywająco.

— Naprawdę? Kto był jej ojcem, Gaballufix? Rashgallivak wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

— Nie wiedziała pani?

Tumannu najwyraźniej nie wiedziała. Kokor zastanawiała się nad tym przez chwilę i uświadomiła sobie, że to oznacza, iż nigdy o tym nie wspomniała Tumannu. A to oznaczało, że Kokor nie wykorzystywała nazwiska swojego ojca, co z kolei oznaczało, że dostała tę rolę dzięki swojemu talentowi. Jakie to cudowne!

— Wiedziałam, że jest siostrą wielkiej Sevet — powiedziała Tumannu. — Myślicie, że czemu ją wynajęłam? Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że mają tego samego o j c a .

Kokor przez chwilę czuła gniew, była rozpalona jak piec. Ale natychmiast go powściągnęła,

doskonale opanowała. Nic dobrego by nigdy nie przyszło z tego, że pozwoliłaby swobodnie płonąć takiemu płomieniowi. Nie wiadomo, co by zrobiła lub powiedziała, gdyby kiedykolwiek dała upust swoim emocjom w chwili takiej jak ta.

— Muszę znaleźć Sevet — powiedziała Kokor.

— Nie — zaprzeczył Rashgallivak. Może zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym samym momencie położył rękę na ramieniu Kokor, żeby ją powstrzymać, a to spowodowało, że dziewczyna oczywiście uderzyła go mocno kolaniem w krocze, tak jak uczono wszystkie aktorki komediowe, kiedy niepożądany wielbiciel stawał się zbyt natarczywy. Był to odruch. Kokor właściwie nawet nie chciała tego zrobić. Nie chciała też tego zrobić z taką siłą. Rashgallivak nie ważył zbyt wiele i od kopniaka aż uniósł się w powietrze.

— Muszę znaleźć Sevet — powtórzyła Kokor gwoli wyjaśnienia.

Rashgallivak prawdopodobnie jej nie słyszał. Zbyt głośno jęczał, leżąc na drewnianej podłodze za kulisami.

— Gdzie jest dublerka? — zapytała Tumannu. — Biedna mała bizdunka, nie została nawet uprzedzona.

— Boli? — zapytał Rashgallivaka Gulya. — To znaczy, jak to jest z bólem, kiedy się o nim myśli?

Kokor ruszyła w ciemność, kierując się w stronę Dauberville. Jej udo pulsowało, tuż nad kolaniem, w miejscu, którym tak mocno uderzyła Rashgallivaka w krocze. Prawdopodobnie będzie tam miała sińca i będzie musiała zastosować maskującą maść na nogach. Co za kłopot.

„Ojciec nie żyje. To ja muszę o tym powiedzieć Sevet. Błagam, żeby nikt inny nie znalazł jej przede mną. I został z a m o r d o w a n y . Ludzie będą o tym gadać przez wiele lat. Dość ślicznie będę wyglądać w bieli żałobnej. Biedna Sevet — jej skóra zawsze wygląda czerwona jak burak, kiedy nosi białe rzeczy. Ale nie ośmieli się zdjąć żałoby, dopóki j a tego nie zrobię. Mogę opłakiwać biednego tatusia latami”.

Kokor śmiała się w duchu przez całą drogę.

A potem uświadomiła sobie, że wcale się nie śmieje, że płacze. „Dlaczego płaczę?”, zastanawiała się. „Ponieważ Ojciec nie żyje. To właśnie musi być powodem, to właśnie stąd to całe poruszenie. Ojciec, biedny Ojciec. Chyba go kochałam, bo płaczę mimowolnie, nawet gdy nikt nie patrzy. Któż by zgadł, że go kochałam?”

* * *

— Obudź się — rozległ się natarczywy szept. — Ciocia Rasa chce się z nami zobaczyć. Obudź się!

Luet nie mogła zrozumieć, dlaczego Hushidh to mówi.

— Nawet nie spałam — wymamrotała.

— Owszem, spałaś — powiedziała jej siostra Hushidh. — Chrapałaś.

Luet usiadła.

— Pewnie krzyczałam jak gęś.

— Ryczałaś jak osioł — powiedziała Hushidh — ale moja miłość do ciebie przemienia to w muzykę.

— Dlatego to robię — odcięła się Luet. — Żeby dać ci muzykę w nocy.

Sięgnęła po sukienkę domową i naciągnęła ją przez głowę.

— Ciocia Rasa chce się z nami widzieć — ponaglała Hushidh. — Chodź szybko.

Wyślizgnęła się z pokoju, poruszając się tanecznym krokiem, a jej suknia unosiła się za nią w powietrzu. W butach lub sandałach Hushidh zawsze ciężko stąpała, ale boso poruszała się jak

kobieta we śnie, jak pyłek kwiatowy na wietrze.

Luet wyszła za siostrą na korytarz, nadal zapinając swoją sukienkę. Cóż to mogła być za sprawa, że Rasa chciała rozmawiać z nią i Hushidh? Zważywszy na wszystkie ostatnie kłopoty, Luet obawiała się najgorszego. Czy to możliwe, że syn Rasy, Nafai, mimo wszystko nie uciekł z miasta? Zaledwie wczoraj Luet poprowadziła go zakazanymi ścieżkami aż do jeziora, które tylko kobiety mogły oglądać. Gdyż Naddusza powiedziała jej, że Nafai musi je zobaczyć, musi pływać na jego powierzchni jak kobieta, jak wodna wieszczka — jak sama Luet. Toteż zabrała go tam i nie został zabity za świętokradztwo. Potem wyprowadziła go przez Bramę Prywatną i przeprowadziła przez Leśne Bezdroża. Myślała, że jest bezpieczny. Ale oczywiście nie był. Ponieważ po prostu nie chciał iść na pustynię, z powrotem do namiotu swojego ojca — nie chciał iść bez rzeczy, po którą Ojciec go wysłał.

Ciocia Rasa czekała w swoim pokoju, ale nie sama. Był z nią jakiś żołnierz. Nie był to jeden z ludzi Gaballufixa — jego najemników, zbirów, którzy udawali, że należą do milicji Palwashantu. Nie, ten żołnierz był jednym ze strażników miasta, stróżem bramy.

Rasa jednak rozpoznała jedynie jego insygnia, ponieważ wyglądała na taką... nie, właściwie nie przestraszona. Takiego stanu emocjonalnego Luet jeszcze nigdy u niej nie widziała. W szeroko rozwartych oczach błyszczały łzy, twarz nie świadczyła już o zdecydowanym charakterze, lecz była obwisła i zmęczona, jak gdyby w sercu Rasy działały się rzeczy, których jej oblicze nie potrafiło wyrazić.

— Gaballufix nie żyje — oznajmiła Rasa.

To wiele wyjaśniało. W ciągu ostatnich miesięcy Gaballufix był wrogiem — zgraja jego płatnych tolczków terroryzowała ludzi na ulicach, a potem oddziały jego zamaskowanych i anonimowych żołnierzy terroryzowały ludzi jeszcze bardziej, kiedy ostentacyjnie pilnowały, aby obywatele Basiliki czuli się „bezpiecznie”. Kiedyś jednak Gaballufix był również mężem Rasy, ojcem jej dwóch córek, Sevet i Kokor. Kochali się wtedy, a więzi rodzinnych nie można ot tak, po prostu zerwać, przynajmniej w pojęciu kobiety tak poważnej jak Rasa. Luet nie była interpretatorką, tak jak jej siostra Hushidh, ale wiedziała, że Rasa nadal czuje więź z Gaballu—fixem, mimo że potępiała jego wszystkie ostatnie działania.

— Współczuję wdowie po nim — powiedziała Luet — ale cieszę się w imieniu miasta.

Hushidh jednak spojrzała badawczo na żołnierza.

— Przypuszczam, że ten człowiek nie przyniósł ci tej wiadomości, ciociu Raso.

— To prawda — potwierdziła Rasa. — O śmierci Gaballufixa dowiedziałam się od Rashgallivaka. Rashgallivak został mianowany... nowym Wetchikiem.

Luet wiedziała, że był to druzgocący cios. Oznaczało to, że mąż Rasy, Volemak, który był Wetchikiem, nie ma teraz żadnego majątku, żadnych praw, żadnej pozycji w klanie Palwashantu. A Rashgallivak, który był jego zaufanym służącym, zajmował teraz jego miejsce. Czy na świecie nie ma już honoru?

— Kiedy Rashgallivak osiągnął ten zaszczyt? — zapytała.

— Przed śmiercią Gaballufixa — to Gab go oczywiście mianował i jestem pewna, że zrobił to z niekłamaną radością. Jest więc jakaś sprawiedliwość w tym, że Rash objął przywództwo nad klanem Palwashantu, zajmując również miejsce Gaballufixa. Tak więc masz rację, Rash dość szybko pnie się po drabinie społecznej. Podczas gdy inni spadają. Roptat także zginął dziś wieczorem.

— Nie — szepnęła Hushidh.

Roptat był przywódcą partii sprzyjającej Gorayni, ugrupowania, które próbowało uchronić Basilikę od nadchodzącej wojny między Gorayni i Potokgavanem. Jaka była szansa utrzymania pokoju po jego śmierci?

— Tak, obaj dziś zginęli — potwierdziła Rasa. — Przywódcy obu partii, które wprowadziły rozłam w naszym mieście. Ale najgorsza z tego wszystkiego jest pogłoska, że obu zabił mój syn, Nafai.

— To nieprawda — zaprzeczyła Luet. — To niemożliwe.

— Tak myślałam — oświadczyła Rasa. — Nie obudziłam was z powodu tej pogłoski.

Teraz Luet w pełni zrozumiała, dlaczego na twarzy cioci Rasy maluje się niepokój. Nafai był chlubą cioci Rasy, błyskotliwym młodzieńcem. I kimś więcej — gdyż Luet dobrze wiedziała, że Nafai jest również bliski Nadduszy. To, co się jemu przydarzyło, było ważne nie tylko dla tych, którzy go kochali, lecz również dla miasta, a być może dla świata.

— A więc ten żołnierz ma wiadomości o Nafaiu? — zapytała Luet.

Rasa skinęła żołnierzowi, który do tej pory siedział w milczeniu.

— Nazywam się Smelost — przedstawił się i wstał, by z nimi porozmawiać. — Pilnowałem bramy. Zobaczyłem, jak podchodzi dwóch mężczyzn. Jeden z nich położył kciuk na ekranie i komputer zidentyfikował go jako Zdoraba, skarbnika Gaballufixa.

— A drugi? — zapytała Hushidh.

— Był zamaskowany, ale miał na sobie rzeczy Gaballufixa. Zdorab tak się właśnie do niego zwracał i usiłował mnie przekonać, żebym nie kazał mu kłaść kciuka na ekranie. Ale musiałem to zrobić, ponieważ zamordowano Roptata i próbowaliśmy nie dopuścić do ucieczki zabójcy. Powiedziano nam, że mordercą jest najmłodszy syn Rasy, Nafai. To Gaballufix nam to powiedział.

— A więc, czy kazał pan Gaballufixowi położyć kciuk na ekranie? — zapytała Luet.

— Przysunął się do mnie i szepnął mi do ucha: „A co, jeżeli mordercą jest ten, który wysunął to fałszywe oskarżenie?” Cóż, tak właśnie niektórzy z nas myśleli — że Gaballufix oskarża Nafaia o zamordowanie Roptata, żeby zatuszować własną winę. A potem ten żołnierz — ten, którego Zdorab nazywał Gaballufixem — położył kciuk na ekranie i komputer podał imię „Nafai”.

— Co pan wtedy zrobił? — zapytała Luet.

— Sprzeniewierzyłem się przysiędze i rozkazom. Natychmiast wymazałem jego imię i pozwoliłem mu przejść. Byłem przekonany, że... że jest niewinny. Że nie zabił Roptata. Ale jego wyjście z miasta zostało zarejestrowane, a także to, że go wypuściłem wiedząc, kim jest. Nic sobie z tego nie robiłem, bo pierwotny meldunek pochodził od Gaballufixa, a oto stał przede mną jego skarbnik z chłopcem. Pomyślałam sobie, że Gaballufix nie mógłby zaprotestować, skoro był tam jego człowiek. W najgorszym razie groziła mi utrata pracy.

— Tak czy owak pozwoliliby pan mu wyjść — powiedziała Hushidh. — Nawet gdyby nie towarzyszył mu człowiek Gaballufixa.

Smelost patrzył na nią przez chwilę, a potem uśmiechnął się półgębkiem.

— Byłem stronnikiem Roptata. To absurd uważać, że mógłby go zabić syn Wetchika.

— Nafai ma dopiero czternaście lat — powiedziała Luet. — To absurd uważać, że kogokolwiek mógłby zabić.

— Wcale nie — zaprzeczył Smelost. — Ponieważ powiadomiono nas, że znaleziono ciało Gaballufbca. Z odciętą głową. I bez ubrania. Mogłem jedynie wywnioskować, że Nafai zdjął ubranie ze zwłok Gaballufbca. Że prawie na pewno Nafai i Zdorab go zabili. Nafai jest duży jak na czternastolatka, jeżeli naprawdę ma tylko tyle lat. Jest już mężczyzną. Mógł to zrobić. Zdorab — to mało prawdopodobne. — Smelost zachichotał kpiąco. — Teraz to i tak nie ma znaczenia, bo wyleją mnie za to z pracy. Obawiam się jednak tego, że powieszą mnie za współudział w morderstwie, bo pozwoliłem mu wyjść. Dlatego przyszedłem tutaj.

— Do wdowy po zamordowanym? — zapytała Luet.

— Do matki domniemanego mordercy — poprawiła ją Hushidh. — Ten człowiek kocha Basilikę.

— Tak — potwierdził żołnierz — i cieszę się, że o tym wiecie. Nie wypełniłem obowiązku, lecz zrobiłem to, co uważałem za właściwe.

— Potrzebuję porady — powiedziała Rasa, spoglądając na przemian na Luet i Hushidh. — Ten człowiek, Smelost, przyszedł do mnie po ochronę, bo uratował mojego syna. A tymczasem mój syn uważany jest za mordercę i teraz przypuszczam, że rzeczywiście może być winny. Nie jestem wodną wieszczką. Nie jestem interpretatorką. Co jest słuszne i właściwe? Czego chce Naddusza? Musicie mi powiedzieć. Musicie mi poradzić!

— Naddusza nic mi nie powiedziała — oznajmiła Luet. — Wiem tylko to, co tu dziś usłyszałam.

— A jeżeli chodzi o interpretację — dodała Hushidh — to widzę tylko to, że ten człowiek kocha Basilikę i że zaplątana jesteś w sieć miłości, która uniemożliwia ci podjęcie decyzji. Zginął ojciec twoich córek, a ty je kochasz — i jego też, nawet jego kochasz. Wierzysz jednak, że zabił go Nafai, a swojego syna kochasz jeszcze bardziej. Szanujesz również tego żołnierza i masz wobec niego dług honorowy. A przede wszystkim kochasz Basilikę. Nie wiesz jednak, co musisz zrobić dla dobra swojego miasta.

— Wiem, na czym polega mój dylemat, Shuya, natomiast nie wiem, jak go rozwiązać.

— Muszę uciekać z miasta — powiedział Smelost. — Myślałem, że może mnie pani ochronić. Wiedziałem, że jest pani matką Nafai, ale zapomniałem, że jest pani wdową po Gaballufixie.

— Wcale nie — zaprzeczyła Rasa. — Już wiele lat temu zerwałam z nim kontrakt. Od tamtej pory żenił się wielokrotnie. Moim mężem jest teraz Wetchik. Lub raczej człowiek, który kiedyś nim był, a teraz jest zbiegiem bez ziemi, którego syn może się okazać mordercą. — Uśmiechnęła się z goryczą. — W tej kwestii nie mogę nic zrobić, ale mogę pana ochronić i tak uczynię.

— Nie możesz, ciociu Raso — zaprzeczyła Hushidh. — Za bardzo jesteś związana z tymi wszystkimi tajemnicami. Rada Basiliki zawsze cię wysłucha, ale nie będzie, polegając wyłącznie na twoim słowie, ochraniać żołnierza, który uchybił obowiązkowi. Oboje będziecie ponosić przez to jeszcze większą winę.

— Czy tak mówi interpretatorka? — zapytała Rasa.

— Tak mówi twoja uczennica — odparła Hushidh — która wyjaśnia ci to, co sama byś wydedukowała, gdybyś nie była taka zdezorientowana.

Łza spłynęła po policzku Rasy.

— Co się stanie? — zapytała. — Co się stanie z moim miastem?

Luet nigdy nie widziała, żeby Rasa była taka przestraszona, taka niepewna siebie. Rasa była wspaniałą nauczycielką, mądrą i poważaną kobietą. Status siostrzenicy, uczennicy, którą wybrano, by mieszkała w jej domu, był największym zaszczytem, jaki mógł spotkać młodą kobietę w Basi lice, lub przynajmniej tak zawsze Luet myślała. Teraz jednak zobaczyła Rasę, która była przestraszona, niepewna siebie. Nie przypuszczała, że to jest możliwe.

— Wetchik — mój Volemak — powiedział, że kieruje nim Naddusza — Rasa wyrzuciła z siebie te słowa z goryczą.

— Cóż to za przewodniczka? Czy Naddusza mu powiedziała, żeby przysłał moich synów z powrotem do miasta, gdzie nieomal ich zabito? Czy Naddusza zrobiła z mojego syna mordercę i zbiega? Cóż Naddusza wyprawia? Najprawdopodobniej Naddusza nie ma z tym nic wspólnego. Gaballufix miał rację: mój ukochany Volemak postradał zmysły, a nasi synowie zostali wciągnięci w jego szaleństwo. Luet nie mogła już dłużej tego słuchać.

— Wstydz się, ciociu — powiedziała.

— Cicho, Luty! — zawołała Hushidh.

— Wstydz się, ciociu Raso — powtórzyła Luet. — To, że tobie wydaje się to przerażające i pogmatwane, nie oznacza, że Naddusza tego nie rozumie. Ja wiem, że Naddusza kieruje

Wetchikiem, a także Nafaiem. To wszystko w jakiś sposób wyjdzie na dobre Basilice.

— Tu się mylisz — zaprzeczyła Rasa. — Naddusza nie darzy Basiliki jakąś szczególną miłością. Sprawuje pieczę nad całym światem. A co, jeżeli cały świat odniesie jakąś korzyść ze zniszczenia Basiliki? Dla Nadduszy małe miasta i mali ludzie nic nie znaczą — ona tka ogromny gobelin.

— A więc musimy chylić przed nią czoła — powiedziała Luet.

— Chyl czoła przed kim tylko chcesz — odparła jej Rasa. — Ja nie zamierzam chylić czoła przed Nadduszą, jeśli zamierza zrobić z moich synów morderców, a moje miasto obrócić w pył. Jeżeli taki jest właśnie zamiar Nadduszy, to jestem jej wrogiem. Rozumiesz mnie?

— Mów ciszej, ciociu Raso — wtrąciła Hushidh. — Obudzisz dzieci.

Rasa umilkła na chwilę, po czym oświadczyła półgłosem:

— Powiedziałam, co mam do powiedzenia,

— Nie jesteś wrogiem Nadduszy — zaprzeczyła Luet. — Proszę, poczekaj jeszcze trochę. Pozwól, że spróbuję się dowiedzieć, jaki Naddusza ma w tym cel. Właśnie po to mnie tu sprowadziłaś, prawda? Żebyś mi powiedziała, co Naddusza planuje?

— Tak — przyznała Rasa.

— Nie wydaję rozkazów Nadduszy — ciągnęła Luet.

— Ale zapytam ją. Zaczekaj tu, a ja...

— Nie — zaprotestowała Rasa. — Nie ma czasu, żebyś chodziła do jeziora.

— Nie do jeziora — odrzekła Luet. — Do mojego pokoju. Żeby spać. Śnić. Nasłuchiwać jej głosu, oczekiwać wizji. O ile nadejdzie.

— A więc pośpiesz się — powiedziała Rasa. — Mniej więcej za godzinę będę musiała podjąć jakąś decyzję — będzie się tu zjawiać coraz więcej ludzi i będę musiała działać.

— Nie wydaję rozkazów Nadduszy — powtórzyła Luet.

— A ona ma własne plany. Nie postępuje zgodnie z twoimi.

* * *

Kokor poszła do ulubionej kryjówki Sevet, do której siostra zabierała swoich kochanków, żeby Vas się o nich nie dowiedział, ale Sevet tam nie było.

— Już tu nie przychodzi — powiedziała Iliva, przyjaciółka Sevet. — Ani do pozostałych miejsc w Dauberville. Może jest wierna mężowi!

Iliva wybuchnęła śmiechem i życzyła Kokor dobrej nocy.

Tym samym Kokor nie będzie mogła zaskoczyć siostry. To ją tak rozczarowało.

Dlaczego Sevet znalazła sobie nową kryjówkę? Czy jej mąż, Vas, chodził ją szukać? Miał za wiele godności, by to robić! Faktem jednak pozostawało, że Sevet porzuciła swoje stare miejsca, mimo że Iliva i jej inne przyjaciółki z radością nadal by udzielały jej schronienia.

Mogło to oznaczać tylko jedno. Sevet znalazła nowego kochanka, nawiązała trwałą a nie przelotną znajomość i był to ktoś tak ważny w mieście, że musieli znaleźć nową kryjówkę, ponieważ gdyby sprawa wyszła na jaw, skandal na pewno dotarłby do uszu Vasa.

„Jakie to rozkoszne”, pomyślała Kokor. Próbowала sobie wyobrazić, któż mógłby to być, który z najslawniejszych mężczyzn w mieście mógł zdobyć serce Sevet. Oczywiście jakiś żonaty; żaden mężczyzna nie miał prawa spędzać choćby jednej nocy w mieście, jeżeli nie miał żony będącej obywatelką Basiliki. Kiedy więc Kokor w końcu odkryje tajemnicę Sevet, skandal będzie rzeczywiście przepyszny, gdyż dzięki zranionej, łkającej żonie Sevet wyjdzie na jeszcze większą zdiurę.

„I ja to w y g a d a m”, pomyślała Kokor. „Ponieważ ukryła ten romans przede mną i nic mi nie

powiedziała, nie muszę jej kryć. Nie ufała mi, więc czemuż ja miałabym być godna zaufania?”

Kokor oczywiście nie rozpowie tego s a m a . Znała niejednego satyryka w Teatrze Plenerowym, który bardzo będzie chciał poznać szczegóły, aby jako pierwszy mógł zniesławić słodką Sevet i jej kochanka w sztuce. A cena, jaką Kokor od niego zażąda za informacje, nie będzie wysoka — jedynie szansa zagrania roli Sevet, kiedy satyryk wystawi zniesławiające przedstawienie. To szybko położy kres groźbom Tumannu, że zbojkotuje Kokor.

„Będę naśladować głos Sevet”, pomyślała Kokor, „i ośmieszę jej sposób śpiewania. Nikt nie potrafi jej tak dokładnie naśladować jak ja. Nikt nie zna wszystkich wad jej głosu tak jak ja. Pożałuje, że ukryła przede mną swój sekret! A przy tym będę występować w masce i zaprzeczę wszystkiemu; nawet jeśli sama Matka poprosi mnie, żebym przysięgła na Nadduszę, wyprę się. Sevet to nie jedyna osoba, która umie dotrzymać tajemnicy”.

Było już późno, do świtu brakowało zaledwie kilku godzin, lecz do końca ostatnich komedii pozostawała jeszcze dobra godzina. Gdyby Kokor poszła szybko do swojego teatru, prawdopodobnie mogłaby nawet wrócić na scenę i przynajmniej wziąć udział w scenie finałowej. Nie mogła jednak znieść myśli o scenie, którą musiałaby odgrywać przed Tumannu — błagając o wybaczenie, przyrzekając, że już nigdy więcej nie wyjdzie sobie w trakcie sztuki, łkając. To byłoby zbyt poniżające. Żadna córka Gaballufixa nie powinna być zmuszona do płaszczenia się przed zwykłym kierownikiem scenicznym!

„Tylko że teraz, kiedy on nie żyje, jakie znaczenie będzie miało to, czy jestem jego córką, czy nie?” Ta myśl ją przeraziła. Zastanawiała się, czy ten człowiek, Rash, miał rację, czy Ojciec zostawi jej dość pieniędzy, by była bardzo bogata i kupiła sobie teatr. To by było miłe, prawda? To by rozwiązało wszystkie problemy. Sevet oczywiście miałaby tyle samo pieniędzy i prawdopodobnie też kupiłaby sobie teatr, dlatego, że tak jak zwykle musiałaby przyćmić Kokor i pozbawić ją wszelkich szans zdobycia sławy. Kokor jednak okazałaby się lepszą organizatorką i doprowadziłaby do upadku nędznego, odtwórczego teatru Sevet, a po jego klapie ca ł y spadek siostry by przepadł, natomiast Kokor byłaby wiodącą postacią w basilikańskim teatrze i nadszedłby taki dzień, kiedy Sevet zjawiałaby się u niej i błagała ją o główną rolę w jednej ze sztuk, a Kokor objęłaby siostrę, zatkała i powiedziała: „Och, moja kochana siostro, marzę o tym, żeby wykorzystać twoje zdolności na scenie, ale mam zobowiązania wobec moich sponsorów i nie mogę ich narażać na straty finansowe, wystawiając sztukę, w której główną rolę gra p r z e b r z m i a ł a gwiazda”.

Och, to było rozkoszne marzenie! Nieważne, że Sevet była starsza zaledwie o rok — dla Kokor to miało decydujące znaczenie. T e r a z Sevet może zajmować lepszą pozycję, ale już niedługo młodość będzie bardziej ceniona przez publiczność i wtedy to Kokor będzie miała przewagę. Młodość i uroda — w obu tych aspektach Kokor zawsze będzie górowała nad Sevet. Ponadto, nie miała też ani odrobiny talentu mniej od siostry.

Dotarła do domu, niewielkiego mieszkania, które wraz z Obringiem wynajmowała w dzielnicy Wzgórza. Było skromne, ale bardzo ładne. Przynajmniej tego nauczyła się od swojej cioci Dhelembuvex, matki Obringa: lepiej mieć małą ale ładnie urządzonej kłitkę niż duży, ale brzydki zagospodarowany pałac.

— Kobieta musi pokazać, że jest kwiatem doskonałości — mawiała zawsze ciocia Dhel.

Kokor wyraziła to znacznie lepiej w aforyzmie, który opublikowała w wieku zaledwie piętnastu lat, zanim poślubiła Obringa i opuściła dom Matki:

Idealny pączek
o subtelnej barwie
i delikatnym zapachu

wywołuje większy zachwyt od paradnego kwiatu,
który domaga się uwagi,
ale nie może się poszczycić niczym,
czego nie można by zobaczyć na pierwszy rzut oka
lub poczuć na samym początku.

Największą dumą napawało Kokor to, że wersy o idealnym pączku były krótkie i proste, natomiast linijki o paradnym kwiecie długie i niezdarne. Jednak ku jej rozczarowaniu żaden znamienity kompozytor nie napisał arii z tekstem jej aforyzmu, a młodzi, którzy przychodzili do niej ze swoimi melodiami, byli pozbawionymi talentu oszustami nie mającymi pojęcia, jak skomponować pieśń, która nadawałaby się dla głosu Kokor. Nawet się z nimi nie przespała z wyjątkiem jednego, który miał taki nieśmiały i słodki wyraz twarzy. Ach, w ciemnościach był tygrysem! Spotykała się z nim przez trzy dni, ale upierał się, żeby jej śpiewać swoje melodie, więc go odprawiła.

Jak się nazywał?

Już sobie prawie przypomniała, kiedy weszła do domu i usłyszała dziwny odgłos pohukiwania dochodzący z tylnego pokoju. Jak gdyby natrafiła na mieszkające za Małym Jeziorem gibony, które sapią i pohukują, paplając do siebie w swoim niezrozumiałym języku.

— Och. Hu. U—u. HUUU.

Tylko że to nie były gibony, prawda? I odgłosy dochodziły z sypialni, do której wchodziło się krętymi schodami. Wpadające przez okno w dachu światło księżyca oświetlało jej drogę, kiedy Kokor wbiegała po schodach na palcach, po cichu, ponieważ wiedziała, że zastanie męża, Obringa, z jakąś ładacznicą w swoim łóżku, a to było niewymownym pogwałceniem wszelkich zasad przyzwoitości. Czy on w ogóle się z nią nie liczy? Ona nigdy nie sprowadza swoich kochanków do domu, prawda? Nigdy nie pozwala, żeby pocili się na jego pościeli, prawda? Jakaś sprawiedliwość musi istnieć i to będzie wspaniałą sceną zranionej dumy, kiedy Kokor wyrzuci kurewkę z domu bez ubrania! Dziwka będzie musiała wracać nago, a Kokor zobaczy, jak Obring będzie ją przeproszał i jak będzie próbował wszystko naprawić, składając jej przyrzeczenia i skomląc, ale teraz nie ma już co do tego żadnych wątpliwości, Kokor nie odnowi z nim kontraktu, a on zobaczy, co się dzieje z mężczyzną, który zdradza ją w żywe oczy.

W zalanej światłem sypialni Kokor zastała Obringa pochłoniętego dokładnie taką czynnością, jakiej się spodziewała. Nie widziała jego twarzy, ani twarzy kobiety, której bez reszty poświęcał uwagę, ale nie potrzebowała ani światła dziennego, ani szkła powiększającego, by wiedzieć, co to wszystko oznacza.

— Obrzydliwość — powiedziała.

Zadziało to zgodnie z jej oczekiwaniami. Najwyraźniej nie usłyszeli, jak Kokor wchodzi po schodach, i jej głos zmroził Obringa. Zatrzymał się na chwilę. Potem odwrócił głowę i z głupią miną spojrzał na nią posepnie.

— Kyoka — powiedział. — Wróciłaś wcześniej.

— Powinam była się domyślić — powiedziała kobieta na łóżku. Jej twarz nadal pozostawała ukryta za gołymi plecami Obringa, ale Kokor od razu rozpoznała ten głos. — Twoje przedstawienie jest takie marne, że przerwali je w połowie.

Kokor nie zwróciła uwagi na obelgę, nie zauważyła, że w głosie Sevet nie było śladu zażenowania. Myślała tylko o jednym: „To dlatego musiała znaleźć nową kryjówkę; nie dlatego, że jej kochankiem był ktoś sławny, ale żeby ukryć prawdę przede mną”.

— Setki twoich wielbicieli chciałyby się z tobą walić co wieczór — szepnęła Kokor. — Ale ty musiałaś mieć swojego męża.

— Och, nie bierz tego tak do siebie — powiedziała Sevet, wspierając się na łokciach. Jej piersi opadły na boki. Kokor bardzo podobał się widok jej obwisłych piersi, była zachwycona, że w wieku dziewiętnastu lat Sevet wyglądała zdecydowanie na starszą i grubszą od niej. Obring jednak pragnął tego ciała, wykorzystywał to ciało na łóżku, na którym tyle nocy sypiał obok doskonałego ciała Kokor. Jak mogło go w ogóle podniecać takie ciało, skoro tyle razy widział rano ciało Kokor po kąpieli?

— Nie korzystałaś z Obringa, a on jest taki słodki — ciągnęła Sevet. — Gdybyś kiedykolwiek pofatygowała się go zadowolić, nie spojrzałby na mnie.

— Przepraszam — wymamrotał Obring. — Nie chciałem.

To była taka oburzająca, dziecinna reakcja, że Kokor nie potrafiła stłumić wściekłości. A jednak udało jej się to zrobić. Powściągnęła ją jak huragan w butelce.

— To był przypadek, prawda? — szepnęła Kokor. — Potknąłeś się i upadłeś, ubranie zsunęło się z ciebie i zupełnie przypadkowo znalazłeś się na mojej siostrze?

— To znaczy... Chciałem to przerwać, w ciągu tych wszystkich miesięcy...

— Miesiące — szepnęła Kokor.

— Już nie mów, pieseczku — wtrąciła Sevet. — Tylko pogarszasz sprawę.

— Nazywasz go „pieseczkiem”? — zapytała Kokor. To właśnie tak nazywały nastolatki, którzy do nich wzdychali, kiedy osiągnęły dojrzałość.

— Był taki chętny — odparła Sevet, wyslizgując się spod Obringa. — Po prostu nie mogłam go tak nie nazwać i jemu się to podoba.

Obring odwrócił się i usiadł nieszczęśliwie na łóżku. Nie próbował się zakryć; było jasne, że tego wieczora akt miłosny przestał go interesować.

— Nie przejmuj się tym, Obring — powiedziała Sevet. Stała przy łóżku, pochylając się, żeby pozbiierać ubranie z podłogi. — Ona i tak odnowi z tobą kontrakt. Nie będzie chciała, żeby ludzie o niej gadali, więc będzie odnawiać z tobą kontrakt tak długo, jak tylko będziesz chciał — po to tylko, żeby powstrzymać cię przed rozpowiadaniem tej historii.

Kokor zobaczyła, jak brzuch Sevet się fałduje, jak jej piersi się kołyszają, kiedy się pochylała. A jednak to ona wzięła męża Kokor. Na domiar wszystkiego musiała mieć nawet jego. To było nie do zniesienia.

— Zaśpiewaj dla mnie — szepnęła Kokor.

— Co? — zapytała Sevet, obracając się do niej, zakrywając się suknią.

— Zaśpiewaj mi pieśń, ty dawalko, tym swoim ładnym głosem.

Sevet popatrzyła w oczy Kokor i wyraz rozbawienia połączonego ze znudzeniem zniknął z jej twarzy.

— Teraz nie będę śpiewać, ty mała idiotko — powiedziała.

— Nie dla mnie — rzekła Kokor. — Dla Ojca.

— A co jest z Ojcem? — Sevet skrzywiła twarz, wyrażając udawane współczucie. — Och, czy mała Kyoka na mnie doniesie? — Następnie uśmiechnęła się szyderczo. — Będzie się śmiał. A potem weźmie Obringa na popijawę!

— Pieśń pogrzebową dla Ojca — powiedziała Kokor.

— Pogrzebową? — Teraz Sevet wyglądała na zdezorientowaną, zmartwioną.

— Kiedy ty tu rznąłaś się z mężem swojej siostry, ktoś zamordował Ojca. Gdybyś była człowiekiem, przejęłabyś się tym. Nawet gibony oplakują swoich zmarłych.

— Nie wiedziałam — powiedziała Sevet. — Skąd miałam wiedzieć?

— Szukałam cię — oznajmiła Kokor. — Żeby ci powiedzieć. Ale nie było cię w żadnym znanym mi miejscu. Odeszłam w trakcie sztuki, straciłam pracę, żeby cię poszukać i ci powiedzieć, a oto gdzie cię znalazłam i co robiłaś.

— Jesteś taką kłamczucha — oświadczyła Sevet. — Czemu miałabym w to wierzyć?

— Ja nigdy tego nie zrobiłam z Vasem — powiedziała Kokor. — Nawet wtedy, kiedy mnie błagał.

— Nigdy cię o to nie prosił — rzekła Sevet. — Nie wierzę w twoje kłamstwa.

— Powiedział mi, że choć raz chciałby posiąść kobietę, która jest naprawdę piękna. Kobietę, której ciało jest młode, gibkie i słodkie. Ale odmówiłam, bo jesteś moją siostrą.

— Kłamiesz. Nigdy cię o to nie p r o s i ł .

— Może kłamię. Ale prosił.

— Nie Vas — zaprzeczyła Sevet.

— Vas, z dużym pieprzykiem na wewnętrznej stronie uda — powiedziała Kokor. — Odmówiłam mu, bo jesteś moją siostrą.

— O Ojcu też kłamiesz.

— Leżał w kałuży krwi. Zamordowany na ulicy. Nie jest to dobra noc dla naszej kochanej rodziny. Ojciec nie żyje. Ja zostałam zdradzona. A ty...

— Nie zbliżaj się do mnie.

— Zaśpiewaj dla niego — powiedziała Kokor.

— Na pogrzebie, o ile nie kłamiesz.

— Zaśpiewaj t e r a z — nalegała Kokor.

— Ty mała kuro, ty mała kaczkę, nigdy nie będę śpiewać na twój rozkaz.

Od dawna dokuczała Kokor, oskarżając ją, że gdacze i kwacze zamiast śpiewać — nie było to nic nadzwyczajnego. To pogarda i odraza w głosie Sevet wzburzyły Kokor do takiego stopnia, że nie mogła się opanować. Nie mogła już powstrzymać burzy, która nią targała.

— No właśnie! — wykrzyknęła Kokor. — Na mój rozkaz już n i g d y nie zaśpiewasz!

Jak kot zadała cios, ale nie pazurem tylko pięścią. Sevet podniosła gwałtownie ręce, żeby osłonić twarz. Kokor jednak nie zamierzała poranić twarzy siostry. To nie twarz była obiektem jej nienawiści. Nie, trafiła pięścią w miejsce, w które celowała, pod brodą Sevet, w gardło, gdzie krtań pozostawała ukryta pod grubą warstwą ciała, gdzie znajdowało się źródło głosu.

Żaden dźwięk nie wyrwał się z ust Sevet, choć od siły ciosu dziewczyna aż poleciała do tyłu. Upadła, chwytając się za gardło; skręcała się na podłodze, dławiąc się, poka—szlując. Obring krzyknął i skoczył naprzód, klękając przy niej.

— Sevet! — zawołał. — Sevet, nic ci nie jest?

Sevet jednak tylko belkotała i pluła w odpowiedzi, a potem zaczęła się dusić i kaszleć. Krwia. Kokor widziała jej krew na rękach Sevet i na udach Obringa, który tulił jej głowę na swoim podolku. Krew z gardła Sevet, pobłyskująca czernią w świetle księżyca. „Jak ci smakuje w ustach, Sevet? Jakie to uczucie mieć ją na swoim ciele, Obring? Jej krew, jak dar dziewicy, mój podarunek dla was obojga”.

Sevet strasznie charczała.

— Wody — powiedział Obring. — Przynieś szklankę wody, Kyoka, żeby przepłukać jej usta. Ona krwawi, nie widzisz? Coś ty jej zrobiła!

Kyoka podeszła do umywalki — swojej umywalki — wzięła filizankę — swoją filizankę — i przyniosła ją napelnioną Obringowi, który ją od niej wziął i spróbował wlać trochę wody do ust Sevet. Zakrztusiła się jednak i wypłuka wodę, łapiąc z trudem oddech, dusząc się krwią, która pływała w jej gardle.

— Lekarza! — zawołał Obring. — Sprowadź lekarza. Bustiya, która mieszka obok, jest lekarką, przyjdzie.

— Na pomoc — wymamrotała Kokor. — Chodź szybko. Na pomoc. — Mówiła tak cicho, że prawie sama nie słyszała własnego głosu.

Obring wstał i spojrział na nią z wściekłością.

— Nie dotykaj jej — rozkazał. — Sam sprowadzę lekarkę. Wyszedł różnym krokiem z pokoju. Wykazywał się teraz

taką siłą. Nagi jak mityczny bóg, jak Imperator Gorayni ze zdjęć — uosobienie męskości — tak wyglądał Obring, kiedy wychodził, żeby poszukać lekarza, który mógłby uratować tę damę.

Kokor patrzyła, jak Sevet drapie paznokciami po podłodze, jak szarpie sobie skórę na szyi, jakby chciała tam zrobić dziurę, by móc oddychać. Oczy Sevet wychodziły jej z głowy, a krew ściekała z ust na podłogę.

— Miałas wszystko — powiedziała Kokor. — Wszystko. Ale nawet j e g o nie mogłaś mi zostawić.

Sevet bełkotała. Wpatrywała się w Kokor z udręką i panicznym strachem.

— Nie umrzesz — ciągnęła Kokor. — Nie jestem morderczynią. Nie jestem zdrajczynią.

Ale potem przyszło jej do głowy, że Sevet m o ż e umrzeć. Mając tyle krwi w gardle, może się zadławić. I wtedy winą za to spadnie na Kokor.

— Nikt nie może mnie winić — powiedziała Kokor. — Dziś wieczorem zginął Ojciec, a ja przyszedłam do domu i zastałam cię z moim mężem, a potem ty mi dokuczałaś. Nikt mnie nie będzie winić. Mam dopiero osiemnaście lat, jestem jeszcze dzieckiem. A zresztą, to był wypadek. Chciałam wydrapać ci oczy, ale chybiłam i to wszystko.

Sevet zakrztusiła się. Zwymiotowała na podłogę. Cuchnęło strasznie. Taki bałagan — wszystko będzie poplamione i odór nigdy nie zniknie. I wszyscy b ę d ą winić Kokor, jeśli Sevet umrze. Plama, która nigdy nie zniknie, będzie zemstą Sevet. Jej sposób na wyrównanie rachunków: umrzeć i pozwolić, by Kokor do końca życia nazywano morderczynią.

„No cóż, ja ci pokażę”, pomyślała Kokor. „Nie pozwolę ci umrzeć. Właściwie uratuję ci ż y c i e”.

Tak więc kiedy Obring wrócił z lekarką, zobaczyli, jak Kokor klęczy przy Sevet i robi jej sztuczne oddychanie. Obring odciągnął ją na bok, żeby zrobić miejsce dla lekarki. I kiedy Bustiya wepchnęła rurkę do gardła Sevet, kiedy na twarzy milczącej Sevet pojawił się wyraz udręki, Obring poczuł zapach krwi oraz wymiocin i zobaczył plamy na twarzy i sukni Kokor. Obejmując ją, szepnął do niej:

— Ty ją naprawdę kochasz. Nie mogłaś pozwolić, żeby umarła.

Kokor przywarła wtedy do niego i załkała.

* * *

— Nie mogę zasnąć — oświadczyła nieszczęśliwym tonem Luet. — Jak mogę śnić, jeśli nie mogę spać?

— Mniejsza z tym — powiedziała Rasa. — Wiem, co musimy zrobić. Naddusza nie musi nam mówić. Smelost musi opuścić Basilikę, ponieważ Hushidh ma rację, nie mogę go teraz ochronić.

— Nie wyjadę stąd — oznajmił Smelost. — Już podjąłem decyzję. To jest moje miasto i poniosę konsekwencje tego, co uczyniłem.

— Czy kocha pan Basilikę? — zapytała Rasa. — Zatem niech pan nie dopuści do tego, żeby ludzie Gaballufixa mieli kozła ofiarnego, na którego mogą zwalić całą winę. Niech pan im nie daje szansy postawienia pana przed sądem i wykorzystania tego jako wymówki, by przejąć kontrolę nad strażą i zrobić z jego zamaskowanych żołnierzy j e d y n y organ władzy w mieście.

Przez chwilę Smelost patrzył na nią groźnie, po czym skinął głową.

— Rozumiem — powiedział. — Zatem dla dobra Basiliki wyjadę.

— Dokąd? — zapytała Hushidh. — Dokąd możesz go wysłać, ciociu Raso?

— Oczywiście do Gorayni — odparła Rasa. — Dam panu dość prowiantu i pieniędzy, aby dotarł pan na północ do Gorayni. A także list z wyjaśnieniem, jak uratował pan człowieka, który... zabił Gaballufixa. Oni będą wiedzieć, co to znaczy — muszą mieć szpiegów, którzy im donieśli, że Gab usiłował zawładnąć Basiliką, aby zawrzeć sojusz z Potokgavanem. Może Roptat był z nimi w kontakcie.

— Nigdy! — wykrzyknął Smelost. — Roptat nie był zdrajcą!

— Oczywiście, że nie — powiedziała uspokajająco Rasa. — Chodzi o to, że Gab był ich wrogiem, a to czyni z pana ich przyjaciela. To minimum, co mogą zrobić: przyjąć pana do siebie.

— Jak długo będę musiał pozostać poza miastem? — zapytał Smelost. — Jest tu kobieta, którą kocham. Mam syna.

— Niedługo — odrzekła Rasa. — Po śmierci Gaba sytuacja wkrótce wróci do normy. To on był powodem całego zamętu. Teraz znów zapanuje pokój. Oby Naddusza wybaczyła mi, że tak mówię, ale jeśli Nafai go zabił, to może zrobił dobry uczynek, przynajmniej dla Basiliki.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

— Tak szybko! — powiedziała Rasa.

— Nie mogą wiedzieć, że tu jestem — stwierdził Smelost.

— Shuya, zaprowadź go do kuchni i daj mu prowiant. Zatrzymam ich przy drzwiach tak długo, jak tylko zdołam. Luet, pomóż siostrze.

Ale przed drzwiami nie stali żołnierze Palwashantu, strażnicy miasta czy jacykolwiek inni przedstawiciele władz. Stał tam Vas, mąż Sevet.

— Przepraszam, że niepokoję panią o tej porze.

— Mnie i wszystkich moich domowników — powiedziała Rasa. — Już mi wiadomo, że ojciec Sevet nie żyje, ale wiem, że masz jak najlepsze intencje, przychodząc do...

— Nie żyje? — zapytał Vas. — Gaballufix? A więc to może wyjaśnia... Nie, to niczego nie wyjaśnia.

Wyglądał na przestraszonego i rozgniewanego. Rasa nigdy go nie widziała w takim stanie.

— A więc co się stało? — zapytała Rasa. — Jeśli nie wiedziałeś, że Gab nie żyje, to dlaczego tu jesteś?

— Przyszedł po mnie jeden z sąsiadów Kokor. Chodzi o Sevet. Została uderzona w gardło, prawie umarła. To bardzo poważna rana. Myślałem, że będzie pani chciała ze mną pójść.

— Z o s t a w i ł e ś j ą? Żeby przyjść do mnie?

— Nie byłem z nią — wyjaśnił Vas. — Jest w domu Kokor.

— Dlaczego Sevy miałyby tam być? — Służąca już pomagała swojej pani założyć płaszcz, aby Rasa mogła wyjść na zewnątrz. — Kokor grała dziś w teatrze, prawda? W nowej sztuce.

— Sevy była z Obringiem — powiedział Vas. Wyszedł z nią na werandę; służąca zamknęła za nimi drzwi. — Dlatego Kyoka ją uderzyła.

— Kyoka uderzyła ją w... K y o k a to zrobiła?

— Nakryła ich razem. W każdym razie tak mi powiedział sąsiad. Obring poszedł nagusieńki po lekarkę, a kiedy wrócili, Sevy była naga. Kyoka robiła jej sztuczne oddychanie, żeby ją uratować. Włożyli jej rurkę do gardła i teraz może oddychać, nie umrze. To wszystko, co sąsiad potrafił mi powiedzieć.

— Że Sevet żyje — powiedziała z goryczą Rasa — i kto był nagi.

— Być może lepiej by było, gdyby Kokor po prostu ją zabiła, jeśli ma to kosztować Sevet jej głos — stwierdził Vas.

— Biedna Sevy — podsumowała Rasa. Ulicami maszerowali żołnierze, ale Rasa nie zwracała na nich uwagi i być może dlatego, że Vas i Rasa wydawali się tacy zaabsorbowani, nie próbowali ich zatrzymać. — W ciągu jednej nocy stracić ojca i głos.

— Wszyscy coś dzisiaj straciliśmy, prawda? — zapytał z goryczą Vas.

— To nie dotyczy ciebie — sprostowała Rasa. — Myślę, że Sevet naprawdę cię kocha, na swój sposób.

— Wiem. Obie nienawidzą się tak bardzo, że zrobią wszystko, żeby się nawzajem zranić. Ale myślałem, że jest coraz lepiej.

— Być może teraz będzie — stwierdziła Rasa. — Gorzej już być nie może.

— Kyoka też tego próbowała — wyjął Vas. — W obu przypadkach odesłałem ją z kwitkiem. Dlaczego Obring nie mógł być na tyle mądry, by też odmówić Sevet?

— Jest mądry — powiedziała Rasa. — Tylko że brakuje mu siły.

Scena w domu Kokor była bardzo wzruszająca. Ktoś posprzątał w pokoju: pościel nie była już zmięta, lecz gładka z wyjątkiem miejsca, w którym leżała Sevet, ubrana w jedną z najskromniejszych koszul nocnych Kokor. Obring też zdążył się ubrać i teraz klęczał w kącie, pocieszając łkającą Kokor. Lekarka przywitała się z Rasą w drzwiach do pokoju.

— Usunęłam krew z płuc — wyjaśniła Bustiya. — Nie grozi jej śmierć, ale rurki do oddychania nie wolno jej na razie wyjmować. Wkrótce przyjdzie laryngolog. Być może rana zagoi się bez blizny. Być może to jeszcze nie koniec jej kariery.

Rasa usiadła obok córki na łóżku i chwyciła rękę Sevyi. Odór wymiocin nadal unosił się w powietrzu, mimo że podłoga była mokra po szorowaniu.

— Cóż, Sevyia — szepnęła Rasa — wygrałeś czy przegrałeś tę rundę?

Z oczu Sevet wypłynęły łzy.

Po drugiej stronie pokoju Vas stał nad Obringiem i Kokor. Twarz mu poczerwieniała od — czego, gniewu? A może miał rumieńce jedynie z powodu wyczerpującego spaceru?

— Obring — odezwał się Vas. — Ty nędzny draniu. Tylko głupiec szcza do zupy swojego brata.

Obring podniósł na niego wzrok, ukazując wymizerowaną twarz, a potem znów spojrzał na swoją żonę, która rozplakała się jeszcze bardziej. Rasa знаła Kokor wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że choć córka płacze szczerze, stara się przy tym wzbudzić współczucie. Rasa nie miała dla niej prawie ani krzty tego uczucia. Dobrze wiedziała, jak jej córki niewiele sobie robiły z klauzuli wyłączności w swoich kontraktach małżeńskich i nie miała współczucia dla niewiernych ludzi, którzy czuli się urażeni odkrywając, że ich partnerzy też są niewierni.

To Sevet teraz cierpiała, nie Kokor. Nie było możliwe, by Rasa przestała zwracać uwagę na Sevet tylko dlatego, że Kokor zachowywała się tak hałaśliwie, a Sevet milczała.

— Jestem z tobą, moja kochana córko — powiedziała Rasa. — To jeszcze nie koniec świata. Żyjesz, a twój mąż cię kocha. Niech na razie to będzie twoją muzyką.

Sevet uściśnęła mocno jej rękę, oddychała płytko i sapiała.

— Czy już się dowiedziała o Ojcu? — zwróciła się Rasa do lekarki.

— Wie — odparł Obring. — Kyoka nam powiedziała.

— Dzięki Nadduszy, że czeka nas tylko jeden pogrzeb — powiedziała Rasa.

— Kyoka uratowała siostrze życie — wyjaśnił Obring. — Dała jej oddech.

„Nie, to ja dałam jej oddech”, pomyślała Rasa. „Dałam jej oddech, ale, niestety, nie mogłam jej dać ani przyzwoitości, ani rozumu. Nie potrafiłam dopilnować, żeby trzymała się z dala od łóżka siostry, z dala od jej męża. Ale dałam jej oddech i być może teraz ten ból czegoś ją nauczy. Może litości. Lub przynajmniej powściągliwości. Czegoś, co sprawi, że ten incydent przyniesie jakąś korzyść. Czegoś, co sprawi, że stanie się ona moją córką, a nie Gaballufixą, jak to dotychczas było w przypadku obu dziewczyn”.

„Oby to wszystko wyszło na dobre”, modliła się w duchu Rasa. Ale potem zastanawiała się, do kogo się modli. Do Nadduszy, której ingerencja spowodowała powstanie tak wielu innych

problemów? „Od niej nie uzyskam żadnej pomocy”, pomyślała Rasa. „Teraz jestem zdana na siebie, sama muszę próbować ochronić moją rodzinę i moje miasto w nadchodzącym strasznym okresie. Nie mam ani wpływów, ani władzy, z wyjątkiem siły, która wypływa z miłości i mądrości. Miłości mi nie brakuje. Gdybym tylko mogła być pewna, że nie brakuje mi również mądrości”.

2. OKAZJA

SEN WODNEJ WIESZCZKI

Luet nigdy dotąd nie próbowała śnić w sytuacji awaryjnej, nie przyszło jej więc nigdy do głowy, że nie może ot tak po prostu zasnąć i śnić, ponieważ tak chce. Wręcz przeciwnie — to właśnie świadomość pilnej potrzeby bez wątpienia nie pozwalała jej zasnąć i śnić. Była wściekła i zawstydzona, że nie potrafiła niczego się dowiedzieć od Nadduszy, zanim ciocia Rasa stanęła wobec decyzji, co zrobić z tamtym żołnierzem, Smelostem. A co gorsza, mimo że Naddusza nic jej nie powiedziała, Luet była pewna, że wysyłanie Smelosta do Gorayni to błąd. Wydawało się to zbyt proste: myśleć, że skoro Gaballufix był wrogiem Gorayni, to Gorayni automatycznie przyjmą z radością wroga Gaballufixa i udzieli mu azylu.

Luet chciała zabrać głos i powiedzieć jej: „Ciociu Raso, Gorayni niekoniecznie są naszymi przyjaciółmi”. I może by to powiedziała, ale Rasa wybiegła z domu z Vasem i Luet mogła jedynie patrzeć, jak Smelost zwija żywność i zapasy, które mu przyniosły służące, a potem wymyka się tylnym wyjściem.

Dlaczego Rasa nie mogła przemyśleć sprawy chwilę dłużej? Czy nie lepiej by było wysłać Smelosta na pustynię, żeby się przyłączył do Wetchika? Ale on już nie był Wetchikiem, prawda? Był tylko Volemakiem, człowiekiem, który był Wetchikiem, dopóki Gaballufix nie pozbawił go tytułu — kiedy? — zaledwie wczoraj. Tylko Volemakiem — Luet jednak wiedziała, że spośród wszystkich wielkich ludzi Basiliki Volemak był jedynym, którego Naddusza włączyła do swoich planów.

Naddusza zapoczątkowała te wszystkie problemy, zsyłając Volemakowi wizję Basiliki w ogniu. Ostrzegła go, że sojusz z Potokgavanem doprowadzi do zniszczenia Basiliki. Nie obiecywała, że Basilika może uważać Gorayni za przyjaciół. A z tego, co Luet wiedziała o Gorayni — Mokrogłowych, jak ich nazywano z powodu smarowania włosów olejkami — wysyłanie Smelosta, żeby poprosił ich o schronienie, było złym pomysłem. Gorayni odniosą błędne wrażenie. Pomyślą, że ich sojusznicy nie są bezpieczni w Basilice. Czy nie zachęci ich to do zrobienia dokładnie tego, od czego wszyscy chcieli ich odwieść — dokonania najazdu i podboju miasta?

Tak, wysyłanie Smelosta było błędem. Ponieważ jednak Luet nie doszła do tego wniosku jako wodna wieszczka, lecz własnym rozumowaniem, nikt nie będzie jej słuchał. Była dzieckiem, z wyjątkiem chwil, kiedy wstępowała w nią Naddusza — dlatego cieszyła się szacunkiem tylko wtedy, gdy nie była sobą. To ją złościło, ale mogła jedynie mieć nadzieję, że myli się co do Smelosta i Gorayni, i czekać niecierpliwie, aż stanie się w pełni kobietą.

Jeszcze bardziej martwiło ją to, że wyciąganie takich fałszywych wniosków było niepodobne do Rasy. Wydawało się, że Rasa działa pod wpływem strachu, bez zastanowienia. A jeśli Rasa nie potrafiła dokonywać trafnych ocen, to na cóż mogła Luet liczyć?

„Chcę z kimś porozmawiać”, pomyślała Luet. Nie ze swoją siostrą, Hushidh — kochana Shuya była bardzo mądra i życzliwa, i wysłuchałaby jej, ale po prostu nie dbała o nic, co się działo poza Basiliką. Na tym polegał problem związany z tym, że była interpretatorką. Hushidh żyła w ciągłej świadomości wszystkich koneksji i stosunków między otaczającymi ją ludźmi. To wycucie powiązań było, naturalnie, najważniejszą rzeczą w jej życiu, kiedy obserwowała, jak ludzie łączą się i rozchodzą, tworząc społeczności i je rozwiązując. A pod tym wszystkim kryła się przemożna świadomość Shuyi dotycząca struktury samej Basiliki. Kochała miasto — ale znała je tak dobrze, tak bardzo skupiała na nim swoją uwagę, że po prostu nie miała pojęcia, jaki jest związek Basiliki

ze światem zewnętrznym. Takie powiązania były zbyt rozległe i bezosobowe.

Luet nawet próbowała to z nią omówić, ale Hushidh prawie od razu zasnęła. Luet nie mogła jej za to winić. Zresztą i tak prawie świtało, a one miały za sobą nie przespaną noc. Sama Luet powinna już spać.

„Gdybym tylko mogła porozmawiać z Nafaiem lub Issibem. Zwłaszcza z Nafaiem — on może rozmawiać z Nadduszą, kiedy nie śpi. Może nie doznaje takich wizji jak ja, może nie widzi z głębią i jasnością wodnej wieszczki, ale otrzymuje o d p o w i e d z i . Praktyczne, proste odpowiedzi. I nie musi pograżać się we śnie, by je uzyskać. Gdyby tu tylko był. Jednak Naddusza wysłała go i jego ojca oraz wszystkich jego braci na pustynię. To właśnie tam powinien pójść Smelost, zdecydowanie. Do Nafai. Gdyby tylko ktoś wiedział, gdzie on jest”.

Wreszcie ze swoimi rozszalałymi myślami Luet zapadła w chaotyczny stan snu i z tego niespokojnego snu wyłoniło się marzenie senne, które Luet zapamiętała, ponieważ przyszło do niej z zewnątrz i posiadało znaczenie wykraczające poza przypadkowe eksplozje prądów w jej mózgu podczas snu.

— Zbudź się — powiedziała Hushidh.

— Nie śpię — odparła Luet.

— Już dwukrotnie mi tak odpowiedziałaś, Luty, a za każdym razem pozostawałaś pograżona we śnie. Już nadszedł ranek i sprawy wyglądają gorzej, niż myślałyśmy.

— Jeśli mówiłaś mi to za każdym razem, kiedy się budziłam — rzekła Luet — to nic dziwnego, że z powrotem zapadałam w sen.

— Już dość spałaś — oświadczyła Hushidh i zaczęła jej opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło poprzedniej nocy w domu Kokor.

Luet nie potrafiła zrozumieć, że takie rzeczy mogły się naprawdę zdarzyć — nie komuś, kto był powiązany z domem Rasy. Nie była to jednak tylko pogłoska.

— To dlatego Vas zabrał ze sobą ciocię Rasę — domyśliła się Luet.

— Nad ranem jesteś taka błyskotliwa.

Luet tak niemrawo kojarzyła, że chwilę trwało, nim uświadomiła sobie, że Hushidh mówi z ironią.

— Śniłam — wytłumaczyła się ze swojego otępienia. Hushidh jednak nie była zainteresowana jej snem.

— Dla biednej cioci Rasy koszmar zaczyna się po przebudzeniu.

Luet próbowała zdobyć się na optymizm.

— Przynajmniej może ją pocieszać fakt, że ciocią Kokor i Sevet była Dhelembuvex — to się nie odbije na jej domu...

— Nie odbije...! To przecież jej c ó r k i , Luty. I ciocia Dhel była tu z nimi przez cały czas, kiedy dorastały. To nie ma nic wspólnego z tym, jak je wychowano. Oto co znaczy być córką Gaballufixa. Jaka to rozkoszna ironia, że tej samej nocy, kiedy on ginie, jedna z jego córek poważnie kaleczy drugą uderzeniem w gardło.

— Słodką życzliwość płynie z każdego słowa z twoich ust, Shuya.

Hushidh spojrzała na nią groźnie.

— Ty też nigdy nie kochałaś córek cioci Rasy, więc nie udawaj przede mną świętoszki.

Prawdę mówiąc, Luet nie interesowała się za bardzo córkami Rasy. Była zbyt młoda, by się nimi przejmować, kiedy ostatnio mieszkały w domu Rasy. Hushidh jednak była starsza i pamiętała wyraźnie, jak to było, gdy przebywały w domu przez cały czas, gdy Kokor chodziła na lekcje i obie były oblegane przez zalotników. Hushidh lubiła żartować, że nawet w burdelu współczynnik feromonów nie mógł być wyższy, ale jej odraza do Kokor i Sevet nie miała nic wspólnego z ich atrakcyjnością dla mężczyzn. Odnosiła się do ich złośliwej zazdrości o każdą dziewczynę, która

zdobywała sobie miłość i szacunek Rasy. Hushidh nie była dla nich żadną rywalką, a jednak obie bezlitośnie ją prześladowały, dogadując jej przy każdej okazji, gdy nie słyszeli nauczyciele, aż stała się dosłownie duchem w domu Rasy, ukrywając się do chwili rozpoczęcia zajęć i uciekając w zacisze zaraz po nich, unikając posiłków i wszystkich przyjęć oraz zabaw, aż Kokor i Sevet w końcu wyszły za mąż w niemiłosiernie młodym wieku — odpowiednio w wieku czternastu i piętnastu lat — i wyprowadziły się z domu. Już wtedy Sevet była znaną pieśniarką i jej ćwiczenia głosu — oraz ćwiczenia Kokor — rozbrzmiewały w domu niczym ptasi śpiew. Ani Sevet, ani Kokor nie wniosły jednak prawdziwej muzyki do domu Rasy. Raczej muzyka powróciła, kiedy wreszcie odeszły. Hushidh jednak nadal zachowywała się cicho oraz nieśmiało w obecności wszystkich z wyjątkiem Luet. Tak więc Hushidh oczywiście reagowała żywiej, kiedy córki Rasy odgrywały jakąś pełną goryczy tragedię. Luet przejmowała się tym tylko dlatego, że zasmucało to ciocię Rasę.

— Shuya, ta cała sprawa to tylko skandal. Co ludzie mówią o tym żołnierzu? I o śmierci Gaballufixa?

Hushidh spuściła wzrok. Wiedziała, że Luet w sumie besztają za to, że niesłusznie przyznaje pierwszeństwo błahostkom; przyjęła jednak naganę i się nie broniła.

— Mówią, że Smelost od samego początku współpracował z Nafaiem. Rashgallivak domaga się, żeby rada zbadala, kto pomógł Smelostowi uciec z miasta, mimo że nie było na niego nakazu aresztowania, kiedy zniknął. Rasa próbuje oddać straż miejską pod kuratelę Palwashantu. Sytuacja jest bardzo nieprzyjemna.

— A co, jeżeli ciocię Rasę zaaresztują jako współniczkę Smelosta? — zapytała Luet.

— Za współdział w czym? — odpowiedziała pytaniem Hushidh. Teraz Hushidh była interpretatorką, mówiącą na temat miasta Basilika, a nie uczennicą, opowiadającą brzydką historię o swoich dręczycielach. Luet z radością powitała tę odmianę, nawet jeśli to oznaczało, że Hushidh zachowuje się tak bezpośrednio, ponieważ jest zdumiona brakiem wnikliwości Luet. — Myślisz, że do jakiego stopnia ludzie są obłąkani? Rashgallivak może próbować ich wzburzyć, ale nie jest Gaballufixem — nie jest na tyle charyzmatyczny, by na dłużej przyciągnąć do siebie ludzi. Ciocia Rasa przeciwstawi mu się przed radą, a potem zadziała jeszcze energiczniej.

— Tak, chyba tak — przyznała Luet. — Ale Gaballufix miał tylu żołnierzy, a teraz wszyscy oni są pod komendą Rashgallivaka...

— Rash nie jest zbyt dobrze ustosunkowany — wyjaśniła Hushidh. — Ludzie zawsze go lubili i szanowali, ale tylko jako służącego — konkretnie mówiąc, służącego Wetchika — i jest mało prawdopodobne, by tak od razu dali mu pełnoprawną godność Wetchika, nie mówiąc już o szacunku, jakim obdarzono Gaballufixa jako przywódcę Palwashantu. Nie posiada nawet w połowie takiej władzy, jak mu się wydaje — ma jej jednak dość, by narobić kłopotu, i jest to bardzo niepokojące.

Luet w końcu przebudziła się do reszty i zeszła z łóżka. Przypomniała sobie, że jest coś, o czym musi siostrze powiedzieć.

— Śniłam — oznajmiła.

— Już to powiedziałaś — odparła Hushidh, a potem uświadomiła sobie, co to oznacza. — Och, trochę późno, nie sądzisz?

— Nie o Smeloście. O czymś... bardzo dziwnym. A jednak wydawało się to ważniejsze od wszystkiego, co się wokół nas dzieje.

— Prawdziwy sen? — zapytała Hushidh.

— Nigdy nie jestem p e w n a, ale tak myślę. Pamiętam go tak wyraźnie, że musi pochodzić od Nadduszy.

— Opowiedz mi, kiedy będziemy szły na śniadanie. Już prawie południe, ale ciocia Rasa kazała

kucharcze nakarmić nas bez szemrania, ponieważ późno poszłyśmy spać.

Luet naciągnęła sukienkę przez głowę, wślizgnęła się w sandały i zeszła za Hushidh po schodach do kuchni.

— Śniłam o lecących aniołach.

— Aniołach! I cóż to ma oznaczać poza tym, że we śnie jesteś przesądna?

— Nie wyglądały jak obrazki w książce dla dzieci, jeśli o to ci chodzi. Nie, bardziej przypominały duże i pełne wdzięku ptaki. Właściwie nietoperze, ponieważ miały futro. Miały jednak bardzo inteligentne i wyraziste twarze, i we śnie jakimś cudem wiedziałam, że to anioły.

— Naddusza nie potrzebuje aniołów. Naddusza przemawia bezpośrednio do umysłu każdej kobiety.

— I mężczyzny, tylko że już prawie nikt nie słucha, tak jak ty nie słuchasz m n i e, Shuya. Czy mam ci opowiedzieć sen, czy po prostu zjeść chleb z miodem i śmietanką i dojść do wniosku, że Naddusza nie ma do powiedzenia nic, co by cię mogło zainteresować?

— Wobec mnie nie zachowuj się paskudnie, Luet. Dla wszystkich innych możesz sobie być cudowną wodną wieszczką, ale kiedy zachowujesz się tak niegrzecznie, jesteś tylko moją małą, głupią siostrunią.

Kucharka spojrzała na nie groźnie.

— Staram się, żeby w kuchni panował nastrój pogodny i harmonijny — powiedziała.

Zmieszane, wzięły od niej gorący chleb i usiadły przy stole, gdzie już czekał na nie dzbanek ze śmietanką i słoik miodu. Hushidh jak zawsze pokruszyła chleb do półmiska i załała go śmietanką oraz miodem; Luet jak zawsze posmarowała chleb grubą warstwą miodu i zjadła go oddzielnie, popijając czystą śmietanką z półmiska. Obie udawały, że nie podoba im się sposób, w jaki druga je.

— To suche jak kurz — szepnęła Hushidh.

— Wodniste i szlamowate — odrzekła Luet. Obie roześmiały się w głos.

— Już znacznie lepiej — stwierdziła kucharka. — Obie powinnyście być na tyle mądre, by się nie klócić.

— Twój sen — powiedziała z pełnymi ustami Hushidh.

— Anioły — odparła Luet.

— Tak, latające. Włochate, jak tłuste nietoperze. Usłyszałam cię za pierwszym razem.

— Nie tłuste.

— W każdym razie nietoperze.

— Pełne wdzięku — powiedziała Luet. — Wzlatywały. A potem ja stałam się jednym z nich, bez przerwy fruwałam. To było takie piękne i pełne spokoju. A potem zobaczyłam rzekę i sfrunęłam do niej, i na brzegu wzięłam glinę i ulepiłam figurkę.

— Anioły bawiące się w błocie?

— To wcale nie dziwniejsze od nietoperzy lepiących figurki — odcięła się Luet. — A poza tym, mleko spływa ci po brodzie.

— No cóż, masz miód na czubku nosa.

— No cóż, masz z przodu głowy wielką, paskudną narośl... och nie, to twoja...

— Twarz, wiem. Dokończ sen.

— Rozmięczyłam glinę, wkładając ją sobie do ust, tak iż gdy — jako anioł, rozumiesz — zrobiłam figurkę, było w niej coś ze mnie. Sądzę, że to bardzo znaczące.

— Och, c a ł k i e m symboliczne, tak. — Hushidh mówiła z rozbawieniem, ale Luet wiedziała, że siostra słucha uważnie.

— I figurki nie przedstawiały ani ludzi, ani aniołów, ani nic innego. Czasami miały twarze, ale nie były portretami ani nawet żadnymi przedmiotami. Figurki po prostu przybierały taki kształt, jaki nam był potrzebny. Nie było dwóch takich samych, a jednak wiedziałam, że w tym

momencie lepiąca przeze mnie figurka jest jedyną możliwą, którą mogłam zrobić. Czy to ma sens?

— To sen, nie musi mieć sensu.

— Ale jeśli to prawdziwy sen, to m u s i mieć sens.

— W każdym razie na końcu — podsumowała Hushidh. Potem podniosła kolejną łyżkę papkowatego chleba z mlekiem do ust.

— Kiedy skończyliśmy — kontynuowała Luet — zanieśliśmy je na wysoki głąz i zostawiliśmy na słońcu, żeby wyschły, a potem fruwałam bez przerwy i wszyscy patrzyli na figurki innych. Potem anioły odleciały i teraz już nie byłam z nimi, nie byłam aniołem, tylko zwyczajnie tam byłam i obserwowałam głązy, na których stały figurki, a słońce zaszło i w ciemności...

— Widziałas w ciemności?

— W moim śnie widziałam — odparła Luet. — Tak czy owak, w nocy przyszły te olbrzymie szczury, wszystkie wzięły po figurce i zniosły je do nor w ziemi, do głębokich jam i leży, i każdy szczur, który ukradł figurkę, dał ją innemu, a potem razem ją gryzły i naśliniły, i pocierały się nią na całym ciele. Nasmarowały się gliną. Byłam taka rozgniewana, Hushidh. To były takie piękne figurki, a szczury je zniszczyły, zamieniły z powrotem w błoto i wcierały je — nawet w genitalia, wszędzie.

— Miłośnicy piękna — stwierdziła Hushidh.

— Mówię poważnie. Aż serce mi się krajało.

— A więc co to oznacza? — zapytała Hushidh. — Kogo reprezentują anioły i kim są szczury?

— Nie wiem. Kiedy Naddusza zsyła sen, znaczenie jest zazwyczaj oczywiste.

— Może więc to był zwyczajny sen.

— Nie sądzę. Był taki odmienny i wyraźny, i pamiętam go tak dobrze. Shuya, myślę, że to mógł być najważniejszy sen, jaki kiedykolwiek miałam.

— Szkoda, że nikt nie może go zrozumieć. Może to jedna z tych przepowiedni, które wszyscy rozumieją, gdy się spełni i jest już za późno, żeby cokolwiek zrobić.

— Może potrafi go zinterpretować ciocia Rasa. Na twarzy Hushidh pojawił się wyraz sceptycyzmu.

— W tej chwili nie jest w najlepszej formie.

Luet w duchu odczuła ulgę, że nie jest jedyną osobą, która zauważyła, iż ciocia Rasa nie podejmuje w tej chwili najlepszych decyzji w swoim życiu.

— Zatem może jej nie powiem.

Nagle Hushidh przybrała na twarz swój powściągliwy uśmiezek, który pokazywał, że dziewczyna jest naprawdę zadowolona z siebie.

— Chcesz usłyszeć moje domysły? — zapytała.

Luet skinęła głową i zaszuchawszy się, zaczęła gryźć olbrzymie kęsy od dawna ignorowanego chleba.

— Anioły to kobiety z Basiliki — wyjaśniła Hushidh. — Przez te wszystkie tysiąclecia tutaj w tym mieście utworzyliśmy społeczeństwo, które jest delikatne i wspaniałe, i włożyliśmy w nie cząstkę siebie, tak jak nietoperze w twoim śnie zrobiły ze śliny figurki. Teraz czekamy, żeby nasze dzieło wyschło, a w ciemności nasi wrogowie zamierzają przyjść i ukraść to, co stworzyliśmy. Są jednak tacy głupi, że nawet nie rozumieją, iż to figurki. Patrzą na nie i widzą jedynie bryły zaschniętego błota. Dlatego ślinią je i tarzają się w nim, i są tacy d u m n i, ponieważ mają wszystkie dzieła Basiliki, ale w rzeczywistości nie mają w ogóle n i c z e g o.

— To bardzo dobre wyjaśnienie — oświadczyła przejęta lękiem Luet.

— Ja też tak myślę — potwierdziła Hushidh.

— Kim zatem są nasi wrogowie?

— To proste — odparła Hushidh. — To mężczyźni.

— Nie, to z b y t proste — sprzeciwiła się Luet. — Mimo że jest to miasto kobiet, mężczyźni, którzy wstępują do Basiliki, w równym stopniu co kobiety przyczyniają się do tworzenia piękna, które jest naszym dziełem. Są częścią społeczności, nawet jeśli nie mogą mieć ziemi na własność czy pozostawać w mieście, nie będąc mężem jakiejś kobiety.

— Kiedy powiedziałaś: olbrzymie szczury, byłam pewna, że chodzi o mężczyzn.

Kucharka głośno zachichotała nad gulaszem, który przyrządzała na obiad.

— Chodzi o kogoś innego — upierała się Luet. — Może o Potokgavan.

— Może po prostu o ludzi Gaballufixa — zasugerowała Hushidh. — O tołczoków, a potem jego żołnierzy w tych strasznych maskach.

— A może chodzi o coś, co ma się dopiero wydarzyć

— powiedziała Luet, a potem dodała z rozpaczą: — A może o coś, co nie ma kompletnie nic wspólnego z Basiliką. Któż to wie? Ale taki był mój sen.

— Wcale nie mówi nam, dokąd powinniśmy wysłać Smelosta.

Luet wzruszyła ramionami.

— Może Naddusza pomyślała, że jesteśmy dość mądre, by same się tego domyślić.

— Czy miała rację? — zapytała Hushidh.

— Wątpię — odparła Luet. — Wysłanie go do Go—rayni było błędem.

— Nie umiem tego osądzić — stwierdziła Hushidh.

— Ale jedzenie suchego chleba to n a p e w n o błąd.

— Nie dla tych, którzy mają zęby — zripostowała Luet. — Nie musimy moczyć chleba, żeby był jadalny.

Doprowadziło to do udawanej sprzeczki, która zrobiła się niedorzeczna i taka hałaśliwa, że kucharka wyrzuciła je z kuchni — nie miały nic przeciwko temu, ponieważ i tak skończyły śniadanie. Dobrze się czuły, że przez kilka minut mogą się zachowywać jak dzieci, ponieważ wiedziały, że na dobre lub na złe obie będą wmieszane w wydarzenia, które wrzały w Basilice i jej okolicach. Nie znaczy to, że chciały być w nie wmieszane. Ich uzdolnienia jednak czyniły je ważnymi osobami dla miasta, dlatego zamierzały dołożyć wszelkich starań, by mu służyć.

Luet sumiennie poszła do rady miasta i opowiedziała swój sen, który został starannie zarejestrowany i przekazany mądrym kobietom, aby doszukały się w nich znaczeń i wróżb. Luet opowiedziała im, jak Hushidh go zinterpretowała, i podziękowali jej uprzejmie mówiąc, że doświadczanie snów jest bardzo łatwe — każde niedorozwinięte dziecko jest do tego zdolne — jednak do odkrycia znaczenia snu potrzebny jest prawdziwy ekspert.

KHLAM, RZECZYWISTOŚĆ

To była gorąca, sucha burza z północnego zachodu, co znaczyło, że przyszła z pustyni i nie było w niej ani odrobiny wilgoci, tylko piasek i żwir oraz, jak powiadano, starte kości ludzi i zwierząt, które zostały wylapane przez burzę w odległości tysiąca kilometrów, pył z ich ciał i, jeśli się dobrze wsłuchać, wycie ich dusz, kiedy wiatr je ustawicznie unosił ze sobą, nigdy ich nie puszczając ani do nieba, ani do piekła. Góry zablokowały największy impet burzy, lecz mimo to namioty armii Moozha drżały i chwiały się; klapy namiotów trzepotały, sztandary tańczyły opętańczo i od czasu do czasu któryś z nich wyskakiwał z ziemi i przewracał się, sunąc brudną, wydeptaną ścieżką między namiotami, a jakiś biedny żołnierz często próbował go dopaść.

Duży namiot Moozha również drżał na wietrze, mimo że był pobłogosławiony przez Imperatora. Błogosławieństwo było oczywiście w stu procentach skuteczne... Moozh jednak

upewnił się również, czy paliki są white mocno i głęboko. Siedział przy stole przy świetle świeczki, spoglądając tęsknie na rozłożoną przed sobą mapę. Pokazywała wszystkie ziemie wzdłuż zachodnich wybrzeży Morza Przyziemnego. Na północy ziemie Gorayni zaznaczono na czerwono — ziemie Imperatora, który był oczywiście wcieleniem Boga na Ziemi i dlatego miał prawo rządzić całą ludzkością itp., itd. Oczami wyobraźni Moozh prześledził nie zaznaczone granice narodów, które liczyły sobie co najmniej tyle lat co Gorayni, a niektóre z nich były znacznie starsze i szczyciły się wspaniałą historią — narodów, które teraz nie istniały, których nawet nie można było pamiętać, ponieważ wymawianie ich nazw oznaczało zdradę, a wyznaczanie ich dawnych granic na tej mapie groziło śmiercią.

Moozh jednak nie musiał wyznaczać granic. Znał granice swojej ojczyzny Pravo Gollossa, ziemi Sotchitsiya, jego własnego plemienia. Przeszli przez pustynię z północy tysiąc lat przed Gorayni, ale kiedyś pochodzili z tego samego ludu

i mówili tym samym językiem. Sotchitsiya osiedlili się jednak w urodzajnych, dobrze nawodnionych dolinach Gór Skrezhet, zaprzestali zarówno wędrówek, jak i wojen, i stali się narodem wolnych ludzi. Uczyli się od otaczających ich ludzi. Nie od Ploshudu, Khlami czy Izmennikoy, ponieważ ci byli twardymi góralami nie posiadającymi kultury, lecz głód, mięśnie i wolę przetrwania pomimo wszystkich przeciwności. Sotchitsiya, ludzie Pravo Gollossa, uczyli się raczej od kupców przybywających do nich z Seggidugu, Ulye i Miast Równiny. A przede wszystkim od członków karawan z Basiliki, którzy przybywali ze swoimi dziwnymi pieśniami i nasionami, wizerunkami w szkle i sprytnymi narzędziami, niewiarygodnymi tkaninami zmieniającymi kolor wraz z porą dnia, wierszami i opowieściami, które nauczyły Sotchitsiya, jak mówią, myślą, marzą i żyją mądrzy i wytworni ludzie.

To była chwała Pravo Gollossa, ponieważ to właśnie od tych karawanowych podróżników Sotchitsiya dowiedzieli się o idei rady, gdzie decyzje podejmowane są na podstawie głosów radnych, których wybierają obywatele. Ale również od tych karawanowych podróżników z Basiliki dowiedzieli się o mieście rządzonym przez kobiety, gdzie mężczyźni nie mogą nawet mieć ziemi na własność... a jednak Basilika nie upadła wskutek niekompetencji rządzących kobiet i mężczyźni nie buntowali się ani nie podbijali miasta, a kobiety mogły nie tylko głosować, lecz również rozwodzić się ze swoimi mężami na koniec każdego roku i poślubić kogoś innego, jeśli tak chciały. Stały napór tych idei osłabił naród Sotchitsiya i przemienił niegdyś silnych wojowników oraz władców plemienia w zniewieściałych głupców, tak iż w czasach pradziadków Moozha oddali głos kobietom i zdecydowali, że kobiety mają nimi rządzić.

To właśnie wtedy przyszli Gorayni, gdyż wiedzieli, że Sotchitsiya w końcu zbabieli i tym samym nie byli już godni wolności. Gorayni sprowadzili swoją wielką armię pod granicę i kobiety z rady — tylu mężczyzn co kobiet, tym niemniej z charakteru same kobiety — głosowały, żeby nie walczyć, lecz raczej zgodzić się na zwierzchnictwo Gorayni, jeśli Gorayni pozwolą im się rządzić we wszystkich sprawach oprócz kwestii militarnych. Była to niewymowna kapitulacja, ostateczna kastracja Sotchitsiya, ich poniżenie przed całym światem, a na dodatek pradziadek Moozha był delegatem, który uzgadniał warunki ich kapitulacji z Gorayni.

Umowa przetrwała przez pięćdziesiąt lat — Sotchitsiya rządzili sobą. Stopniowo jednak władze wojskowe Gorayni zaczęły ogłaszać, że coraz więcej spraw Sotchitsiya zalicza się do kategorii wojskowych, aż wreszcie rada stała się jedynie zgrają przestraszonych starych kobiet i mężczyzn, którzy musieli wnosić petycję do Imperatora o pozwolenie, żeby się wysiusiać. Dopiero wtedy Sotchitsiya przypomnieli sobie o swojej męskości. Wyrzucili kobiety, które nimi rządziły, i ogłosili, że znów są plemieniem, pustynnymi wędrowcami, i poprzysięgli, że będą walczyć z Gorayni do ostatniego człowieka. Trzy dni zabrało Gorayni pokonanie tych dzielnych, lecz niewyszkolonych buntowników na polu walki i kolejny rok wytopienie i wybicie ich wszystkich

w górach. Potem nie stwarzano już żadnych pozorów, że Sotchitsiya mają w ogóle jakieś prawa. Zakazano mówienia dialektem Sotchitsiya; dzieci, które go słyszały, miały przywilej oglądania, jak ich rodzicom obcina się język, po centymetrze za każde przewinienie. Już tylko niewielu Sotchitsiya pamiętało własną mowę, większość z nich była stara, a wielu z nich nie miało języków.

Moozh jednak wiedział. Moozh miał język Sotchitsiya w sercu. Mimo że odnosił największe sukcesy i był najbardziej niebezpiecznym generałem Imperatora, w głębi serca wiedział, że jego prawdziwym językiem jest Sotchitsiya, a nie Gorayni. I mimo że dzięki jego licznym zwycięstwom w walce wielkie przybrzeżne narody Uslavat i Ulye zostały przyłączone do dominium Imperatora, mimo że dzięki jego sprytniej strategii królestwa ciernistych gór Plosh i Khlam zmuszono bez walki do posłuszeństwa, tajemnica Moozh polegała na tym, że czuł odrazę do Imperatora i w głębi serca był mu przeciwny.

Generał wiedział, że Imperator naprawdę jest Bogiem w ludzkim ciele, ponieważ Moozh lepiej niż większość ludzi czuł siłę Boga próbującego nim kierować. Po raz pierwszy poczuł to w młodości, kiedy szukał miejsca w armii Gorayni. Bóg nie przemówił do niego, kiedy Moozh nauczył się być silnym żołnierzem, wyrabiając sobie mięśnie ramion i ud tak, że potrafił sieknąć wroga toporem w kręgosłup i rozciąć na pół. Kiedy jednak Moozh wyobrażał się sobie jako oficer, jako generał, który prowadzi armie, przychodziło to ciężkie uczucie otępienia, które sprawiało, że chciał zapomnieć o takich marzeniach. Moozh zrozumiał — Bóg wiedział o jego nienawiści do Imperatora i dlatego postanowił, że ktoś taki jak Moozh nie będzie miał nigdy innej mocy poza siłą własnych ramion.

Moozh jednak nie chciał skapitulować. Gdy tylko wyczuł, że Bóg próbuje go zmusić do zapomnienia jakiejś idei, przywierał do niej — zapisywał ją i zapamiętywał, układał z niej wiersz w języku Sotchitsiya, aby nigdy nie zapomnieć. Tym samym po trochu stworzył w swoim sercu własne zasady wojny, prowadzony na każdym kroku przez Boga, gdyż to, od czego Bóg próbował go odwieść, było tym, o czym w swoim przekonaniu musiał myśleć, głęboko i rzetelnie.

To właśnie ten potajemny sprzeciw wobec Boga wyniósł Moozha ponad zwykłe szeregi i uczynił z niego kapitana, kiedy jego pułk znalazł się w niebezpieczeństwie klęski ze strony piratów z Revis. Wszyscy pozostali oficerowie zginęli, jednak kiedy Moozh pomyślał o przejęciu dowództwa i poprowadzeniu garstki skupionych wokół niego ludzi do kontrataku przeciw flance niekontrolowanych, zwycięskich Reviti, poczuł to otępienie umysłu, które zawsze mu mówiło, że Bóg nie chce, aby podążał za tą ideą. Tak więc zagłuszył głos Boga i poprowadził swoich ludzi do ryzykanckiego ataku, który tak przeraził piratów, że rozpierzchli się i uciekli, a reszta żołnierzy Gorayni nabrała otuchy i poszła za Moozhem w pełnym zapału pościgu za nimi, aż wyłapali ich na brzegu rzeki i wybili do nogi, po czym spalili ich statki. Przyprowadzili Moozha triumfalnie do samego miasta Gollod, gdzie Imperator wtarł w jego włosy masło z wielbłądziejego mleka i ogłosił go bohaterem Gorayni. W głębi serca Moozh jednak wiedział, że Bóg bez wątplenia zaplanował, by jakiś lojalny syn Gorayni okrył się zwycięstwem. Cóż, pechowo dla Imperatora — jeśli wcielenie Boga nie rozumiało, że dopiero co nasmarowało włosy swojego wroga, to tym gorzej dla niego.

Krok po kroku Moozh awansował w wojsku, aż teraz dowodził olbrzymią armią. Większość jego żołnierzy stacjonowała teraz w Ulye, to prawda, gdyż Imperator rozkazał, żeby opóźnili atak na Nakavalnu, dopóki pogoda nie poprawi się za miesiąc, kiedy z pozytywnym skutkiem będzie można wykorzystać rydwany. Tutaj, w Khlam, miał tylko pułk, lecz to było wszystko, czego potrzebował. Krok po kroku poprowadzi Gorayni naprzód, podbijając naród za narodem wzdłuż wybrzeża, aż wszystkie miasta padną. Wtedy stawi czoła armiom Potokgavana.

A co potem? Czasami Moozh myślał, że się zemści, aranżując całkowitą i sromotną klęskę armii Gorayni. Zbierze całą ich militarną potęgę w jednym miejscu, a potem pozwoli, by ich

wszystkich zarżnięto, razem z nim. Wtedy, po złamaniu Gorayni i zawładnięciu całą równiną przez Potokgavan — Sotchitsiya powstaną i dopomną się o swoją wolność.

Jednak innymi razy Moozh wyobrażał sobie, że zniszczy armię Potokgavana, tak aby wzdłuż całego zachodniego wybrzeża Morza Przyziemnego nie było rywala, który by kwestionował supremację Gorayni. Wówczas stanie przed Imperatorem i kiedy ten wyciągnie rękę, żeby wetrzeć masło z wielbłądniego mleka w jego włosy, Moozh utnie mu nożem głowę, a potem weźmie czapkę z wielbłądziej skóry, nałoży ją na swoją głowę i ogłosi, że imperium, które zostało zdobyte przez członka Sotchitsiya, będzie teraz rządzone przez Sotchitsiya. O n będzie Imperatorem, a zamiast być wcieleniem Boga będzie jego wrogiem i Sotchitsiya będą znani jako najwspanialsii ludzie, i już nigdy nie będą narodem kobiet.

Takie były jego myśli, kiedy studiował mapę, podczas gdy burza ciskała piaskiem w jego namiot i usiłowała go wyrwać z podłoża.

Nagle zdwoił czujność. Odgłos się zmienił. Już nie był to tylko wiatr; ktoś drapał w poszycie jego namiotu. Któż byłby taki głupi, by włóczyć się w taką pogodę? Poczul nagle dżgnięcie strachu — czy mógł to być zamachowiec wysłany przez Imperatora, aby powstrzymać go przed zdradą, o której Bóg na pewno wiedział?

Kiedy jednak odwiązał klapę namiotu i ją odsunął, nie było żadnego skrytobójcy przybywającego wraz z przywiewanym piaskiem i gorącym wiatrem. Zamiast tego zjawił się Plod, jego drogi przyjaciel i towarzysz broni, który przyszedł z jakimś człowiekiem, obcym, odzianym w wojskowy ubiór, którego Moozh nie rozpoznał.

Sam Plod zapiął z powrotem namiot — nie godziło się, by robił to Moozh, gdy obecny był młodszy oficer, który mógł to za niego zrobić. Tak więc Moozh miał trochę czasu, by przyjrzeć się obcemu. To nie był prawdziwy żołnierz — jego naszywka była solidna, szpada ostra, ubranie wspaniałe i zachowywał się jak mężczyzna, ale jego skóra wyglądała na delikatną, a mięśniom brakowało twardości mężczyzny, który dzierżył miecz w walce. Należał do żołnierzy, którzy stoją na straży pałacu lub płatnej drogi, terroryzują zwykłych ludzi, lecz nigdy nie muszą stawiać czoła hordom wrogów, nigdy nie muszą biegać za rydwanem, tnąc na śmierć wszystkich, którzy uciekli ostrzom obracającym się na piastach kół rydwanów.

— Jakiej bramy strzeżesz? — zapytał Moozh.

Mężczyzna wydawał się zaskoczony i spojrzał na Ploda.

Plod tylko się roześmiał.

— Nikt mu nic nie powiedział, biedaczek. Czy myślałeś, że możesz stanąć przed generałem Vozmuzhalnoyem Vozmozhno i coś przed nim ukryć?

— Nazywam się Smelost — powiedział chucherkowaty żołnierz — i przynoszę list od lady Rasy z Basiliki.

Wymówił to imię, jakby Moozh powinien je znać. Tacy właśnie byli ci ludzie z miasta, myśleli, że sława w ich mieście musi oznaczać sławę na całym świecie.

Moozh wyciągnął rękę i wziął od niego list. Oczywiście nie napisano go blokowym alfabetem Gorayni — który ukradli Sotchitsiya przed wieloma wiekami. Był napisany kwiecistą pionową kursywą charakterystyczną dla Basiliki. Moozh był jednak wykształconym człowiekiem. Potrafił go z łatwością odczytać.

— Wygląda na to, że ten człowiek jest naszym przyjacielem, drogi Płodzie — oznajmił Moozh.

— Nie jest bezpieczny w Basilice, ponieważ pomógł uciec skrytobójcy. Lecz ten skrytobójca był także naszym przyjacielem, bo zabił człowieka o nazwisku Gaballufix, który był za zawarciem przez Basilikę sojuszu z Potokgavanem i poprowadzeniem Miast Równiny na wojnę przeciwko nam.

— Ach — powiedział Plod.

— Pomyśleć tylko, że nigdy nie domyśliłiśmy się, ilu mamy drogich i czułych przyjaciół w Basilice — podsumował Moozh.

Plod parsknął śmiechem.

Smelost wyglądał na bardzo skrępowanego.

— Usiądź — powiedział Moozh. — Jesteś wśród przyjaciół. Teraz nie stanie ci się żadna krzywda. Przynieś mu jakieś piwo, dobrze, Plod? Może jest zwykłym żołnierzem, ale przynosi nam list od wspaniałej damy, która kocha i troszczy się o Imperatora.

Plod odpiął flaszkę od tylnej żerdzi namiotu i podał ją Smelostowi, który spojrzał na nią z zaintrygowaniem.

Moozh roześmiał się i wziął flaszkę z rąk Smelosta, pokazując mu, jak ją wesprzeć na ramieniu, przechylić i pozwolić, by strumień piwa spłynął do ust.

— W tej armii nie ma wykwinnych szklanic, mój przyjacielu. Teraz nie jesteś wśród dam z Basiliki.

— Wiem o tym — odezwał się Smelost.

— Ten list jest taki tajemniczy, mój przyjacielu — powiedział Moozh. — Z pewnością możesz nam powiedzieć coś więcej.

— Obawiam się, że niewiele — odrzekł Smelost, biorąc łyk piwa. Było znacznie słodsze od normalnego i Moozh dostrzegł, że nie za bardzo przypadło Smelostowi do gustu. Cóż, to nie miało większego znaczenia, o ile Smelost połknął dość ukrytego w nim narkotyku, by mówić bez skrępowania. — Opuściłem miasto, zanim sytuacja się wyjaśniła. — Oczywiście kłamał myśląc, że nie powinien mówić więcej, niż powiedziała lady Rasa.

Wkrótce jednak Smelost przezwyciężył swoją powściągliwość i powiedział Moozhowi znacznie więcej, niż zamierzał. Moozh jednak starał się udawać, że większość z tego już wie, tak aby Smelost nie miał uczucia, iż zdradził jakiekolwiek tajemnice, kiedy przypomni sobie rozmowę i to, ile wygadał.

Najwyraźniej w Basilice panowało obecnie spore zamieszanie, ale te fragmenty obrazu sytuacji, które liczyły się dla Moozha, były bardzo wyraźne. Dwie partie — jedna za sojuszem z Potokgavanem, druga przeciwko niemu — walczyły o władzę nad miastem. Teraz przywódcy obu partii nie żyli, zamordowani jednej nocy — prawdopodobnie przez tego samego skrytobójcę, lecz Smelost był innego zdania. Oskarżenia o morderstwo padały pod adresem najróżniejszych ludzi; słaby człowiek kierował teraz jedną grupą wynajętych żołnierzy, którzy włóczyli się samowolnie po ulicach, natomiast na oficjalną straż miasta padło podejrzenie, ponieważ ten człowiek, Smelost, pozwolił dwa dni wcześniej wykraść się podejrzanemu skrytobójcy z miasta.

— Czegóż mielibyśmy się spodziewać po mieście kobiet? — stwierdził Moozh po usłyszeniu całej historii. — Oczywiście, że panuje tam zamieszanie. Kobiety zawsze tracą głowę, kiedy zaczyna się przemoc.

Smelost spojrzał na niego ostrożnie. To właśnie była zaleta narkotyku, który mu podał Plod — ofiara wierzyła, że jest nadal sprytna i przebiegła, nawet gdy zwierzała się na każdy temat. Moozh oczywiście już dawno uodpornił się na działanie narkotyku i dlatego nie miał najmniejszych skrupułów, biorąc łyk piwa z tej samej flaszki. Był również pewien, że Plod nie ma pojęcia, iż Moozh jest uodporniony. Niejednokrotnie podejrzewał, że Plod dosypywał mu narkotyku i wówczas zawsze specjalnie wyjawiał kilka tajemnic, które były nieszkodliwe, lecz sprawiały wrażenie niedyskrecji — zazwyczaj swoje osobiste opinie na temat kilku innych oficerów. Nigdy nic obciążającego. Tylko tyle, by Plod myślał, że narkotyk zadziałał.

— Och, wiesz, o co mi chodzi — dodał Moozh. — Nie mam nic przeciwko kobietom, ale nie mogą nic poradzić na swoją biologię, prawda? Takie już są: kiedy zaczyna się przemoc, muszą pędzić do mężczyzny, by je ochronił, inaczej są zagubione, nie sądzisz?

Smelost uśmiechnął się słabo.

— Zatem nie zna pan kobiet z Basiliki.

— Ależ znam — zaprotestował Moozh. — Znam wszystkie kobiety, a tych, których nie znam, zna Plod. Mam rację, Plod?

— O tak — przyznał z uśmiechem Plod.

Smelost patrzył przez chwilę groźnym wzrokiem, lecz nic nie powiedział.

— Kobiety w Basilice są teraz przestraszone, prawda? Są przestraszone i działają pochopnie. Nie podobają im się biegający po ulicach żołnierze. Boją się, co się stanie, jeśli nie znajdzie się silny mężczyzna, który nad nimi zapanuje. W równym stopniu boją się jednak, co się stanie, jeśli p o — j a w i się taki mężczyzna. Kto wie, jak się potoczą wypadki, gdy zaczną się przemoc? Na ulicach Basiliki połała się krew. Jak mawiamy w Gollodzie, głowa mężczyzny posmakowała ulicznego pyłu obiema połowami szyi. W sercu każdej kobiety w Basilice czai się strach i ty o tym wiesz.

Smelost wzruszył ramionami.

— Oczywiście, że się boją. Któż by się nie bał?

— Mężczyzna — odparł Moozh. — Mężczyzna wyczułby okazję. Mężczyzna powiedziałby: „Gdy inni się boją, każdy odważny mówca ma szansę objąć dowództwo. Każdy, kto umie podjąć decyzję, kto działa, może stać się władzą, nadzieją zrozpaczonych, siłą słabych, duszą załamanych. Mężczyzna by d z i a ł a ł .

— Działal — zawtórował Smelost.

— Działal o d w a ż n i e — dodał Plod.

— A jednak... przyszedłeś do nas z listem od kobiety, która błaga o ochronę. — Moozh uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Smelost od razu usiłował się bronić.

— Czy miałem stanąć przed sądem za uczynek, który w moim przekonaniu był słuszny?

— Oczywiście, że nie. Jak to — być sądzonym przez kobiety? — Moozh spojrzał na Ploda i parsknął śmiechem; Plod poszedł za jego przykładem. — Za to, że postąpiłeś tak, jak mężczyzna musi postępować: śmiało, z odwagą? Nie, za t o nie powinieneś stawiać przed sądem.

— Przyszedłem więc tutaj — powiedział Smelost.

— Po ochronę. Abyś t y mógł być bezpieczny, podczas gdy twoje miasto żyje w strachu.

Smelost wstał.

— Nie przyszedłem tu, żeby mnie obrażano.

W jednej chwili ostrze Ploda znalazło się przy gardle Smelosta.

— Kiedy generał Imperatora siedzi, wszyscy siedzą, albo są traktowani jako zamachowcy.

Smelost ostrożnie usiadł z powrotem.

— Wybacz mojemu najdroższemu przyjacielowi Płodowi — przeprosił Moozh. — Wiem, że nie miałeś złych zamiarów. Przecież przyszedłeś do n a s, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, a nie wszczynać wojny! — Moozh wybuchnął śmiechem, przez cały czas patrząc Smelostowi w oczy, aż strażnik z Basiliki też się zmusił do śmiechu.

Smelostowi wyraźnie się to nie podobało — że jest zmuszony śmiać się z siebie za to, że szuka ochrony zamiast postępować jak mężczyzna.

— Być może jednak źle cię zrozumiałem — powiedział Moozh. — Być może nie przyszedłeś tu, jak napisano w liście, tylko dla siebie. Może masz jakiś plan, znasz jakiś sposób, by pomóc swojemu miastu, jakiś podstęp, dzięki któremu możesz rozproszyć obawy kobiet w Basilice i uchronić je od grożącego im chaosu.

— Nie mam żadnego planu — odrzekł Smelost.

— Ach — powiedział Moozh. — A może jeszcze nam nie ufasz na tyle, by go zdradzić. —

Moozh zrobił smutną minę. — Rozumiem. Jesteśmy obcy, a w grę wchodzi twoje miasto, miasto, które kochasz nad życie. Zresztą to, o co musiałbyś nas prosić, to znacznie więcej od tego, o co zwykły żołnierz ośmieliłby się prosić generała Gorayni. Nie będę więc teraz cię naciskał. Odejdź; Plod zaprowadzi cię do namiotu, gdzie możesz się napić i przespać, a kiedy ta burza ucichnie, możesz się wykąpać i coś zjeść. Być może wtedy nabierzesz do mnie dość zaufania, by mi powiedzieć, co chcesz, abyśmy zrobili, żeby uchronić twoje piękne i ukochane miasto od anarchii.

Gdy tylko Moozh skończył mówić, dał nieznaczny sygnał ręką, po czym oparł się łokciem na poręcz fotela udając, że jest trochę zasmucony niechęcią Smelosta do współpracy. Plod oczywiście wychwycił sygnał i niezwłocznie wyprowadził w pośpiechu Smelosta z namiotu z powrotem w zawieruchę.

Po ich wyjściu Moozh zerwał się na nogi i pochylił nad stołem, studiując mapę. Basilika — położona tak daleko na południu, lecz w najwyższej partii gór, tuż przy pustyni, tak iż istniała możliwość przedostania się tam przez góry. W dwa dni, gdyby zabrał ze sobą tylko kilkuset ludzi i ostro ich pogonił. Dwa dni i z łatwością mógłby zdobyć największe miasto Południowego Wybrzeża, miasto, którego język stał się dzięki karawanowym wędrowcom żargonem handlowym wszystkich miast i narodów od Potokgavana po Gorayni. Nieważne, że Basilika miała nic nie znaczącą armię. Liczyło się to, jak ją ocenia Miasta Równiny — i Potokgavan. Oni nie będą wiedzieć, jak nieliczna i słaba jest armia Gorayni. Będą jedynie wiedzieć, że wielki generał Vozmuzhalnoy Vozmozhno zdobył nad nimi niepostrzeżenie przewagę, podbił legendarne i tajemnicze miasto i teraz, zamiast stacjonować sto pięćdziesiąt kilometrów na północ, za Seggidugu, mający groźnie nad nimi, może z wieżyc Basiliki obserwować ich każdy ruch.

Byłby to druzgocący cios. Wiedząc, że Vozmuzhalnoy Vozmozhno będzie obserwował przybycie ich floty i będzie miał masę czasu, by sprowadzić swoich ludzi z Basiliki i wyróżnić ich armię podczas prób zejścia na brzeg, Potok—gavan nie odważy się wysłać ekspedycyjnych sił do Miast Równiny. A jeżeli chodzi o same miasta, poddadzą się jedno po drugim i wkrótce Seggidugu stwierdzi, że jest obleżone i nie ma nadziei na pomoc Potokgavana. Zawrą pokój na każdych warunkach, jakie zdołają uzyskać. Prawdopodobnie obędzie się nawet bez walki — całkowite zwycięstwo bez żadnych kosztów, a to wszystko dlatego, że Basilika pogrążona jest w chaosie i ten żołnierz przyszedł powiedzieć Voz—muzhalnoyowi Vozmozhno o jego wspaniałej okazji.

Kłapa namiotu została ponownie odsłonięta i wszedł Plod.

— Burza słabnie — oznajmił.

— Bardzo dobrze — ucieszył się Moozh.

— Co to wszystko miało znaczyć? — zapytał Plod.

— Co?

— Te bzdury, które opowiadałeś temu basilikańskiemu żołnierzowi.

Moozh nie rozumiał, o czym Plod mówi. Basilikański żołnierz? Nigdy w życiu nie widział basilikańskiego żołnierza.

Plod jednak spojrzał na jedno z krzeseł i teraz Moozh przypomniał sobie niewyraźnie, że niedawno ktoś na nim siedział. Ktoś... basilikański żołnierz? To byłoby ważne — jak mógł zapomnieć?

„Nie zapomniałem”, pomyślał Moozh. „Nie zapomniałem. Bóg przemówił, Bóg usiłował mnie ogłupić, ale ja się na to nie zgadzam. Nie dam się zmusić do posłuszeństwa”.

— Jak ty oceniasz sytuację? — zapytał. Niekorzystnie by było, gdyby Plod pomyślał, że Moozh jest zdezorientowany lub zapominalski.

— Basilika jest daleko stąd — odparł Plod. — Możemy udzielić temu człowiekowi azylu, zabić go lub odesłać z powrotem, to nie ma większego znaczenia. Czym dla nas jest Basilika?

„Biedny głupiec”, pomyślał Moozh. „Dlatego jesteś tylko drogim przyjacielem generała, a nie

samym generałem, choć wiem, że chciałbyś nim być”. Moozh wiedział, czym jest Basilika. To było miasto kobiet, których wpływ doprowadził do kastracji jego przodków i kosztował ich wolność oraz honor. Była to również wielka cytadela usytuowana nad Miastami Równiny. Gdyby Moozh ją zdobył, nie musiałby wcale walczyć — jego wrogowie padliby przed nim na kolana. Czy właśnie taki był jego wcześniejszy plan, ten, który Bóg usiłował usunąć z jego pamięci?

— Zanotuj to — rozkazał Moozh.

Plod wyjął komputer i zaczął przyciskać klawisze, żeby zapisać słowa Moozha.

— Ten, który jest panem Basiliki, jest panem Miast Równiny.

— Ale Moozh, Basilika nigdy nie próbowała zdobyć władzy nad tymi miastami.

— Ponieważ jest miastem kobiet — odparł Moozh. — Gdyby rządził nią mężczyzna z armią, sprawa wyglądałaby inaczej.

— Nigdy nie zdołalibyśmy tam dotrzeć, by ją podbić — powiedział Plod. — Między nami i Basiliką leży cała kraina Seggidugu.

Moozh spojrzał na mapę i przypomniał sobie kolejną część planu.

— Marsz przez pustynię.

— W okresie zachodnich burz! — wykrzyknął Plod. — Żołnierze odmówiliby wykonania rozkazu!

— Góry dają schronienie. Jest mnóstwo górskich dróg.

— Nie dla armii — skontrował Plod.

— Nie dla dużej armii — sprostował Moozh, dopracowując równocześnie szczegóły planu.

— Mając tylko tylu żołnierzy, ilu mógłbyś tam przeprowadzić, nigdy nie zdołałbyś utrzymać Basi liki przed naporem Potokgavana — powiedział Plod.

Moozh przyglądał się mapie trochę dłużej.

— Ale Potokgavan nigdy tam nie przyjdzie, jeśli Basilika będzie już w naszych rękach. Oni nie będą znać liczebności naszej armii, ale będą wiedzieć, że widzimy stamtąd całe wybrzeże. Czy odważyliby się sprowadzić flotę wiedząc, że możemy ich dostrzec z daleka i przywitać na brzegu, aby zniszczyć podczas lądowania?

Plod zakończył pisanie, po czym sam przestudiował mapę.

— Jest w tym pewna zaleta — stwierdził.

„Czemu jest w tym pewna zaleta?”, zapytał po cichu Moozh. „Nie mam zielonego pojęcia, skąd wzięłem ten plan, z wyjątkiem tego, że przyszedł tu basilikański żołnierz. Co mi powiedział? Dlaczego ten plan ma pewną zaletę?”

— A przy obecnym chaosie w Basilice prawdopodobnie mógłbyś zdobyć miasto.

„Chaos w Basilice. Dobrze. To znaczy, że nie byłem w błędzie — basilikański żołnierz najwyraźniej napomknął mi o okazji”.

— Tak — ciągnął Plod. — Ponadto mamy doskonałą wymówkę, żeby to zrobić. Nie przychodzimy, by dokonywać najazdu, ale raczej ochronić mieszkańców Basiliki przed najemnikami, którzy wałęsają się po ulicach.

Najemnicy? To był absurd — dlaczego w Basilice mieliby być włóczący się samopas najemnicy? Czy była tam wojna? Bóg nigdy nie wywołał u Moozha takiego zaniku pamięci, żeby generał nie pamiętał wojny!

— Poza tym jest też bezpośredni powód: morderstwa. Krew już się polala — musieliśmy przyjść, żeby przerwać rozlew krwi. Tak, to będzie aż nadto wystarczające usprawiedliwienie. Nikt nie będzie mógł nas krytykować za zaatakowanie miasta kobiet, jeśli przyjdziemy, żeby ich ocalić od rozlewu krwi na ulicach.

„A więc to jest mój plan”, pomyślał Moozh. „Bardzo dobry. Nawet Bóg nie może mnie powstrzymać od jego realizacji”.

— Zanotuj to, Plod, i każ moim adiutantom przygotować szczegółowe rozkazy przemarszu tysiąca żołnierzy w czterech kolumnach przez góry. Mają zabrać zapasy tylko na trzy dni — mogą je nieść na plecach.

— Trzy dni! — wykrzyknął Plod. — A co, jeżeli coś się stanie?

— Wiedząc, że mają jedzenia jedynie na trzy dni, drogi Płodzie, żołnierze będą maszerować bardzo szybko i nie pozwolą, by cokolwiek opóźniło ich marsz.

— A co, jeżeli po naszym przybyciu sytuacja w Basilice będzie zupełnie inna? A co, jeżeli napotkamy na zacięty opór? Mury Basiliki są grube i wysokie, a rydwany są bezużyteczne na tamtym terenie.

— A więc dobrze się składa, że nie zabierzemy żadnych rydwanów, prawda? Może tylko jeden, abym mógł triumfalnie wjechać do miasta — oczywiście w imieniu Imperatora.

— Mimo wszystko mogą stawiać opór, a my przybędziemy tam prawie bez zapasów żywności. Nie będziemy w stanie ich oblegać!

— Nie będziemy musieli tego robić. Musimy jedynie poprosić, by otworzyli bramy, i otworzą je.

— Dlaczego?

— Bo ja tak mówię — odparł Moozh. — Czy kiedykolwiek się myliłem?

Plod pokręcił głową.

— Nigdy, mój drogi przyjacielu i ukochany generale. Ale do czasu, kiedy już uzyskamy pozwolenie Imperatora, by tam pójść, na ulicach Basiliki może zapanować tak wielki chaos, że potrzeba będzie znacznie więcej niż tysiąc żołnierzy, żeby osiągnąć cel.

Moozh spojrzał na niego zaskoczony.

— Dlaczego mielibyśmy czekać na pozwolenie Imperatora?

— Ponieważ Imperator zakazał ci przeprowadzania jakichkolwiek ataków, dopóki nie skończy się pora burz.

— Wręcz przeciwnie — zaprzeczył Moozh. — Imperator zakazał mi atakować Nakavalnu i Izmennika. Nie będę ich atakował. Ominę ich od lewej flanki i z szybkością koni pomaszeruję przez góry do Basiliki, gdzie znów nikogo nie zaatakuję, lecz raczej wejdę do miasta, żeby przywrócić porządek w imieniu Imperatora. Żadne z tych działań nie narusza żadnego rozkazu Imperatora.

Twarz Ploda pociemniała.

— Interpretujesz słowa Imperatora, mój generale, a tylko orędownik ma prawo to robić.

— Wszyscy żołnierze i wszyscy oficerowie muszą interpretować wydane im rozkazy. Wysłano mnie do tych południowych krain, żebym podbił całe zachodnie wybrzeże Morza Przyziemnego. Taki rozkaz otrzymałem od Imperatora i nie tylko ja. Gdybym nie wykorzystał tej nadzwyczajnej okazji, którą zesłał mi Bóg — ha! — wówczas rzeczywiście zachowałbym się nieposłuszenie.

— Mój drogi przyjacielu, najszlachetniejszy generale Gorayni, błagam cię, żebyś tego nie próbował. Orędownik nie uzna tego za posłuszeństwo, lecz niesubordynację.

— Zatem orędownik nie jest prawdziwym sługą Imperatora.

Plod natychmiast skłonił głowę.

— Widzę, że moje słowa były zbyt śmiałe.

Moozh od razu wiedział, co to oznacza: Plod zamierzał wszystko powiedzieć orędownikowi i próbować go powstrzymać. Kiedy Plod zamierzał być posłuszny, nie stwarzał takich pozorów posłuszeństwa.

— Daj mi swój komputer — powiedział Moozh. — Sam zanotuję rozkazy.

— Nie zawstydzaj mnie — przeraził się Plod. — To ja muszę je zapisać, bo w przeciwnym razie nie spełniłem dobrze mojego obowiązku wobec ciebie.

— Zostaniesz tu ze mną — wyjaśnił Moozh — i będziesz obserwował, jak zapisuję rozkazy. Plod rzucił się na kolana, klękając na dywanie.

— Moozh, mój przyjacielu, wolę, żebyś mnie zabił, niż tak zawstydzał.

— Wiedziałem, że nie zamierzasz być mi posłuszny — powiedział Moozh. — Nie kłam, że tak.

— Chciałem grać na zwłokę — wyjaśnił Plod. — Chciałem dać ci czas, żebyś ponownie przemyślał sprawę. W nadziei, że zrozumiesz poważne niebezpieczeństwo zagrażające ci z powodu przeciwstawiania się Imperatorowi, zwłaszcza tak niedługo po twoim śnie, który urągał jego świętej osobie.

Chwilę trwało, zanim Moozh przypomniał sobie wydarzenie, do którego nawiązuje Plod; ogarnęła go wyrachowana, nieprzejeđnana złość.

— Któż oprócz mnie i mojego przyjaciela miałby wiedzieć o tamtym śnie?

— Twój przyjaciel kocha cię tak bardzo, że powiedział o śnie orędownikowi — odrzekł Plod — aby twojej duszy nie zagrażało zniszczenie, o którym byś nie wiedział.

— Zatem mój przyjaciel faktycznie musi mnie kochać — powiedział Moozh.

— Tak — potwierdził Plod. — Całym sercem. Kocham cię bardziej, niż jakiegokolwiek mężczyznę czy kobietę na tej ziemi, z wyjątkiem samego Boga i jego świętego wcielenia.

Moozh popatrzył na swojego najdroższego przyjaciela z lodowatym spokojem.

— Skorzystaj ze swojego komputera, mój przyjacielu, i wezwij orędownika do mojego namiotu. Każ mu po drodze zabrać ze sobą basilikańskiego żołnierza.

— Pójdę po nich osobiście — zaproponował Plod.

— Wezwij ich za pomocą komputera.

— Ale co, jeśli orędownik nie korzysta w tej chwili ze swojego komputera?

— Poczekamy, aż zacznie. — Moozh uśmiechnął się. — Ale będzie z niego korzystał, prawda?

— Być może — odparł Plod. — Skąd miałbym wiedzieć?

— Wezwij ich. Chcę, aby orędownik posłuchał, jak przesłuchuję basilikańskiego żołnierza. Wówczas zobaczy, że musimy ruszać w tej chwili, a nie czekać na wiadomość od Imperatora.

Plod skinął głową.

— Bardzo mądrze, mój przyjacielu. Powinienem był wiedzieć, że nie sprzeciwisz się woli Imperatora. Orędownik wysłucha cię i sam zdecyduje.

— R a z e m zdecydujemy — powiedział Moozh.

— Oczywiście.

Przycisnął klawisze; Moozh nie trudił się, żeby go obserwować, tym niemniej widział słowa w powietrzu nad komputerem dość dobrze, by wiedzieć, że Plod wysłała szybką, prostą prośbę do orędownika.

— Sam — powiedział Moozh. — Jeśli postanowimy nie działać, to nie chcę, żeby rozniosły się plotki o Basilice.

— Już go poprosiłem, żeby przyszedł sam — odparł Plod. Czekali, rozmawiając przez cały czas o innych sprawach.

O dawnych kampaniach. O oficerach, z którymi służyli. O kobietach, które znali.

— Czy kiedykolwiek k o c h a ł e ś jakąś kobietę? — zapytał Moozh.

— Mam żonę — odparł Plod.

— Kochasz ją?

Plod zastanawiał się przez chwilę.

— Kiedy z nią jestem. Jest matką moich synów.

— Ja nie mam synów — zwierzył się Moozh. — Żadnych dzieci, o ile mi wiadomo. Żadnej kobiety, która zadowalałaby mnie dłużej niż przez jedną noc.

— Żadnej? — zapytał Plod.

Moozh zaczerwienił się z zakłopotania, uświadamiając sobie, o czym Plod myśli.

— Jej nigdy nie kochałem — oświadczył. — Wziąłem ją... by okazać moją pobożność.

— Jeden raz to pobożność — zachichotał Plod. — Dwa miesiące w jednym roku, a potem kolejny miesiąc trzy lata później, to znacznie więcej niż pobożność, to ś w i ę t o ś ć .

— Nic dla mnie nie znaczyła — powiedział Moozh. — Wziąłem ją tylko przez wzgląd na Boga.

I była to prawda, choć nie w takim sensie, jak to rozumiał Plod. Kobieta zjawiała się nie wiadomo skąd, brudna i naga, i zawołała Moozha po imieniu. Wszyscy wiedzieli, że takie kobiety pochodzą od Boga. Moozh jednak wiedział tylko to, że kiedy pomyślał, żeby ją wziąć, Bóg zesłał na niego uczucie ogłupienia, które znaczyło, że n i e jest wolą Boga, aby Moozh to zrobił. Tak czy owak, Moozh przystąpił do rzeczy i zatrzymał kobietę — wykapał ją i ubrał, i traktował czule jak żonę. Przez cały czas czuł, jak gniew boży kipi mu w umyśle i śmiał się z Boga. Trzymał kobietę u siebie, dopóki nie zniknęła, tak nagle jak się zjawiała, zostawiając wszystkie swoje wspaniałe ubrania, nie biorąc ze sobą niczego, nawet jedzenia, nawet wody.

— A więc nie była to miłość — powiedział Plod. — Jestem zatem pewien, że Bóg szanuje cię za to poświęcenie!

Plod znów się roześmiał i Moozh przyłączył się do niego po koleżeńsku.

Nadal się śmiali, kiedy usłyszeli skrobanie w namiot i Plod zerwał się, żeby go otworzyć. Pierwszy wszedł orędownik, co było jego obowiązkiem — a także wyrazem jego wiary w Boga, ponieważ zawsze wystawiał się na niebezpieczeństwo ciosu w plecy, gdyby Bóg go nie ochraniał. Za nim wszedł obcy. Moozh nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem widział tego mężczyznę. Sądząc po stroju, był to żołnierz ze wspaniałego miasta; budowa ciała wskazywała, że jest chucherkowatym żołnierzem, raczej strażnikiem miasta niż wojownikiem; rozpoznając sposób, w jaki żołnierz skinął głową, Moozh wiedział, że faktycznie musiał już z nim rozmawiać i rozstał się z nim po rozmowie w przyjaźni.

Najpierw usiadł orędownik, potem Moozh; dopiero wtedy pozostali mogli zająć miejsca.

— Pokaż mi swoją szpadę — powiedział Moozh do basilikańskiego żołnierza. — Chcę zobaczyć, jaką macie stal w Basilice.

Basilikanin wstał ostrożnie, obserwując przez cały czas Ploda. Moozh przypomniał sobie niewyraźnie Ploda trzymającego ostrze przy gardle Basilikanina; nic dziwnego, że mężczyzna miał się teraz na baczności! Dwoma palcami żołnierz wysunął szpadę z pochwy i podał ją Moozhowi rękojęścią do przodu.

Była to szpada używana w mieście, do walki wręcz, a nie duża szpada do rąbanki na polu walki. Moozh sprawdził ostrze na skórze na swoim ramieniu, robiąc nacięcie bardzo lekko, lecz dostatecznie, by pojawiła się strużka krwi. Mężczyzna skrzywił się, kiedy to zobaczył. Mięczak. Mięczak.

— Przemyślałem to, co mi pan powiedział — odezwał się Basilikanin.

„Ach, a więc dałem mu coś do przemyślenia”.

— I widzę, że moje miasto potrzebuje pańskiej pomocy. Ale kim jestem, by o nią prosić, czy nawet wiedzieć, jaka pomoc byłaby właściwa lub wystarczająca? Jestem tylko strażnikiem miasta; to całkowity przypadek, że dostałem się w wir tych wielkich spraw.

— Kochasz swoje miasto, prawda? — zapytał Moozh, gdyż teraz już wiedział, co musiał poprzednio powiedzieć temu człowiekowi. „Jestem dostatecznie twardy nawet wtedy, gdy mam zły dzień”, pomyślał Moozh z pewnym zadowoleniem. „Dość twardy, by ułożyć plany odporne na ingerencję Boga”.

— Tak. — W oczach Basilikanina pojawiły się nagle łzy. — Przepraszam, ale ktoś inny zapytał mnie o to, kiedy opuszczałem Basilikę. Dzięki temu omenowi już wiem, że jest pan prawdziwym

sługą Nadduszy, i mogę panu zaufać. Moozh popatrzył nieruchomym wzrokiem w oczy Basilikanina, żeby mu pokazać, że zaufanie jest tu rzeczywiście na miejscu.

— Przybądź do Basiliki, panie. Przybądź z armią. Przywróć porządek na ulicach i wypędź najemników. Wtedy kobiety w Basilice nie będą już się bały.

Moozh skinął głową z miną mędrca.

— Wymowna i szlachetna prośba, którą z całego serca pragnę spełnić. Jestem jednak sługą Imperatora i musisz wyjaśnić sytuację w swoim mieście obecnemu tutaj orędownikowi, który w naszym obozie jest wzrokiem, słuchem i sercem Imperatora. — Moozh równocześnie wstał, stając twarzą do orędownika, i zrobił ukłon. Usłyszał, jak za jego plecami Plod i basilikański żołnierz również wstają i wykonują ukłon.

„Chyba Plod jest dość inteligentny, by wiedzieć, co zamierzam zrobić”, pomyślał Moozh z dreszczykiem strachu. „Chyba już wyciągnął nóż, żeby mi go wbić w plecy. Chyba wie, że jeśli tego nie robi, to basilikańska szpada, którą trzymam w ręku, zostanie wyszarpanięta z pochwy i utnie mu gładko głowę, kiedy wstanę”.

Plod jednak nie był aż taki inteligentny, więc chwilę później jego krew trysnęła i obryzgała namiot, kiedy jego ciało upadło, a głowa zatrzepotała na końcu do połowy rozciętego kręgosłupa.

Moozh zadał cios tak szybko, tak wprawnie, że ani Basilikanin, ani orędownik nie całkiem rozumieli, w jaki sposób Plod tak raptownie umarł. To dało Moozhowi masę czasu, by wbić basilikańskie ostrze orędownikowi pod żebra, znajdując jego serce, zanim kapłan zdołał się odezwać czy choćby wstać z krzesła.

Moozh zwrócił się do drżącego Basilikanina.

— Jak się nazywasz, żołnierzu?

— Smelost, panie. Tak jak powiedziałem. Wszystko, co mówiłem, było prawdą, panie, nie kłamałem.

— Wiem. Ja też nie. Ci ludzie byli zdecydowani powstrzymać mnie przed przyjściem twojemu miastu z pomocą. Dlatego ich tu sprowadziłem. Jeżeli chciałeś, żebym ci pomógł, to najpierw musiałem ich zabić.

— Cokolwiek mówisz, panie.

— Nie, nie cokolwiek mówię. Tylko prawdę, Smelost. Ci ludzie byli szpiegami, którzy mieli obserwować każdy mój ruch, słuchać każdego mojego słowa i ciągle oceniać moją lojalność wobec Imperatora. Ten — wskazał Ploda — zinterpretował mój sen jako oznakę nielojalności i powiedział o tym orędownikowi. To tylko kwestia czasu, zanim złożąliby na mnie meldunek i straciłbym stanowisko dowódcy, a wtedy któż by przyszedł ocalić Basilikę?

— Ale jak wyjaśnisz ich śmierć? — zapytał Smelost. Moozh nie odpowiedział.

Smelost czekał. Potem spojrzał ponownie na zwłoki.

— Rozumiem — powiedział. — Zginęli od mojej szpady.

— Jak bardzo kochasz swoje miasto? — zapytał Moozh.

— Całym sercem.

— Nad życie?

Smelost skinął poważnie głową. W jego oczach czaił się strach, ale Basilikanin nie drżał.

— Jeśli moi żołnierze pomyślą, że zabiłem Ploda i orędownika, rozerwą mnie na strzępy. Ale jeśli pomyślą — nie, jeśli będą w i e d z i e ć, że to ty zrobiłeś, a ja cię za to zabiłem — pójdą za mną kierowani słusznym oburzeniem. Powiem im, że byłeś najemnikiem. Zbrukam twoje imię. Powiem, że zdradziłeś Basilikę, próbując powstrzymać mnie przed przyjściem miastu z pomocą. Ponieważ jednak uwierzą w te kłamstwa o tobie, pójdą za mną i ocalimy twoje miasto.

Smelost uśmiechnął się.

— Zatem mój los to opinia, że im gorszy zdrajca, tym lepszy sługa miasta.

— To straszny dzień, kiedy człowiek musi wybierać pomiędzy opinią nielojalnego a w rzeczywistości być lojalnym, ale dla ciebie właśnie nadszedł ten dzień.

— Powiedz, co mam zrobić.

Moozh prawie się rozpląkał z podziwu dla odwagi i honoru Basilikanina, kiedy wyjaśniał proste przedstawienie, które odegrają. „Gdybym nie służył większej sprawie”, pomyślał Moozh, „czułbym się za bardzo zawstydzony, by oszukiwać człowieka tak honorowego jak ty. Jednak dla Pravo Gollossa dopuszczę się wszelkich okropieństw”.

Chwilę później, kiedy burza się uspokoiła, Moozh i Sme—lost zaczęli ryczeć. Świadkowie później przysięgną, że krzyk, który wydał Moozh, był przedśmiertnym wrzaskiem orędownika. Kiedy żołnierze wygramolili się ze swoich namiotów, zobaczyli, jak Smelost, już krwawiący z rany na udzie, wynurza się z namiotu generała, trzymając w ręku ociekającą krwią szpadę.

— Za Gaballufixa! Śmierć Imperatorowi! Nazwisko Gaballufwa nie miało dla żołnierzy Gorayni żadnego znaczenia, wkrótce jednak będzie znaczyło bardzo wiele. Interesowało ich drugie zdanie wykrzyczane przez Smelosta: śmierć Imperatorowi. Nikt nie mógł powiedzieć czegoś takiego w obozie Gorayni i nie zostać przy tym obdartym żywcem ze skóry.

Zanim jednak ktokolwiek zdołał go dopaść, sam generał wyszedł chwiejnie z namiotu, krwawiąc z rany na ramieniu i trzymając się za głowę w miejscu, gdzie musiał otrzymać cios. Generał — wielki Vozmuzhalnoy Vozmozhno, zwany Moozh, kiedy żołnierze myśleli, że nie słyszy — uniósł topór w lewej ręce — lewej, nie prawej! — i uderzył nim w kark skrytobójcy, rozplatając go do samego serca. Nie powinien był tego robić; wszyscy wiedzieli, że powinien był pozwolić pojmać tego człowieka i ukarać torturami. Wtedy jednak, ku ich przerażeniu, generał upadł na kolana — generał z lodem w żyłach zamiast krwi — upadł na kolana i załkał gorzko, wołając z głębi duszy:

— Płodnorodny, mój przyjacielu, moje serce, moje życie! Ach, Płodzie! Ach, Płodzie, Bóg powinien zamiast ciebie wziąć mnie!

Był to smutek, który żołnierze oglądali zarówno z chlubą, jak i przerażeniem, i nie mówiąc otwarcie ani słowa na ten temat, ci, którzy usłyszeli przejęty głos Moozha, postanowili nikomu nie mówić o bluznierczej aluzji, że być może Bóg urządził ten świat niewłaściwie. Po wejściu do namiotu zrozumieli dokładnie, dlaczego Moozh się zapomniał i zabił skrytobójcę własną ręką, ponieważ jak to możliwe, żeby jakikolwiek śmiertelny człowiek widział tak okrutną śmierć swojego najdroższego przyjaciela oraz orędownika i mimo to pohamował swoją wściekłość?

Wkrótce rozeszła się po obozie wieść, że Moozh bierze ze sobą tysiąc wojowniczych żołnierzy na przeprawę przez góry, żeby zdobyć miasto Basilika i zniszczyć partię Gaballufixa, grupę ludzi tak śmiałych i zdradzieckich, że odważyli się wysłać skrytobójcę przeciw generałowi Gorayni. Mieli pecha, że Bóg tak bardzo kocha Gorayni, iż nie pozwoli, żeby Moozh zginął zdradziecko. Zamiast tego Bóg nappełnił serce Moozha słusznym gniewem i Basilika wkrótce się dowie, co to znaczy mieć suzerenów w osobach Boga i Gorayni.

3. OCHRONA

SEN NAJSTARSZEGO SYNA

Wszystkie wielbłądy zgromadziły się w cieniu dużych palmowych liści, z których Wetchik i jego synowie zrobili dach zawieszony pomiędzy czterema dużymi drzewami przy strumieniu. Elemak zazdrościł im — miejsce było dobrze oćienione, strumień chłodny, i mogły chwycić wietrzyk, tak iż powietrze nigdy nie było takie duszne jak w namiotach. Skończył poranną pracę i teraz, podczas skwarnej pory dnia, nie było nic pożytecznego do roboty. Niech Ojciec, Nafai i Issib zalewają się potem, tłocząc się przy Indeksie Nadduszy w namiocie Ojca. Cóż może wiedzieć Naddusza? To tylko komputer — sam Nafai to powiedział, przejęty swoją młodzieńczą, fanatyczną pobożnością — więc dlaczego Elemak miałby sobie zawracać głowę rozmową z maszyną? Posiadała olbrzymią bibliotekę informacji... co z tego? Elemak już ukończył szkołę.

Siedział więc w gorącym cieniu południowego urwiska wiedząc, że będzie miał najwyżej godzinę odpoczynku, nim słońce wejdzie tak wysoko, że cień zniknie, i będzie musiał się ruszyć. To wcale nie martwiło Elemaka — właściwie, podczas wypraw karawanowych zawsze liczył, że to go obudzi, tak aby nie spał zbyt długo w ciągu dnia, kiedy odpoczywali przy oazach. Jego złość, którą odczuwał jak nieustanny ból w brzuchu, wywoływał fakt, że to wszystko było takie bezcelowe. Nie podróżowali, zwyczajnie czekali tutaj na pustyni — i po co? Po nic. Naddusza powiedział, że Basilika zostanie zniszczona, że świat Harmonia upadnie wskutek wojny i jej okropieństw. Było śmiechu wartą niemożliwością, żeby coś takiego się stało. Świat przetrwał czterdzieści milionów lat, nie ulegając zniszczeniu wskutek wojny. Teraz, po raz pierwszy dwa wielkie imperia znalazły się na krawędzi konfliktu, a Naddusza traktuje to jak jakieś zdarzenie w kosmosie.

„Mógłbym zrozumieć wyjazd z Basiliki”, powiedział po cichu, „gdybyśmy zabrali ze sobą swoją fortunę, przenieśli się do innego miasta i zaczęli od początku. Zasadniczym czynnikiem w branży roślin jest wiedza w głowie Ojca i mojej, a nie budynki czy wynajęci robotnicy. Moglibyśmy być bogaci. Zamiast tego tkwimy tu na pustyni, straciliśmy całą fortunę na rzecz mojego przyrodniego brata Gaballufixa. Na dodatek, Nafai go teraz zamordował i nigdy nie będziemy mogli wrócić do Basiliki, a gdybyśmy to zrobili, bylibyśmy biedni, więc po co zawracać sobie głowę?”

Tyle że nawet ubóstwo w Basilice byłoby lepsze od tego bezsensownego czekania na pustyni, w tej nędznej dolince, która z ledwością pozwalała przeżyć stadzie pawianów mieszkających kawałek dalej od nich w dół strumienia. Nawet teraz słyszał ich poszczekiwanie i pohukiwanie. Zwierzęta nie mogły się zdecydować, czy być ludźmi czy psami. „Tacy właśnie jesteśmy teraz my, tylko że nie mieliśmy nawet tyle rozumu, żeby wziąć ze sobą nasze partnerki, więc nie możemy nawet stworzyć jakiegoś rozsądnego plemienia”.

Pomimo arytmicznych hałaśliwych odgłosów pawianów i sporadycznych parsknięć wielbłądów Elemak wkrótce zasnął. Obudził się po chwili, a przynajmniej tak mu się wydawało; czuł palący żar słońca na ubraniu, więc przyjął, że zbudziło go słońce. Lecz nie, to było coś innego; koło niego poruszał się jakiś cień. Z zamkniętymi oczami zastanawiał się, gdzie ma nóż i przypominał sobie, że leży na ziemi. Jednym nagłym ruchem zerwał się na nogi ze swoim długim nożem w rękę, mrużąc oczy w jaskrawym świetle słonecznym, żeby zobaczyć, gdzie jest jego wróg.

— To tylko ja! — wykrzyknął piskliwie Zdorab.

Elemak odłożył nóż z niesmakiem.

— Nie podchodzi się po cichu do mężczyzny śpiącego na pustyni. W ten sposób można zginąć. Założyłem, że jesteś rabusiem.

— Ale ja wcale nie zachowywałem się aż tak cicho — wyjaśnił sensownie Zdorab. — Właściwie sam zachowywałeś się głośno. Przypuszczam, że śniłeś.

Elemaka zmartwiło to, że nie spał spokojnie. Teraz jednak, gdy Zdorab o tym wspomniał, Elemak przypomniał sobie, że rzeczywiście śnił, i przypomniał sobie sen z nadzwyczajną jasnością. Właściwie nigdy nie miał takiego wyrazistego snu — w każdym razie nie przypominał sobie — i to go zastanowiło.

— Co mówiłem? — zapytał Elemak.

— Nie wiem — odparł Zdorab. — Mamrotałeś. Przyszedłem tu, bo twój ojciec chce się z tobą zobaczyć. Inaczej bym cię nie niepokoił.

To była prawda. Zdorab był doskonałym służącym, niewidocznym przez większość czasu, lecz zawsze chętnym do pomocy — nawet gdy nie mógł się na nic przydać, co zazwyczaj miało miejsce tu, na pustyni, gdzie umiejętności skarbnika okazywały się zupełnie nieprzydatne.

— Dzięki — powiedział Elemak. — Zaraz przyjdę.

Zdorab czekał jeszcze przez chwilę — miał ten moment zawahania, który prędzej czy później wchodzi w krew wszystkim dobrym służącym, ten jeden moment, kiedy pan może pomyśleć o czymś jeszcze, zanim odejdą. Potem niezdarnie powłóczył nogami, schodząc po łożyskowym zboczu i przemierzając suche, kamieniste podłoże w drodze do namiotu Wetchika.

Elemak podciągnął swój pustynny strój i wysiłkiem na otwartej przestrzeni, gdzie słońce bardzo szybko spowoduje wyparowanie jego moczu, zanim zdążą się zlecieć muchy. Następnie skierował się do strumienia, nabrał wody ręką i opryskał sobie twarz oraz głowę. Dopiero potem poszedł do namiotu, w którym czekał Ojciec z pozostałymi synami.

— No i co? — odezwał się po wejściu. — Czy nauczyliście się wszystkiego, czego Naddusza musi was nauczyć?

Nafai spiorunował go wzrokiem z typową dla siebie min pełną dezaprobaty. Elemak wiedział, że pewnego dnia będzie musiał porządnie sprać Nafaia, żeby oduczyć go przybierania takiego wyrazu twarzy, przynajmniej pod jego adresem. Kiedyś próbował go zbić i przekonał się, że następnym razem będzie musiał to zrobić z dala od krzesła Issiba, tak aby Naddusza nie mógł przejąć kontroli nad krzesłem i zaingerować. Teraz jednak nic by nie uzyska pozwalając, by bezczelność Nafaia podziałała mu na nerwy. Udawał więc, że tego nie dostrzega.

— Musimy zacząć polować, żeby zdobyć mięso — odezwał się Ojciec.

Elemak natychmiast przytknął do połowy oczy, kiedy pomyślał, co to oznacza. Zabrali ze sobą zapasów na osiem-dziewięć miesięcy — rok, przy racjonalnym gospodarowaniu. Ojciec jednak mówił teraz o potrzebie polowania. Mogło to znaczyć tylko to, że nie spodziewa się przeniesić do żadnego cywilizowanego miejsca w ciągu najbliższego roku.

— Może pójdziemy na zakupy na targu zewnętrznym! — zaproponował Meb.

Elemak zgadzał się z nim całkowicie, ale nic nie powiedział, ponieważ Ojciec zaczął robić Mebowi wykład na temat niemożliwości rychłego powrotu do Basiliki. Elemak poczekał, aż scenka dobiegła końca. Biedny Meb — kiedy się nauczy, że lepiej zachować milczenie, chyba że mówić coś, co pomoże człowiekowi osiągnąć cel?

Elemak odezwał się dopiero po nastaniu ciszy.

— Możemy zapolować — powiedział. — Jak na pustynię, jest to dość urodzajna kraina i sądzę, że prawdopodobnie moglibyśmy coś przynosić raz w tygodniu — przez kilka miesięcy.

— Możesz to zrobić? — zapytał Ojciec.

— Nie sam — odparł Elemak. — Jeśli codziennie będę polował z Mebem, raz w tygodniu coś znajdziemy.

— Nafai też pójdzie — dodał Ojciec.

— Nie! — jęknął Mebbekew. — Będzie tylko zawadzał.

— Nauczę go — oświadczył Elemak. — Jeśli już o tym mowa, to nie przypuszczam, żeby na początku Meb był więcej wart od Nafaia. Ale musisz im obu powiedzieć, że kiedy polujemy, moje rozkazy są święte.

— Oczywiście — potwierdził Ojciec. — Będą robić dokładnie to, co im każesz, i nic więcej.

— Będę zabierał każdego z nich co drugi dzień — powiedział Elemak. — W ten sposób nie będę musiał znosić ich klótni.

Mebbekew spojrzał na niego z odrazą — „Ależ jesteś subtelny, Meb, nic dziwnego, że odnosiłeś takie sukcesy jako aktor” — natomiast Nafai jedynie spuścił wzrok na dywan w namiocie. O czym myślał? Na pewno kombinował, jak to obrócić na swoją korzyść.

No i rzeczywiście, Nafai podniósł głowę i odezwał się poważnym tonem do Elemaka:

— Elya, przykro mi, że dałem ci powód do przypuszczania, że właśnie tak bym się zachowywał, gdybyś zabrał równocześnie mnie i Meba. Jeżeli równoczesna obecność nas obu ułatwiłaby polowanie, to mogę przysiąc, że nie będę się spierał ani z tobą, ani z Mebem.

„Zachowuje się jak nędzna kreatura, próbując udawać pobożnego i posłusznego, a ja wiem, że będzie bezczelny i swarliwy przez całą drogę, bez względu na swoje obietnice”, pomyślał Elemak, ale nic nie powiedział, ponieważ Ojciec spokojnie pochwalił Nafaia za jego podejście, a potem powiedział mu, że decyzje Elemaka są nieodwołalne.

— Pojedynczo nauczycie się więcej, zapewniam was — powiedział Ojciec.

Przy takich okazjach Elemak prawie wierzył, że Ojciec widzi, iż Nafai udaje. Tak jednak nie było; po chwili Ojciec zaczynał rozmawiać o tym, czego pragnie Naddusza, i wkrótce on i Nafai byli w tak dobrej komitywie jak złodzieje.

Myśl o złodziejach przypomniła Elemakowi, jak Zdorab niedawno go obudził, a myśl o przebudzeniu przypomniła mu o jego żywym śnie. I przyszło mu do głowy, że może mieć niezłą frajdę, zabawiając się w grę Nafaia i udając, że jego sen był jakąś wizją od Nadduszy.

— Spałem przy głazach — odezwał się Elemak w ciszy — i miałem sen.

Momentalnie wszyscy spojrzeli na niego, czekając. Elemak przyjrzał im się taksująco spod ciężkich powiek; zobaczył natychmiastową radość na twarzy Ojca i prawie poczuł się zawstydzony z powodu kiczowatego przedstawienia, które zamierzał odegrać — warto jednak było to zrobić, by zobaczyć konsternację Nafaia i śmiertelne przerażenie Meba.

— Śniłem sen — wyjaśnił — w którym widziałem, jak wszyscy wychodzimy z dużego domu.

— Czyjego? — zapytał Nafai.

— Pozwól mu dokończyć sen — wtrącił Ojciec.

— Domu, jakiego nigdy dotąd nie widziałem. I nie wyszliśmy sami. Każdy z nas wyszedł z kobietą. I było tam dwóch innych mężczyzn, też z kobietami. I wiele dzieci. Wszyscy mieliśmy dzieci.

Zapadło długie milczenie.

— I to wszystko? — zapytał Nafai. Elemak nie odpowiedział i znów nastała cisza.

— Elya — odezwał się Issib. — Czy j a miałem żonę?

— W moim śnie — odparł Elemak — miałeś żonę.

— Czy widziałeś jej twarz? — zapytał Issib. — Czy wiedziałeś, kim ona jest?

Teraz Elemak naprawdę się zawstydził, ponieważ zobaczył, że Issib wierzy, iż jest to prawdziwa wizja, i po raz pierwszy w swoim życiu przyszło mu do głowy, że biedny Issib pomimo paraliżu pragnie kobiety tak, jak każdy inny mężczyzna, a jednak nie ma nadziei znaleźć takiej, która by go pragnęła. W Basilice, gdzie kobiety mogły przebierać w mężczyznach, tylko kiepski okaz kobiecości wybrałby na partnera takiego kalekę jak Issib. Nawet gdyby ktoś kiedykolwiek

chciał pójść z nim do łóżka, byłaby to jakaś zblazowana kobieta, która zrobiłaby to z ciekawości, zwłaszcza z powodu jego lotek — to mogłoby zainteresować co bardziej żądne przygód babki. Ale zawierać z nim kontrakt partnerski, urodzić mu dzieci, dać mu ojcowskie prawa, nie, do tego by nigdy nie doszło i Issib o tym wiedział. A to oznaczało, że poprzez opowiedzenie tego snu Elemak nie tylko manipuluje Ojcem, lecz również naraża Issiba na okrutne rozczarowanie. Elemak poczuł się jak gnojek.

— Nie widziałem jej twarzy — odparł. — To prawdopodobnie nie miało żadnego znaczenia. To był tylko sen.

— To coś znaczyło — powiedział Ojciec.

— To znaczy, że Elemak nas wyśmiewa — stwierdził Nafai. — Nabija się z nas, że doznajemy wizji od Nadduszy.

— Nie nazywaj mnie kłamcą — powiedział spokojnie Elemak. — Jeżeli mówię, że śniłem, to śniłem. Czy to ma jakieś znaczenie, nie umiem powiedzieć. Ale widziałem to, co widziałem. Czyż nie tak właśnie powiedział Ojciec? Czyż nie tak właśnie t y powiedziałeś? Widziałem to, co widziałem.

— To coś znaczyło — powtórzył Ojciec. — Dziwne przesłanie, które otrzymałem za pośrednictwem Indeksu ma teraz sens.

„O nie”, pomyślał Elemak. „Cóż ja narobiłem?”

— Przez jakiś czas myślałem, że bez żon nie zdołamy osiągnąć celu Nadduszy. Ale gdzie moglibyśmy znaleźć kobiety, które by się tu do nas przyłączyły?

„Jeśli już o tym mowa, Ojczy, to gdzie mógłbyś znaleźć m ę ż c z y z n, którzy by się tu do ciebie przyłączyli, z wyjątkiem własnych synów, których podstępem nakłoniłeś, żeby z tobą poszli?”

— Kiedy jednak zapytałem Nadduszę, otrzymałem odpowiedź, żeby czekać. To wszystko, po prostu czekać. To nie miało dla mnie żadnego sensu. Czy żony wyrosną z głazów? Czy weźmiemy sobie pawiany?

Elemak nie mógł się powstrzymać od złośliwości.

— Meb już to zrobił kilka razy.

Meb uśmiechnął się afektownie.

— A teraz Elemak miał sen — powiedział Ojciec. — Sądzę, że Naddusza chciał, abym właśnie na to czekał: na sen Elemaka. Aby odpowiedź otrzymał mój najstarszy syn, mój spadkobierca. Musisz więc, Elya, pomyśleć, musisz sobie przypomnieć: czy rozpoznałeś k t ó r ą k o l w i e k z kobiet w swoim śnie?

Ojciec traktował tę sprawę zbyt poważnie, wiążąc sen ze statusem Elemaka jako jego najstarszego syna. Elemak teraz widział, że głupio postąpił, wspominając dziś o tym całym kramie z wizjami; jak mógł zapomnieć, że Ojciec chętnie zrukuje wszystkim życie z powodu wizji?

— Nie — odpowiedział Elemak, żeby go uciszyć, choć nie mówił prawdy.

— Zastanów się — powiedział Ojciec. — Wiem, że rozpoznałeś przynajmniej jedną.

Elemak spojrzał na niego zaskoczony. Czy staruszek zaczął czytać w jego myślach?

— Jeżeli Naddusza powiedział ci więcej o moim śnie, niż ja sam wiem, to t y nam powiedz, kim one są — zaproponował Elemak.

— Wiem, że rozpoznałeś jedną, bo wypowiedziałeś jej imię. Jeśli dobrze się zastanowisz, przypomnisz sobie.

Elemak zerknął na Zdoraba, który wlepił wzrok w dywan. „A więc to tak”, pomyślał Elemak. „Gdy Zdorab powiedział, że nic nie rozumie z tego, co powiedziałem we śnie, nie mówił całej prawdy”.

— Jakie imię? — zapytał Elemak.

— Eiadh — odparł Nafai. — Mam rację?

Elemak nie odpowiedział, ale nienawidził Nafaia za wymówienie imienia kobiety, do której Elemak zalecał się, zanim Ojciec nie wyciągnął ich na pustynię.

— Nic nie szkodzi — powiedział Ojciec. — Doskonale to rozumiem. Nie chciałeś nam powiedzieć jej imienia z obawy, żebyśmy nie pomyśleli, że twój sen był tylko erotycznym pożądaniem kochanej przez ciebie kobiety, a nie prawdziwym snem.

Ponieważ Elemak tak właśnie oceniał swój sen, nie mógł się spierać z wnioskiem Wetchika.

— Pomyślcie jednak, moi synowie. Czy Naddusza by żądał, abyście wybrali sobie obce kobiety na partnerki? Śniłeś o Eia dh, ponieważ Naddusza chce, aby była twoją partnerką — wyjaśnił Ojciec. — I to ma sens, prawda? Ponieważ widziałeś także m n i e z partnerką, prawda?

— Tak — potwierdził Elemak, przypominając sobie sen, który był t a k i żywy w jego umyśle, że mógł go przywołać w pamięci nie jako niejasne wspomnienie, ale wyraźnie. — Tak, i dzieci. Młode.

— Jest tylko jedna kobieta, którą bym wziął jako moją partnerkę — oświadczył Ojciec. — Rasa.

— Nigdy nie wyjechałaby z Basiliki — powiedział Issib. — Jeśli myślisz inaczej, to nie znasz Matki.

— Ach — odrzekł Ojciec. — Ale ja też bym nigdy nie wyjechał z Basiliki, tylko że tak mną pokierował Naddusza. Elemak i Mebbekew też by tego nie zrobili, tylko że poprowadził ich Naddusza.

— To samo odnosi się do mnie — wtrącił Zdorab.

— Czy ta kobieta, którą widziałeś w swoim śnie, kobieta, która była moją partnerką... to była Rasa, prawda? — zapytał Ojciec.

Oczywiście, że to była Rasa, ale to niczego nie dowodziło. Rasa była żoną Ojca, nieprzerwanie od wielu lat, więc naturalnie to Rasa pojawiała się jako jego kobieta w snach Elemaka. Do tego nie potrzeba było wizji od Nadduszy.

— Być może — odparł Elemak.

— Czy rozpoznałeś którąś z pozostałych kobiet? Na przykład, ci dwaj obcy mężczyźni: czy ich partnerkami mogły być córki Rasy?

— Nie znam tak dobrze córek twojej żony — odpowiedział Elemak. Jak długo jeszcze potrwa ta gra, zanim będzie mógł ją zakończyć?

— Nie mów niedorzecznie — powiedział Ojciec. — To przecież twoje bratanice. Córki Gaballufixa.

— I jedna z nich jest sławna — wtrącił Meb. — Sevet, śpiewaczka. Już ją widziałeś.

— Tak — przyznał Elemak. — Żony dwóch obcych mężczyzn były córkami Rasy.

Oczywiście znał je, a także ich mężów. Vasa i Obringa.

— No widzisz? — powiedział Ojciec. — Naddusza przekazał ci prawdziwą wizję. Wszystkie kobiety, które widziałeś, spokrewnione są z Rasą. Jej córki i Eia dh, jedna z siostrzenic w jej domu. Jestem pewien, że wszystkie pozostałe kobiety też pochodzą z jej domu. Nie jest to zatem jakiś niedorzeczny sen, który miałeś, ponieważ naszła cię żądza, mój synu. Ten sen zesłał ci Naddusza, ponieważ wie, że abyśmy osiągnęli nasz cel, musimy mieć żony, które urodzą nam dzieci. Nam wszystkim.

— No cóż — powiedział Elemak — jeśli to rzeczywiście wizja, to j a się cieszę, że Naddusza daje mi Eia dh. Myślę jednak, że prędzej żaba pożre sokoła, niż ktokolwiek p o z a Naddusza kiedykolwiek namówi Eia dh do wyprawy na pustynię, żeby poślubiła takiego biednego, bezdomnego mężczyznę jak ja, nie mając żadnej nadziei na bogactwo.

— Zapominasz, że Naddusza obiecał nam krainę niezmiernego bogactwa — powiedział Ojciec.

— A ty zapominasz, że jeszcze jej nie znaleźliśmy — odciął się Elemak. — I raczej jej nie znajdziemy, obozując na pustyni.

— Naddusza pokazał nam, co musimy zrobić — wyjaśnił Ojciec. — I jak to Nafai mi powiedział, zanim poszłście poszukać Indeksu: jeśli Naddusza żąda, żebyśmy coś zrobili, otworzy przed nami jakąś możliwość, żeby to zrobić.

— Wspaniały pomysł — odezwał się Mebbekew. — Kogo Nafai zabije, żeby nam załatwić jakieś kobiety?

— Dość tego — przerwał Ojciec.

— Daj spokój — powiedział Mebbekew. — Jak inaczej Nafai zdobyłby żonę, jeśli nie drogą zabójstwa jakiegoś nieprzytomnego pijaka na ulicy i zabrania jego ślepej, ułomnej córki?

Ku zdziwieniu Elemaka Nafai nie odpowiedział na docinki Mebbekewa. Zamiast tego chłopiec wstał i wyszedł z namiotu. „A więc to tak”, pomyślał Elemak. „Nafai nie jest już dzieckiem. Albo wstydy się pokazać nam, jak płacze”.

— Meb — odezwał się łagodnym tonem Issib — to nie ty, tylko Nafai przyniósł Indeks.

— Ach, daj spokój — odrzekł Mebbekew. — Czy nikt tu się nie zna na żartach?

— Dla Nafaia to nie jest żart — wyjaśnił Issib. — Zamordowanie Gaballufixa to najstraszniejszy czyn, jaki popełnił w życiu, i ciągle nie może o tym zapomnieć.

— Przesadziłeś, wypominając mu to — powiedział Ojciec. — Nie rób tego więcej.

— A co mam robić — upierał się Mebbekew — udawać, że Nafai zdobył Indeks, mówiąc „Proszę o litość?”

Nadszedł czas, żeby Elemak przywołał Mebbekewa z powrotem do porządku — nikt inny nie mógł tego zrobić, a trzeba to było uczynić.

— Masz się zamknąć — powiedział łagodnym tonem.

Meb spojrzał na niego buntowniczo. Elemak jednak wiedział, że to tylko poza. Wystarczyło, by spojrzał Mebowi prosto w oczy i wytrzymał jego wzrok, a Meb się wycofa. Nie trwało też to zbyt długo.

— Elemaku — odezwał się Ojciec — musisz wracać, razem z braćmi.

— Nie zwalaj tego na mnie — zbuntował się Elemak. — Jeśli ktokolwiek potrafi przekonać Rasę, to właśnie ty.

— Wręcz przeciwnie — zaoponował Wetchik. — Ona mnie zna, wie, że ją kocham i też mnie kocha — nie wystarczyło to jednak, żeby za pierwszym razem ze mną poszła. Czy myślisz, że jej tego nie proponowałem? Nie, jeśli ktokolwiek ją przekona, będzie to Naddusza. Musisz tylko iść i zasugerować jej to, poczekać, aż Naddusza pomoże jej zrozumieć, że musi tu przyjść, a potem zapewnić bezpieczeństwo jej i jej córkom oraz młodym kobietom z jej domu, które z nią przyjdą.

— Świetnie — powiedział Elemak. Nie miał nic przeciwko temu, żeby długo czekać, aż Naddusza przekona kogokolwiek z wyjątkiem Ojca, by zrobić coś takiego idiotycznego jak wyjechać z Basiliki na pustynię. Ale przynajmniej będzie czekać w Basilice, nawet jeśli będzie musiał się ukrywać. — Czy mam jej też kazać zabrać jakąś służącą dla Zdoraba?

Ojciec przybrał srogi wyraz twarzy.

— Zdorab już nie jest służącym — odrzekł. — Jest wolnym człowiekiem i ma takie prawa jak wszyscy inni tutaj. Kobieta z domu Rasy byłaby odpowiednia dla niego tak jak dla każdego z was i jeśli już o tym mowa, służąca z domu Rasy byłaby również odpowiednia dla każdego z was. Czy nie rozumiesz, że już nie jesteśmy w Basilice, że w społeczności, którą tworzymy, nie ma miejsca na snobizm i bigoterię, na kasty i klasy społeczne? Będziemy jednością, równouprawnionymi ludźmi, a nasze dzieci będą równe w oczach Nadduszy.

„W oczach Nadduszy być może tak, ale nie w moich oczach”, pomyślał Elemak. „Jestem najstarszym synem i mój pierworodny będzie moim spadkobiercą tak jak ja jestem twoim, Ojcie. Nawet gdybyś rozdał ziemie i majątek, które powinny być moim dziedzictwem, nadal odziedziczę twoją pozycję i bez względu na to, gdzie się w końcu osiedlimy, to ja będę rządził albo nikt inny.

Teraz mogę nic o tym nie mówić, bo wiem, kiedy się odzywać, a kiedy nie. Możesz być jednak tego pewien, Ojcie. Kiedy umrzesz, zajmę twoje miejsce — i każdy, kto spróbuje mnie go pozbawić, podąży szybko za tobą do grobu”.

Elemak spojrział na Issiba i Meba i wiedział, że żaden z nich nie stawi mu oporu, kiedy ten dzień nadejdzie. Nafai jednak sprawi mu kłopoty, niech będzie błogosławione jego kochane serduszek. „I Nafai o tym wie”, pomyślał Elemak. „Wie, że pewnego dnia sprawa rozegra się między nami. Gdyż pewnego dnia Ojciec spróbuje przekazać swoją władzę tej nędznej kijance, tylko dlatego, że Nafai jest w takiej komitywie z Nadduszą. No cóż, Nafaiu, ja też miałem wizję od Nadduszy — przynajmniej Ojciec tak uważa, co sprowadza się do tego samego”.

— Wyjdźcie rano — powiedział Ojciec. — Wróćcie z kobietami, które będą dzielić dziedzictwo przygotowane dla nas przez Nadduszę w innej krainie. Wróćcie z matkami moich wnuków.

— Mebbekew i ja — oznajmił Elemak. — Nikt inny.

— Issib pozostanie tu na miejscu, bo jego krzesło i lotki sprawiają, że za bardzo rzuca się w oczy, i zwiększa szanse, że złapią was nasi wrogowie — wyjaśnił Ojciec. — I Zdorab też zostanie.

„Ponieważ jeszcze mu nie ufasz”, pomyślał Elemak, „bez względu na to, jak stanowczo twierdzisz, że ma takie prawa jak my i jest wolnym człowiekiem”.

— Ale Nafai pójdzie z wami.

— Nie — sprzeciwił się Elemak. — Jest dla nas nawet niebezpieczniejszy od Issiba. Na pewno domyśla się, że zabił Gaballufixa: komputer miejski zarejestrował jego nazwisko przy wyjściu z miasta i strażnicy widzieli go w ubraniu Gaballufixa. I był z nim Zdorab, który go łączy ze śmiercią Gaba. Brac Nafaia to tak, jakby się prosić, żeby go zabili.

— On z wami pójdzie — upierał się Ojciec.

— Dlaczego, skoro tylko wystawi nas na większe niebezpieczeństwo? — zapytał Elemak.

— Tak, zmusz go, żeby to powiedział — podjudzał Mebbekew. — Ojciec nie chce cię znieważać, ale ja nie mam nic przeciwko temu. Chce tam wysłać Nafaia, bo — jak to już ktoś niedawno zauważył — to Nafai zdobył Indeks, a nie żaden z nas. Chce wysłać Nafaia, bo myśli, że znajdziemy tam jakąś kobietę, która nas przyjmie, i zostaniemy w Basilice, i nigdy nie wrócimy do tego rajy nad morzem. Chce wysłać Nafaia, bo myśli, że dzięki Nafaiowi będziemy się grzecznie zachowywać.

— Wcale nie — zaprzeczył Issib. — Ojciec chce, aby poprzez przebywanie ze swoimi starszymi braćmi Nafai nauczył się, jak być silnym i mądrym.

Nikt nigdy nie miał pewności, czy Issib mówi z ironią czy nie. Nikt nie wierzył, że taki był prawdziwy cel Ojca, ale nikt też — a najmniej Ojciec — nie dbał o to, by temu otwarcie zaprzeczyć.

Nastąpiła cisza, w której Elemakowi dzwoniły w uszach ostatnie wypowiedziane przez niego słowa: „Brac Nafaia to tak, jakby się prosić, żeby go zabili”.

— W porządku, Ojcie — powiedział Elemak. — Nafai może ze mną iść.

BASILIKA, RZECZYWISTOŚĆ

Kokor nie mogła zrozumieć, dlaczego ma być trzymana w odosobnieniu. W przypadku Sevet to miało sens — dochodziła do zdrowia po nieszczęśliwym wypadku. Jeszcze nie odzyskała głosu; niewątpliwie krępowała się publicznych występów. Kokor jednak cieszyła się doskonałym zdrowiem i w jej przypadku ukrywanie się w domu Matki wyglądało, jakby się wstydziła

gdziekolwiek pojawiać. Gdyby rozmyślnie zraniła Sevet, być może taka izolacja byłaby konieczna. Ponieważ jednak był to po prostu nieszczęśliwy wypadek, rezultat psychologicznego zaburzenia spowodowanego śmiercią Ojca i odkrycia cudzołóstwa Sevet i Obringa, nikt nie mógł jej winić. Właściwie dobrze by jej zrobiło pojawienie się przed ludźmi. Z pewnością przyspieszyłoby to jej ozdrowienie.

Przynajmniej powinna mieć możliwość powrotu do własnego domu, a nie być zmuszona do pozostawania u Matki, jakby była małą dziewczynką lub niedorozwiniętym dzieckiem, które potrzebuje opiekunki. Gdzie się podziewał Obring? Jeśli zamierzał naprawić sytuację między nimi, mógł to zacząć od wydostania jej z nieznośnego, nudnego otoczenia Matki. Nie działo się tu nic ciekawego. Odbływały się tylko nieprzerwane zajęcia z przedmiotów, które nie interesowały Kokor nawet wtedy, gdy je oblewała wiele lat temu. Teraz Kokor była kobietą majątną. Spadek po Ojcu prawdopodobnie umożliwi jej kupno domu i utrzymywanie własnego towarzystwa. A oto mieszkała u Matki.

Nie znaczy to, że tak często widywała Matkę. Rasa ciągle spotykała się z doradcami i innymi wpływowymi kobietami z miasta, które dosłownie urządzały pielgrzymki, żeby się z nią zobaczyć i porozmawiać. Niektóre spotkania wydawały się odbywać w napiętej atmosferze; Rasa zaczęła się domyślać, że przynajmniej niektórzy ludzie winią ją za wszystko. Jakby to Matka próbowała zabić Ojca! Przypomnieli sobie jednak, że to obecny mąż Rasy, Wetchik, doznał zapalnej wizji pokazującej Basilikę w ogniu, a potem jej poprzedni mąż, Gaballufix, wysłał tołczoków, a następnie żołnierzy na ulice miasta. A teraz krążyły pogłoski, że to jej najmłodszy syn, Nafai, zabił zarówno Roptata, jak i Gaballufixa.

No cóż, nawet gdyby to wszystko było prawdą, cóż to miało wspólnego z Matką? Kobiety nie mogą panować nad swoimi mężami — czyż Kokor sama nie miała tego dowodu? A jeżeli chodzi o zabójstwo Ojca przez Nafaia — cóż, nawet jeśli to zrobił, Matki tam nie było i na pewno nie poprosiła chłopca, żeby to zrobił. Równie dobrze mogliby winić Matkę za to, co się przydarzyło Sevet, podczas gdy wszyscy widzieli, że była to wina właśnie Sevet. A zresztą, czy śmierć Ojca nie była właśnie jego winą? Ci wszyscy żołnierze — nie sprowadza się żołnierzy do Basiliki, spodziewając się, że nie dojdzie do przemocy, prawda? Mężczyźni nigdy nie rozumieją tych spraw. Potrafią rozpętać piekło, ale zawsze są zdziwieni, kiedy nie potrafią go opanować.

Tak jak Obring, biedny głupiec. Czy nie wiedział, że to nierozsądnie stawać między siostrami? Naprawdę ponosił większą winę za krzywdę Sevet niż Kokor.

„A dlaczego nikt nie współczuje mi z powodu mojej krzywdy? Głębokiego psychicznego urazu, którego doznałam, widząc Obringa i własną siostrę w takiej sytuacji? Nikt się nie przejmuje, że ja też cierpię, i że być może muszę wyjść wieczorem w ramach terapii”.

Kokor siedziała i malowała sobie twarz, ćwicząc miny, które mogłyby okazać się przydatne w jej następnej sztuce. Ponieważ teraz na pewno będzie następna sztuka, kiedy Kokor wydostanie się z domu Matki. Próba Tumannu, by wciągnąć ją na czarną listę, z pewnością spełźnie na niczym — żaden teatr komediowy w Dolltown nie odmówi aktorce, której nazwisko jest na ustach wszystkich mieszkańców Basiliki. Co wieczór teatr sprzedaje wszystkie bilety, chociażby tym, którzy przyjdą z ciekawości — a kiedy zobaczą, jak Kokor gra i usłyszą jej śpiew, będą nieustannie wracać. Nie znaczy to, że kiedykolwiek marzyła o tym, by kogoś zranić w celu zrobienia kariery; ponieważ jednak tak się zdarzyło, dlaczego nie wykorzystać tego? Sama Tumannu prawdopodobnie stanie w kolejce, by błagać Kokor o przyjęcie głównej roli w komedii.

Wydęła lekko usta i wyglądało to całkiem zachwycająco. Zrobiła to samo w kilku pozycjach i spodobał jej się efekt. Robiło to jednak zbyt małe wrażenie. Będzie musiała się bardziej zaczerwienić, bo w przeciwnym razie nikt spoza pierwszego rzędu tego nie zobaczy.

— Jeśli jeszcze trochę zaokrąglisz usta, będzie to wyglądać, jakby ktoś wywiercił ci dziurę pod

nosem.

Kokor odwróciła się powoli, aby skierować się twarzą do stojącego w drzwiach intruza. Była nim nieznośna trzynastoletnia dziewczynka. Młodsza siostra tego paskudnego bękarta, Hushidh. Matka przyjęła je obie, kiedy były niemowlakami, z czystego miłosierdzia, a kiedy uczyniła z Hushidh jedną ze swoich siostrzenic, dziewczyna najwyraźniej pomyślała, że należy jej się takie poważne traktowanie, jakby zaliczała się do wysoko urodzonych siostrzenic, które będą coś znaczyć w Basilice. Kokor i Sevet miały taką frajdę, poniżając Hushidh, kiedy jeszcze były uczennicami. A teraz jej mała siostra, taki sam bękart, tak samo brzydka i butna, ośmielała się stanąć w drzwiach sypialni córki Rasy, wysoko urodzonej kobiety z Basiliki, i naśmiewać się z wyglądu jednej ze słynnych piękności miasta.

Byłoby to jednak poniżej godności Kokor: zadawać sobie trud, by usadzić to dziecko tak, jak na to zasługiwało. Wystarczyło zmusić ją do odejścia.

— Słuchaj, mała, tam są drzwi. Były zamknięte. Z łaski swojej zamknij je z drugiej strony.

Dziewczynka nie drgnęła.

— Mała, jeśli przysłało cię z jakąś wiadomością, przekaz mi ją i znikaj.

— Do mnie mówisz? — zapytało dziecko.

— Widzisz tu jakąś inną dziewczynkę?

— Jestem siostrzenicą w tym domu — powiedziało dziecko. — Tylko do służących mówi się per „mała”. Dlatego założyłam, że skoro podobno jesteś damą, która powinna znać poprawne formułki, musisz mówić do jakiejś niewidzialnej służącej na balkonie.

Kokor wstała.

— Mam ciebie dość. Miałam dość, jeszcze zanim tu weszłaś.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytało dziecko. — Uderzysz mnie w gardło? A może to rozrywka, którą ograniczasz tylko do swojej rodziny?

Kokor poczuła, jak narasta w niej nieznośna wściekłość.

— Nie prowokuj mnie! — wykrzyknęła. Potem opanowała się, powściągnęła gniew. Ta dziewczynka nie była tego warta. Skoro chciała poprawnej formułki, to będzie ją miała. — Z jaką sprawą przychodzisz, moja droga, młoda córko świętej kurwy?

Dziewczynka wydawała się nie zmieszana, ani przez chwilę.

— A więc wiesz, kim jestem — powiedziała. — Nazywam się Luet. Moi przyjaciele nazywają mnie Lutyą. Ty możesz do mnie mówić „panienko”.

— Po co tu przysłałaś i kiedy odejdziesz? — zapytała Kokor. — Czy w domu mojej matki muszą mnie nękać bękarty bez manier?

— O to się nie bój — odparła Luet. — Bo z tego, co słyszałam, przed upływem godziny wyprowadzisz się z tego domu.

— O czym ty mówisz? Co słyszałaś?

— Przyszłam z życzliwości, żeby cię powiadomić, że przyszedł tu Rashgallivak z sześcioma żołnierzami, żeby cię zabrać pod ochronę klanu Palwashantu.

— Rashgallivak! Ten mały pizduk! Pokazałam mu, gdzie jego miejsce, kiedy ostatnio próbował wyciąć ten numer, i znów to zrobię.

— Chce też zabrać Sevet. Mówi, że obie jesteście w poważnym niebezpieczeństwie i potrzebujecie ochrony.

— W niebezpieczeństwie? W domu Matki? Potrzebuję jedynie ochrony przed nieznośnymi, szkaradnymi dziewczynkami.

— Jesteś taka uprzejma, panienko Kokor — zadrwiła Luet. — Nigdy nie zapomnę, jak mi się odpłaciłaś za przekazanie ci tej wiadomości.

Odwróciła się i wyszła z pokoju.

A czego się ta dziewczynka spodziewała? Gdyby zachowywała się grzecznie, a nie obraźliwie, Kokor potraktowałaby ją lepiej. Jednak nie można było oczekiwać, że dziecko tak niskiego pochodzenia będzie rozumieć, jak należy się zachowywać, aby Kokor nie próbowała poczytywać jej tego za obrazę.

Matka ostatnio zachowywała się tak apodyktycznie, że mogła nawet pomyśleć, iż wysłanie jej i Sevet do Rashgallivaka to dobry pomysł. Kokor będzie musiała sama zadbać, aby do tego nie doszło.

Zmyła make up uwydatniający jej wyduęcie warg i zastąpiła go stonowanym makijażem, po czym wybrała sukienkę domową o szczególnie lichym wyglądzie i założyła ją trochę nieporządnie, aby wyglądało, że po prostu szła do kuchni, kiedy z zaskoczeniem odkryła, iż Rashgallivak przyszedł spróbować ją porwać.

Plan ten został jednak pokrzyżowany przez to, że kiedy wyszła na korytarz, spotkała tam Sevet wspartą na ramieniu tej wstrętnej Hushidh, starszej siostry Luet. Jak Sevet mogła — pomimo swojej rany — tak się poniżyć, korzystając z pomocy dziewczynki, którą kiedyś traktowała z taką pogardą? Czy nie ma wstydu? A jednak jej obecność na korytarzu sprawiła, że Kokor nie mogła jej zignorować. Będzie musiała okazać troskę. Będzie musiała się wokół niej kręcić. Na szczęście, ponieważ Sevet już wspierała się na ramieniu Hushidh, Kokor nie będzie musiała tego proponować. Pomaganie Sevet całkowicie by ograniczyło jej swobodę działania.

— Jak się masz, biedna Sevet? — zapytała Kokor. — Aż ochrypłam, płacząc z powodu tego, co się stało. Czasami jesteśmy dla siebie takie niedobre, Sevet. Czemu to robimy?

Sevet wpatrywała się tylko w podłogę.

— Och, rozumiem, czemu się do mnie nie odzywasz. Nigdy mi nie wybacysz tego wypadku. Aleja przebaczyłam tobie to, co zrobiłaś, a t o nie był wypadek, t o było zrobione rozmyślnie. Mimo to trudno oczekiwać, żebyś tak szybko mi wybaczyła, bo doświadczasz takiego bólu, biedactwo. Po co w ogóle wstałaś? Sama poradzę sobie z Rashgallivakiem. Tamtej nocy wgniotłam mu jaja w śledzionę i chętnie to zrobię jeszcze raz.

Sevet uśmiechnęła się nieznacznie. Prawie niewidocznie. A może tylko skrzywiła się, gdy zaczęła schodzić niezgrabnie po schodach.

Matka nawet nie wprowadziła Rashgallivaka do salonu. Stał z żołnierzami przy drzwiach, które nadal były otwarte. Matka odwróciła się i spojrzała na córki i Hushidh, kiedy schodziły do sieni.

— Widzisz, że nic im nie jest — powiedziała Matka do Rashgallivaka. — Nic im nie grozi i są tu w dobrych rękach. Właściwie nie było tu dotąd żadnych mężczyzn z wyjątkiem ciebie i tych zbędnych żołnierzy.

— Nie martwi mnie to, co j u ż się stało, ale to, co m o ż e się zdarzyć, i nie wyjdę stąd bez córek Gaballufua. Podlegają teraz ochronie Palwashantu.

— Możesz wysyłać swoich żołnierzy na ulice — powiedziała Matka — żeby powstrzymać tołczoków, rabusiów czy zamachowców przed wtargnięciem do naszego domu, ale nie zabierzesz moich córek. Roszczenie matki jest nadrzędne w stosunku do roszczeń klanu mężczyzn.

Podczas gdy Matka i Rash nadal się spierali, Kokor pochyliła się w kierunku Sevet i zapominając, że jej siostra nie może mówić, zapytała ją:

— Dlaczego Rashgallivak chce nas zabrać? Ponieważ Sevet nie mogła odpowiedzieć, odezwała się

Hushidh:

— Ciocia Rasa jest trzonem oporu wobec panowania Palwashantu w Basilice. Rashgallivak uważa, że jeśli weźmie was jako zakładniczki, wasza matka spuści z tonu.

— A więc nie zna Mamy — powiedziała Kokor.

— Rashgallivak to słaby człowiek — szepnęła Hushidh. — I zna się na polityce jak kura na

pieprzu. Gdyby był taki bystry jak wasz ojciec, wiedziałby, że nie uda mu się zabrać was bez przemocy, a przemoc zaszkodzi jego interesom. Dlatego nigdy by nie przyszedł z taką prośbą. Gdyby jednak z jakiegoś powodu rzeczywiście postanowił was zabrać, działałby znacznie śmiej. Po dwóch żołnierzy już by trzymało każdą z was, a pozostali dwaj zagroziłiby drogę waszej matce.

Mimo wszystko Hushidh nie była głupia. To, że Hushidh może mieć jakiś przymiot warty szacunku, nigdy nie przyszło Kokor do głowy. Jej wyobrażenie o Ojcu było całkowicie trafne — Kokor jednak nie potrafiłaby nigdy wyrazić tego tak dobitnie.

Oczywiście Ojciec też miałby jakieś prawo do tego, by próbować zabrać ją i Sevet. Nie byłoby to naturalnie l e g a l n e, nie w mieście kobiet, ale ludzie mogliby to zrozumieć, gdyby próbował. Na jakiej podstawie Rashgallivak rościł sobie do tego prawo?

— Naddusza chyba doprowadziła Rasha do szaleństwa, skoro próbuje to zrobić — szepnęła Kokor.

— Rashgallivak się boi — powiedziała Hushidh. — Ludzie robią dziwne rzeczy, kiedy się boją. Twoja matka już coś takiego zrobiła.

„Na przykład zamknęła mnie w odosobnieniu”, pomyślała Kokor.

Potem uświadomiła sobie, że gdyby była w domu z Obringiem, Rash bez trudu mógłby do niej dotrzeć. Obring próbowałby walczyć z żołnierzami, ale oni w jednej chwili by go powalili i zabrali Kokor. Tak więc Matka miała rację, że trzymała ją w odosobnieniu. Coś podobnego!

— Nie wolno ci krytykować Mamy — powiedziała Kokor. — Uważam, że świetnie sobie radzi.

Tymczasem Rasa i Rash klócili się dalej, choć teraz oboje powtarzali te same argumenty, nie zawsze wyrażając je nowymi słowami. Hushidh zaprowadziła córki Rasy na skraj foyer, tak iż znajdowały się w najdalszej odległości od żołnierzy, nie opuszczając przy tym pokoju. Do tej pory Kokor trzymała się blisko niej i Sevet. Widok żołnierzy, przerażająco identycznych w swoich holograficznych maskach, odwiódł ją od stanowczego postanowienia, by pokazać Rashgallivakowi, jak się sprawa przedstawia. W ciemności za kulisami w teatrze wydawał się znacznie mniejszy i słabszy. Dzięki żołnierzom wyglądał znacznie groźniej i Kokor stwierdziła, że podziwia Matkę za to, iż Rasa tak odważnie stawia im czoło. Właściwie zastanawiała się, czy Matka nie zachowuje się odrobinę nierozsądnie. Na przykład, dlaczego kazała Kokor i Sevet przyjść tutaj, gdzie ci żołnierze mogli je łatwo dopaść? Dlaczego nie kazała im pozostać w ukryciu na górze? Albo nie ostrzegła je, żeby wykradły się do lasu? Być może, właśnie to miała Hushidh na myśli mówiąc, że Matka już robi dziwne rzeczy z powodu strachu.

Wydawało się jednak, że Matka się nie boi.

— Myślę, że może powinniśmy już iść — szepnęła Kokor do Hushidh.

— Nie — zaprzeczyła Hushidh. — Musicie zostać.

— Dlaczego?

— Bo gdybyście próbowały odejść, zaalarmowałoby to Rashgallivaka i prawdopodobnie sprowokowało do działania. Rozkazałby żołnierzom zatrzymać was i wszystko by przepadło.

— I tak w końcu to zrobi — szepnęła Kokor.

— Ach, ale czy zaczeka dostatecznie długo?

— Dostatecznie długo na co?

— Zastanów się — powiedziała Hushidh.

Kokor zastanawiała się. Co im przyniesie zwykła zwłoka? Chyba że ktoś zamierza im przyjść z pomocą. Ale kto mógłby stawić opór żołnierzom Palwashantu?

— Straż miejska! — wykrzyknęła Kokor, zachwycona, że o tym pomyślała.

Czy mogła coś na to poradzić, że jej słowa padły podczas przypadkowej przerwy w kłótni Matki z Raszem?

— Co takiego? — zawołał Rashgallivak. — Co powiedziałaś? — Obrócił się na pięcie i wyrzał przez drzwi. — Nikogo tam nie ma — stwierdził, po czym spojrzał na Rasę.

— Ale są w drodze, prawda? O to w tym wszystkim chodzi: zatrzymać mnie, dopóki straż nie przyjdzie i mnie nie powstrzyma. Cóż, koniec z tym przewlekaniem sprawy. Brać je!

Żołnierze natychmiast ruszyli w kierunku dziewczyny na korytarzu, Kokor wrzasnęła.

— Uciekajcie, idiotki! — zawołała Matka.

Kokor jednak nie mogła uciekać, ponieważ jeden z żołnierzy już ją chwycił za ramię. Sevet też została pochwycona przez dwóch innych żołnierzy, a Hushidh, ten bękart, nie zrobiła nic, żeby im pomóc.

— Zrób coś, ty mała suko! — zawołała Kokor. — Nie pozwól, żeby nam to zrobili!

Hushidh przez chwilę patrzyła jej w oczy, kiedy żołnierze wlekli je w kierunku drzwi. Następnie wydawało się, jakby podjęła decyzję.

— Przestań, Rashgallivak! — wykrzyknęła Hushidh.

— W tej chwili przestań.

Rash tylko wybuchnął śmiechem. Zmroziło to Kokor do szpiku kości. Był to śmiech człowieka, który wie, że zwyciężył. Ten żalosny człowiek, który zaledwie kilka dni temu był rządcą w domu Wetchika, śmiał się teraz zachwycony władzą, jaką dawali mu jego żołnierze.

— Każ im przestać! — wykrzyknęła Hushidh. — W przeciwnym razie już nigdy więcej nie będziesz mógł im wydawać żadnych rozkazów!

— Nie, Hushidh! — zawołała Matka.

Czegóż, u licha, Matka się spodziewała, że Hushidh teraz zrobi? Kokor widziała Sevet schwytaną przez żołnierzy, których twarze bez wyrazu wyglądały tak przerażająco, tak nieludzko. To było nie w porządku, że trzymali jej siostrę, nie w porządku, że te ręce ścisnęły ramiona Kokor i ciągnęły ją do drzwi.

— Zrób to, Hushidh! — krzyknęła Kokor. „Cokolwiek, zdaniem Matki możesz zrobić, zrób to”.

* * *

Każdemu oprócz Hushidh ta scena wydawała się nieskomplikowana — Rash i dwóch żołnierzy nie pozwalają nikomu ingerować, podczas gdy pozostali czterej żołnierze wywlekają Kokor i Sevet z domu Rasy, wypychając je przez szerokie frontowe drzwi. Sama ciocia Rasa krzyczała bezskutecznie: — To ty krzywdzisz Sevet! Zostaniesz wydany z miasta! Kidnaper! — podczas gdy na korytarzu zaczęły się tłoczyć pozostałe mieszkające w domu kobiety i dziewczyny, słuchając, obserwując.

Hushidh interpretatorka widziała jednak tę scenę zupełnie inaczej. Gdyż potrafiła dostrzec nie tylko ludzi, ale również więzi, które ich łączą. Hushidh widziała przestraszone dziewczyny i kobiety nie jako jednostki czy nawet grupki — wszystkie one były mocno związane z Rasą, więc Hushidh wiedziała, że Rasa nie jest bezradnie samotna, tak jak by ją widzieli inni, lecz przemawia wsparta siłą kilkudziesięciu kobiet, że ich strach potęguje jej własny, ich wzburzenie wzmacnia jej złość, i kiedy krzyczy w majestacie swojego gniewu, jest znacznie potężniejsza od jednej zwykłej kobiety. Hushidh nawet zobaczyła potężne więzi łączące Rasę z resztą miasta, wielkie sznurkowe nitki, które przypominały żyły i tętnice tłoczące krew żywotną tożsamości Rasy. Kiedy krzyknęła do Rashgallivaka, w jej głosie odbiła się wściekłość całego miasta kobiet.

Hushidh jednak widziała też, że Rasa, mimo iż otaczała ją ta olbrzymia sieć więzi, czuje się samotna, jakby ta sieć do niej nie docierała lub ledwie ją muskała. Taki właśnie efekt wywierało na Rasie wykorzystanie przez Rasha brutalnej siły — czuła się przez to, jakby jej siła i władza w mieście nic nie znaczyły, ponieważ nie mogła się oprzeć sile tych żołnierzy.

Równocześnie istniała inna sieć wpływów — Rashgallivaka. Hushidh wiedziała, że te więzi są właściwie słabe i zasługujące na pogardę. Podczas gdy więzi Rasy z jej domem były silne i realne, a jej władza w mieście prawie namacalna dla Hushidh, Rashgallivak cieszył się bardzo niewielkim szacunkiem swoich żołnierzy. Mógł im rozkazywać tylko dlatego, że im płacił, a także tylko dlatego, że podobało im się to, co rozkazywał im robić. W porównaniu z Rasą Rashgallivak był prawie wyizolowany. Jeśli zaś chodzi o jego żołnierzy, to ich komitywa była znacznie silniejsza od ich więzi z nim. A nawet mimo to nie mogła się równać z więzami między kobietami.

Hushidh wiedziała, że tak to wygląda w przypadku w większości mężczyzn — są stosunkowo wyobcowani, odseparowani od siebie, samotni. Ci jednak byli szczególnie nieufni i zamknięci w sobie, więc łączące ich więzi rzeczywiście odznaczały się słabością. Nie łączyła ich miłość, lecz raczej pragnienie zdobycia uznania i szacunku innych ludzi. A zatem duma. I teraz, kiedy wywlekali te kobiety z domu, byli dumni ze swojej siły, dumni, że przeciwstawiają się jednej ze znamienitych kobiet w Basilice; wyglądali tak wspaniale w oczach pozostałych. Rzeczywiście ich wzajemne powiązania w tej chwili ograniczały się do szacunku, jaki w swoim przekonaniu zdobywali swoim postępowaniem.

Takie kruche powiązania. Wystarczyło, by Hushidh wyciągnęła rękę i mogła z łatwością zerwać więzi między tymi mężczyznami. Mogła sprawić, że Rashgallivak będzie beznadziejnie osamotniony. I choć Rasa żądała, żeby Hushidh tego nie robiła, w tej chwili młoda interpretatorka czuła znacznie głębiej swoją więź z Sevet i Kokor, ponieważ te dziewczyny były jej dręczycielkami, jej wrogami, a teraz miała szansę być ich zbawczynią, uwolnić je, i wówczas będą wiedzieć, że to uczyniła. To by zagoiło jedną z najgłębszych ran w jej sercu; czym był rozkaz Rasy w porównaniu z tą potrzebą?

Już w chwili, kiedy zaczęła działać, Hushidh wiedziała dokładnie, dlaczego to robi — bardzo dobrze rozumiała samą siebie, gdyż jako interpretatorka potrafiła dostrzec nawet własne powiązania z otaczającym ją światem — zrobiła to jednak mimo wszystko, ponieważ w tym momencie była właśnie wszechmocną zbawczynią, która miała siłę pokonać tych silnych mężczyzn.

Odezwała się zatem i pokonała ich. Nie chodziło o słowa, które wypowiedziała; nie było to magiczne zaklęcie, które rozerwie łączące ich więzi. To ton pogardy w jej głosie, twarz i ciało nadały jej słowom moc trafienia w serce wszystkich żołnierzy i przekonania ich, że są całkowicie osamotnieni, że inni ludzie będą nimi pogardzać za to, co robią.

— Gdzie podział się wasz honor, że odciągacie tę ranną kobietę od jej matki — powiedziała. — Nawet dzikie pawiany mają więcej męskości od was, bo matki mogą powierzyć swoje niemowlęta samcom ze stada.

Biedny Rash. Usłyszał te słowa i myślał, że może przeciwstawić się Hushidh, spierając się z nią. Nie zdawał sobie sprawy, że ci mężczyźni ulegli wpływowi jej opowieści i każde jego słowo oddali ich od niego, ponieważ stopniowo mówił z coraz mniejszym przekonaniem i coraz większą bojaźnią.

— Zamknij się, kobieto! Ci mężczyźni to żołnierze, którzy spełniają swój obowiązek...

— Obowiązek tchórza. Spójrzcie, do czego was doprowadził ten tak zwany mężczyzna. Zrobił z was paskudne szczury, które porywają promienne i błyszczące piękno, i zaciągają je do jego nory, gdzie on was obsmaruje gównem i nazwie to chwałą.

Żołnierze po kolei zaczęli puszczać Kokor i Sevet. Sevet od razu upadła na kolana, łkając po cichu. Kokor bardzo przekonująco odegrała rolę oburzonej i zdegustowanej — wzdrygnęła się, na próżno usiłując odegnać od siebie wspomnienie żołnierzy dotykających jej ramienia.

— Patrzcie, jaki wzbudziliście niesmak u tych piękności

— powiedziała Hushidh. — Oto co z wami zrobił Rashgallivak. Jesteście oślizgłymi robalami,

bo podążacie za nim. Dokąd możecie pójść, by znów stać się mężczyznami? Jak możecie znaleźć sposób, by się oczyścić? Musi być jakieś miejsce, gdzie możecie się ukryć przed swoją hańbą. Odpelnijcie i znajdźcie je, wy glisty; zakopcie się głęboko w ziemi i zobaczcie, czy uda wam się ukryć swoje upokorzenie! Czy myślicie, że dzięki tym maskom wyglądacie na silnych i potężnych? One tylko świadczą, że jesteście sługami tego zasługującego na pogardę kmiotka. Sługami z e r a.

Jeden z żołnierzy zrzucił z siebie kostium tworzący holograficzny obraz, który dotychczas skrywał jego twarz. Był zwyczajnym, dość niechlujnie wyglądającym, nieogolonym, trochę głupkowatym i bardzo przestraszonym mężczyzną — oczy miał szeroko otwarte i załzawione.

— No właśnie — powiedziała Hushidh. — Oto co z tobą zrobił Rashgallivak.

— Zakładaj z powrotem maskę! — zawołał Rashgallivak.

— Rozkazuję wam zabrać te kobiety do domu Gaballufixa.

— Posłuchajcie go — ciągnęła Hushidh. — On nie jest Gaballufixem. Dlaczego słuchacie jego rozkazów?

To przepełniło czarę. Większość pozostałych żołnierzy też zdarła z siebie maski i pozostawiła holograficzne kostiumy na werandzie domu Rasy, uciekając niezdarnie z miejsca swojego upokorzenia.

Rash stał sam w wejściu. Teraz cała scena uległa zmianie. Nie potrzeba było interpretatorki, by dostrzec, że władza i godność należą teraz do Rasy, a Rash jest bezradny, słaby i osamotniony. Spojrzał na kostiumy leżące przy jego nogach.

— No właśnie — powiedziała Hushidh. — Ukryj twarz. Nikt nie chce już więcej jej oglądać, a najmniej ty.

Rashgallivak tak zrobił: pochylił się, zgarnął z ziemi jeden kostium i przerzucił go sobie przez ramię; ciepło i magnetyzm jego ciała uaktywniły kostiumy, które nadal miały zasilanie, i nagle już nie był Rashgallivakiem, lecz raczej takim samym jednolitym obrazem fałszywej męskości jak wszyscy żołnierze Gaballufixa. Potem odwrócił się i uciekł tak jak jego ludzie, tak samo przygarbiając ramiona w pozie pokonanego. Żaden pobity przez rywala pawian nie mógłby się prezentować nędzniej niż Rash, kiedy uciekał.

Hushidh wyczuła tworzącą się wokół niej sieć lęku połączonego z podziwem; poczuła mrowienie, uświadamiając sobie, że mieszkające w domu dziewczyny i kobiety wpatrują się w nią z ciętym zachwytem — a przede wszystkim, że Sevet i Kokor czują do niej szacunek. Kokor, próżna Kokor, która teraz patrzyła na nią z wyrazem lęku na twarzy. I Sevet, okrutnie kpiąca z niej przez tyle lat, patrzyła teraz na Hushidh oczami wypełnionymi łzami, wyciągając ku niej błagalnie ręce, usiłując wymówić „Dziękuję, dziękuję, dziękuję”.

— Coś ty zrobiła? — szepnęła Rasa.

Hushidh nie rozumiała, o co chodzi. Przecież to oczywiste, co zrobiła.

— Zdruzgotałam Rashgallivaka — odrzekła. — Już nie jest dla ciebie zagrożeniem.

— Głupia, głupia dziewczyna — powiedziała Rasa. — W Basilice są tysiące tych łotrów. Są ich tysiące, a teraz jedyny człowiek, który mógłby nad nimi zapanować, obojętne jaki był słaby, jest złamany i przegrany. Zanim zapadnie zmierzch, wszyscy ci żołnierze będą robić, co im się podoba, i któż ich powstrzyma?

Hushidh od razu przestała doznawać uczucia zwycięstwa. Wiedziała, że Rasa ma rację. Obojętne, jak wyraźnie widziała wszystko w obecnej chwili, nie przewidywała poważniejszych konsekwencji swojego postępowania. Ci ludzie już nie będą się kierować pragnieniem zaskarżenia sobie szacunku, gdyż służenie Rashgallivakowi już nie będzie uważane za rzecz godną poszanowania. Zatem co zrobią? Będą się panoszyć w mieście, żołnierze usiłujący udowodnić swoją siłę i władzę, i nic nie będzie w stanie nakierować ich na jakiś pożyteczny cel.

Hushidh przypomniała sobie hologramy małych, jak popisywały się, potrząsały gałęziami, napadały na siebie, były słabsze znajdujące się w zasięgu ręki. Miotający się ludzie będą znacznie bardziej niebezpieczni.

— Wprowadźcie moje córki — powiedziała Rasa do pozostałych. — A potem zamknijcie okiennice. Zabezpieczcie dom. Tak jakby miała nadejść burza. Bo nadchodzi.

Następnie Rasa wyszła na werandę, wkraczając między córki.

— Dokąd idziesz, Mamo! — lamentowała Kokor. — Nie zostawiaj nas!

— Muszę ostrzec kobiety w mieście. Dziś wieczorem na ulicach grasują potwory. Straż nie będzie w stanie ich opanować. Musi zabezpieczyć to, co się da, a potem skryć się przed pożarami, które zapłoną tu dziś w ciemności.

* * *

Żołnierze Moozha byli wyczerpani, ale kiedy późnym popołudniem przekroczyli przełęcz i zobaczyli dym w oddali, ruszyli z nową energią. Tak jak i Moozh wiedzieli, że płonące miasto to miasto, które nie będzie się bronić. Zresztą wiedzieli, że osiągnęli coś niezwykłego, pokonując taką odległość pieszo. I choć armia liczyła zaledwie tysiąc żołnierzy, wiedzieli, że w razie zwycięstwa ich nazwiska przetrwają wieki, jeśli nie pojedynczo, to jako część Tysiąca Moozha. Już słyszeli, jak wnuki pytają ich: „Czy to prawda, że przeszliście z Khlam do Basiliki w dwa dni i tego samego wieczora zdobyliście miasto, nie odpoczywając i nie tracąc ani jednego człowieka?”

Oczywiście, ta ostatnia część opowieści jeszcze nie była przesądzona. Kto wiedział, jaka sytuacja panuje w Basilice? A co, jeżeli żołnierze Gaballufixa już umocnili swoje pozycje w mieście i byli teraz przygotowani, by ich bronić? Żołnierze Gorayni dobrze wiedzieli, że żywności już im nie starczy na kolejny posiłek; jeśli nie zdobędą miasta dziś wieczorem, będą musieli przerwać swój przymusowy post rano i podbić miasto za dnia — albo uciec haniebnie do Miast Równiny, gdzie wrogowie zobaczą, jak niewielu ich w rzeczywistości jest, i potną ich na kawałki, zanim Gorayni zdążą wrócić na północ. A więc tak, zwycięstwo było możliwe — lecz również konieczne, i to natychmiast.

Dlaczego więc czuli się tacy pewni siebie, kiedy rozpacz byłaby bardziej zrozumiała? Ponieważ wchodzili w skład Tysiąca Moozha, a on nigdy nie przegrał. Nie było lepszego generała w historii Gorayni. Dbał o swoich ludzi; pokonywał wrogów nie poprzez wysyłanie swoich żołnierzy na krwawe jatki, ale poprzez manewry i zręczne ciosy, izolując wroga, adcinając dostawę zapasów, rozdzielając jego siły i tak dezorientując generałów przeciwnika, że zaczynał głupio ryzykować tylko po to, żeby zakończyć bitwę i powstrzymać ten nie kończący się, przerażający balet. Jego żołnierze nazywali te szybkie marsze „Tańceniem z Moozhem”; wiedzieli, że poprzez forsowanie ich nóg Moozh ratuje ich yatsę. D tak, kochali go — czynił ich zwycięzcami, nie wysyłając zbyt wielu z nich do domu w postaci woreczka z prochami.

Nawet szeptano w szeregach, że ich ukochany Moozh to p r a w d z i w e wcielenie Boga, i choć zwykle nikt nie mówił tego głośno — przynajmniej w zasięgu słuchu orędownika — to podczas tego marszu, gdy nie było orędownika, szeptano o tym znacznie częściej. Facet z tłustą dupą w Gollodzie nie był żadnym wcieleniem Boga w świecie, w którym żył p r a w d z i w y mężczyzna taki jak Vozmuzhalnoy Vozmozhno!

W odległości kilometra od Basiliki usłyszeli odgłosy dochodzące z miasta — przeważnie krzyki, unoszone na wietrze, który przywiewał teraz do nich dym. Żołnierze otrzymali rozkaz: niech każdy zetnie przynajmniej tuzin gałęzi, abyśmy mogli rozpalić dość dymiących ognisk, by wróg pomyślał, że jest nas sto tysięcy. Ogołocili drzewa przy drodze, po czym poszli za Moozhem krętym szlakiem prowadzącym z gór na pustynię. Światło księżyca było zdradliwym

przewodnikiem, zwłaszcza gdy dźwigali tyle gałęzi, ale mimo iż wielu się przewracało, niewielu odniosło rany, i w ciemności rozproszyli się na pustyni w dużych odległościach od siebie, pozostawiając olbrzymie puste przestrzenie między grupkami ludzi. Ułożyli stosy z gałęzi i na dźwięk trąbki — któż mógł go usłyszeć w mieście? — rozpalili ogniska. Pozostawiając przy każdym ognisku jednego człowieka, który miał dodawać gałęzi w celu podtrzymania ognia, reszta armii zebrała się za Moozhem i zaczęła maszerować — tym razem w czterech kolumnach ramie przy ramieniu, jak gdyby byli śmiałą awangardą ogromnej armii — szeroką płaską drogą w kierunku szczeliny w wysokich murach miasta.

Jeszcze zanim dotarli do murów, znaleźli się w środku prawdziwego miasta. Mężczyźni biegali tam i krzyczeli — wielu z nich było wyraźnie w bardzo dobrym nastroju wskutek wypitego wina — ale kiedy zobaczyli armię Moozha maszerującą ich ulicą, umilkli i wycofali się w cień. Jeżeli któremukolwiek Gorayni brakowało przedtem pewności siebie, teraz jej nabrał, ponieważ widać było, że basilikanscy mężczyźni nie zaliczali się do walecznych. Ich odwaga sprowadzała się do pyszałkowatości po pijanemu.

Kiedy zbliżyli się do bramy, usłyszeli szcęk metalu świadczący o walce. Pokonawszy wzniesienie, ujrzeni bitwę między ludźmi ubranymi w takie same mundury jak zabity przez Moozha zamachowiec i innymi, którzy mieli przerażająco identyczny wygląd — nie tylko ich ubranie, ale nawet twarze były takie same!

Wśród szeregów rozeszła się wieść: ludzie w mundurach basilikańskiej straży prawdopodobnie będą naszymi sojusznikami; naszymi prawdziwymi wrogami są ci w maskach. Nie zabijać jednak nikogo, dopóki Moozh nie wyda rozkazu.

Dotarli do płaskiego, pustego obszaru przed bramą i szybko się rozdzielili na dwa rzędy po lewej stronie i dwa po prawej, aż otoczyli bramę półkolem. Na środku półkola stanął sam Moozh.

— Gorayni, wyciągnijcie broń!

Moozh wydał rozkaz bardzo donośnym głosem — najwidoczniej chciał, żeby usłyszeli go zarówno ludzie walczący przy bramie, jak i jego żołnierze, którzy normalnie otrzymaliby rozkaz szeptem.

Walka przy bramie przycichła. Ludzie w mundurach basilikańskiej straży — kilku z nich rzeczywiście dzielnie się broniło — zobaczyli wojsko Gorayni i popadli w rozpacz. Przypadli do ściany, niepewni tego, z którym wrogiem mają walczyć, lecz pewni tego, że zginą przed upływem godziny.

Na środku bramy, widząc odwrót swoich wrogów, żołnierze o identycznych twarzach też stanęli, niepewni, co dalej robić.

— Jesteśmy Gorayni. Przyszliśmy pomóc Basilice, a nie podbijać miasto! — zawołał Moozh. — Spójrzcie na pustynię i zobaczcie armię, którą moglibyśmy sprowadzić, by przedrzeć się przez bramy waszego miasta!

Moozh trafnie wybrał bramę — wszyscy Basilikanie, strażnicy i najemnicy Palwashantu, mogli stąd zobaczyć co najmniej sto ognisk, które były rozproszone na szerokiej polaci pustyni.

— Przeprowadziłem tu jednak tylko pięciuset żołnierzy!

Oczywiście skłamał; jego ludzie uśmiechnęli się w duchu, ponieważ po raz pierwszy zaniżył liczbę żołnierzy o czterysta, a nie — jak to zazwyczaj robił — o czterdzieści tysięcy.

— Przyszliśmy was zapytać — ciągnął — czy Miasto Kobiet, Miasto Pokoju, chciałoby skorzystać z naszych usług, by stłumić niepokoje wewnętrzne. Wejdziemy do miasta, będziemy mu służyć zgodnie z waszą wolą, a po zakończeniu naszego zadania odejdziemy. Mówię w imieniu generała Vozmuzhalnoya Vozmozhno!

Nie było powodu informować ich, że najstraszniejszy generał na zachodnich wybrzeżach Morza Przyziemnego właśnie stoi u bram ich miasta, ze schowaną szpadą i armią liczącą zaledwie

dziewięciuset ludzi. Niech myślą, że sam generał obozuje wraz z dziesiątkami tysięcy żołnierzy przy wielkich ogniskach na pustyni!

— Panie! — zawołał jeden strażnik. — Widzisz, z kim masz do czynienia! Jesteśmy strażnikami miasta, ale jak możemy się dowiedzieć, jaka jest wola naszej rady, kiedy walczymy o życie z tymi obłąkanymi przestępcami!

— To my jesteśmy teraz władcami Basiliki! — krzyknął jeden z identycznie wyglądających najemników Palwashantu. — Nie będziemy już słuchać rozkazów kobiet! Nie damy się już zmuszać do pozostawiania poza miastem, które zgodnie z prawem jest nasze! Teraz rządzą tym miastem w imię Gaballufixa!

— Gaballufix nie żyje! — krzyknął oficer straży. — I nie rządzi wami żaden mężczyzna!

— W imię Gaballufixa to miasto jest nasze!

Po tym oświadczeniu najemnicy pomachali bronią i krzyknęli.

— Ludzie Gaballufixa! — zawołał Moozh. — Znamy imię waszego nieżywego przywódcy!

Najemnicy ponownie wznieśli okrzyki wiwatowe.

— Wiemy, jak uhonorować Gaballufixa! — wykrzyknął Moozh. — Chodźcie i stańcie przy naszym boku, a my wam damy miasto, na które zasługujecie!

Wiwatując, najemnicy wybiegli z bramy w kierunku Gorayni. Basilikańscy strażnicy cofnęli się do murów, trzymając broń w gotowości. Kilku zaczęło przekradać się na boki, mając nadzieję uciec, ale większość, ratując honor straży, pozostała na miejscu, przygotowana umrzeć w trakcie spełniania obowiązku. Żołnierze Moozha zwrócili na to uwagę; gdyby doszło do rozrachunku, będą traktować strażników z szacunkiem.

Z kolei ci najemnicy, którzy znajdowali się najbliżej Gorayni, podchodzili z opuszczonymi szpadami, przygotowani uściskać tych przybyszów jak braci. Napotkali jednak wycelowane w nich szpady, piki i łuki, i stopniowo w całym tłumie zapanowało zamieszanie.

Moozh stał przez cały czas w tym samym miejscu, tylko że teraz otaczali go najemnicy i był odcięty od swojego wojska. Nawet w najmniejszym stopniu nie okazywał trwogi, choć jego ludzie czuli się bardziej niż trochę niespokojni. Ku ich konsternacji Moozh zaczął się przedzierać przez tłum, nie w kierunku swoich żołnierzy, lecz w drugą stronę, ku bramie. Najemnicy wydawali się zadowoleni z tego faktu — był to znak, że zamierzał ich poprowadzić.

Moozh wkroczył na otwartą przestrzeń na środku bramy, zwrócony plecami do najemników.

— Ach, Basiliko — odezwał się głośno, lecz nie tonem rozkazującym. — Ileż to razy marzyłem, żeby stanąć w twojej bramie i zobaczyć twoje piękno na własne oczy!

Następnie odwrócił się twarzą do oficera straży, który z wyciągniętą szpadą stał na posterunku przy bramie. Moozh odezwał się do niego ściszym głosem:

— Mój przyjacielu, czy Basilika uznałaby to za wielką przysługę, gdyby tych kilkuset szkaradnych bliźniaków zginęło w tej chwili na miejscu?

— Sądzę, że tak — odparł oficer, ponownie zdezorientowany, lecz również ucieszony z powodu nowej nadziei.

Moozh odwrócił się z powrotem do tłumu — i swoich żołnierzy za nim.

— Niech każdy, kto miłuje imię Gaballufixa, uniesie swoją szpadę wysoko!

Większość najemników — wszyscy z wyjątkiem najostrożniejszych — uniosła broń. Ledwie to jednak zrobili, Moozh wyciągnął swoją szpadę z pochwy.

To był sygnał. W jednej chwili wystrzelono trzysta strzał i wszyscy ludzie na skraju tłumu — z uniesionymi ramionami, dzięki czemu każda strzała trafiła ich w korpus — upadli; większość z nich otrzymała wiele ran. Z grzmiącym okrzykiem Gorayni rzucili się na niedobitki najemników i po zaledwie kilku minutach rzeź dobiegła końca. Gorayni natychmiast sformowali się ponownie w szeregi, stojąc przed zwłokami nieżywych wrogów.

Moozh zwrócił się do oficera straży.

— Jak się nazywasz, panie?

— Kapitan Bitanke, panie.

— Kapitanie Bitanke, pytam jeszcze raz: czy Basilika chętnie widziałaby naszą pomoc w przywróceniu porządku na tych pięknych ulicach? Mam ze sobą list od lady Rasy; czy znasz jej nazwisko?

— Owszem, panie — odparł Bitanke.

— Napisała do mnie z prośbą o pomoc dla swojego miasta. Przyszedłem i teraz z szacunkiem proszę o pozwolenie na wprowadzenie tych ludzi przez wasze bramy, aby służyli jako oddziały pomagające wam opanować przemoc na ulicach Basiliki.

Bitanke uklonił się, po czym otworzył wartownię w bramie i wszedł do środka. Moozh zauważył, że Bitanke wpisuje coś do komputera. Po pewnym czasie kapitan wyszedł na zewnątrz.

— Panie, powiedziałem im, co tu zrobiłeś. Sytuacja naszego miasta jest rozpaczliwa, a ponieważ przychodzisz w imieniu lady Rasy i udowodniłeś, że chcesz pokonać naszych wrogów, rada miasta i strażnicy zapraszają cię do środka. Czasowo podlegasz bezpośrednio moim rozkazom, jeśli zechcesz podporządkować się żołnierzowi takiemu niskiemu stopniem, zanim stworzony zostanie bardziej uporządkowany system.

— Panie, salutuję tobie z powodu twojej odwagi i honoru, a nie stopnia, i dlatego przyjmę twoje przywództwo — powiedział Moozh. — Czy wolno mi zaproponować podział moich żołnierzy na sześciuosobowe oddziały i upoważnienie ich do karania wszystkich ludzi, których zachowanie uznają za powodujące zamieszanie? W każdym przypadku będziemy respektować tych, którzy noszą wasz mundur; wszystkich innych, którzy wyciągną broń lub będą chcieli użyć przemocy wobec nas lub jakiegokolwiek kobiety w mieście, zabijemy na miejscu i powiesimy na widoku publicznym, aby zniechęcić innych do stawiania dalszego oporu!

— Nie jestem pewien co do wieszania, panie — powiedział Bitanke.

— A więc postanowione, znamy już swoje rozkazy! — Ignorując wahanie kapitana Bitanke, Moozh zwrócił się do swoich żołnierzy. — Żołnierze Gorayni, twórcie szóstki!

W szeregach natychmiast zapanował ruch i nagle powstało sto pięćdziesiąt sześciuosobowych oddziałów.

— Nie krzywdźcie żadnej kobiety! — zawołał Moozh. — A wszystkich ludzi w tym odrażającym przebraniu powieście, nie zdejmując im masek i tak dalej, aż nikt nie ośmieli się go nosić ani w dzień, ani w nocy!

— Panie, uważam...

Ale Moozh już wykonał ręką ruch i jego żołnierze wbiegli truchtem do miasta. Bitanke podszedł do Moozha, być może po to, by zaprotestować, ale Moozh powitał go uściskiem, który uniemożliwił mu rozmowę.

— Proszę, mój przyjacielu, wiem, że twoi ludzie są wyczerpani, ale czy nie można by ich wykorzystać z jakimś pożytkiem? Na przykład, myślę, że tej wiosce za miastem przydałaby się mała czystka. A jeśli chodzi o nas, to powinniśmy skierować nasze kroki do władz, abym mógł otrzymać rozkazy od rady miasta.

Jeżeli kapitan Bitanke miał dotychczas jakieś obawy, rozwiały je uścisk i uśmiech Moozha. Bitanke wydał rozkazy i jego ludzie rozproszyli się w dzielnicy Psi Rewir. Potem Moozh wkroczył za nim do miasta.

— Podczas gdy moi ludzie będą przywracać porządek, my musimy zająć się ugaszeniem pożarów — powiedział Moozh. — Czy możesz wezwać pozostałych strażników miasta za pomocą komputera?

— Tak, panie.

— Nie wypada mi mówić, co masz robić, ale jeśli twoi ludzie są w stanie ochronić strażaków, może uda nam się zapobiec spaleniu Basiliki, nim nadejdzie świt.

— Jak sądzisz, czy reszta waszych ludzi mogłaby tu przyjść i nam pomóc?

Moozh wybuchnął śmiechem.

— Och, generał Vozmuzhalnoy Vozmozhno nigdy by na to nie pozwolił. Gdyby taka armia przyszła pod wasze bramy, ktoś w Basilice mógłby się obawiać, że zamierzaliśmy podbić miasto. Przyszliśmy tu, żeby zapewnić wam naszą ochronę, a nie rządzić wami, mój przyjacielu! Nie sprowadzimy więc ani jednego dodatkowego żołnierza oprócz tych pięciuset.

— Naddusza musiał nam zesłać ciebie, panie — powiedział kapitan Bitanke.

— Podziękuj tylko lady Rasie — odparł Moozh. — Jej i jednemu waszemu dzielnemu strażnikowi, który, o ile pamiętam, nazywa się Smelost.

— Smelost — szepnął Bitanke. — Był moim drogim przyjacielem.

— Z radością ci zatem mówię, że został godnie przyjęty przez generała Vozmuzhalnoya Vozmozhno, który po otrzymaniu od niego informacji nie zwlekał z działaniem i przyjściem twojemu miastu z pomocą.

— Przyszedłeś we właściwym momencie — powiedział Bitanke. — Zamieszki zaczęły się zeszłej nocy i trwały przez cały dzień, i obawiałem się, że jutro rano miasto będzie spalone na popiół, a wszystkie zaciekle kobiety w Basilice popadną w rozpacz albo jeszcze gorzej.

— Zawsze mnie cieszy, kiedy jestem posłańcem nadziei — rzekł Moozh.

Szli teraz ulicą, po obu jej stronach stały domy i sklepy. Nikt się tam jednak nie kręcił, światła świeciły z wielu okien na piętrach. Jedyną oznaką rozruchów było potłuczone szkło na ulicy, zbite szyby sklepowe i zwłoki najemników, które nadal ubrane w holograficzne kostiumy zwisały jak woły z balkonów na piętrach. Bitanke patrzył na nie z lekkim przerażeniem, kiedy wraz z Moozhem szedł ulicą.

— Jak długo będą działać te maski? — zapytał Moozh.

— Przypuszczam, że do chwili, aż... ciała ostygną. Słyszałem, że uruchamiają się pod wpływem ciepła i magnetyzmu ciała.

— Ach — skomentował Moozh.

— Czy mogę zapytać, jak twoi ludzie zdołali ich powiesić? Nie widzę sznurów i nie ma tu żadnych... urządzeń do wieszania ludzi na ulicach.

— Sam nie wiem — odparł Moozh. — Zdejmijmy któremuś kostium i zobaczmy.

Bitanke ostrożnie wyciągnął rękę do góry i pociągnął za kostium najbliższej zwisających zwłok. Kiedy peleryna spadła, holograficzna osłona natychmiast zniknęła i z łatwością można było dostrzec, że ofiara została przybita do ściany za pomocą noża przechodzącego przez kark.

— To jego nóż, nie sądzisz? — zapytał Moozh.

— Chyba tak — odrzekł Bitanke.

— Niezbyt solidna robota — stwierdził Moozh, popychając lekko ciało. — Przypuszczam, że jeśli dziś wieczorem powieje wiatr, większość tych zwłok pospada do rana. Trzeba będzie jak najszybciej je uprzątnąć, bo będziemy mieli dość poważny problem z psami.

— Tak, panie — przyznał Bitanke.

— Nigdy nie widziałeś trupa? — zapytał Moozh. — Wyglądasz trochę niezdrowo.

— Och, widziałem już wiele trupów, panie — odparł Bitanke. — Po prostu nigdy nie słyszałem, żeby ktoś... potraktował je w taki sposób... Wolałbym, żeby twoi ludzie nie...

— Nonsens. Te zwisające zwłoki są bardzo przydatne. Wszyscy uczestnicy rozruchów, których przeoczyli moi żołnierze — na pewno jest kilku, którzy akurat korzystają z toalety, nie sądzisz? — wyjdą na zewnątrz, zobaczą, jaki panuje spokój, dostrzegą ciała i od razu stracą zapał do walki. Bitanke zachichotał.

— Tak przypuszczam.

— A widzisz? — powiedział Moozh. — Tym sposobem ci niefortunni chłopcy mogą odpokutować winę za swój występki, pilnując za nas ulic przez całą noc. Popraw mnie, jeśli się mylę, kapitanie Bitanke, ale nikt nie będzie po nich zbyt płakał, prawda?

Nim upłynęła godzina, Moozh spotkał się z radą miasta. Tymczasem stu żołnierzy doglądających ognisk zajęło pozycje przy wszystkich bramach miasta, stając u boku strażników w tych niewielu przypadkach, gdy ci byli na posterunkach przy bramie. Nie kłócili się; żaden żołnierz Gorayni nie wdał się w bójkę z żadnym strażnikiem miasta.

Spotkanie Moozha z radą miasta przebiegło spokojnie i obie strony zawarły układ, że Moozh będzie miał nieograniczony dostęp do wszystkich dzielnic miasta — nawet tych, które normalnie były zastrzeżone tylko dla kobiet, ponieważ to właśnie tam szerzyły się największe pożary i rabusie poczynali sobie najśmielej — ale po upływie dwóch i pół dnia wycofa swoich żołnierzy do kwater poza miastem, gdzie będą otrzymywać obfite zapasy i hojne nagrody ze skarbca miasta. Był to cudowny sojusz, przypieczętowany wieloma pochwałami i wyrazami bardzo szczerej wdzięczności.

Niewielu mieszkańców Basiliki uświadomił to sobie w ciągu kilku następnych dni, ale w chwili, gdy Moozh opuszczał spotkanie, jego podbój miasta stał się faktem.

* * *

Nafai jak najrzadziej odzywał się do Elyi i Meba, kiedy wyruszyli w podróż do Basiliki. Milczenie wcale nie poprawiło ich nastawienia do niego, ale oznaczało, że chłopiec nie musi się z nimi kłócić ani stosować jakichś uników, by uniknąć kłótni. Mógł rozmyślać w spokoju.

Mógł rozmawiać z Nadduszą.

Jak gdyby to, co mówi do starego komputera, miało jakieś znaczenie. Przez kilka dni wyobrażał sobie, że on i Naddusza współpracują ze sobą. Naddusza pokazał mu swoje wspomnienia dotyczące Ziemi, wyjaśnił cel swojego istnienia, aby próbować powstrzymać planetę Harmonia przed powtórzeniem nieszczęśliwej historii samozagłady Ziemi. Nafai zgodził się służyć temu celowi. Nafai stanął nad pijanym mężczyzną na ulicy — jego wrogiem — i nigdy nie przyszłoby mu do głowy, by zabić tego leżącego, bezradnego człowieka, ile Naddusza kazał mu to zrobić i Nafai spełnił polecenie. Nie dlatego, że sam Gaballufix był mordercą, który zasługiwał a śmierć. A więc dlaczego? Ponieważ Nafai wierzył Nadduszy, zgadzał się z Nadduszą, że zabijając tego człowieka może pomóc uratować cały świat.

Popelniał to przestępstwo, skrwawił sobie ręce dla sprawy Nadduszy, a ten gdzie się teraz podziewał? Nafai wyobrażał sobie, że teraz istnieje między nim i Nadduszą jakiś szczególny związek. Czyż Indeks nie przemówił do niego, Ojca Issiba? Ojciec i Issib tylko częściowo pojęli przesłanie Nadduszy — zrozumieli, że Naddusza zamierza ich zabrać w długą podróż do cudownego miejsca, gdzie Issib znów gdzie mógł korzystać ze swoich lotek i nie będzie przykuty o swojego krzesła. Ale tylko Nafai zrozumiał, że miejsce, z którego Naddusza zamierza ich zaprowadzić, nie znajduje się na planecie Harmonia — że Naddusza chce ich zabrać z powrotem na Ziemię. Po czterdziestu milionach lat zamierza ich zabrać do domu, na Ziemię.

Od tamtej jednak pory Indeks był tylko przewodnikiem do olbrzymiego banku pamięci. Ojciec i Issib studiowali go wraz z Nafaiem, ale przez cały czas Nafai czekał na jakieś słowo — skierowane do nich wszystkich lub być może tylko do niego. Może jakieś specjalne, prywatne przesłanie, jakieś słowo zachęty. Spełnienie obietnicy, którą Naddusza złożył wtedy, gdy przemawiając za pośrednictwem krzesła Issiba powiedział, że wybrał Nafaia na przywódcę w gronie jego braci.

„Czy jestem wybrany, Nadduszo? Dlaczego zatem nie widzę skutków twojego wyróżnienia?

Popelnilem dla ciebie morderstwo, a jednak twojej wizji naszych żon doznał Elemak. I co zobaczył? Że wybrałeś Eiadh dla niego! A więc coś mi przyszło z twojego wyróżnienia? Teraz rozmawiasz z Elemakiem, który spiskował z Gaballufixem, który próbował mnie zabić; teraz dajesz mi kobietę, której ja od tak dawna pragnę — dlaczego to on doznał tej wizji, a nie ja? Teraz zostałem upokorzony przed nimi wszystkimi. Będę musiał przełknąć obelgę, słuchać rozkazów Elyi i robić to, co będzie chciał. Będę musiał patrzeć, jak Elya zabiera tę słodką i piękną dziewczynę, która od tak dawna gości w moich marzeniach. Dlaczego mnie nienawidzisz, Nadduszo? Cóż ja takiego uczynilem? Przecież służę ci i wykonuję twoje polecenia”.

Wielbłądy wgramoliły się leniwie na wzniesienie i Elemak poprowadził je wzdłuż krawędzi przepaści. Nafai ogarnął wzrokiem krajobraz i zobaczył dzikie, ostre jak nóż góry i turnie, tylko tu i ówdzie urozmaicone odrobiną szarozielonego pustynnego listowia. „Naddusza obiecał mi życie, obiecał mi wielkość, chwałę i radość, a oto jestem tu na pustyni, podążając za moimi braćmi, którzy spiskowali z wrogami Ojca i — rozmyślnie lub nie — wystawili go na śmierć. Pomogłem Nadduszy uratować życie Ojca i oto gdzie teraz jestem.”

„Tak, oto gdzie jesteś”.

Chwilę trwało, zanim Nafai uświadomił sobie, że jest to głos Nadduszy, ponieważ odezwał się w umyśle Nafaia, jakby był jego własną myślą. Syn Wetchika jednak wiedział ze swoich nielicznych doświadczeń, że ta myśl pochodzi z zewnątrz, choćby dlatego, że wydawała się odpowiedzią na jego rozważania.

Z kolei on odpowiedział Nadduszy — i to bez jakiegoś szczególnego szacunku. „Och, oto gdzie ty jesteś”, powiedział po cichu, z sarkazmem. „Zauważyłeś mnie ponownie? Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci kłopotu”.

„Bardzo się o ciebie troszczę”.

„Na przykład, przeznaczając Eiadh dla mojego brata zamiast dla mnie”.

„Eiadh nie jest dla ciebie”.

„Dzięki za pomoc”, powiedział po cichu Nafai. „Dzięki za to, że dałeś mi takie nędzne karty w tej rozgrywce z moimi braćmi”.

„Całkiem nieźle ci pomagam, Nafaiu”.

„Może nie oceniam cię tak wysoko, jak ty sam. Zabiłem dla ciebie człowieka”.

„I przez cały czas w trakcie tej podróży ratuję ci życie”.

Ta myśl zaskoczyła Nafaia. Mimowolnie wyprostował się i rozejrzał dokoła.

„Przez cały czas w trakcie tej podróży odwodzę ich od zamiaru pozbawienia cię życia”.

Strach i nienawiść równocześnie chwyciły Nafaia za gardło i wywołały u niego ściskanie w dołku. Czuł, jak oba te doznania kotłują się w nim niczym zamieszkujące jego ciało zwierzątka.

„Dobrze, że zachowujesz milczenie”, powiedział Naddusza. „Dobrze, że ich nie sprowokowałeś czy nawet nie przypomniałeś im, że towarzyszysz im podczas tej podróży. Ponieważ mój wpływ w ich umysłach, mimo że silny, nie jest absolutny. Gdyby zawrzał w nich gwałtowny gniew przeciw tobie, jak bym ich powstrzymał? Nie mam teraz krzesła Issiba, którym mógłbym się posłużyć”.

Nafai poczuł strach oraz pragnienie powrotu do namiotu Ojca. Równocześnie był urażony i rozzłoszczony na swoich braci. „Dlaczego wciąż mnie nienawidzą? Czym ich skrzywdziłem?”

„Głupi dzieciak. Zaledwie przed chwilą pragnąłeś, abym nagroził cię za twoją lojalność wobec mnie, dając ci władzę nad braćmi. Czy myślisz, że oni nie widzą twojej ambicji? Za każdym razem, kiedy do ciebie przemawiam, nienawidzą cię coraz bardziej. Za każdym razem, kiedy na twarzy twojego ojca pojawia się wyraz zachwyty z powodu twojej bystrości, dobroci serca, nienawidzą cię coraz bardziej. A kiedy zobaczą, że pragniesz przywilejów najstarszego syna...”

„Nie pragnę!”, wykrzyknął po cichu Nafai. „Nie chcę zająć miejsca Elemaka... Chcę, żeby mnie kochał, chcę, żeby był dla mnie prawdziwym starszym bratem, a nie potworem, który

pragnie mojej śmierci”.

„Tak, chcesz, żeby cię kochał... i chcesz, żeby cię szanował... i pragniesz zająć jego miejsce. Czy myślisz, że jesteś uodporniony na drzemące w tobie pierwotne instynkty? Urodziłeś się, żeby wieść prym w plemienu inteligentnych zwierząt — on też. Ale nim rządzi ten głód, natomiast ty, Nafaiu, czy nie możesz być cywilizowaną istotą, czy nie możesz stłumić w sobie tych zwierzęcych odruchów i pomóc mi osiągnąć znacznie wyższy cel od ustalenia, kto będzie przewodnim samcem w grupie wyprostowanych pawianów?”

Nafai poczuł, jakby go obnażono przed wrogami. „Jeśli nie jestem lepszy od Elemaka, od pierwszego lepszego pawiana mieszkającego nie opodal namiotu Ojca, to dlaczego mnie wybrałeś?”

„Ponieważ jesteś lepszy i chcesz być jeszcze lepszy”.

„A więc pomóż mi. Pomóż mi stłumić moje mroczne pragnienia. A skoro już o tym mowa, pomóż też Elemakowi. Pamiętam go, kiedy był młodszy. Wesoły, kochający, życzliwy. Wiem, że jest kimś więcej niż tylko ambitnym zwierzęciem, nawet jeśli sam o tym zapomniał”.

„Wiem o tym”, powiedział Naddusza. „Jak myślisz, dlaczego zesłałem ten sen Elemakowi? Aby miał szansę obudzić się na mój głos. Jest podobnie wrażliwy jak ty. Ale zdecydował się nienawidzić mnie, w miarę swoich możliwości mieszać mi szyki. Tak więc mój głos nic dla niego nie znaczy. Tym razem jednak mogłem mu powiedzieć coś, co chciał usłyszeć. Mieliśmy zbieżne cele. Jak myślisz, ile by było warte twoje życie, gdybym tobie pokazał, kto powinien być jego żoną? Czy sądzisz, że przyjąłby Eiadh z twojej ręki?”

„Nie dałbym mu Eiadh”.

„A więc zignorowałbyś mnie. Zbuntowałbyś się przeciwko mnie. Wmawiasz sobie, że zabiłeś Gaballufixa tylko dlatego, iż służysz mnie i mojemu szlachetnemu celowi... ale z drugiej strony chętnie zbuntujesz się przeciwko mnie i pokrzyżujesz moje plany, ponieważ pragniesz kobiety, która zniszczyłaby ci życie”.

„Nie wiesz tego. Może jesteś bardzo inteligentnym komputerem, Nadduszo, ale nie potrafisz przewidzieć przyszłości”.

„Znam ją tak, jak ciebie, od wewnątrz. I jeśli kiedykolwiek ją poznasz, zrozumiesz, że nigdy nie mogłaby być twoją żoną”.

„Czy chcesz przez to powiedzieć, że Eiadh jest w głębi duszy zła?”

„Mówię tylko, że ona żyje w świecie, którego środkiem ciężkości jest ona sama. Jej jedynym celem są jej własne pragnienia. Ale ty, Nafaiu, nigdy nie będziesz zadowolony, dopóki w swoim życiu nie osiągniesz czegoś, co zmieni świat. Daję ci tę możliwość, jeśli masz tyle cierpliwości, by mi zaufać, dopóki nie nadejdzie na nią czas. Dam ci również żonę, która będzie mieć takie same marzenia, która pomoże ci, a nie będzie cię rozpraszać”.

„Zatem kim jest moja żona?”

W jego umyśle pojawił się obraz Luet.

Nafai wzdrygnął się. Kiedyś pomogła mu uciec i uratowała mu życie, ryzykując własnym. Zabrała go do jeziora kobiet i wprowadziła w obrzędy, w których zgodnie z prawem tylko kobietom wolno było uczestniczyć. Za przyprowadzenie go w tamto miejsce mogła ponieść śmierć, wraz z nim; zamiast tego stawiała czoło kobietom i przekonała je, że taka była wola Nadduszy. Nafai pływał z nią we mgle na granicy między gorącymi i zimnymi wodami jeziora, i Luet przeprowadziła go przez Leśne Bezdroża, za Bramę Prywatną, wyrwę w murze Basiliki, o której do tej pory wiedziały tylko kobiety.

A wcześniej Luet przyszła w środku nocy do domu Ojca, daleko poza miastem — przyszła z narażeniem własnego życia — tylko po to, żeby go ostrzec, że wrogowie Ojca planują jego zabójstwo. Przyspieszyła ich wyprawę na pustynię.

Nafai wiele jej zawdzięczał. I lubił ją — była dobra, prostolinijna i słodka. Dlaczego więc nie mógł o niej myśleć jako o żonie? Dlaczego wzdragał się na tę myśl?

Ponieważ była wodną wieszczką.

Wodna wieszczka — dlatego nie chciał jej poślubić. Ponieważ zaczęła doznawać wizji od Nadduszy znacznie wcześniej od niego; ponieważ miała siłę i mądrość, o których on nawet nie mógł marzyć. Ponieważ była lepsza od niego we wszystkim, co mu przyszło do głowy. Ponieważ jeśli zostaną partnerami w tej podróży na Ziemię, Luet będzie słyszała głos Nadduszy lepiej od niego; będzie знаła drogę, podczas gdy on będzie zupełnym ignorantem. Kiedy dla niego wszystko będzie ciszą, ona będzie słyszeć muzykę; kiedy on będzie ślepy, ona będzie widzieć światło. „Nie mogę tego znieść, partnerstwa z kobietą, która nie będzie miała podstaw, by mnie szanować, ponieważ cokolwiek zrobię, nie będzie to nic, czego ona już przedtem nie uczyniła, i potrafi to zrobić lepiej”.

„A więc... w sumie nie chciałeś żony. Chciałeś czcicielki”.

Uświadamiając to sobie, Nafai zarumienił się, czując pogardę do samego siebie. „Czy właśnie takim jestem człowiekiem? Chłopakiem, który jest tak słaby, że nie potrafi sobie wyobrazić miłości do silnej kobiety?”

W jego umyśle pojawiły się twarze Rasy i Wetchika, jego matki i ojca. Matka była silną kobietą — być może najsilniejszą w Basilice, choć nigdy nie próbowała wykorzystywać swojego prestiżu i wpływów, aby zdobyć dla siebie władzę. Czy Ojciec był słabszy przez to, że Matka co najmniej — co najmniej — mu dorównywała? Być może to właśnie dlatego nie odnowili swojego małżeństwa po narodzinach Issiba. Być może to właśnie dlatego Matka poślubiła Gaballufixa na kilka lat, ponieważ Ojciec nie potrafił schować dumy do kieszeni i dalej żyć szczęśliwie w małżeństwie z kobietą, która była taka silna i mądra.

A jednak Rasa powróciła do Ojca, a on do niej. Nafai był dzieckiem, które urodziła, by przypieczętować ich powtórne małżeństwo. I od tamtej pory co rok odnawiali kontrakt ze sobą, nawet nie kwestionując swojego zobowiązania wobec siebie. Co się zmieniło? Nic — Matka nie musiała stać się uległą, by być częścią życia Ojca, a on nie musiał dominować nad nią, by być częścią jej życia. Nie było też dominacji w odwrotnym kierunku; Wetchik zawsze był niezależnym człowiekiem, a Rasa nigdy nie czuła potrzeby, by nim rządzić.

W umyśle Nafaia twarze jego ojca i matki zlały się w jedno oblicze. W jednej chwili widział w nim Ojca; w następnej, nie ulegając żadnej zmianie, oblicze wyraźnie stawało się twarzą Matki.

„Rozumiem”, powiedział po cichu. „Są jednością. Jakie to ma znaczenie, który partner jest w danej chwili głosem, który w danej chwili działa? Są równi sobie. Są razem i nie ma mowy o rywalizacji między nimi.

Czy zdołam osiągnąć taki związek partnerski z Luet? Czy zniosę to, gdy ona będzie słyszeć Nadduszę, a ja nie? Już teraz wrzałem z gniewu, kiedy to Elya miał prawdziwy sen; czy potrafię słuchać snów Luet i nie czuć przy tym zazdrości?

A co z nią? Czy zaakceptuje mnie?”

Prawie od razu poczuł wstyd za ostatnie pytanie. Luet już go zaakceptowała. Zaprowadziła go do jeziora kobiet. O ile mógł się zorientować, oddała mu bez wahania wszystko, czym była i co miała. To on czuł zazdrość i strach. Ona była odważna i wielkoduszna.

„Pytanie nie brzmi: czy potrafię z nią żyć. Pytanie brzmi: czy jestem godzien, by mieć taką partnerkę?”

Poczuł z drżeniem, jak zalewa go fala ciepła, jakby przepełniło go światło.

„Tak”, powiedział Naddusza w jego umyśle. „Tak brzmi pytanie. Tak brzmi pytanie. Tak brzmi pytanie”.

Następnie trans wywołany jego więzią duchową z Nadduszą dobiegł końca i Nafai nagle znów

zobaczył, gdzie się obecnie znajduje. Nic się nie zmieniło — Meb i Elya nadal jechali na przedzie, wielbłądy człapały naprzód. Nafai nadal się pocił; wielbłąd nadal kołysał się i falował pod nim; suche pustynne powietrze nadal paliło mu gardło przy każdym oddechu.

„Utrzymaj mnie przy życiu”, powiedział Nafai. „Utrzymaj mnie przy życiu dostatecznie długo, bym mógł pokonać swoje zwierzęce odruchy. Dostatecznie długo, bym nauczył się partnerstwa z kobietą, która jest ode mnie lepsza i silniejsza. Dostatecznie długo, bym pogodził się z braćmi. Dostatecznie długo, bym był takim dobrym człowiekiem jak mój ojciec, a także moja matka”.

„Jeśli zdołam, uczynię to”, rozbrzmiała w jego głowie obietnica.

„A jeśli ja zdołam, uczynię to już niedługo. Wkrótce stanę się godną osobą”.

4. ŻONY

SEN GENETYKA

Shedemei obudziła się ze snu i chciała go komuś opowiedzieć, ale nikogo przy niej nie było. Nikogo, a jednak musiała komuś opowiedzieć swój sen. Był zbyt nieprzeparty i realny; musiała go komuś przekazać, bo gdyby nie powiedziała, co zobaczyła, sen wymknąłby się z jej pamięci tak, jak to się dzieje w przypadku większości snów. Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie ma męża. Kogoś, kto by wysłuchał jej snu, nawet gdyby jedynie chrząknął, przewrócił się na drugi bok i ponownie zasnął. Opowiadanie snu na głos przyniosłoby jej taką ulgę.

Gdzież jednak w jej zagraconych pokojach miałby spać mąż? Wystarczało miejsca zaledwie na jej rozkładane łóżko. Pozostała przestrzeń przeznaczona była na prowadzenie prac badawczych. Laboratoryjne stoły, miski i zlewki, naczynia i probówki, umywalki i zamrażarki. I przede wszystkim wielkie gabloty na ścianach, wypełnione wysuszonymi nasionami i embrionami, aby z każdego etapu swoich prac badawczych Shedemei miała nadmiar próbek stanowiący naturalny mechanizm tworzenia i kontrolowania postępu genetycznego.

Choć miała zaledwie dwadzieścia sześć lat, już cieszyła się światową sławą w kręgu naukowców zajmujących się jej dziedziną. To była jedyna sława, na jakiej jej zależało. W przeciwieństwie do wielu innych błyskotliwych kobiet wychowanych w domu Rasy Shedemei nigdy nie była zainteresowana karierą, która przysporzyłaby jej sławy w Basilice. Wiedziała od dziecka, że sława w tym mieście nie jest lepsza od sławy gdziekolwiek indziej — skazana na szybkie zapomnienie. Ludzkość mieszkająca na tym świecie Harmonia od czterdziestu milionów lat, ponad cztery tysiące razy dłużej niż ludzie na starożytnej rodzinnej planecie Ziemia. Jeśli płynęła z tego jakaś lekcja, to ta, że śpiewaczka czy aktorka, polityk czy żołnierz, wszyscy szybko odchodzą w niepamięć. O pieśniach i sztukach zwykle zapomina się po okresie życia jednego człowieka; granice i konstytucje zmieniają się w ciągu najwyżej tysiąca lat. Ale nauka! Wiedza! Jeśli działałaś na tym polu, twoje dokonania mogły być zapamiętywane na zawsze. Ludzie mogli zapomnieć, że to ty coś odkryłaś... ale to, czego się dowiedziałaś, zostanie zapamiętane, odbije się echem i będzie wywierać wpływ w całym przyszłym okresie. Stworzone przez ciebie rośliny, udoskonalone przez ciebie zwierzęta — one przetrwają, jeśli dobrze się spisałaś. Czyż handlarz roślin Wetchik, faworyzowany mąż kochanej Rasy, nie rozproszował wyhodowanego przez Shedemei suchokwiata we wszystkich krainach na skraju pustyni? Dopóki suchokwiat będzie kwitł, dopóki jego soczysty, mocny zapach będzie w stanie sprawić, by cały dom na pustyni pachnął jak dżungla, dopóty dzieła Shedemei będą żyły na świecie. Dopóki naukowcy na całym świecie otrzymują kopie jej sprawozdań od Nadduszy, Shedemei ma jedyną sławę, jaka się liczy.

A więc to był jej mąż: dzieła jej własnych rąk. Jej twory to mąż, który nigdy jej nie zdradzi, tak jak została zdradzona biedna córeczka Rasy, Kokor. Jej prace badawcze to mąż, który nigdy nie będzie się panoszył w mieście, gwałcąc i rabując, bijąc i paląc, tak jak to czynili ludzie Palwashantu, dopóki Gorayni nie przywrócili porządku. Jej prace badawcze nigdy nie doprowadzą do tego, że jakakolwiek kobieta będzie się kulić w swoim domu z pogaszonymi światłami, trzymając w rękach pulsator, choć wątpiła, czy w ogóle wiedziałaby, jak go użyć przeciw intruzowi. Nikt nie wtargnął do jej domu, choć dwukrotnie wydawało się, że krzyki rozlegają się na jej ulicy. Ale ona by walczyła, żeby ochronić swoje nasiona i embriony. Walczyłaby i — gdyby zdołała odkryć, jak to zrobić — zabiłaby w celu ochrony dzieła swojego życia.

Teraz jednak przyszedł ten sen. Niepokojący sen. Nieprzeparty sen. Nie potrafiła spocząć, dopóki go komuś nie opowie.

Rasie. Komuż innemu mogła go opowiedzieć, jeśli nie cioci Rasie?

Wstała, przyglądała sobie pobieżnie włosy i wyszła na ulicę. Nie pomyślała, żeby się przebrać, choć spała w rzeczach, które miała na sobie; często zasypiała w ubraniu i myślała o zmianie rzeczy tylko wtedy, gdy chciała się wykąpać.

Na ulicy kręciło się dość dużo ludzi. Przez tak wiele dni było inaczej; uczucia strachu i nieufności, które Gaballufix wzbudził w mieszkańcach miasta, kazały wielu osobom nie wychodzić z domu. Dlatego odczuła prawie ulgę, widząc wzmożony ruch pieszych dążących w różne strony. Przepychanie się przez tłum sprawiało jej prawie przyjemność. Zwłoki najemników już nie zwisały z drugiego piętra budynków, już nie wały się na ulicach. Zostały uprzątnięte i pogrzebane bez większych ceregieli na cmentarzach dla mężczyzn poza miastem. Tylko sporadycznie widziane pary ludzi w mundurach basilikańskiej straży przypominały Shedemei, że miastem nadal rządzi wojsko. A rada miała dziś głosować, jak się odwzajemnić żołnierzom Gorayni, odesłać ich z miasta i postawić strażników miasta z powrotem na posterunkach przy bramach. Nie będzie już wtedy żadnych żołnierzy, z wyjątkiem sytuacji, gdy zostaną wezwani w nagłym wypadku. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie tak, jak dotychczas.

Dowodem przywrócenia porządku było to, że na werandzie domu Rasy znajdowały się dwie klasy młodych dziewcząt, które słuchały nauczycielek i od czasu do czasu zadawały im pytania. Shedemei przystanęła na chwilę, jak to często robiła, żeby posłuchać lekcji i przypomnieć sobie własną młodość, już tak dawno minioną, kiedy sama uczestniczyła w zajęciach na tej samej werandzie lub w klasach i ogrodach mieszczących się w domu Rasy. Wiele dziewczyn pochodziło z rodzin arystokratycznych, ale w domu Rasy nie tolerowano snobów. Program nauczania był wymagający i zawsze znajdowało się tu miejsce dla dziewcząt z pospolitych rodzin lub nawet sierot. Rodzice Shedemei byli farmerami, nawet nie obywatelami; tylko odległe kuzynowskie pokrewieństwo jej matki z basilikańską służącą pozwoliło Shedemei dostać się do miasta. A jednak Rasa ją przyjęła, wyłącznie z powodu rozmowy, którą przeprowadziła z Shedemei, kiedy dziewczynka miała siedem lat. Shedemei nie umiała wtedy nawet czytać, ponieważ nie umieli też czytać jej rodzice... ale jej matka miała wielkie ambicje i dzięki Rasie Shedemei mogła je wszystkie zaspokoić. Jej matka dożyła dnia, kiedy Shedemei zamieszkała we własnym mieszkaniu, a za pierwsze pieniądze za bystrookiego, zabijającego karaluchy gryzonia, którego wyhodowała, Shedemei mogła wykupić farmę rodziców od gospodarza, aby mogli spędzić resztę życia jako właściciele wolnego majątku, a nie dzierżawcy.

I to wszystko dlatego, że ciocia Rasa przyjęła biedną, niepiśmienną, siedmioletnią dziewczynkę, ponieważ spodobał jej się sposób, w jaki funkcjonował umysł dziecka, kiedy z nim rozmawiała. Już tylko z tego powodu Rasa zasługiwała, żeby być jedną z wielkich kobiet Basiliki. I dlatego, zamiast uczyć klasy w wyższych szkołach, Shedemei prowadziła zajęcia tylko tutaj, w domu Rasy, gdzie dwa razy do roku nauczala klasę najbardziej cenionych naukowych adeptów cioci Rasy. I rzeczywiście, Shedemei oficjalnie nadal była stałą mieszkanką domu Rasy — miała tu nawet własną sypialnię, choć nie korzystała z niej od chwili, kiedy ostatnio tu uczyła, i zawsze spodziewała się po trosze, że zostanie ją zajęta przez kogoś innego. Nigdy jednak nikogo w niej nie było, bez względu na uporczywość, z jaką Shedemei sypiała na rozkładanym łóżku w swoim mieszkaniu. Rasa zawsze trzymała dla niej miejsce.

W domu Shedemei wkrótce dowiedziała się, że wielka estyma Rasy w Basilice oznacza, iż będzie się mogła z nią zobaczyć dopiero później. Choć Rasa nie wchodziła obecnie w skład rady miasta, poproszono ją o wzięcie udziału w porannym spotkaniu. Shedemei nie spodziewała się

tego. Poczula się przez to zagubiona, ponieważ sen nadal w niej płonął i domagał się, by go opowiedziano na głos.

— Być może — odezwała się do niej dziewczynka, która ją dostrzegła — mogę ci pomóc.

— Nie sędzę — odparła Shedemei z uprzejmym uśmiechem. — To i tak było tylko głupstwo.

— Głupstwa to moja specjalność — powiedziała dziewczynka. — Znam cię. Jesteś Shedemei.

— Wymówiła jej imię z takim szacunkiem, że Shedemei poczuła się zakłopotana.

— To prawda. Wybacz mi, że nie pamiętam twojego imienia. Jednak widywałam cię tu wiele razy.

— Jestem Luet — przedstawiła się dziewczynka.

— Ach — powiedziała Shedemei. Skojarzyła sobie jej imię. — Wodna wieszczka. Dama Jeziora.

Dziewczynce wyraźnie pochlebiało, że Shedemei wie, kim jest. Ale która kobieta w Basilice nie słyszała o niej?

— Jeszcze nie — sprostowała Luet. — Może nigdy nią nie będę. Mam zaledwie trzynaście lat.

— Przypuszczam, że musisz jeszcze poczekać wiele lat. I to się nie dzieje automatycznie, prawda?

— Wszystko zależy — wyjaśniła Luet — od jakości moich snów.

Shedemei wybuchnęła śmiechem.

— Czyż to się nie odnosi do nas wszystkich?

— Tak sędzę — przyznała Luet z uśmiechem. Shedemei odwróciła się do wyjścia, po czym uświadomiła sobie, z kim rozmawia.

— Wodna wieszczka — powiedziała. — Musisz mieć jakieś pojęcie o znaczeniu snów.

Luet pokręciła przecząco głową.

— Jeśli szukasz interpretacji snów, musisz zapłacić handlarzom prawdy na targu wewnętrznym.

— Nie — zaprzeczyła Shedemei. — Nie o taki sen mi chodzi. Czy takie znaczenie. To było bardzo dziwne. Nigdy nie pamiętam snów. Ale ten wydawał się... bardzo uporczywy. Być może nawet... być może należał do takich, jakie w moim mniemaniu ty mogłabyś mieć.

Luet przechyliła głowę i spojrzała na Shedemei.

— Jeżeli istnieje możliwość, że twój sen pochodził od Nadduszy, Shedemei, to muszę go usłyszeć. Ale nie tutaj.

Shedemei poszła za młodszą dziewczynką — „Ma połowę moich lat”, uświadomiła sobie — na tyły domu, a potem po schodach, o których istnieniu właściwie nie wiedziała, ponieważ tę część domu wykorzystywano jako magazyny dla starych artefaktów, mebli i materiałów do lekcji. Pokonały jeszcze dwa odcinki schodów i znalazły się na strychu, gdzie było gorąco i ciemno.

— Mój sen nie był aż taki tajemniczy, abyśmy musiały przychodzić tutaj, bym mogła go opowiedzieć — powiedziała Shedemei.

— Nie rozumiesz — wyjaśniła jej Luet. — Jest jeszcze ktoś, kto musi go usłyszeć, jeśli sen naprawdę pochodzi od Nadduszy.

Po tych słowach Luet zdjęła kratę ze szczytowej ściany i wyszła na powietrze.

Na wpół oślepiona przez światło słoneczne Shedemei nie widziała w pierwszej chwili, że bezpośrednio pod otworem w ścianie znajdował się płaski dach przypominający werandę. Myślała, że Luet weszła w pustkę i unosiła się w powietrzu. Potem jej wzrok przyzwyczaił się do jasności i mrużąc oczy zobaczyła, po czym Luet stąpa. Poszła za nią.

Ten płaski obszar był niewidoczny z ulicy czy z jakiegokolwiek innego miejsca, jeśli już o tym mowa. Zbiegało się tu pół tuzina pochyłych dachów, a duży otwór spływowy na środku tej płaskiej powierzchni wyjaśniał, dlaczego to miejsce istnieje. Podczas ulewnego deszczu mogło się

wypełnić spływającą z dachów wodą na głębokość metra, aż spływ mógł ją odprowadzić. Przypominało to bardziej basen niż werandę.

Była to też świetna kryjówka, ponieważ nawet stali mieszkańcy w domu Rasy nie mieli pojęcia o istnieniu tego miejsca — z wyjątkiem oczywiście Luet i osób, które się tu ukrywały.

Zaczęła widzieć jeszcze wyraźniej. W cieniu przenośnej markizy siedziała starsza dziewczyna, która tak przypominała z wyglądu Luet, że Shedemei nie zdziwiła się, iż jest to Hushidh interpretatorka, starsza siostra Luet. A po drugiej stronie niskiego stolika, naprzeciwko Hushidh, siedział młody mężczyzna, który był okazałej postury, lecz mimo to zbyt młody, by się golić.

— Nie poznajesz mnie, Shedemei? — zapytał chłopak.

— Chyba tak — odparła.

— Byłem znacznie niższy, kiedy ostatnio mieszkałaś u Matki — wyjaśnił.

— Nafai — przypomniała sobie. — Słyszałam, że poszedłeś na pustynię.

— Obawiam się, że poszedłem i zbyt często wracałem — powiedział Nafai. — Nigdy nie myślałem, że dożyję dnia, kiedy żołnierze Gorayni będą strzec bram Basiliki.

— Nie na długo — zawyrokowała Shedemei.

— Nigdy nie słyszałem, żeby po zdobyciu jakiegoś miasta Gorayni z niego zrezygnowali — powiedział Nafai.

— Ale oni nie zdobyli Basiliki — zaprotestowała Shedemei. — Tylko wkroczyli do miasta i ochronili nas, gdy byliśmy w opałach.

— Na pustyni leżą popioły po wielu ogniskach — powiedział Nafai — a jednak nie widać oznak obozowiska. Z tego, co słyszałem, przywódca Gorayni udał, że ma ogromną armię, dowodzoną przez generała Moozha Potwora, podczas gdy miał zaledwie tysiąc żołnierzy.

— Wyjaśnił to jako konieczny fortel, by psychologicznie pokonać najemników Palwashantu, którzy zdziczeli.

— Lub psychologicznie pokonać straż miasta? — zapytał Nafai. — Nieważne. Luet cię tu przyprowadziła. Czy wiesz dlaczego?

Luet od razu wtrąciła się:

— Nie, Nafaiu. Ona nie bierze w tym udziału. Przyszła z własnej woli, żeby opowiedzieć Matce sen. Potem pomyślała, że może go opowiedzieć mnie, a ja z kolei chciałam, żebyście oboje go usłyszeli, na wypadek gdyby pochodził od Nadduszy.

— Dlaczego on? — zapytała Shedemei.

— Naddusza rozmawia z nim tak jak ze mną — odparła Luet. — Zmusił ją, żeby z nim rozmawiała i teraz są przyjaciółmi.

— Mężczyzna z m u s i ł Nadduszę, żeby z nim rozmawiała? — zapytała Shedemei. — Od kiedy takie rzeczy zaczęły się dziać na świecie?

— Od niedawna — odparła Luet z uśmiechem. — W niebie i na ziemi dzieją się dziwniejsze rzeczy, niż śniło się filozofom, Shedemei.

Shedemei odwzajemniła uśmiech, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, skąd pochodzi ten cytat lub czemu miałby być zabawny w tym momencie.

— Twój sen — odezwała się siostra Luet.

— Teraz czuję się głupio — powiedziała Shedemei. — Nie jest aż taki znaczący, by go opowiadać takiej licznej publiczności.

Luet pokręciła głową.

— A jednak przyszłaś aż tutaj z... gdzie mieszkasz? W dzielnicy Zbiorniki?

— W dzielnicy Studnie, ale niezbyt daleko od Zbiorników.

— Przeszłaś tę całą drogę, żeby go opowiedzieć cioci Rasie — powiedziała Luet. — Myślę, że ten sen może być dla ciebie ważniejszy, niż nawet ty to pojmujesz. Proszę więc, opowiedz go nam.

Spoglądając ponownie na Nafaia, Shedemei stwierdziła, że nie potrafi się zmusić do mówienia.

— Proszę — zachęcił ją Nafai. — Nie będę kpił z twojego snu ani nie opowiem go nikomu innemu. Chcę go usłyszeć tylko z powodu prawdy, która może się w nim kryć.

Shedemei roześmiała się nerwowo.

— Ja po prostu... nie jest mi łatwo mówić w obecności mężczyzny. Nie mam nic przeciwko tobie. Jesteś synem Rasy, oczywiście ufam ci, tylko po prostu...

— On właściwie n i e jest mężczyzną — powiedziała Luet.

— Dzięki — wymamrotał Nafai.

— Nie ma takich kontaktów z kobietami, jakie mężczyźni zwykle miewają. I zaledwie kilka dni temu Naddusza kazała mi zabrać go do jeziora. Pływał po nim, unosił się wraz ze mną na jego powierzchni. Naddusza tak rozkazała i nie został zabity.

Shedemei spojrzała na niego z lękiem.

— Czy nadszedł czas, kiedy kumulują się wszystkie proroctwa?

— Opowiedz nam swój sen — powiedziała łagodnym tonem Hushidh.

— Śniłam — to zabrzmiało tak głupio! — śniłam, że dogłądałam ogrodu w chmurach. Nie tylko roślin i zwierząt, z którymi pracuję, ale wszystkich roślin i zwierząt, o jakich kiedykolwiek słyszałam. Tylko że to nie był duży ogród, lecz mały. Wszystkie stworzenia jednak tam pasowały, wszystkie żyły i rosły. Płynęłam w chmurach — wydawało się, że bez końca. Jakby w ciągu najdłuższej nocy na świecie, tysiącletniej nocy. A potem nagle znów zrobił się dzień i mogłam spojrzeć ze skraju chmury i dostrzec nowy ład, zielony i piękny, i powiedziałam do siebie — we śnie, ma się rozumieć — „Ten świat w sumie nie potrzebuje mojego ogrodu”. Wysłałam więc z ogrodu i zstąpiłam z chmury...

— Sen o spadaniu — skomentowała Luet.

— Nie spadałam — zaprzeczyła Shedemei. — Po prostu wysłałam i znalazłam się na ziemi. I kiedy wędrowałam przez lasy i łąki, uświadomiłam sobie, że właściwie wiele roślin z mojego ogrodu jest tu potrzebnych. Wyciągnęłam więc rękę do góry i rośliny, które potrzebowałam, posypały się na mnie jak nasiona. Zasadziłam je i rosły na moich oczach. I potem uświadomiłam sobie, że potrzeba też wielu moich zwierząt. Był to świat, który utracił swoje ptaki. Nie było tam żadnych ptaków, ledwie kilka gadów, i ani śladu zwierząt jucznych czy udomowionych zwierząt dających mięso. A jednak roilo się tam od owadów, którymi mogły się karmić ptaki i gady, i znajdowało się wiele łąk oraz pastwisk, na których mogły się paść przeżuwacze. Tak więc ponownie uniosłam ręce w kierunku chmur i posypały się embriony zwierząt, których potrzebowałam; napoiłam je i szybko wyrosły na duże i silne. Ptaki wzniosły się w powietrze, bydło i owce skierowały się ku strumieniom i łąkom, a węże i jaszczurki wyślizgnęły się i uciekły. I usłyszałam słowa, jakby ktoś inny mówił mi je prosto do ucha: „Nikt nigdy nie miał takiego ogrodu jak ty, Shedemei, moja córko”. Głos jednak nie należał ani do mojej matki, ani do ojca. I nie byłam pewna, czy głos mówi o moim ogrodzie w chmurach czy o tym nowym świecie, gdzie przywracałam faunę i florę, które zniknęły tyle lat temu.

Tak przedstawiał się sen, jakim go Shedemei zapamiętała.

Z początku wszyscy milczeli, po czym odezwała się Luet:

— Ciekawa jestem, skąd wiedziałaś, że rośliny i zwierzęta, sprowadzone przez ciebie z chmur, to fauna i flora, które kiedyś tam istniały, lecz zniknęły.

— Nie mam pojęcia — odparła Shedemei. — Ale czułam, że tak właśnie jest. W i e d z i a ł a m , że tak jest. Te rośliny i zwierzęta nie były tam nowością, powróciły do swojego naturalnego środowiska.

— I nie potrafiłaś powiedzieć, czy głos należał do mężczyzny czy kobiety — zadumała się Hushidh.

— Ta kwestia nie zaprzętała mi głowy. Głos sprawił, że pomyślałam o moich rodzicach, ale uświadomiłam sobie, że to nie oni. Nie starałam się jednak rozpoznać, czy to był głos mężczyzny czy kobiety. Nawet teraz nie potrafię tego stwierdzić.

Luet, Hushidh i Nafai zaczęli się naradzać, ale mówili tak głośno, że Shedemei ich słyszała — wcale nie wyłączali jej z rozmowy.

— Jej sen opowiada o podróży — stwierdził Nafai. — To się zgadza z tym, co ja usłyszałem. Fauna i flora powróciły do swojego naturalnego środowiska. Według mnie chodzi tu o Ziemię i żadne inne miejsce.

— Wszystko na to wskazuje — przyznała Luet.

— Ale chmury — przypomniała Hushidh. — Co to znaczy? Chmury przemieszczają się być może z kontynentu na kontynent, ale nigdy nie z planety na planetę.

— Nawet sny od Nadduszy nie są dosłowne — wyjaśnił Nafai. — Prawda wpływa do naszych umysłów, ale potem nasze mózgi odwołują się do własnej biblioteki mentalnej, aby znaleźć obrazy mające wyrazić przekazane idee. Wielka podróż w powietrzu. Elemak ujrzał ją w postaci dziwnego domu; Shedemei widzi ją jako chmurę; ja usłyszałem to w postaci głosu Nadduszy nakazującego nam wyprawę na Ziemię.

— Ziemia — odezwała się Shedemei.

— Ojciec tego nie usłyszał, Issib też nie — ciągnął Nafai. — Ale to dla mnie tak pewne jak to, że żyję i tu siedzę. Naddusza zamierza polecieć na Ziemię.

— To tłumaczy twój sen, Shedemei — powiedziała Luet. — Ludzkość opuściła Ziemię czterdzieści milionów lat temu. Sroga zima, która zapanowała na Ziemi, mogła wybić większość gatunków gadów i wszystkie ptaki. Przeżyć mogły jedynie ryby i płazy oraz kilka małych, ciepłokrwistych zwierząt.

— Ale upłynęło czterdzieści milionów lat — powiedziała Shedemei. — Ziemia musiała wyzdrowieć już dawno temu. Było aż nadto czasu, by nastąpiła nowa specjacja.

— Jak długo Ziemia pozostawała pokryta lodową powłoką? — zapytał Nafai. — Jak wolno lód ustępował? Dokąd się przemieściły masy lądowe w ciągu milionów lat od tamtej pory?

— Rozumiem — powiedziała Shedemei. — To możliwe.

— Ale co z tą magiczną sztuczką? — zapytała Hushidh. — Shedemei uniosła ręce i posypały się nasiona oraz e m b r i o n y , a potem napoiła embriony, żeby rosły.

— No cóż, ta część snu od razu miała dla mnie sens — odparła Hushidh. — W dziedzinie, którą się zajmuję, próbki przechowywane są za pomocą suchej krystalizacji nasion i embrionów. Proces ten zasadniczo blokuje wszystkie ich życiowe funkcje w momencie, w którym nastąpiła krystalizacja. Przechowujemy je w suchej postaci, a kiedy nadchodzi czas przywrócenia ich do życia, po prostu dodajemy wodę destylowaną i kryształki dekrystalizują się w bardzo szybkiej, lecz niewybuchowej reakcji chemicznej. Z powodu małych rozmiarów całego organizmu jego pełne funkcje można przywrócić w ułamku sekundy. Oczywiście w przypadku embrionów musimy natychmiast je umieszczać w roztworze zapewniającym ich rozwój i doczepić je do sztucznych jajeczek lub łożysk, aby nie przywrócić do życia zbyt wielu na raz.

— Ile potrzebowałabyś sprzętu, zabierając ze sobą dość próbek, by przywrócić do życia dostatecznie dużą część fauny i flory, które najprawdopodobniej uległy zniszczeniu na Ziemi? — zapytał Nafai.

— Ile? Dużo... mnóstwo. Karawanę.

— Ale gdybyś musiała wybrać najważniejsze próbki — najbardziej pożyteczne ptaki, najważniejsze zwierzęta, rośliny, których najbardziej potrzebujemy, by się wyżywić i zapewnić sobie schronienie.

— Wtedy wystarczyłaby każda ilość — odparła Shedemei. — Po prostu trzeba ustalić hierarchię ważności: jeśli masz do dyspozycji tylko jednego wielbłąda, to bierzesz tyle, ile się na niego zmieści — dwie suche skrzynie. Plus po jednym wielbłądzie przypadającym na każdą skrzynię, który poniesie potrzebny sprzęt i materiały.

— A więc to jest możliwe do zrealizowania — powiedział triumfalnie Nafai.

— Wierzycie, że Naddusza wyśle was na Ziemię? — zapytała Shedemei.

— Wierzymy, że to najważniejsza rzecz, jaka się teraz dzieje na całej Harmonii — odrzekł Nafai.

— A co z moim snem?

— Twój sen jest częścią tego — odparła Luet. — Mój chyba też.

Opowiedziała Shedemei swój sen o aniołach i kopaczach.

— Można przyjąć, że to symbol świata, na którym rozwinęły się nowe formy życia — stwierdziła Shedemei. — Zapominasz jednak, że twój sen pochodzi od Nadduszy, nie może być dosłowną prawdą.

— Dlaczego nie? — zapytała Luet. Wydawała się lekko obrażona.

— Ponieważ skąd Naddusza miałaby wiedzieć, co się obecnie dzieje na Ziemi? Skąd miałaby wiedzieć, jak naprawdę wygląda jakikolwiek żyjący tam gatunek? Ziemia jest tysiąc lat świetlnych stąd. Jeszcze nie wynaleziono sygnału elektromagnetycznego, za pomocą którego można by przesłać wiadomości na taką odległość. Jeśli twój sen pochodzi od Nadduszy, to są to tylko jej wymysły.

— Może to jej domysły — zasugerowała Hushidh.

— Może tylko domysła się, że potrzebne są nasiona i embriony Shedemei — dodał Nafai. — Musimy jednak zrobić to, co sen nam nakazuje. Shedemei musi zebrać te nasiona i embriony i przygotować je do przewiezienia z nami na Ziemię.

Shedemei spojrzała na nich zaskoczona.

— Przyszłam tu opowiedzieć cioci Rasie mój sen, a nie porzucić karierę dla jakiejś szalonej, niemożliwej do zrealizowania podróży. Jak zamierzacie dotrzeć na Ziemię? Na chmurze?

— Naddusza powiedział, że pojedziemy — odparł Nafai. — Kiedy nadejdzie pora, powie nam w jaki sposób.

— To absurd — stwierdziła Shedemei. — Jestem naukowcem. Wiem, że Naddusza istnieje, ponieważ nasze prace są często przekazywane do komputerów w odległych miastach, a nie można tego dokonać w żaden inny sposób. Ale zawsze zakładałam, że Naddusza to tylko komputer kierujący siecią satelitów łącznościowych.

Nafai spojrzał na Luet i Hushidh z konsternacją.

— Natrudziłem się z Issibem, by to odkryć — powiedział — a Shedemei wiedziała o tym od samego początku.

— Nigdy mnie nie pytaliście — wyjaśniła Shedemei.

— Nigdy nie odważylibyśmy się z tobą rozmawiać — powiedział Nafai. — Jesteś przecież Shedemei.

— Zwykłą nauczycielką w domu twojej matki.

— Tak samo jak słońce to zwykła gwiazda na niebie.

Shedemei roześmiała się i pokręciła głową. Nie przyszło jej nigdy do głowy, że młodzi będą na nią patrzeć z taką nabożną czcią. Przyjemnie było wiedzieć, że ktoś ją podziwia — równocześnie jednak trochę ją to onieśmiało i czuła się narażona na krytykę. Musiała udowodnić, że zasługuje na opinię, jaką o niej mieli, a przecież była jedynie pracowitą kobietą, którą zaniepokoił sen.

— Shedemei — odezwała się Hushidh — czy to się wydaje możliwe czy nie, Naddusza prosi nas, żebyśmy się przygotowali do tej podróży. Nigdy nawet nie przyszłoby nam do głowy, żeby prosić ciebie, ale Naddusza przyprowadziła cię do nas.

— To raczej zbieg okoliczności.

— Zbieg okoliczności to termin, który stosujemy, kiedy nie odkryliśmy jeszcze przyczyny — oznajmiła Luet. — To złudzenie ludzkiego umysłu, sposób, by powiedzieć: „Nie wiem, dlaczego tak się stało i nie zamierzam się dowiedzieć”.

— To było w innym kontekście — wyjaśniła Shedemei.

— Miałś sen — powiedział Nafai. — Wiedziałaś, że ma znaczenie. Chciałaś go opowiedzieć Mamie. Kiedy tu przyszedł, zastałaś nas, a nie ją. Ale my też zeszlismy się wskutek działań Nadduszy. Czy nie widzisz, że zostałaś zaproszona?

Shedemei pokręciła głową.

— Moja praca potrzebna jest tutaj, nie mogę wybierać się w jakąś idiotyczną podróż do miejsca odległego o tysiąc lat świetlnych.

— Twoja praca? — zapytała Hushidh. — Cóż znaczy twoja praca w porównaniu z misją przywrócenia na Ziemi wymarłych gatunków? Twoja praca już okazała się godna uwagi, ale być ogrodnikiem planety...

— Jeśli to prawda — zaznaczyła Shedemei.

— Cóż — powiedział Nafai — wszyscy stanęliśmy przed tym samym dylematem. Jeśli to prawda. My nie możemy narzucać ci decyzji, więc kiedy sama ją podejmiesz, daj nam znać.

Shedemei skinęła głową, ale w głębi duszy wiedziała, że dołoży wszelkich starań, żeby już więcej nie spotkać się z tymi ludźmi. To było zbyt dziwne. Wysuwali zbyt daleko idące wnioski co do jej snu. Żądali od niej zbyt dużego poświęcenia.

— Postanowiła nie pomagać nam — oznajmiła Luet.

— Nic podobnego! — zaprzeczyła Shedemei, ale zastanawiała się z poczuciem winy: „Skąd ona to wie?”

— Nawet jeśli postanowisz z nami nie jechać — zapytał Nafai — to czy przynajmniej coś dla nas zrobisz? Czy zbierzesz odpowiednie próbki nasion i embrionów — może tyle, żeby zmieściło się na dwóch wielbłędach? I załatwisz sprzęt, który będzie nam potrzebny, żeby przywrócić je do życia? I nauczysz nas, jak to zrobić?

— Chętnie — zgodziła się Shedemei. — Powinnam znaleźć na to czas w ciągu kilku najbliższych miesięcy.

— Ależ my nie mamy aż tyle czasu — powiedział Nafai. — Zostały nam godziny. Być może dni.

— A więc nie rozśmieszajcie mnie — odrzekła Shedemei. — Ile uda mi się zebrać w ciągu zaledwie kilku godzin?

— Czy w Basilice nie ma bibliotek biologicznych? — zapytała Hushidh.

— Cóż, są. To właśnie stamtąd wezmę próbki wyjściowe.

— Czy zatem nie mogłabyś uzyskać z nich większości tego, co byłoby ci potrzebne?

— Jeżeli to ma się zmieścić na dwóch wielbłędach, to chyba mogłabym uzyskać wszystko. Ale jeśli chodzi o sprzęt, zwłaszcza do ożywiania embrionów zwierząt... posiadam tylko własny zestaw, a zbudowanie nowych urządzeń zabrałoby wiele miesięcy.

— Jeśli pojedziesz z nami — zaproponowała Luet — mogłabyś zabrać własny sprzęt. A jeśli nie pojedziesz, będziesz miała wiele miesięcy na zbudowanie nowego.

— Prosisz mnie o oddanie mojego sprzętu?

— W— imieniu Nadduszy — odparła Luet.

— Tak się to b i e wydaje.

— W imieniu syna cioci Rasy — powiedziała Hushidh.

„Oczywiście interpretatorka wiedziała, jak przemówić do mojego serca”, pomyślała Shedemei.

— Jeśli ciocia Rasa poprosi mnie, żebym to dla ciebie zrobiła — oświadczyła Shedemei — zrobię to.

W oczach Nafaia pojawił się błysk.

— A co, gdyby Mama poprosiła cię, żebyś z nami pojechała?

— Nigdy by o to nie poprosiła — odparła Shedemei.

— A gdyby ciocia Rasa sama też jechała? — zapytała Luet.

— Nigdy nie pojedzie — odrzekła Shedemei.

— Tak właśnie mówi sama Mama — powiedział Nafai — ale przekonamy się.

— Kto z was nauczy się obsługiwać sprzęt? — zapytała Shedemei.

— Hushidh i ja — odparła szybko Luet.

— Przyjdźcie więc do mnie dziś po południu, abym mogła was nauczyć.

— Dasz nam sprzęt? — zapytała Hushidh. Czy była zachwycona, czy tylko zaskoczona?

— Zastanowię się nad tym — odrzekła Shedemei. — A nauczanie was obsługiwania sprzętu nie będzie nic kosztować, zabierze mi tylko trochę czasu.

Shedemei wstała z dywanu i wyszła spod markizy. Rozejrzała się za kratą, przez którą weszła, ale Luet musiała ją wstawić z powrotem, i Shedemei nie pamiętała, w którą stronę należy iść.

Nie musiała jednak nic mówić, ponieważ Luet od razu spostrzegła jej dezorientację i ruszyła, by ją poprowadzić. Krata nie została wstawiona z powrotem na swoje miejsce, po prostu była niewidoczna za krawędzią dachu.

— Znam drogę od tego miejsca — powiedziała Shedemei. — Nie musisz ze mną iść.

— Shedemei — zaczęła Luet. — Niedawno śniłam o tobie.

— Tak?

— Wiem, że mi nie uwierzysz, i przypuszczasz, że mówię to tylko po to, by cię przekonać do podróży, ale to nie jest zbieg okoliczności. Byłam w lesie; była noc i bałam się. Zobaczyłam kilka kobiet. Ciocię Rasę i Hushidh; Eiadh i Dol. I ciebie. Zobaczyłam ciebie.

— Nie było mnie tam — zdziwiła się Shedemei. — Nigdy nie chodzę do lasu.

— Wiem. Powiedziałam ci, to był sen, chociaż nie spałam.

— Mówię poważnie, Luet. Nigdy nie chodzę do lasu. Nigdy nie chodzę nad jezioro. Jestem pewna, że to, co robisz, jest wspaniałe i bardzo ważne, ale nie ma nic wspólnego z moim życiem. To nie ma nic wspólnego z moim życiem.

— Może zatem — stwierdziła Luet — powinnaś zmienić swoje życie.

Shedemei nie miała żadnej grzecznej odpowiedzi na tę uwagę, więc przeszła przez otwór w ścianie. Usłyszała za plecami przytłumione odgłosy ich rozmowy, ale nie potrafiła odróżnić słów. Nie znaczy to wcale, że chciała. Prośba, z którą się do niej zwrócili, była oburzająca.

A jednak w śnie doznała takiego wspaniałego uczucia, kiedy wyciągnęła rękę i sprowadziła życie z chmur. Dlaczego po prostu nie potraktowała tego jako piękny sen? Dlaczego wygadała się przed tymi dziećmi? Dlaczego po prostu nie mogła zapomnieć o tym, co powiedzieli, i nie mieć tych myśli, które kotłowały się teraz w jej głowie.

Powrót na Ziemię. Do domu, na Ziemię.

Co to miało znaczyć? W ciągu czterdziestu milionów lat ludzie byli zadowoleni na Harmonii. Dlaczego Ziemia miałaby teraz ją wołać? To było szaleństwo, zaraźliwe szaleństwo w tych niespokojnych czasach.

Mimo to, zamiast pójść do domu, skierowała się do biblioteki biologicznej i prześlęczała kilka godzin nad katalogiem, sporządzając zamówienie na skryształizowane nasiona i embriony — w

ilości możliwej do pomieszczenia na dwóch wielbłądach — które mogłyby przywrócić najbardziej pożyteczne rośliny i zwierzęta Ziemi, która je utraciła bardzo, bardzo dawno temu.

GMACH RADY MIASTA, RZECZYWISTOŚĆ

Rasa zawsze była pewna siebie. Wiedziała, że nie może się zdarzyć nic, z czym nie mogłaby sobie poradzić, wykorzystując dowcip, życzliwość i zdecydowanie. Ludzi można zawsze przekonać, a jeśli nie, to można ich zignorować i z czasem przestaną się liczyć. Dzięki tej filozofii jej dom stał się jedną z najbardziej szanowanych szkół w Ba—silice, mimo że powstała tak niedawno; dzięki niej Rasa miała również duże wpływy we wszystkich dziedzinach życia miasta, choć nie piastowała żadnego urzędu. Rada miasta konsultowała się z nią we wszystkich ważniejszych sprawach; była członkiem zarządów wielu rad nauk humanistycznych; a przede wszystkim konsultowały się z nią prywatnie kobiety — a nawet mężczyźni — które podejmowały większość ważnych decyzji dotyczących rządu oraz spraw gospodarczych Basiliki. Zalecało się do niej wielu mężczyzn, ale ona pozostawała w szczęśliwym związku małżeńskim z jedynym znanym jej mężczyzną, który nie czuł się zagrożony przez jej władzę i nie pożył tej władzy. Stworzyła dla siebie doskonałą rolę w mieście i uwielbiała ją odgrywać.

Nie przyszło jej jednak nigdy do głowy, jak kruche to wszystko jest. Jej życie zostało utkane na krośnie Basiliki, a teraz Basilika rozpadała się na części, jej życie strzępiło się, rwało się, darło się na kawałki. Jej poprzedni mąż, Gaballufix, zapoczątkował ten proces jeszcze w czasach, kiedy byli małżeństwem, próbując nakłonić ją do zmiany praw zakazujących mężczyznom posiadać majątek w mieście. Kiedy uświadomiła sobie, dlaczego się z nią ożenił, zerwała kontrakt i powtórnie wyszła za mąż za Wetchika — na zawsze, gdyby ktoś ją zapytał. Gaballufix jednak nie zrezygnował, znajdując poparcie u mężczyzn najniższego stanu, mieszkających w wioskach poza murami miasta. Potem wprowadził ich jako tolczoków, wywołując przerażenie wśród basilikańskich kobiet, a następnie jako najemnych żołnierzy w tych ohydnych maskach, którzy rzekomo mieli ochraniać miasto przed tolczokami — o ile jednak Rasa mogła się zorientować, najemnicy byli tolczokami w wymyślnych holograficznych mundurach.

Gaballufixa można jednak było powstrzymać, gdyby Naddusza nie zaczęła tak dziwnie postępować. Przemówiła do mężczyzny — i to nie pierwszego lepszego, lecz do samego Wetchika. Problemy, których to przysporzyło Rasie, były niewyobrażalne. Nie tylko jej poprzedni mąż atakował starożytne prawa miasta kobiet, ale teraz jej obecny mąż opowiadał każdemu, kto był skłonny go słuchać, że Basilika ulegnie zniszczeniu. Droga przyjaciółka Rasy, Dhel, powiedziała jej wtedy — zaledwie kilka tygodni temu — że ludzie dziwią się, iż Rasa nie poślubiła również Roptata, przywódcę partii popierającej Gorayni.

— Może powinnaś sprawdzić, czy w twoim łóżku nie zagnieździł się jakiś pasożyt wywołujący u człowieka obłąd, moja droga — powiedziała Dhel. Oczywiście żartowała, lecz było to bolesne.

Bolesne, ale nie aż tak, jak kilka ostatnich dni. Wszystko się rozpadało. Gaballufix ukradł fortunę Wetchika i usiłował zabić jego synów — łącznie z dwoma synami Rasy. Potem Naddusza rozkazała Luet zaprowadzić Nafaia — akurat Nafaia, jeszcze dziecko — do zakazanego jeziora, gdzie chłopiec unosił się na wodzie jak kobieta — jak wodna wieszczka. Tej samej nocy, z pewnością jeszcze ociekający wodą z jeziora pokoju, Nafai zabił Gaba. W pewnym sensie było to sprawiedliwe, ponieważ Gaballufix próbował zabić Nafaia. Dla Rasy jednak była to najstraszniejsza rzecz, jaką mogła sobie wyobrazić — własny syn mordujący jej poprzedniego męża.

Był to jednak dopiero początek, gdyż tej samej nocy Rasa dowiedziała się, jakimi potworami są jej obie córki. Sevyra, która poszła do łóżka z mężem Kokor — i Kokor, która potem rzuciła się na nią i prawie ją zabiła. „Cywilizacja nie dotarła do mojego domu. Mój syn mordercą, jedna córka cudzołożnicą, a druga w głębi serca morderczynią. Tylko Issib jest jeszcze cywilizowany. Issib kaleka”, pomyślała z goryczą. Być może tacy ludzie tworzą cywilizację — kaleki, którzy połączyli się, żeby spróbować zapanować nad silnymi. Czy to właśnie nie tak powiedział kiedyś Gaballufix? „W czasach pokoju, Raso, kobiety mogą się otaczać eunuchami. Ale kiedy przyjdzie wróg z zewnątrz, eunuchy was nie uratują. Wtedy zapragniecie prawdziwych mężczyzn, niebezpiecznych, potężnych. A gdzie oni będą, skoro ich wszystkich wypędziliście?”

Rashgallivak — zaliczał się do słabeuszy, prawda? W rozumieniu Gaballufixa był jednym z „eunuchów”. Nie posiadał siły, by zapanować nad zwierzętami, którym Gaballufix narzucił jarzmo. A potem Hushidh rozerwała to jarzmo i miasto zaczęło płonąć. „I to się stało w moim domu! Czy znów wszystko skupia się na mnie?”

Ostatnią znie wagą było przybycie generała Moozha. Rasa teraz wiedziała, że to on — nie mógł to być nikt inny. Taki zuchwały — przybył do miasta z armią liczącą zaledwie tysiąc żołnierzy, przyszedł w chwili, kiedy nie można było stawić oporu żadnemu wrogowi, i kiedy Basilika była gotowa przyjmując z otwartymi ramionami każdego, kto będzie udawał przyjaciela. Rasa nie dała się zwieść jego obietnicom. Nie dała się oszukać przez to, że jego żołnierze wycofali się z ulic. Nadal pilnowali murów i bram, prawda?

I nawet Moozh był z nią powiązany tak, jak Wetchik, Gaballufix, Nafai i Rashgallivak. Ponieważ przyszedł z listem od niej i wszedł do miasta, wykorzystując jej imię.

Gorzej już być nie mogło. A potem, dziś rano, do jej domu przyszli Nafai i Elemak — przedarli się przez las, co oznaczało, że obaj przekradli się przez obszary, na które mężczyznom nie wolno było wchodzić. I po co przyszli? Poinformować ją, że Naddusza żąda, aby opuściła miasto i przyłączyła się do męża na pustyni, zabierając ze sobą wszystkie kobiety, które uważała za odpowiednie.

— Odpowiednie do czego? — zapytała Rasa.

— Do wyjścia za mąż — odparł Elemak — i urodzenia dzieci w nowej, odległej krainie.

— Miałabym opuścić Basilikę, zabierając ze sobą biedne, niewinne kobiety, i żyć jak stado pawianów na pustyni?

— Nie tak jak pawiany — wtrącił pomocnie Nafai. — Nadal nosimy ubranie i nie szczekamy.

— Nie wezmę tego pod rozwagę — uparła się Rasa.

— Ależ weźmiesz, Mamo — powiedział Nafai.

— Grozisz mi? — zapytała Rasa, ponieważ zbyt wielu mężczyzn zwracało się do niej ostatnio z takimi słowami.

— Wcale nie — odrzekł Nafai. — Przewiduję przyszłość. Założę się, że nim minie pół godziny, weźmiesz to pod rozwagę, ponieważ wiesz, że Naddusza chce, abyś to zrobiła.

I miał rację. Nie minęło nawet dziesięć minut. Nie potrafiła przestać o tym myśleć.

Skąd wiedział? Ponieważ rozumiał, jak postępuje Naddusza. Nie wiedział tylko o tym, że Naddusza już nad nią pracowała. Kiedy Wetchik wyruszył na pustynię, poprosił ją, żeby z nim poszła. Nie było wtedy rozmowy o żadnych innych kobietach, ale kiedy pomodliła się do Nadduszy, usłyszała tak wyraźną odpowiedź, jakby w jej sercu przemówił głos. „Zabierz swoje córki”, powiedziała Naddusza. „Zabierz swoje siostrzenice i każdą kobietę, która zechce pójść. Na pustynię, aby były matkami mojego ludu”.

Na pustynię! Aby żyć jak zwierzęta! Rasa przez całe życie próbowała przestrzegać nauk Nadduszy. Teraz jednak Naddusza chciała zbyt dużo. Jaką pozycję miała Rasa poza Basiliką, poza własnym domem? Była nikim. Tylko żoną Wetchika. Tam będą rządzić mężczyźni —

nieokrzesani mężczyźni, tacy jak syn Wetchika, Elemak, który był przerażający; Rasa nie mogła uwierzyć, że Wetchik nie widzi, jak niebezpieczny jest jego syn. To od Elemaka—myśliwego będzie zależeć jej życie. I jakie tam będzie miała wpływy? Jaka rada będzie jej słuchać? Mężczyźni będą zwoływać rady, a kobiety będą gotować, prać i doglądać dzieci. Powrócą prymitywne czasy, zwierzęce czasy. Nie może opuścić miasta kobiet, gdyż jeśli to zrobi, przestanie być lady Rasą i przemieni się w zwierzę.

„Istnieję tylko w tym miejscu. Jestem człowiekiem tylko w tym miejscu”.

A jednak, kiedy wchodziła do izby rady, wiedziała, że „to miejsce” przestało być miastem kobiet. Kiedy spojrzała na przestraszone, poważne, gniewne twarze obradujących, wiedziała, że już nigdy nie będzie takiej Basiliki jak dotychczas. Może powstanie w jej miejsce nowa Basilika, ale już nigdy kobieta taka jak Rasa nie będzie mogła wychować swoich córek i siostrzenic w poczuciu błęgiego pokoju i bezpieczeństwa. Zawsze będą obecni mężczyźni, którzy zapragną mieć wszystko na własność, panować, wtrącać się. Mogła mieć jedynie nadzieję na mężczyznę takiego jak Wetchik, którego dobry charakter poskromi jego instynkt władzy. Ale czy można znaleźć na świecie drugiego Wetchika? A nawet jego łagodna ingerencja będzie nieznośna. Wszystko zostanie zniszczone. Wszystko zostanie zatrute i zbezczeszczone.

„Nadduszo! Zdradziłaś swoje córki!”

Nie wypowiedziała jednak swojego bluźnierstwa na głos. Zamiast tego zajęła miejsce przy jednym ze stołów na środku izby, gdzie podczas zebrań siedziały nie głosujące radne

i urzędniczki. Poczula na sobie ich wzrok. Wiedziała, że wielu obwiniają za wszystko — i trudno jej było się z nimi nie zgodzić. Pomyślała o swoich mężach, synach i córkach; o swoim domu, gdzie Rashgallivak stracił panowanie nad swoimi żołnierzami; i przede wszystkim o swoim liście w rękach generała Gorayni, kiedy wkraczał do miasta.

Zebrań rozpoczęło się i po raz pierwszy, odkąd Rasa mogła sięgnąć pamięcią, rytuały otwarcia zostały przyspieszone, a niektóre całkowicie pominięte. Nikt się nie skarżył. Ponieważ wszyscy wiedzieli, że ostateczny termin, który rada wyznaczyła Gorayni na opuszczenie miasta, jawił się teraz jako ostateczny termin dla nich samych — gdyż jasne teraz było dla nich wszystkich, że Gorayni nie zamierzają odchodzić.

Wkrótce rozszalała się kłótnia. Nikt nie kwestionował tego, że Gorayni są teraz władcami miasta. Debatowano, czy przeciwstawić się generałowi — niektórzy nazywali go Moozh, ale tylko w formie kpiny, gdyż nie odpowiadał na nazwisko Vozmuzhalnoy Vozmozhno, a jednak nie powiedział im, jak mają się do niego zwracać — czy uznać jego okupację za legalną. Za nic nie chciały mu się poddać, ale gdyby to zrobiły, istniała nadzieja, że pozwoli im nadal rządzić miastem w zamian za pozwolenie na wykorzystanie Basiliki jako militarnej bazy do operacji przeciwko Miastom Równiny i, niewątpliwie, Potokgawanowi. Uznając jednak jego okupację za legalną, tak jak o to prosił, dawały mu w rezultacie władzę, by mógł je później zniszczyć.

Jaki miały jednak wybór? Nie było z jego strony żadnych grózb. Właściwie przesłał im pełen uszanowania list: „Ponieważ mojemu wojsku nie udało się jeszcze zażegnać niebezpieczeństwa zagrażającego Basilice, nie chcemy, żeby nasi przyjaciele ponownie pogrążyli się w takim chaosie, jaki tu zastaliśmy po przybyciu. Dlatego jeśli poprosicie nas, abyśmy zostali do czasu przywrócenia porządku, chętnie będziemy wam posłuszenie służyć przez nieograniczony czas”. Z pozorów list dowodził, że Gorayni są potulni jak baranki.

Kobiety już jednak wiedziały, że w przypadku Gorayni pozory mylą. Och, słuchali uprzejmie każdego rozkazu czy prośby rady miasta, obiecując je spełnić. Wypełniali jednak tylko te rozkazy, które służyły ich celom. A na strażnikach miasta też nie można było polegać, ponieważ zaczęły prawie czcić generała Gorayni i teraz podążali za jego przykładem, przysięgając posłuszeństwo, a potem robiąc, co im się żywnie podobało. Och, generał był sprytny! Nikogo nie prowokował, z

nikim się nie spierał, zgadzał się ze wszystkim, co powiedziano... a jednak pozostawał niewzruszony, postępując wedle własnego widzimisię i nie dając im żadnego powodu, by go atakowano. Wszyscy członkowie rady musieli to odczuwać równie dotkliwie jak Rasa: wymykanie się władzy z ich rąk, podporządkowanie się miasta woli tego jednego człowieka, i to bez jednego głośno wypowiedzianego słowa czy jawnego czynu z jego strony.

„Jak on to robi?”, zastanawiała się Rasa. „Jak podporządkowuje sobie ludzi bez zastraszania ich czy tyranizowania? Jak skłania ludzi, by się go bali lub go kochali, nie pomimo, lecz z powodu jego bezwzględności?”

„Może to dlatego, że on po prostu dokładnie wie, czego chce”, pomyślała Rasa. „Może to, że tak gorąco wierzy w swoją wizję świata sprawia, że wszyscy otaczający go ludzie po prostu też muszą w nią wierzyć. Może my wszyscy tak bardzo pragniemy, aby ktoś nam powiedział, co jest prawdą, na co możemy liczyć, że zaakceptujemy nawet wizję, która nas czyni słabymi, a jego silnym, tylko po to, aby zapewnić sobie bezpieczny świat.”

— Od ostatecznego terminu dzieli nas zaledwie kilka minut — odezwała się stara Kobe. — I w trakcie całej naszej dyskusji dziś rano nie usłyszeliśmy słowa od lady Rasy.

Powstał szmer wyrażający aprobatę, ale natychmiast zagłuszył go pomruk gniewu.

— Nie powinniśmy od niej słyszeć ani jednego słowa, dopóki nie stanie przed sądem! — zawołała jedna kobieta. — To ona sprowadziła na nas to całe nieszczęście.

Rasa odwróciła się spokojnie i spojrzała na kobietę, która się odezwała. To była oczywiście Frotera, która prowadziła inną domową szkołę i od dawna zazdrościła Rasie.

— Moja lady Frotero — odezwała się Rasa. — Obawiam się, że możesz mieć rację.

To je uciszyło.

— Czy myślisz, że ja też nie patrzyłam i nie zobaczyłam tego, co wszystkie widzicie? Czy którekolwiek nieszczęście, które się nam przydarzyło, nie ma ze mną związku? Mój syn jest oskarżony o morderstwo, moje córki zdradziły się nawzajem, Rashgallivak próbował wywlec je z mojego domu, moje ukochane miasto ulega zniszczeniu wskutek rozruchów i pożarów, a armia, która usadowiła się w bramach Basiliki, pokazuje wam napisany przeze mnie list. I ja go rzeczywiście napisałam, choć nigdy nie powstało mi w głowie, że zostanie w taki sposób wykorzystany. Siostry, to wszystko prawda, ale czy to znaczy, że to ja sprowadziłam na nas te wszystkie nieszczęścia? Czy może znaczy to, że dotknęły one bardziej mnie niż kogokolwiek z wyjątkiem tych, których ukochani zginęli podczas rozruchów?

To ich zastanowiło; ach, tak, nadal była w stanie opowiedzieć im historię i sprawić, by patrzyli — przynajmniej przez chwilę — jej oczami.

— Siostry, gdybym wierzyła, że naprawdę jestem przyczyną tego całego zła, które pojawiło się w Basi lice, natychmiast bym stąd odeszła. Za bardzo kocham Basilikę, by być przyczyną jej upadku. Ale nie jestem przyczyną. Pierwszą przyczyną była chciwość Gaballufixa — ożenił się ze mną, żeby spróbować zrobić wyłom w naszych odwiecznych prawach. Czy to mój mąż sprowadził prywatnych żołnierzy do tego miasta? Nie. Zrobił to człowiek, którego n i e chciałam mieć za męża. Odrzuciłam Gaballufixa, podczas gdy wiele z was głosowało, aby tolerować jego nadużycia! Nie zapominajcie o tym!

Nie zapomniały, kuląc się na swoich miejscach.

— Teraz Gorayni przyszli z moim listem. Ale napisałam go po to, żeby pomóc młodemu basilikanskiemu strażnikowi znaleźć schronienie u Gorayni. Wiedziałam, że zagraża mu niebezpieczeństwo ze strony najemników Rashgallivaka, a zachował się życzliwie w stosunku do mojego syna, więc starałam się zapewnić mu taką ochronę, na jaką było mnie stać. Teraz widzę, że był to straszny błąd. Mój list uświadomił im, że jesteśmy słabi, i przyszli to wykorzystać. Ale to nie ja jestem przyczyną tej słabości i gdyby Gorayni nie przyszli, to czy nasza sytuacja dziś rano

byłaby lepsza niż w tej chwili? Czy w ogóle odbywałybyśmy posiedzenie tej rady, czy wszystkie padłybyśmy ofiarą gwałtu i rabunku ze strony najemników Palwashantu? Czy nasze miasto zamieniłoby się w popioły? Powiedzcie mi zatem, siostry, co jest lepsze: być w złej sytuacji, lecz mieć jakąś nadzieję, czy stanąć w obliczu zniszczenia, utraty władzy i całkowitej beznadziei?

Znów powstał szmer, lecz Rasa nie dała im wytechnienia. Rzadko przemawiała tak długo i z taką mocą — już dawno temu nauczyła się, że ma większą władzę, jeśli nie opowiada się otwarcie za niczym, lecz raczej działa zakulisowo. Mimo to przemawiała dość często, by wiedzieć, jak je nagiąć, przynajmniej trochę, do własnej woli. Była to siła, której skuteczność zmniejszała się za każdym razem, kiedy ją wykorzystywała, ale tym razem musiała z niej skorzystać, bo w przeciwnym razie przepadłaby z kretesem.

— Jeśli stawimy mu opór, co się wówczas stanie? Nawet jeśli dotrzyma słowa i odejdzie, to czy którakolwiek z was może zagwarantować, że nasi strażnicy miasta będą tacy łagodni jak dawniej? A nie wierzę, że dotrzyma słowa. Czy kiedykolwiek słyszałyście, żeby generał Vozmuzhalnoy Vozmozhno oddał jedną wioskę, jedno pole, jeden kamyk, który zdobył? — Podniósł się głośniejszy szmer. — Tak, to jest generał Moozh. Byłybyśmy głupcami, gdyby przez chwilę wydawało nam się inaczej. Jaki inny generał Gorayni byłby na tyle zuchwały, by zrobić to co on? Czy nie widzicie, jak śmiały i genialny był jego plan? Przyszedł tu z zaledwie tysiącem żołnierzy, lecz przez kilka przełomowych godzin wierzyliśmy, że ma ze sobą tysiąc razy tyle wojska. Zachowywał się służalczo i uniżenie, a jednak rozmieścił swoich żołnierzy tam, gdzie chciał, zwiódł naszych strażników miasta i zagarnął potrzebne mu zapasy. Zawsze przeprasza i wyjaśnia. Zawsze nas przekonuje, że ma dobre intencje. Ale przez cały czas kłamie i nic z tego, co nam mówi, nie jest prawdą. Zamierza dołączyć Basilikę do imperium Gorayni. Nigdy nas nie puści.

Kiedy Rasa przerwała, na sali rozległy się głośne pomruki. Kilka kobiet załkało.

— Zatem przeciwstawmy się mu! — zawołała jedna radna.

— A cóż nam da opór? — zapytała Rasa. — Ile z nas poniosłoby śmierć? I w jakim celu? Jedna piąta część naszego miasta już spłonęła. Już zaszyliśmy się z przerażenia, kiedy pijani mężczyźni zaczęli buszować po naszym mieście. Co by się stało, gdyby grabieżcy byli teraz trzeźwi? Gdyby to byli ci sami zdyscyplinowani zabójcy, którzy przygwoździli uczestników rozruchów do ścian ich własnymi nożami? Wtedy nie byłoby dla nas ucieczki!

— A więc... co nam proponujesz, lady Raso?

— Dajcie mu to, o co poprosił. Pozwolenie, żeby pozostał. Tylko postawcie warunek, żeby jego żołnierze kwaterowali poza murami miasta. Każcie im złożyć tę samą przysięgę, jaką składają nasi mężczyźni, kiedy zostają naszymi mężami — że będą się trzymać z dala od zakazanych obszarów miasta, że nie będą próbować zdobywać na własność żadnych nieruchomości i odejdą, kiedy nadejdzie na to pora.

Powstał szmer aprobaty.

— Czy on się na to zgodzi, lady Raso?

— Nie mam pojęcia — odparła. — Ale jak dotąd starał się przynajmniej sprawiać wrażenie, że spełnia nasze życzenia. Rozgłosmy naszą ofertę i miejmy nadzieję, że wygodniej mu będzie przestrzegać jej warunków, niż je naruszać.

Namowy Rasy odniosły aż za dobry skutek. Tak, radne poparły jej propozycję, prawie jednogłośnie. Ale również mianowały ją ambasadorką, która miała przekazać ich „zaproszenie” generałowi Moozhowi. Nie było to spotkanie, do którego Rasie się paliło, ale nie miała czasu nawet zastanowić się, co powinna powiedzieć lub jak powinna się zachować. Zaproszenie miało być dostarczone natychmiast i osobiście; zostało wydrukowane, podpisane i zapieczętowane na miejscu, i rada obserwowała, jak Rasa opuszcza salę z dokumentem w ręku, kilka minut przed ostatecznym terminem, który same ustaliły.

* * *

Nie był to najlepszy poranek dla Mebbekewa. Posłusznie przedzierał się przez zakazane zbocza Basiliki pod przewodnictwem Nafaia, tak jak podążał za Elemakiem w drodze z pustyni, okrążając miasto w kierunku północnych lasów. Kiedy jednak znaleźli się w zasięgu wzroku domu Rasy, Mebbekew wymknął się ukradkiem. Nie miał zamiaru być pionkiem w ich planach. Jeśli przyszli tu w celu znalezienia żon, Mebbekew zamierzał znaleźć własną, dziękuję uprzejmie. Z pewnością nie zamierzał wlec się za starszym bratem, ciągle zadowolając się wyborem w drugiej kolejności; nie zamierzał też poniżyć się, idąc do domu matki swoich braciszków i prosić ją, aby dała mu jedną ze swoich cennych siostrzenic. Elemak pałał uczuciem do tej porcelanowej lalki, Eiadh... cóż, to był jego przywilej. Mebbekew wołał kobiety, którym w żyłach płynęła krew, kobiety, które chrząkały i wydawały chrapliwe odgłosy przy uprawianiu miłości, kobiety silne i pełne wigoru. Kobiety, które kochały Mebbekewa.

Cóż, od razu napotkał przykład siły i wigoru. Najgorsze pożary płonęły w Dolltown i Dauberville; niewiele jego dawnych kochanek pozostało w domach, w których je znał. Garstka kobiet, które tam znalazł, uciekła się na jego widok. Rzuciły się na niego, oblewając go łzami i zasypując pocałunkami, pragnąc, by u nich pozostał. Pozostać z nimi — gdzie? W do połowy spalonym domu bez bieżącej wody? I dla czego go chciały? Aby mógł wykonać wszystkie ciężkie prace potrzebne do odnowy mieszkania, do naprawy; oraz po to, aby był ich opiekunem. Co za żart! Mebbekew strzegący jakąś biedną, przestraszoną dziewczynę! Bez wątpienia hojnie by mu to wynagrodziły swoim ciałem, gdyby odegrał rolę, którą dla niego napisały, ale nie warto było — żadna kobieta nie była teraz tego warta, jeśli jej potrzeby były większe od jego. Nie przyszedł tu, żeby ochraniać lub zapewniać byt, lecz po to, żeby znaleźć ochronę i utrzymanie.

Tak więc zostawił je z pocałunkiem i obietnicą, nie zatrzymując się nawet tak długo, by wziąć kąpiel lub zjeść posiłek, ponieważ wiedział, że z chwilą, gdy znajdzie się w ich mocnym uścisku, te kobiety w potrzebie zrobią z niego męża. Nie miał zamiaru być mężem kobiet, które nie miały mu do zaoferowania nic oprócz pracy i kłopotów!

Jeżeli chodzi o zaproponowanie którejkolwiek z jego dawnych kochanek porzucenia Basiliki i powędrowania z nim na pustynię, urodzenia gromadki dzieci w celu zaludnienia ich nowego domu, dopóki nie znajdą ziemi obiecanej — ten temat jakoś nigdy nie pojawiał się w jego rozmowach. Nie znaczy to, że niektóre z nich nie zrobiłyby tego. Kiedy popatrzyły na ruinę swojego ongiś frywolnego życia w Basilice, kiedy przypomniały sobie strach przejmujący je podczas tamtej strasznej nocy w trakcie rozruchów, a potem grozę na widok trupów przybitych do ścian przez Gorayni, pomysł wędrówki na pustynię z prawdziwym mężczyzną, który je poprowadzi i ochroni, wydałby się niektórym z tych kobiet kuszący. W każdym razie przez kilka pierwszych dni; potem uświadomiłyby sobie, że pustynia to samotne i wcale niezabawne miejsce, i zapragnęłyby wrócić do Basiliki — zrujnowanej czy nie — tak gorąco jak sam Mebbekew.

To nie miało większego znaczenia. Meb wcale nie zamierzał składać takiej propozycji żadnej ze swoich przyjaciółek. Niech Elemak i Nafai bawią się z Ojcem w te głupie wizje, jeśli chcą. Mebbekew pragnął jedynie jakiejś kobiety, która przyjmie go do przytulnego, czystego mieszkanka i przytulnego, czystego łóżka, i ukryje go oraz pocieszy po stracie fortuny, dopóki Elemak i Nafai nie odejdą. Po cóż Mebbekew miałby w ogóle ponownie wyruszać na pustynię? Basilika mogła być w połowie spalona, sterroryzowana i okupowana przez wojsko Gorayni, ale toalety i łaźnie nadal funkcjonowały w większości domów, jedzenie było świeże i w starym mieście można się było jeszcze niezłe zabawić.

Stopniowo jednak uświadomił sobie, że nawet ten ograniczony plan nie ma szans powodzenia na dłuższą metę. Podczas spacerów po Dolltown wczesnym rankiem uświadomił sobie, że nie może zbyt długo się ukrywać w Basilice, ponieważ wszedł do miasta nielegalnie, bez rejestracji, i w którymś momencie zostanie złapany i zaaresztowany. Strażnicy miasta byli teraz dość aktywni, bardziej niż kiedykolwiek widział, i na kilku ulicach przeprowadzali kontrole kciuków oraz oczu. Musiał zostać złapany w najbliższym czasie. Faktycznie, dotarcie z Dolltown do domu Rasy na ulicy Deszczowej nie było łatwe.

Tak, dom Rasy. To go drażniło, ale próbował już wszystkiego; tak więc znalazł się tutaj, gotowy poddać się całkowicie swoim braciom, swojemu ojcu i ich idiotycznym planom.

Stał na ulicy, patrząc na fasadę domu Rasy, gotowy ulec — a jednak niegotowy. To było nie do zniesienia. Poniżenie. Puk, puk. „Dzień dobry. Jestem przyrodnim bratem synów Rasy i przyszedłem tu, ponieważ wszystkie moje byłe kochanki odesłały mnie z kwitkiem i byłbym wdzięczny, gdyby Rasa i moi przyrodni bracia przyjęli mnie i dali mi coś do zjedzenia i wypicia, nie mówiąc już o długiej, gorącej kąpieli, zanim umrę”.

Wyobrażenie sobie tej sceny przyprawiało o mdłości i choć Mebbekew wiedział, że musi to zrobić, nigdy nie nabył zbyt dużej praktyki w robieniu nieprzyjemnych rzeczy tylko dlatego, że wiedział, iż musi je zrobić. Zamiast tego więc uczynił to, co zwykle robił w takich okolicznościach. Czekał beczynn timer, tuż na progu swojego bolesnego celu.

Nic nie robił — cierpiąc przez cały czas wyimaginowane katusze — przez co najmniej dwadzieścia minut, obserwując klasy młodych dziewcząt i chłopców na werandzie. Od czasu do czasu nawet wyłapywał pojedyncze słowa i próbował odgadnąć przedmioty i konkretne lekcje. Przynajmniej na chwilę mógł się oderwać od swoich kłopotów. Doszedł do wniosku, że najbliższa klasa uczy się albo geometrii, albo chemii organicznej, albo układania klocków.

Jakaś młoda kobieta opuściła zajęcia, zbiegła po schodach werandy i rozmyślnie ruszyła w jego kierunku. Z pewnością dostrzegła, że Meb obserwuje werandę, i doszła do wniosku, że jest osobnikiem napastującym dzieci lub włamywaczem. Pomyślał o tym, żeby się odwrócić i odejść, zanim dziewczyna się do niego zbliży — czego prawie na pewno się po nim spodziewała — lecz zamiast tego przyjrzał się jej twarzy i uświadomił sobie, że ją rozpoznaje.

— Dzień dobry — odezwała się lodowatym tonem, gdy tylko podeszła dostatecznie blisko, by nie musiała krzyczeć.

Mebbekewa nie martwiła perspektywa sprzeczki. Jeszcze nigdy nie spotkał młodej i pięknej kobiety, której nie potrafiłby szybko zainteresować, jeśli starał się dość rzetelnie dowiedzieć się, czego dziewczyna pragnie, a potem jej to dać. Zawsze czerpał przyjemność z flirtowania z kobietą, z którą jeszcze nigdy dotąd nie miał do czynienia. Zwłaszcza że od razu ją rozpoznał — lub przynajmniej dostrzegł podobieństwo.

— Czy to nie ty byłaś kiedyś Dolyą? — zapytał.

Dziewczyna oblała się rumieńcem, ale na jej twarzy pojawił się zimny i gniewny wyraz. A więc miał rację — to b y ł a Dol.

— Czy mam zawołać strażnika, żeby cię wyrzucił?

— Widziałem cię w „Piratach” i „Zachodnim wietrze”. Byłaś genialna — powiedział.

Jeszcze bardziej poczerwieniała, a jej twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

— Miałas talent — ciągnął. — Nie tylko wygląd. Nie byłaś zwykłą młodą i słodką dziewczyną. Nie potrafiłem nigdy zrozumieć, dlaczego nie obsadzili cię w dojrzałych rolach, kiedy dorosłaś. Wiem, że dałabyś sobie radę. To było piekielnie niesprawiedliwe.

Teraz już nie patrzyła z gniewem, lecz raczej rozbawieniem.

— Nie spotkałam jeszcze nikogo, kto by szastał takimi jawnymi, cynicznymi pochlebstwami — powiedziała.

— Ach, ale ja mówiłem to wszystko poważnie. Dolya — przypuszczam, że teraz ludzie zwracają się do ciebie jak do dorosłej osoby i nazywają cię Dol?

— Przyjaciele tak. Inni mówią do mnie per „pani”.

— Pani, mam nadzieję, że pewnego dnia zasłużę sobie, by być twoim przyjacielem. Tymczasem miałem nadzieję, że może mi powiesz, czy moi bracia przyrodni, Elemak i Nafai, są w domu Rasy. Omiotła go wzrokiem od stóp do głów.

— Nie widzę, żebyś był zbyt podobny do któregośkolwiek z nich.

— Ach, teraz to ty mi pochlebiasz — powiedział. Zaśmiała się i podeszła do niego, podając mu rękę.

— Zaprowadzę cię, jeśli naprawdę jesteś Mebbekewem.

Cofnął się od niej o krok.

— Nie dotykaj mnie! Jestem brudny. Dwudniowa podróż przez pustynię nie zapewnia najlepszego zapachu i jeśli nie powalił cię odór mojego ciała, mój oddech by to zrobił.

— Nie spodziewałam się, że będziesz pachniał jak bukiet kwiatów — oznajmiła. — Zaryzykuję i chwycę cię za rękę, żeby cię wprowadzić.

— A więc twoja odwaga dorównuje twojej urodzie — odrzekł, ujmując ją za rękę. — Na Nadduszę — szepnął — twoja ręka jest chłodna i delikatna w dotyku.

Znów się roześmiała — aktorki z takim doświadczeniem jak Dol, nabytym jeszcze w czasach, kiedy cieszyła się sławą, nie można było zwieść pochlebstwami. Mebbekew jednak domyślił się, że już od wielu lat nikt nie zadawał sobie trudu, żeby powiedzieć jej w ogóle jakiś komplement, tak więc już sam fakt, że uznał, iż warto tego spróbować, stanowił pewnego rodzaju pochlebstwo, przed którym Dol nie będzie potrafiła się obronić. I rzeczywiście, wydawało się, że jego metoda odniosła bardzo dobry skutek.

— Nie musisz mówić takich rzeczy — powiedziała. — Ciocia Rasa wydała polecenie, aby przyprowadzić cię, gdy tylko... jak to określiła... „zechcesz się zjawić”.

— Gdybym wiedział, że cię tu zastanę, pani, przyszedłbym znacznie wcześniej. I tak jak mówisz, nie muszę nikomu schlebiać, żeby wejść dziś rano do domu Rasy. Zatem to, co ci teraz mówię, to żadne pochlebstwa. Moje słowa płyną z głębi serca. Kiedy byłem chłopcem, zakochałem się w wizerunku Doly na scenie. Teraz widzę cię oczami mężczyzny. Widzę cię jako kobietę. I wiem, że jesteś jeszcze piękniejsza. Nigdy nie wiedziałem, że jesteś siostrzenicą Rasy, bo zostaliśmy w szkole.

— Byłam jej siostrzenicą. Teraz jestem tu nauczycielką. Uczę savoir-vivre’u. Zwłaszcza Eiadh. Wiesz, tę dziewczynę, do której zaleca się twój brat, Elemak.

— To podobne do Elemaka: zalecać się do wątlej kopii, ignorując oryginał. — Mebbekew celowo nie spuszczał wzroku z jej twarzy, lecz nie patrzył jej w oczy — zamiast tego studiował jej usta, włosy, rysy, wiedząc, że Dol zobaczy, jak wodzi po niej wzrokiem, jak się napawa jej widokiem. — A propos, Elemak jest tylko moim przyrodnim bratem — powiedział. — Gdy się umyje, zobaczysz, że wyglądam znacznie lepiej.

Roześmiała się, ale wiedział, że wzbudził w niej zainteresowanie — już dawno temu nauczył się, że pochlebstwa zawsze odnoszą skutek, i że kobiety wierzą nawet w najbardziej fałszywą pochwałę, jeśli mężczyzna ją powtarza i dość umiejętnie rozbudowuje. Jednak w tym przypadku nie musiał właściwie kłamać. Dol była piękna, choć oczywiście nie aż tak urocza jak wtedy, gdy była niebiańską trzynastolatką. Mimo to miała wdzięk, postawę i czarujący uśmiech. Teraz, gdy popracował nad nią przez kilka minut, patrzyła na niego błyszczącymi i szeroko otwartymi oczami. Świadczyło to o pragnieniu. Rozbudził w niej pragnienie. Nie było to oczywiście pragnienie namiętności; raczej pragnienie, by usłyszeć od niego więcej pochwał na temat swojej urody, więcej

jego werbalnych pieszczot. Wiedział jednak z doświadczenia, że łatwo osiągnie cel, jeśli nie będzie zbyt zmęczony po śniadaniu i kąpieli.

Zaprowadziła go do własnej sypialni — dobry znak — gdzie służące przygotowały mu kąpiel. Jeszcze był w wodzie, rozkoszując się własną czystością, kiedy Dol wróciła z tacą pełną jedzenia i dzbankiem wody. Sama to przyniosła i byli teraz we dwoje. Przez cały czas trąkotała — nie z podenerwowaniem, lecz swobodnie. To był największy talent Mebbekewa: kobiety z taką łatwością rozluźniały się w jego obecności, że rozmawiały z nim z taką szczerością, na jaką zdobywały się tylko w towarzystwie przyjaciółek.

Kiedy Dol mówiła, Mebbekew wstał z wody; kiedy po ustawieniu tacy na komodzie odwróciła się, zobaczyła, jak Meb wyciera się ręcznikiem, nagusieńki. Zapało jej dech i odwróciła głowę.

— Przepraszam — powiedział. — Nie przyszło mi do głowy, że się przestraszysz. Na pewno widziałas wielu mężczyzn, kiedy byłaś aktorką. Ja też występowałem na scenie i wiem, że za kulisami nikt się nie krępuje.

— Byłam wtedy młoda — wyjaśniła Dol. — Zawsze mnie ochraniano.

— Czuję się zatem jak jakaś gadzina — powiedział Mebbekew. — Nie chciałem cię zszokować.

— Nie — odrzekła. — Nie jestem zszokowana.

— Kłopot w tym, że nie mam co na siebie włożyć. Chyba nic by nie dało, gdybym założył z powrotem moje brudne ubranie.

— Służące już zabrały twoje rzeczy do prania. Mam jednak dla ciebie płaszcz kąpielowy.

— Jeden z twoich? Wątpię, czy będzie mi pasował.

Oczywiście przez cały czas nadal się wycierał, nie próbując wcale się zakryć. I kiedy rozmawiali, odwróciła się z powrotem i teraz patrzyła na niego bez skrępowania. Ponieważ wszystko szło tak gładko i Meb spodziewał się, że wkrótce pójdzie do łóżka z tą kobietą, jego ciało sprężyło się w pełnej gotowości. Gdy tylko zobaczył, że Dol patrzy na jego krocze, udał, że dopiero teraz to dostrzegł i na pokaz zaczął się zakrywać z przodu ręcznikiem.

— Przepraszam — powiedział. — Tak długo byłem sam na pustyni, a ty jesteś taka piękna. Nie chciałem cię urazić.

— Nie jestem urażona — odparła.

Meb dostrzegł pożądanie także w jej oczach. Teraz chciała od niego czegoś więcej niż tylko ładnych słówek. Jak się domyślił, Dol prawdopodobnie nie miała ostatnio zbyt wielu zalotników. Przy jej urodzie nie brakowałoby jej kochanków w Dolltown, ale będąc nauczycielką w domu Rasy, miała znacznie bardziej ograniczone możliwości. Tak więc prawie na pewno była taka chętna jak on.

Po to właśnie wrócił do Basiliki. Nie po to, żeby znaleźć te przestraszone, wygłodzone kobiety w Dolltown, które potrzebują silnego i niezawodnego mężczyzny, ale tę kobietę, która potrzebuje, aby Meb był tylko namiętny, pochlebiał jej i zapewniał rozrywkę. Dol czuła się w domu Rasy na tyle bezpiecznie i swobodnie, że nadal mogła się zachowywać tak, jak miały to robić basilikańskie kobiety — być samowystarczalnymi opiekunkami mężczyzn, które nie potrzebują od swoich kochanków nic oprócz odrobiny przyjemności i uwagi.

Przyniosła mu płaszcz kąpielowy. Prawdopodobnie pasowałby mu dość dobrze, ale na pokaz wepchnął rękę tak głęboko w rękaw, że ledwie zmieścił w nim łokieć.

— Och, to za małe — powiedziała.

— Teraz to już nie ma większego znaczenia — stwierdził. — Już nie mam przed tobą tajemnic!

Oczywiście upuścił ręcznik, żeby przymierzyć płaszcz. Schylił się, żeby go podnieść, jeszcze gdy zdejmował płaszcz z ramienia. Kiedy jednak ponownie wstał, Dol wzięła od niego zarówno ręcznik, jak i płaszcz.

— Masz rację — powiedziała. — Nie ma sensu silić się teraz na skromność.

Rzuciła ręcznik i płaszcz do kąta, po czym przyniosła mu kiść winogron z tacy na komodzie.

— Proszę — poczęstowała go.

Podawała mu winogrono, ale nie do ręki, lecz do ust. Pochylił się do przodu bardziej, niż musiał, i wraz z winogronem wziął do ust jej palce. Pozostawiła je w jego ustach, kiedy powoli odrywał owoc. Wreszcie ugryzł winogrono i poczuł, jak jego sok rozbryzguje się w jego ustach. Było cierpkie, słodkie i smaczne. Meb usiadł na łóżku i Dol podała mu następne, a potem kolejne. Reszta winogron wylądowała jednak na podłodze.

* * *

Moozh czekał niecierpliwie, aż wreszcie spotka się z lady Rasą i nie zawiódł się. Zakwaterował się w domu Gaballufixa — symbolizm tego był zamierzony — i wiedział, że Rasa z pewnością dostrzeże prawdziwe znaczenie jego bytności w tym miejscu. Lady Rasa nie będzie kompletną idiotką — tego był pewien, sądząc po tym, co o niej słyszał. Pozostało jedynie zdecydować, który z kilku planów powinien zastosować w jej przypadku. Można z niej było zrobić sojusznika. Można z niej było zrobić „jelenia”. Mogła oczywiście być nieprzejednanym wrogiem. Bez względu na to wszystko wykorzysta ją.

Nie nosiła się z jakąś szczególną godnością; nie próbowała go skusić lub zastraszyć. Ale tylko w taki sposób kobieta mogła zrobić na nim wrażenie. Dobierały się do niego najwspanialsze kobiety w Gollodzie, ale było jasne, że Rasa nie zamierza tego robić. Rozmawiała z nim raczej jak równa z równym i jemu się to podobało. Ona mu się podobała. Zapowiadało się to na dobrą grę.

— Oczywiście chcę przyjąć zaproszenie rady miasta — powiedział. — Aż nadto jesteśmy szczęśliwi, pomagając temu pięknemu miastu utrzymać porządek i bezpieczeństwo podczas dochodzenia do siebie po niefortunnych wydarzeniach kilku minionych tygodni. Ale mam problem, w którym być może pani mi pomoże.

Zobaczył z wyrazu jej twarzy, że oczekiwała od niego więcej żądań — i wiedział też, że nie miała złudzeń co do tego, iż Moozh jest w stanie stawiać żądania, a także je zrealizować.

— Widzi pani — ciągnął — tradycyjnym sposobem stosowanym przez generała Gorayni w celu wynagrodzenia swoich żołnierzy po wielkim zwycięstwie jest podział podbitego terytorium i rozdanie im ziemi oraz żon.

— Ale wy nie podbiliście Basiliki — stwierdziła dobitnie Rasa.

— No właśnie! — przytaknął. — Widzi pani mój dylemat. Moi ludzie wykazali się niezwykle bohaterstwem i dyscypliną podczas tej kampanii i ich zwycięstwo nad chuliganami i uczestnikami rozruchów było całkowite. A jednak brak mi środków, by ich wynagrodzić!

— Nasz skarbiec jest dobrze zaopatrzony — odparła Rasa. — Jestem pewna, że rada miasta może uczynić każdego pańskiego żołnierza tak bogatym, jak tylko pan chce.

— Pieniądze? — zapytał Moozh. — Och, głęboko mnie pani rani. Mnie i moich ludzi. Nie jesteśmy najemnikami!

— Przyjmujecie ziemię, ale nie chcecie pieniędzy, za które możecie ją kupić?

— Ziemia to kwestia tytułu i honoru. Człowiek z ziemią to lord. Ale pieniądze — to by się równało nazywaniu moich żołnierzy *handlarzami*.

Popatrzyła na niego przez chwilę, po czym powiedziała:

— Generale Vozmuzhalnoyu Vozmozhno, czy Imperator wie, że nazywa pan tych ludzi *swoimi* żołnierzami? *Swoimi* ludźmi?

Moozh poczuł nagły dreszcz strachu. To było rzeczywiście rozkoszne — wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy siedział naprzeciwko kogoś, kto wiedział, jak mu odebrać inicjatywę. I Rasa trafiła od razu w jego najsłabszy punkt. Gdyż Moozh nie tylko sprzeciwił się rozkazom Imperatora,

aby nie przeprowadzać żadnych manewrów ofensywnych, lecz również nie pozwolił przyjść tutaj publicznym i prywatnym oddziałom szpiegów Imperatora. Największe niebezpieczeństwo w tej chwili zagrażało mu ze strony Imperatora, który z pewnością już usłyszał o jego odważnym przedsięwzięciu. Moozh znał Imperatora dość dobrze, by wiedzieć, że nie będzie działał pochopnie — rzeczywiście, taka była główna wada Imperatora: bał się ryzyka — lecz na pewno nowy orędownik już zmierzał na południe i to ze wsparciem świątynnych wojsk. Albo Moozh będzie w stanie przedstawić wszystko w korzystnym świetle i odzyska zaufanie Imperatora, albo będzie musiał się zdecydować na jawny bunt, mając do dyspozycji jedynie tysiąc żołnierzy i będąc sto kilometrów w głębi wrogiego terytorium. Nie był to dla niego dobry moment na stawianie czoła przeciwnikowi, który wiedział dokładnie, na czym polega jego słabość.

— Kiedy nazywam ich swoimi — odparł Moozh — oczywiście uważam, że są moi, dopóki Imperator pozwala mi być swoim sługą.

— Widzę, że nie zaprzecza pan, iż j e s t pan Vozmuzhalnoyem Vozmozhno.

Wzruszył ramionami.

— Widzę, że jest pani dla mnie zbyt sprytna. Czemu miałbym przed p a n i ą ukrywać moją tożsamość?

Zmarszczyła brwi. Jego pochlebstwo i szczere przyznanie się do swojego imienia trochę ją zastopowało. Teraz bez wątpienia będzie się zastanawiała, dlaczego tak ochoczo przyznał się do swojego prawdziwego imienia, i dlaczego uważał ją za sprytną. Założy, że ponieważ nazwał ją sprytną, musi to oznaczać, iż w ogóle n i e zachowała się sprytnie. Dlatego nie będzie już wierzyła, że może go dopaść, wykorzystując różnice między nim i Imperatorem. Już dawno temu nauczył się, że jednym z najlepszych sposobów rozbicia naprawdę przebiegłego przeciwnika jest doprowadzić do tego, żeby przestał ufać swoim siłom, i wydawało się, że w przypadku Rasy to skutkuje.

— Spryt nie ma z tym nic wspólnego — powiedziała. — Liczy się prawda. Uważam, że w pańskich słowach nie ma ani krzty prawdy. Zazwyczaj nie nagradza pan swoich żołnierzy ziemią, bo nie pozostałby panu już ani jeden żołnierz. Być może swoich oficerów. Ale to gadanie o ziemi to tylko pańska pierwsza próba zmierzająca do zniszczenia ziemskiego prawa miasta kobiet. Niech zgadnę, na czym polega ta gra: wracam do rady z pańską pokorną prośbą i odsyłają mnie z ofertą, żeby zakwaterować pańskich ludzi poza miastem. Wychwala pan naszą wspańiałości, po czym zaznacza, że pańscy ludzie nie mogliby się nigdy zadowolić pozycją drugorzędnych obywateli krainy, którą ocalili od zniszczenia. Jak mógłby wyjaśnić żołnierzom Gorayni, że nie mogą posiadać na własność ziemi w granicach miasta? Wtedy zaproponowałyby pan kompromis — tylko po to, żeby pozwolić im i nam zachować twarz. Pański kompromis polegałby na tym, że żołnierze Gorayni, którzy poślubiliby basilikańskie kobiety, mogliby być współwłaścicielami ich ziemi w obrębie miasta. Kobiety oczywiście miałyby całkowitą kontrolę nad ziemią, ale pańscy żołnierze zachowaliby szacunek do samych siebie.

— Ma pani talent do przewidywania—stwierdził Moozh.

— Nie. Tylko improwizuję — odparła. — Połowiczne prawa własności doprowadziłyby w ciągu kilku tygodni do szeregu odpowiednich małżeństw, a potem powstałby nacisk, żeby wszyscy mieli równe prawa do głosowania — zwłaszcza, że udowodni pan, iż pańscy ludzie są łagodnymi i posłusznymi mężami, którzy nie próbują zawładnąć majątkiem, do którego mają tytułarne połowiczne prawo własności. Ile potrzeba będzie czasu, by nadszedł dzień, kiedy kobiety nie będą miały głosu i cały majątek Basiliki znajdzie się w rękach mężczyzn?

— Moja droga lady, źle mnie pani ocenia.

— Nie ma pan zbyt wiele czasu — powiedziała Rasa. — Imperator z pewnością przyśle tu swoich przedstawicieli najpóźniej w ciągu dwóch tygodni.

— Wszystkie armie Gorayni podróżują z imperialnymi przedstawicielami.

— Ale nie pańska — stwierdziła Rasa. — Albo straż miasta by o tym wiedziała. Poznaliśmy organizację waszej armii i widzimy, że nie ma tu namiotu orędownika. Niektórzy pańscy żołnierze dotkliwie odczuwają brak możliwości spowiedzi.

— Nie mam się czego obawiać w związku z przybyciem orędownika.

— To dlaczego próbował mnie pan oszukać, że już pan tu ma orędownika? Nie, generale Vozmuzhalnoyu Vozmozhno, sądzę, że musi pan bardzo szybko działać, by umocnić tu swoją pozycję, zanim stawi pan czoło wyzwaniu Imperatora. Sądzę też, że nie ma pan czasu, by tłumić jakiegokolwiek powstania — trzeba to załatwić pokojowymi metodami i niezwłocznie.

Wcale nie zwiodły jej jego pochlebstwa. Moozh ponownie poczuł dreszcz strachu.

— Rzeczywiście jest pani mądrą kobietą. Istnieje możliwość, że Imperator błędnie zinterpretuje moje poczynania, mimo że kierowałem się wyłącznie chęcią służenia mu. Ale myli się pani myśląc, że umocnienie mojej pozycji w Basilice będzie długotrwałym procesem wymagającym wielu zabiegów.

— Tak pan uważa? — zapytała Rasa.

— Myślę, że potrzebne będzie tylko jedno małżeństwo. — Uśmiechnął się. — Moje.

Wreszcie udało mu się ją zaskoczyć.

— Czy nie jest pan już żonaty? — zapytała.

— Prawdę mówiąc, nie — odparł Moozh. — Nigdy nie byłem. Do tej pory ten stan rzeczy był zawsze korzystniejszy ze względów politycznych.

— I wydaje się panu, że małżeństwo z Basilikanką rozwiąże wszystkie pańskie problemy? Nawet jeśli zrobią dla pana wyjątek i pozwolą panu mieć udział w majątku żony, to i tak nie ma w Basilice kobiety, która posiada tyle nieruchomości, żeby miało to dla pana jakiegokolwiek znaczenie.

— Nie zamierzam się żenić ze względu na nieruchomości.

— A więc po co?

— Aby zdobyć wpływy — odparł. — Prestiż.

Przyglądała się przez chwilę jego twarzy.

— Jeśli pan myśli, że ja mam takie wpływy lub prestiż, to jest pan głupcem.

— Jest pani niezwykle kobietą i przyznaję, że jest pani w odpowiednim dla mnie wieku: jest pani dojrzała i obyta. Małżeństwo z panią uczyniłoby z życia niebezpieczną i zajmującą grę, i oboje czerpalibyśmy z tego przyjemność. Niestety jednak, pani już jest zamężna, choć krążą pogłoski, że pani mąż to obłąkany prorok, który ukrywa się na pustyni. Nie popieram rozbijania szczęśliwych rodzin. Poza tym, ma pani zbyt wielu przeciwników i wrogów w tym mieście, aby okazała się pani pożyteczną małżonką.

— To Imperatorzy mają małżonki, generale Vozmuzhalnoyu Vozmozhno; generałowie mają żony.

— Proszę do mnie mówić Moozh — powiedział. — To przydomek; pozwalam go używać jedynie przyjaciółom.

— Nie jestem pańską przyjaciółką.

— Oznacza „męża” — wyjaśnił.

— Wiem, co oznacza, i ani ja, ani żadna inna kobieta w Basilice nigdy tak pana nie nazwie w pańskiej obecności.

— Jestem mężem — powiedział Moozh — a moją panną młodą jest Basilika. Poślubię ją, pójdę z nią do łóżka i urodzi mi wiele dzieci. A jeżeli nie zechce mnie wziąć na męża dobrowolnie, to i tak ją zdobędę i w końcu będzie posłuszna.

— W końcu to miasto złoży pańskie jaja na talerzu, generale — odcięła się. — Ostatni właściciel tego domu przekonał się o tym, kiedy próbował zrobić to co pan.

— Ale on był głupcem — powiedział Moozh. — Wiem, ponieważ utracił p a n i ą .

— Nie utracił m n i e — zaprzeczyła Rasa. — Utracił s i e b i e .

Moozh uśmiechnął się do niej.

— Żegnam panią — powiedział. — Do następnego spotkania.

— Wątpię, czy do niego dojdzie.

— Jestem pewien, że jeszcze porozmawiamy.

— Kiedy wrócę i powiem im, jaki pan naprawdę jest, rada miasta nie wyśle już więcej emisariuszy.

— Ależ moja droga lady, czy sądziła pani, że rozmawiałbym z panią tak otwarcie, gdybym zamierzał dopuścić do rozmowy pani z radą po tym spotkaniu?

Rasa zbladła.

— A więc j e s t pan taki jak wszyscy inni tyrani. Tak jak Gaballufix i Rashgallivak uwielbia pan słuchać własnych grózb. Wydaje się panu, że to dodaje panu męskości.

— Wcale nie — zaprzeczył Moozh. — Ich pozerstwo i przechwałki nic nie dały — zachowywali się w ten sposób, ponieważ bali się własnej słabości. Ja nigdy nie pozuję i nigdy się nie przechwalam, i kiedy decyduję, co należy zrobić, robię to. Zostanie pani odprowadzona pod eskortą do swojego domu, który już jest otoczony przez żołnierzy Gorayni. Wszystkie dochodzące dzieci zostały odesłane bezpiecznie do rodziców; reszta zostanie zatrzymana w domu, ponieważ od tej chwili nikomu nie będzie wolno ani tam wchodzić, ani stamtąd wychodzić. Będziemy oczywiście dostarczać wam żywności, a wodę, jak sądzę, zapewniają wam studnie i pomysłowy układ do gromadzenia deszczówki.

— Tak — potwierdziła. — Ale miasto nigdy się nie zgodzi, żeby pan mnie aresztował.

— Tak pani sądzi? — zapytał Moozh. — Już wysłałem basilikańskiego strażnika, żeby poinformował radę miasta, że zaaresztowałem panią w ich imieniu, aby ochronić miasto przed pani knowaniami.

— Moimi k n o w a n i a m i ! — wykrzyknęła, wstając.

— Przyszła pani do mnie i zaproponowała, żebym rozwiązał radę miasta i uczynił pewnego człowieka królem Basiliki. Nawet miała pani kandydata — swojego męża, Wetchika, który już kazał swoim synom zamordować głównych rywali i czeka teraz na pustyni, aż go zawiadomię, żeby przyszedł i rządził miastem jako wasal Imperatora!

— Potworne kłamstwa! Nikt panu nie uwierzy!

— Już w tej chwili dobrze pani wie, że to nieprawda — powiedział Moozh. — Dobrze pani wie, że w tej radzie jest wiele kobiet, które z radością uwierzą, iż we wszystkich swoich poczynaniach kierowała się pani osobistą ambicją i że od samego początku była pani współautorką wszystkich nieszczęść tego miasta.

— Przekona się pan, że kobiet z Basiliki nie można tak łatwo oszukać.

— Nie ma pani pojęcia, lady Raso, jaki byłbym szczęśliwy, gdyby kobiety z Basiliki okazały się takie mądre, że nie mógłbym ich oszukać. Przez całe życie pragnąłem spotkać ludzi odznaczających się taką wzorową mądrością. Sądzę jednak, że tutaj takich nie znalazłem, wyjąwszy pani osobę. A p a n i jest całkowicie pod moją kontrolą. — Roześmiał się wesoło. — Na samo Wcielenie, po dzisiejszej rozmowie z panią przeraża mnie myśl, że pani ż y j e . Gdyby pani była mężczyzną z armią, bałbym się prowadzić kampanię przeciwko pani. Ale nie jest pani mężczyzną z armią, więc nie stanowi pani dla mnie żadnego zagrożenia — teraz już nie.

Rasa wstała z krzesła.

— Skończył pan?

— Proszę mieć wzgląd na swój dom i nie próbować wysyłać nikogo z potajemnymi wiadomościami. Złapię każdego, kogo pani wyśle, a wtedy prawdopodobnie będę musiał zrobić

coś przerażającego, na przykład dostarczyć na drugi dzień żywność zaszytą w skórze pani niedoszłego posłańca.

— To właśnie z powodu takich ludzi jak pan Basilika usunęła mężczyzn z miasta — powiedziała zimnym tonem.

— To właśnie z powodu takich ludzi jak pani miasto kobiet jest przedmiotem odrazy w oczach Boga — odrzekł. Ale w jego głosie pobrzmiewała nuta podziwu — a nawet sympatii — ponieważ prawda była taka, że ta kobieta uświadomiła mu, iż miasto kobiet nie jest takie słabe i zniewieściale, jak to sobie przez te wszystkie lata wyobrażał.

— Boga! — powtórzyła. — Bóg nic dla pana nie znaczy. Sposób, w jaki pan myśli, w jaki pan żyje... Przypuszczam, że każdą chwilę swojego życia poświęca pan sprzeciwianiu się woli Nadduszy i niszczeniu jej osiągnięć na tym świecie.

— Trafnie to pani spostrzegła — potwierdził. — Trafniej, niż kiedykolwiek pani sobie wyobrażała. A teraz proszę poddać się temu, co nieuniknione, i nie sprawiać kłopotów moim biednym żołnierzom, którzy mają nieprzyjemny obowiązek odprowadzenia pani pod eskortą do domu.

— Jakie kłopoty mogłabym sprawiać?

— Przede wszystkim mogłaby pani wykrzykiwać jakieś rewolucyjne hasła do przechodniów. Radziłbym zachować milczenie.

Skinęła poważnie głową.

— Przyjmę pańską radę. Zapewniam, że przez całą drogę będę uwłaczać panu po cichu.

Eskorta składała się z sześciu żołnierzy. Jego kłamstwa na temat Rasy były takie przekonujące, że w wielu miejscach zgromadziły się tłumy ludzi, by jej ubliżyć jako zdrajczynie swojego miasta. To, że jej ukochane miasto niesprawiedliwie odwróciło się od niej z pogardą, było wystarczająco denerwujące, ale znacznie bardziej rozdrażniły ją inne krzyki — wiwaty na cześć generała Moozha, zbawcy Basiliki.

5. MĘŻOWIE

SEN ŚWIĘTEJ KOBIETY

W swoim ojczystym języku nazywała się Torstiga, ale już tak długo przebywała z dala od ojczyzny, daleko na wschodzie, że nawet nie pamiętała języka, którym mówiła w dzieciństwie. Kiedy miała siedem lat, wuj sprzedał ją do niewoli. Została przewieziona na zachód do Seggidugu, a tam ponownie sprzedana. Jakoś znosiła służbę w niewoli — jej pani była surowa, ale sprawiedliwa, a jej pan trzymał ręce przy sobie. Dobrze wiedziała, że mogło być znacznie gorzej — nie była to jednak wolność.

Modliła się nieustannie o wolność. Modliła się do Fackli, boga zapamiętanego z dzieciństwa, ale nic to nie dało. Modliła się do Kui, boga Seggidugu, lecz nadal pozostawała niewolnicą. Potem usłyszała opowieści o Nadduszy, bogini Basiliki, miasta kobiet, miejsca, gdzie mężczyźni nie mogli posiadać nieruchomości, a wszystkie kobiety były wolne. Modliła się w kółko i pewnego dnia, kiedy miała dwanaście lat, wpadła w trans Nadduszy i oszalała.

Ponieważ wielu niewolników symulowało wywołany przez boga obłęd, aby uzyskać wolność, Torstigę zamknięto pod kluczem i głodzono w okresie jej szaleństwa. Nie przeszkadzała jej ciemność klitki, w której ją uwięziono, ponieważ doznawała wizji, które Naddusza zaszczeniała w jej umyśle. Dopiero kiedy wizje w końcu przestały się pojawiać, dostrzegła niewygodne warunki, w jakich się znajdowała. Tak przynajmniej wydawało się jej pani, ponieważ Torstiga wołała ciągle:

— Spragniona! Spragniona! Spragniona!

Nikt nie rozumiał, że dziewczynka wykrzykuje to jedno słowo nie dlatego, że chce jej się pić — choć rzeczywiście była bardzo odwodniona — lecz dlatego, że tak brzmiało jej imię, Torstiga, przetłumaczone na język Basiliki. Język Nadduszy. Wołała własne imię, ponieważ utraciła swoją tożsamość w wizjach; miała nadzieję, że jeśli będzie krzyczeć dostatecznie głośno i długo, być może dziewczyna, którą kiedyś była, usłyszy ją i odpowie na jej wołanie, i być może wróci i znów zamieszka w jej ciele.

Później zrozumiała, że jej prawdziwa osobowość nigdy jej nie opuściła, ale w zamęcie, ekstazie i grozie swoich pierwszych przemożnych wizji została przekształcona i Torstiga już nigdy nie będzie taką dwunastoletnią dziewczynką jak kiedyś. Kiedy wypuścili ją z zamknięcia ostrzegając, żeby nie próbowała więcej udawać bożego obłędu, nie spierała się z nimi i nie protestowała, że niczego nie udawała. Po prostu wypila i zjadła wszystko, co jej podali, i wróciła do swojej pracy.

Wkrótce jednak zaczęli sobie uświadamiać, że po raz pierwszy widzą niewolnicę, która nie udaje. Pewnego dnia spojrzała na swojego pana i zaczęła łkać, a on nie mógł jej uspokoić. Kiedy tego samego popołudnia nadzorował budowę wspaniałego nowego domu dla jednego z najbogatszych ludzi w mieście, powalił go kamień, który wyslizgnął się z rąk załogi usiłującej wstawić go na swoje miejsce. Dwóch niewolników połamało sobie kości podczas tego wypadku, ale pan Spragnionej upadł na ulicę i przebiegający koń nadepnął mu na głowę. Przez miesiąc walczył o życie, nie odzyskując ani na chwilę przytomności, łykając niewielkie ilości wody, którą żona podawała mu co pół godziny, ale zwracając jedzenie, które udało jej się włożyć mu do ust. Umarł z głodu.

— Dlaczego płakałaś tamtego dnia? — dopytywała się wdowa.

— Ponieważ zobaczyłam, jak pan pada na ulicę i jest tratowany przez konia.

— Dlaczego go nie ostrzegłaś?

— Naddusza mi to pokazała, ale zabroniła mi o tym mówić.

— A więc nienawidzę Nadduszy! — wykrzyknęła kobieta. — I ciebie też, bo nic nie powiedziałaś!

— Proszę mnie nie naciskać — powiedziała Spragniona. — Chciałam pani powiedzieć, ale ona mi nie pozwoliła.

— Tak — powiedziała wdowa. — Nie będę cię naciskać za zrobienie czegoś, czego zażądała od ciebie bogini.

Po pogrzebie pana wdowa po nim sprzedawała większość niewolników, ponieważ nie była już w stanie utrzymać wspaniałego domu w mieście i musiała wrócić do posiadłości swojego ojca. Spragnionej nie sprzedawała. Zamiast tego dała jej wolność.

Wolność, ale nic poza tym. Tym samym Spragniona zaczęła wieść życie dzikuski, nie dlatego, że wypędziła ją na pustynię Naddusza, lecz dlatego, że dziewczynka była głodna, a w każdym mieście inni żebracy odpędzali ją, nie dlatego, że jej niewielki apetyt pozbawiłby ich czegokolwiek, lecz raczej dlatego, że była małą i potulną dziewczynką, a więc należała do garstki istot na tym świecie, które mogli odpędzić.

Tym sposobem znalazła się na pustyni, jedząc szarańczę oraz jaszczurki i pijąc brudną wodę z kałuż, które po każdym deszczu długo pozostawały w cieniu i w grotach. Teraz faktycznie żyła zgodnie ze swoim imieniem, ale z czasem stała się dzikuską w rzeczywistości, a nie tylko z pozoru i z powodu życiowych przyzwyczaję. Ponieważ była brudna i chodziła nago, i głodowała na pustyni jak każda inna prawdziwa święta kobieta — ale w głębi serca wściekała się przeciw Nadduszy, ponieważ strasznie ją gniewał sposób, w jaki Naddusza odpowiedziała na jej modlitwy. „Prosiłam o wolność”, krzyczała do Nadduszy. „Nigdy nie prosiłam, żebyś zabiła mojego dobrego pana i sprowadziła biedę na moją dobrą panią! Nigdy nie prosiłam, żebyś mnie wypędzała na pustynię, gdzie słońce przypala mi skórę na całym nagim ciele z wyjątkiem miejsc, w których pocę się na tyle, by brud się do nich przykleił i mnie ochronił. Nigdy nie prosiłam o wizje czy prorocтва. Prosiłam jedynie o to, bym była wolna, tak jak moja matka. Teraz nawet nie pamiętam jej imienia”.

Naddusza jednak jeszcze z nią nie skończyła i tym samym Spragniona nie miała spokoju. Kiedy — według swoich najlepszych obliczeń — miała zaledwie czternaście lat, przyśnił jej się sen o pewnym miejscu, które było górzyste, a mimo to tak obfitujące w życie, że nawet zbocze najzwyczajszego urwiska pokrywało gęste listowie. Zobaczyła w swojej wizji mężczyznę i Naddusza powiedziała jej, że to jest jej prawdziwy mąż. Ta wiadomość w ogóle jej nie obchodziła — zwróciła uwagę na to, że ten mężczyzna trzyma w ręku jedzenie, a przy jego nogach płynie strumień. Skierowała się więc na północ, aż znalazła zieloną krainę i strumień. Umyła się i napiła. A potem, pewnego dnia, kiedy była czysta i zaspokojona, zobaczyła tego mężczyznę prowadzącego konia do wody.

Prawie uciekła. Prawie umknęła przed wolą Nadduszy, ponieważ nie chciała teraz męża, a na brzegu było tyle jagód, że nie pragnęła niczego, co ten mężczyzna mógł zaoferować.

Ale zauważył ją i popatrzył na nią. Zakryła rękami piersi — zdawała sobie niejasno sprawę, że to właśnie tego pragną mężczyźni, że to właśnie na to patrzą; nie miała doświadczenia w kontaktach z mężczyznami, ponieważ do tej pory Naddusza ochraniała ją przed pustynnymi włóczęgami.

— Bóg zabrania mi cię dotykać — odezwał się łagodnym tonem. Mówił w języku Basiliki, ale z akcentem bardzo różniącym się od mowy Seggidugu.

— To kłamstwo — odrzekła. — Naddusza uczyniła mnie twoją żoną.

— Nie mam żony — zaprzeczył. — A gdybym miał, to nie brałbym takiego małego dziecka jak ty.

— To dobrze — powiedziała. — Bo ja też nie chcę ci e b i e . Niech Naddusza znajdzie ci jakąś s t a r ą kobietę, jeśli chce, żebyś miał żonę.

Wybuchnął śmiechem.

— A więc doszliśmy do porozumienia. Nie jestem dla ciebie niebezpieczny.

Zabrał ją do domu, ubrał i nakarmił, i po raz pierwszy w życiu była szczęśliwa. Po miesiącu zakochała się w nim, a on w niej, i wziął ją tak, jak mężczyzna bierze żonę, choć bez formalnej ceremonii. Dziwne jednak, ale o n a była przekonana, że Naddusza żąda, aby się z nią ożenił, natomiast o n był przekonany, że biorąc ją do łóżka sprzeciwia się woli Boga.

— Będę sprzeciwiał się Bogu przy każdej okazji — powiedział. — Ale nigdy nie wziąłbym cię wbrew twojej woli, nawet gdybym miał dzięki temu pokonać wroga.

— Czy Bóg też jest twoim wrogiem? — szepnęła. Byli ze sobą przez miesiąc. Potem znów ogarnęło ją szaleństwo i uciekła na pustynię.

Kilka lat później znów się to zdarzyło, ale tym razem nie czekali przez miesiąc i nie znalazła go w jego ojczyźnie, lecz zimnej, obcej krainie porośniętej sosnami i przyprószonej śniegiem, i tym razem nie żyli przez miesiąc w czystości, zanim połączyli się jak mąż i żona. I znów po miesiącu wpadła w boży obłęd i uciekła na pustynię.

Przy obu tych okazjach zaszła w ciążę. Za każdym razem pragnęła zanieść mu córkę, złożyć ją u jego stóp i domagać się praw żony. Ale Naddusza zabroniła jej to robić i zamiast tego Spragniona zaniósła niemowlę do miasta kobiet, do Basiliki, do domu, który Naddusza pokazała jej w śnie, i oddała dziecko kobiecie, którą Naddusza naprawdę kochała.

Spragniona bardzo zazdrościła tej kobiecie, ponieważ kiedy Naddusza darzy cię miłością, dostajesz dom, wolność i szczęście, i otoczona jesteś córkami i przyjaciółmi. Do Spragnionej jednak Naddusza czuła tylko nienawiść, więc dziewczyna żyła sama na pustyni.

Aż do chwili, kiedy dziesięć lat temu pozbyła się wreszcie obłędu na dobre — tak przynajmniej myślała. Opuściła wtedy pustynię i poszła do krainy Potokgavan, gdzie przyjęli ją życzliwi, obcy mieszkańcy. Nie była piękna czy atrakcyjna, ale jakoś dziwnie uderzająca i porządny, zwykły farmer posiadający solidny dom, który stał na grubych palach, poprosił ją o rękę. Zgodziła się i mieli ze sobą siedmioro dzieci.

Ale nigdy nie zapomniała czasów, kiedy była świętą kobietą, kiedy Naddusza jej nienawidziła, i nigdy nie zapomniała dwóch córek, które urodziła dziwnemu mężczyźnie przeznaczonemu jej przez Nadduszę na męża. Starszą córkę nazwała Hushidh — tak nazywał się również pustynny kwiat, który pachniał słodko, ale często był gniazdem larw jadowitej szablomuchy. Młodszej córce dała imię Luet — od nazwy rośliny lyuty: z jej zmielonych liści zaparzano świętą herbatę pomagającą czcicielkom Nadduszy wejść w trans, który według nich czasami dawał im prawdziwe wizje. Nigdy nie zapomniała o nich i modliła się za nie codziennie rano, choć nigdy nie powiedziała swojemu mężowi ani dzieciom o dwóch córkach, które musiała oddać pod opiekę innej kobiecie.

A potem pewnej nocy znów miała sen, wywołany bożym obłędem sen. Jeszcze raz zobaczyła, jak spotyka męża, którego dała jej Naddusza, ojca swoich dwóch pierwszych córek. Tylko że teraz był starszy, a jego twarz straszna i smutna. We śnie miał przy sobie obie córki: młodsza stała obok niego, a starsza klęczała przed nim. Spragniona zobaczyła, jak podchodzi do niego, bierze go za rękę i mówi: „Mężu, skoro uznałeś swoje córki, to czy teraz będę twoją żoną w oczach ludzi, jak również w oczach Nadduszy?”

Nienawidziła tego snu. Nienawidziła go głęboko, ponieważ odmawiał jej prawa do obecnego męża i odrzucał dzieci, które mieli ze sobą. „Po co mnie uwolniłaś i kazałaś mi wieść to życie w Potokgavanie, okrutna Nadduszo, jeśli zamierzałaś mnie oderwać od rodziny? A jeśli chciałaś,

abym była z moimi dwiema pierwszymi córkami, to dlaczego nie pozwoliłaś mi ich zatrzymać od samego początku? Jesteś dla mnie zbyt okrutna, Nadduszo! Nie będę ci posłuszną!”

Ale co noc miała ten sam sen. Raz za razem, przez całą noc, aż pomyślała, że to ją doprowadzi do szaleństwa. Jednak nie odeszła.

Potem, pewnego ranka, pod koniec tej samej bezlitosnej wizji, we śnie Spragnionej pojawiło się coś nowego. Słodki, wysoki, ostry dźwięk. I we śnie rozejrzała się dokoła, zobaczyła, jak jakieś futerkowe stworzenie frunie w powietrzu, i wiedziała, że to anioł śpiewa tym słodkim, wysokim głosem. Anioł przyszedł do niej we śnie, usiadł jej na ramieniu i przywarł do niej, otaczając ją pierzastymi skrzydłami. Jego pieśń rozbrzmiewała w jej uszach przenikliwym i wspinałym dźwiękiem.

— Co mam zrobić, słodki aniele? — zapytała go we śnie. W odpowiedzi anioł rzucił się na ziemię, padając przed

nią na plecy, i leżał w pyłe. I kiedy tam leżał, obnażony i bezradny, a jego skrzydła były bezużyteczne, narażone na atak i rozluźnione, nadeszły stwory, które w pierwszej chwili — sądząc po ich rozmiarach — wydawały się pawianami, ale potem — sądząc po ich zębach, oczach i pyskach — wydawały się szczurami. Podeszły do anioła i obwąchały go, a kiedy nie poruszył się ani nie wzleciał w powietrze, zaczęły go gryźć. Och, to było rzeczywiście straszne, a na dodatek przez cały czas anioł wpatrywał się w Spragnioną smutnymi oczami.

„Muszę go uratować”, pomyślała Spragniona. „Muszę odpędzić tych strasznych wrogów”. We śnie jednak nie mogła go uratować. Nie była w stanie wykonać ruchu.

Kiedy futerkowe stwory w końcu odeszły, anioł jeszcze żył. Ale jego skrzydła były odgryzione i pozostały po nich jedynie dwa wrzecionowate, delikatne ramiona; pod nimi sterczały znikome strzępy, które pokazywały, gdzie przedtem znajdowały się skrzydła. Spragniona uklękła wtedy przy nim, wzięła go w ramiona i zatkała. Płakała bardzo długo.

— Mamo — powiedział jej średni syn. — Mamo, chyba płakałaś we śnie. Zbudź się.

Obudziła się.

— Co to było? — zapytał chłopiec. Był dobrym dzieckiem i nie chciała go zostawiać.

— Muszę wyruszyć w podróż — powiedziała.

— Dokąd?

— Daleko, ale wrócę do domu, jeśli Naddusza mi pozwoli.

— Dlaczego musisz odejść?

— Nie mam pojęcia — odparła. — Wezwwała mnie Naddusza i nie wiem dlaczego. Twój ojciec już pracuje na polu. Nie mów mu, dopóki nie wróci do domu na południowy posiłek. Wtedy będę już zbyt daleko, by mógł mnie ścigać. Powiedz mu, że go kocham i że do niego wrócę. Jeśli będzie chciał mnie ukarać po powrocie, to chętnie poddam się jego woli. Bo wolałabym być tu z nim i z naszymi dziećmi, niż być królową w jakimkolwiek innym kraju.

— Mamo — powiedział chłopiec — już od miesiąca wiem, że odejdiesz.

— Skąd? — zapytała. Przez chwilę obawiała się, że być może on też jest obarczony głosem Nadduszy w swoim sercu.

Chłopiec jednak nie cierpiał na boży obłąd — zamiast tego miał dużo zdrowego rozsądku.

— Patrzyłaś ciągle na północny zachód, a Ojciec mówi nam czasami, że to właśnie stamtąd pochodysz. Zdawało mi się, że dostrzegam twoje pragnienie powrotu do domu.

— Nie — zaprzeczyła. — Nie pragnę wracać do domu, ponieważ tu jest mój dom. Ale muszę załatwić pewną sprawę. Potem do was wrócę.

— Jeśli Naddusza ci pozwoli.

Skinęła głową. Następnie wzięła mały pakunek z jedzeniem oraz bukłak wody i wyruszyła pieszo w drogę.

„Nie miałam zamiaru spełniać twoich poleceń, Nadduszo”, powiedziała. „Ale kiedy zobaczyłam tego anioła, z oderwanymi skrzydłami, ponieważ nie pomogłam mu w potrzebie, nie wiedziałam, czy ten anioł reprezentuje moje córki czy męża, którego mi dałaś, czy może nawet ciebie — wiedziałam tylko, że nie mogę pozostać na miejscu i pozwolić, żeby stała się jakaś straszna rzecz, choć nie wiem, co to będzie za straszna rzecz lub co muszę zrobić, by do niej nie dopuścić. Wiem tylko, że pójdę tam, dokąd mnie zaprowadzisz, a kiedy tam dotrę, postaram się czynić dobro. Jeśli to będzie w rezultacie oznaczać służenie twojemu celowi, Nadduszo, uczynię to bez względu na wszystko.

Ale kiedy już będzie po wszystkim, to proszę, pozwól mi wrócić do domu!”

BASILIKA, RZECZYWISTOŚĆ

Sprawa sprowadzała się teraz do uzyskania pozwolenia od Rasy i Elemak nie był wcale pewien, czy ją uzyska. Po domu krążyły pogłoski, że ze spotkania z generałem Gorayni wróciła do domu w podłym nastroju i nikt nie mógł nie zauważyć, że na ulicy przed domem stali żołnierze Gorayni. Bez względu jednak na to, co się zdarzyło w Basilice, Elemak nie wróci na pustynię bez żony. A ponieważ była chętna, będzie nią Eiadh, z pozwoleniem Rasy lub bez niego. Ale lepiej z jej pozwoleniem. Lepiej, jeśli sama Rasa dopełni ceremonii.

— Pora jest niekorzystna — stwierdziła Rasa.

— Nie mów, proszę, jak stara kobieta, ciociu Raso — powiedziała Eiadh. Mówiła takim łagodnym i słodkim głosem, że Rasa nie okazała, iż jest urażona zachowaniem, które można było uznać jedynie za zuchwałość. — Pamiętaj, że młode kobiety nie są bojaźliwe. Bardzo chętnie wychodzimy za mąż w ciężkich czasach lub kiedy nasi wybrani mają niedługo wyruszyć na wojnę.

— Nic nie wiesz o życiu na pustyni.

— Ale ty chodziłaś od czasu do czasu z Wetchikiem na pustynię.

— Dwa razy. Za drugim razem dlatego, że nie pamiętałam, jak bardzo nie podobało mi się za pierwszym razem. Mogę cię zapewnić, że po tygodniu na pustyni będziesz chciała wrócić do Basiliki. Zgodzisz się nawet na rolę niewolnicy, żeby tylko wrócić.

— Moja lady Raso — zaczął Elemak.

— Jeśli odezwiiesz się jeszcze raz, drogi Elemaku, wyproszę cię z pokoju — powiedziała Rasa najłagodniej, jak potrafiła. — Próbuję przemówić do rozumu twojej ukochanej. Ale nie musisz się martwić. Eiadh jest taka ogłupiona uwielbieniem dla twojej... jak by to powiedzieć, siły? Podejrzewam, że ma w sercu wizję idealnej męskości, a ty spełniasz te wszystkie fantazje.

Eiadh oblała się rumieńcem. Elemak ledwie powstrzymał się od uśmiechu. Od samego początku miał na to nadzieję — że Eiadh nie szuka bogactwa lub pozycji, lecz raczej odwagi i siły. To śmiałość, a nie ostentacja, zdobędzie jej serce. Do takiego wniosku doszedł Elemak na samym początku swoich zalotów i taka się okazała w końcu prawda. Sama Rasa to potwierdziła. Elemak wybrał dziewczynę, która zamiast kochać go jako spadkobiercę Wetchika, będzie go kochać za zalety najbardziej objawiające się w Elemaku na pustyni — jego zdolność do dowodzenia, do podejmowania szybkich, śmiałych decyzji; jego wytrzymałość fizyczną; jego mądrość w kwestii życia na pustyni.

— Bez względu na to, jakie ma marzenia w sercu — oświadczył Elemak — zrobię wszystko, żeby się spełniły.

— Uważaj, co obiecujesz — przestrzegła Rasa. — Eiadh potrafi swoim uwielbieniem wycieńczyć mężczyznę.

— Ciociu Raso! — wykrzyknęła Eiadh, autentycznie przerażona.

— Lady Raso — powiedział Elemak — nie mogę sobie wyobrazić, jaki okrutny musisz mieć cel, żeby tak mówić o tej kobiecie.

— Wybacz mi — przeprosiła Rasa. Wyglądała na rzeczywiście zmartwioną. — Myślałam, że moje słowa zostaną odebrane jako żart, ale nie jestem w tej chwili w radosnym nastroju i najwyraźniej obraziłam tu kogoś. To było niezamierzone.

— Lady Raso — powiedział Elemak. — Wszystko zostaje wybaczone, kiedy Mokrogłowi żołnierze pełnią wartę na ulicy przed twoim domem.

— Czy myślisz, że ja się tym przejmuję? — zapytała Rasa. — Mając pod ręką interpretatorkę i wodną wieszczkę? Żołnierze nic nie znaczą. Boję się tylko o moje miasto.

— To nieprawda, że żołnierze nic nie znaczą — zaprzeczył Elemak. — Słyszałem, jak Hushidh zerwała więź lojalności biednych żołnierzy Rashgallivaka wobec niego, ale musisz pamiętać, że Rashgallivak był słabym człowiekiem, który dopiero niedawno zajął miejsce mojego brata.

— A także twojego ojca — dodała Rasa.

— Przywłaszczył sobie oba stanowiska — powiedział Elemak. — A żołnierze, których więź Shuya zerwała, byli najemnikami. Powiadają, że generał Moozh to największy generał, jaki się pojawił w ciągu tysiąca lat, a jego żołnierze kochają go i ufają mu bezgranicznie. Zerwanie tych więzi nie byłoby dla Shuyi łatwą sprawą.

— Nagle jesteś ekspertem w sprawach Gorayni?

— Jestem ekspertem w tym, jak ludzie kochają i ufają silnemu przywódcy — odparł Elemak. — Wiem, jak członkowie moich karawan byli nastawieni do mnie. To prawda, wszyscy wiedzieli, że otrzymają zapłatę. Ale wiedzieli również, że nie będę bez potrzeby ryzykował ich życia i że jeśli wypełnią moje wszystkie rozkazy, dożyją chwili, kiedy będą mogli wydać zarobione pieniądze po zakończeniu podróży. Kochałem moich ludzi, a oni mnie, jednak z tego, co słyszę o generale Moozhu, jego żołnierze kochają go dziesięć razy bardziej. Uczynił z nich najsilniejszą armię Zachodniego Wybrzeża.

— I władców Basiliki bez straty jednego człowieka — dodała Rasa.

— Jeszcze nie zawładnął Basiliką — powiedział Elemak. — A mając takiego wroga jak ty, lady Raso, nie wiem, czy kiedykolwiek mu się to uda.

Rasa roześmiała się gorzko.

— Zaiste, już na samym początku pozbył się m n i e jako ewentualnej groźby.

— A co z naszym małżeństwem? — zapytała Eiadh. — Po to się tu spotkaliśmy, prawda?

Rasa spojrzała na nią z — czym, politowaniem? „Tak”, pomyślał Elemak. „Nie ma zbyt dobrego zdania o tej siostrzenicy. Ta uwaga, którą niechcący zrobiła, ta zniewaga, nie była żadnym żartem. Wycieńczyć mężczyznę swoim uwielbieniem — cóż to miało znaczyć? Czy popełniam błąd? Zawsze chciałem, żeby Eiadh mnie pragnęła; nigdy nie kwestionowałem mojego uczucia do niej.”

— Tak, moja droga — odparła Rasa. — Możesz poślubić tego mężczyznę. Możesz go wziąć na swojego pierwszego męża.

— Właściwie — powiedział Elemak — to nie chodziło nam o pozwolenie, ponieważ Eiadh jest pełnoletnia.

— I zgadzam się dopełnić ceremonii — dodała Rasa ze znużeniem. — Ale z oczywistych powodów będzie musiała się ona odbyć w tym domu, a lista gości będzie musiała obejmować wszystkich tych, którzy tu mieszkają na stałe. Musimy się wszyscy modlić, żeby Gorayni nie zdecydowali się wziąć udziału w ceremonii.

— Kiedy? — zapytała Eiadh.

— Dziś wieczorem — odparła Rasa. To wystarczająco szybko, prawda? Czy może świerzbi was aż tak bardzo, że chcecie załatwić sprawę w południe?

Kolejna zniewaga nie do zniesienia, a jednak Rasa najwidoczniej nie widziała, że zachowuje się szorstko. Wstała i wyszła z pokoju, pozostawiając zarumienioną i rozgniewaną Eiadh na ławce, na której siedziała.

— Nie, moja Edhyo — powiedział Elemak. — Nie gniewaj się. Twoja ciocia Rasa wiele dziś straciła i nic nie może poradzić, że zachowuje się trochę podle w związku z tym, że straciła również ciebie.

— Musi mnie tak nienawidzić, że chyba ci e s z y ją to, iż się mnie pozbywa — powiedziała Eiadh. Łza wytoczyła się z jej oka i, pobłyskując przez chwilę w powietrzu, spadła jej na kolana.

Elemak wziął ją w ramiona i przytulił; przywarła do jego ciała, jakby chciała wtopić się w niego na zawsze. „Oto miłość”, pomyślał. „Oto miłość, o której układa się pieśni i opowieści. Eiadh pójdzie ze mną na pustynię i mając ją u boku, stworzę plemię, królestwo, w którym ona będzie królową. Bo wszystko to, co może zrobić ten generał Moozh, j a też potrafię uczynić. Jestem prawdziwszym mężem niż jakikolwiek Wetchik mógłby kiedykolwiek być. Eiadh pragnie mężczyzny o dużych zdolnościach. Jestem takim mężczyzną”.

* * *

Bitanke nie był zadowolony ze wszystkiego, co się zdarzyło w Basilice w ciągu ostatnich kilku dni. Zwłaszcza że nie mógł się pozbyć uczucia, iż być może to on ponosi za wszystko winę. Nie znaczy to, że miał zbyt dużą swobodę wyboru podczas tamtych chwil przy bramie. Jego ludzie walczyli mężnie, ale było ich zbyt niewielu i szala zwycięstwa przechylała się na stronę zgrai najemników Palwashantu. Jaką miałby wtedy nadzieję, występując przeciwko żołnierzom Gorayni, którzy przyszli nie wiadomo skąd i obiecali mu sojusz?

„Mogłem przemówić do najemników Palwashantu i błagać ich, żeby sprzymierzyli się ze mną przeciw Gorayni — to mogło się udać. Ale generał Gorayni wydawał się wtedy taki szczerzy. I na pustyni płonęło tyle ognisk. Jakby obozowała tam stutysięczna armia. Skąd miałem wiedzieć, że żołnierze przy bramie to ich cała armia? A nawet wtedy nie moglibyśmy stawić im oporu.

Ale mogliśmy walczyć. Straciliby trochę czasu i część żołnierzy. Moglibyśmy ostrzec pozostałych strażników i zaalarmować miasto. Mogłem tam zginać, z sercem przeszytym strzałą Gorayni — nie musiałbym wtedy patrzeć, jak podbijają moje miasto, moje ukochane miasto, i żaden z nich nie odnosi przy tym rany na tyle poważnej, by generał nie mógł tak śmiało maszerować, gdzie tylko chce”.

A jednak nawet teraz, kiedy został wezwany do generała Moozha na jeszcze jedną rozmowę, Bitanke nie mógł się powstrzymać od podziwiania jego zuchwałości, odwagi, genialności. Że przemaszerował taki szmat drogi w tak krótkim czasie, odważył się podbić miasto, mając do dyspozycji tak niewielu żołnierzy, a potem postawił na swoim, mimo że nawet w tej chwili straż znacznie przewyższała liczebnie jego armię. Któż mógł twierdzić, że Basilice nie wyjdzie na dobre ochrona zapewniona przez Moozha. Lepszy on niż ten paskudny Gaballufix lub zasługujący na pogardę Rashgallivak. Lepszy nawet niż Roptat. I lepszy niż kobiety, które okazały się słabe i głupie, ponieważ uwierzyły w wierutne kłamstwa Moozha na temat lady Rasy.

Czy nie widziały, jak Moozh nimi manipulował, żeby podzieliły się na skłócone ze sobą frakcje i zignorowały jedyną kobietę, która mogła zorganizować skuteczny opór? Nie, oczywiście, że tego nie widziały — tak jak sam Bitanke nie zorientował się tamtej pierwszej nocy, że zamiast pomóc mu, obcy generał Gorayni kierował nim i doprowadził do tego, że kapitan zdradził własne miasto i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

„Kiedy zjawia się jeden mądry człowiek, wszyscy jesteśmy głupcami”.

— Mój drogi przyjacielu — odezwał się generał Moozh.

Bitanke nie uściśnął wyciągniętej ręki.

— Ach, gniewasz się na mnie — stwierdził Moozh.

— Przyszedłeś tu z listem od lady Rasy, a teraz kazałeś ją zaaresztować.

— Czy ona aż tyle dla ciebie znaczy? — zapytał Moozh. — Zapewniam cię, że jej areszt jest tylko tymczasowy i służy wyłącznie jej ochronie. Straszne kłamstwa krążą w tej chwili po mieście na jej temat i kto wie, co mogłoby jej się przydarzyć, gdyby jej dom nie został otoczony kordonem?

— Wymyślane przez ciebie kłamstwa.

— Z moich ust nie padło ani jedno słowo na temat lady Rasy z wyjątkiem wyrazów mojego wielkiego podziwu dla niej. To najwspanialsza kobieta w tym mieście, rozsądna i odważna jak mężczyzna, i nigdy nie pozwolę, żeby włos spadł jej z głowy. Jeśli nie wiesz tego o mnie, Bitanke, mój przyjacielu, to nic o mnie nie wiesz.

„To prawda”, pomyślał Bitanke. „Nic o tobie nie wiem. N i k t nic o tobie nie wie”.

— Po co mnie wezwałeś? — zapytał Bitanke. — Czy zamierzasz jeszcze bardziej osłabić basilikańską straż? A może chcesz nas nakłonić do jakiejś podłości, która jeszcze bardziej nas upokorzy i zdeprawuje?

— Jesteś taki rozgniewany — powiedział Moozh. — Ale zastanów się, Bitanke. Możesz mówić mi takie rzeczy bez skrupowania i obawy, że zetnę ci głowę. Czy to ci wygląda na tyranię? Wszyscy twoi żołnierze noszą broń i to właśnie oni utrzymują teraz pokój w tym mieście. Czy to świadczy, że jestem zdraдлиwym wrogiem?

Bitanke nic nie powiedział, zdecydowany nie dać się ponownie zwieść gładkim słówkom Moozha. A jednak poczuł w sercu wątpliwości, tak jak wiele razy przedtem. Moozh rzeczywiście pozostawił straż w nietkniętym stanie. Nie zrobił krzywdy żadnemu obywatelowi. Być może zamierzał jedynie wykorzystać Basilikę w charakterze bazy, a potem ruszyć dalej.

— Bitanke, potrzebuję twojej pomocy. Chcę przywrócić temu miastu jego dawną siłę, taką, jaką miało, zanim Gaballufix zaczął się wtrącać w jego sprawy.

„O tak, jestem przekonany, że tylko tego pragniesz — Moozh altruista, który zadaje sobie ten cały trud tylko po to, żeby pomóc miastu kobiet. Potem odejdziesz z wojskiem, z radością w sercu, ponieważ będziesz miał świadomość, że pozostawiasz za sobą takich uszczęśliwionych ludzi”.

Ale Bitanke nie odezwał się. W takiej chwili lepiej słuchać niż mówić.

— Nie będę przed tobą udawał, że nie zamierzam wykorzystać tutejszej sytuacji do własnych celów. Między Gorayni i nędznymi kałużowymi szczurami z Potokgavana dojdzie niedługo do wielkich zmagañ. Wiemy, że próbowali zawładnąć Basiliką — Gaballufw był ich poplecznikiem. Był gotowy dokonać przewrotu w mieście kobiet i oddać władzę w ręce swoich zbirów. A teraz ja tu jestem z moimi żołnierzami. Czy kiedykolwiek uczyniliśmy coś, co nasunęło ci przypuszczenie, że nasze zamiary są takie bezwzględne i brutalne jak Gaballufixa?

Moozh przerwał i Bitanke wreszcie odparł:

— Nie, nigdy nie okazaliście tego tak wyraźnie.

— Powiem ci, czego potrzebuję od Basiliki. Muszę mieć pewność, że ci, którzy nią rządzą, są przyjaciółmi Gorayni, że nie muszę się obawiać zdrady ze strony tego miasta. Wtedy będę mógł sprowadzić tu posiłki, idąc przez pustynię i omijając Nakavalnu, Izmennik oraz Seggidugu. T y wiesz, że to dobra strategia, mój przyjacielu. Potokgavan liczył na to, że będziemy musieli się przebijać na południe do Miast Równiny; liczyli na to, że będą mieli co najmniej rok, a być może kilka lat, żeby umocnić tu swoje pozycje — być może sprowadzić tu armię, która stawi czoło naszym rydwanom. Ale teraz zawładniemy Miastami Równiny — kiedy moja armia będzie w Basilice, żadne z nich nie stawi nam oporu. A potem Nakavalnu, Izmennik i Seggidugu nie ośmielą

się sprzymierzyć z Potokgavanem. Bez podbojów, bez wojny zdobędziemy całe Zachodnie Wybrzeże dla Imperatora, wiele lat wcześniej niż Potokgawanowi wydawałoby się to możliwe. Tego właśnie pragnę. To wszystko, czego pragnę. A żeby to osiągnąć, nie muszę podbijać Basiliki, nie muszę traktować was jak pokonany naród. Muszę mieć tylko pewność, że Basiliką jest wobec mnie lojalna. A ten cel można lepiej osiągnąć poprzez miłość niż strach.

— Miłość! — powiedział drwiąco Bitanke.

— Jak dotąd — ciągnął Moozh — nie musiałem robić nic, czego ludzie w Basilice nie przyjmowali z wdzięcznością. Teraz mają tu większy pokój i bezpieczeństwo niż w ciągu kilku ostatnich lat. Czy myślisz, że tego nie rozumieją?

— A czy ty myślisz, że bandziory z Psiego Rewiru, Sektora Wyżyn i Drogi Wyżynnej nie żywią nadziei, że pozwolisz im wejść do miasta i rządzić tutaj? Wtedy miałbyś swoich lojalnych sojuszników — jeśli dasz im to, co obiecywał Gaballufix, szansę zdominowania tych kobiet, które nie pozwalały im uzyskać obywatelstwa przez te wszystkie tysiąclecia.

— Tak — powiedział Moozh. — Mogłem to uczynić. Nadal mogę to zrobić. — Pochylił się przez stół, aby spojrzeć kapitanowi Bitanke w oczy. — Ale ty mi p o m o ż e s z , abym nie musiał robić takiej strasznej rzeczy, prawda?

Ach. A więc taki miał wybór w ostatecznym rozrachunku. Albo spiskować z Moozhem, albo patrzeć, jak struktura Basiliki zostaje zniszczona. Wszystko, co było piękne i święte w tym miejscu, stanie się zakładnikiem groźby rozpuszczenia pożądlivych mężczyzn spoza miasta. Czy Bitanke nie widział, jakie to będzie straszne? Jak mógł do tego znów dopuścić?

— Czego ode mnie chcesz?

— Porady — odparł Moozh. — Rada miasta nie jest niezawodnym organem władzy w tym mieście. Nadaje się do ustanawiania praw dotyczących spraw lokalnych, ale kiedy trzeba zawrzeć trwały sojusz z armią Imperatora, któż może zagwarantować, że po tygodniu nie utworzy się frakcja, która obali tę politykę? Muszę więc postawić kogoś na stanowisku... jakby to nazwać...

— Dyktatora?

— Wcale nie. Ta osoba byłaby jedynie obliczem, które Basilika zwraca w kierunku zewnętrznego świata. On, ona — obojętne, kto to będzie — obieca, że armie Gorayni będą mogły przejść przez ten obszar, będzie można tu przechowywać zapasy Gorayni, a Potokgavan nie znajdzie tu ani przyjaciół, ani sojuszników.

— Rada miasta może to uczynić.

— Nie jesteś aż taki naiwny.

— Dotrzymają słowa.

— Widziałeś dziś, jak zdradliwie i niesprawiedliwie potraktowały lady Rasę, która przez całe życie lojalnie im służyła. Jak zatem potraktują obcego? Życie moich ludzi, władza mojego Imperatora, wszystko będzie zależeć od lojalności Basiliki — a ta rada miasta okazała się niezdolna do lojalności nawet wobec własnej, najzaciejszej siostry.

— To ty rozpuściłeś o niej plotki — powiedział Bitanke — a teraz wykorzystujesz je, żeby pokazać, jak niegodna zaufania jest rada?

— W obliczu Boga zaprzeczam, jakobym zaczął oczerniać lady Rasę — podziwiam ją bardziej, niż jakąkolwiek kobietę, którą spotkałem. Bez względu jednak na to, kto rozsiał te pogłoski, liczy się to, że w n i e u w i e r z o n o . Uwierzyła w nie rada miasta, której według ciebie mogę powierzyć życie moich ludzi. Co powstrzyma Potokgavan przed rozgłaszaniem własnych pogłosek? Powiedz mi szczerze, Bitanke, gdybyś był na m o i m miejscu, gdybyś miał takie potrzeby jak j a , to czy zaufałybyś radzie miasta?

— Służyłem tej radzie przez całe życie, panie, i ufam jej

— odparł Bitanke.

— Nie o to cię pytałem — powiedział Moozh. — Przyszedłem tu, żeby osiągnąć cel Imperatora. Zgodnie z tradycją dokonywaliśmy tego, mordując klasę rządzącą podbitych krain i zastępując ją ludźmi ciemieżonymi i od dawna pozbawionymi praw obywatelskich. Ponieważ kocham to miasto, chcę znaleźć inne rozwiązanie. Podejmuję przy tym wielkie ryzyko.

— Masz tylko tysiąc żołnierzy — powiedział Bitanke.

— Chcesz ujarzmić Basilikę bez przelewu krwi, ponieważ nie możesz sobie pozwolić na żadne straty.

— Widzisz tylko połowę prawdy — wyjaśnił Moozh.

— Muszę tu zwyciężyć. Jeśli uda mi się to bez przelewu krwi, Miasta Równiny powiedzą, że wspiera mnie Bóg, i poddadzą się moim rozkazom. Ale mogę osiągnąć ten cel za pomocą terroru. Jeśli ich przywódcy zostaną tu przyprowadzeni i zobaczą to miasto wyludnione, jego domy i las całkowicie spalone, a jezioro kobiet gęste od krwi, też mi ulegną. Tak czy inaczej Basilika posłuży mojemu celowi.

— Jesteś naprawdę potworem — stwierdził Bitanke. — Mówisz o świętokradztwie i masakrze, a potem prosisz mnie, żebym ci zaufał.

— Mówię o konieczności — sprostował Moozh — i proszę cię, żebyś pomógł mi nie dopuścić do tej potworności. Służyłeś wyższemu celowi — woli rady. Czasami, w ich imieniu, robiłeś rzeczy, których z własnej woli nie chciałbyś robić. Czyż nie tak?

— Tak musi postępować żołnierz — odrzekł Bitanke.

— Ja też jestem żołnierzem — powiedział Moozh. — Ja też muszę osiągnąć cel mojego pana, Imperatora. Będę więc w razie potrzeby nawet potworem, żeby go osiągnąć. Tak jak ty musiałeś aresztować ludzi, których uważałeś za niewinnych.

— Aresztowanie to nie morderstwo.

— Bitanke, mój przyjacielu, ciągle mam nadzieję, że będziesz taki, za jakiego cię uważałem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cię walczącego dzielnie przy tamtej bramie. Wyobrażałem sobie owej nocy, że walczyłeś nie dla jakiejś instytucji, nie dla tej słabowitej rady miasta, która wierzy we wszystkie krążące po mieście plotki, lecz o coś bardziej wzniosłego. O samo miasto. O ideę miasta. Czyż nie za to byłeś gotowy umrzeć przy bramie?

— Tak — przyznał Bitanke.

— Teraz oferuję ci szansę ponownego służenia miastu. Ty wiesz, że na długo, zanim powstała rada, Basilika była wspaniałym miastem. W czasach, kiedy Basiliką rządziły kapłanki, była to nadal Basilika. W czasach, kiedy Basilika miała królową, była to nadal Basilika. W czasach, kiedy Basilika oddała swoją armię pod dowództwo wielkiego generała Snaceetele i odpędziła wojowników Seggidugu, a potem pozwoliła mu pić wodę z jeziora kobiet, była to nadal Basilika.

Wbrew własnej woli Bitanke zobaczył, że Moozh ma rację. Rada nie stanowiła miasta kobiet. Forma rządów zmieniała się wielokrotnie i znów się zmieni. Liczyło się tylko to, że Basilika pozostała świętym miastem kobiet, jedynym miejscem na planecie Harmonia, gdzie rządziły kobiety. I jeśli przez krótki okres czasu, z powodu doniosłych wydarzeń mających miejsce na Zachodnim Wybrzeżu, Basilika musiała się podporządkować Gorayni, to co z tego — dopóki w tym mieście będą rządzić kobiety?

— Kiedy będziesz się zastanawiał — powiedział Moozh — rozważ i to: mogłem cię zastraszyć. Mogłem kłamać, udać, że nie jestem taki wyrachowany. Zamiast tego rozmawiałem z tobą jak z przyjacielem, otwarcie i szczerze, ponieważ pragnę twojej pomocy, a nie zwykłego posłuszeństwa.

— Co miałbym zrobić w ramach mojej pomocy? — zapytał Bitanke. — Nie zaaresztuję rady, jeśli taką żywisz nadzieję.

— Zaaresztować je! Czy ty w ogóle mnie zrozumiałeś? Potrzeba mi tego, żeby rada nadal funkcjonowała — bez zmiany ani jednego jej członka! Potrzeba mi tego, żeby ludzie Basiliki

widzieli, że ich rząd wewnętrzny nie ulega zmianie. Potrzeba mi jednak również konsula ludzi, kogoś, kto będzie nad radą, aby zajął się sprawami zagranicznymi Basiliki. Aby zawarł z nami sojusz, który będzie dotrzymywany. Aby miał władzę nad strażnikami przy bramach miasta.

— Twoi ludzie już pełnią tę funkcję.

— Ale ja chcę, żeby pełnili ją t w o i ludzie.

— Nie jestem dowódcą straży.

— Jesteś jednym z głównych oficerów — powiedział Moozh. — Chciałbym, żebyś był dowódcą, ponieważ jesteś lepszym żołnierzem od wszystkich ludzi przewyższających cię rangą. Ale gdybym obiecał ci stanowisko dowódcy, pomyślałbyś, że próbuję cię przekupić, odrzuciłbyś mnie i wyszedł z tego domu jako mój wróg.

Bitanke doznał ogromnej ulgi. Mimo wszystko Moozh wiedział, że Bitanke nie jest zdrajcą. Że Bitanke nigdy nie będzie działał dla własnych korzyści. Że Bitanke będzie działał tylko w interesie miasta.

— Strażnicy nie będą chcieli spełniać rozkazów wydanych przez kogokolwiek z wyjątkiem własnego dowódcy mianowanego przez radę miasta — oznajmił Bitanke.

— Wyobraź sobie jednak, że rada miasta jednogłośnie mianuje konsula miasta i poprosi, żeby strażnicy słuchali jego rozkazów.

— To by nic nie znaczyło, gdyby kobiety choć przez chwilę myślały, że konsul to tylko marionetka w rękach Gorayni. Strażnicy nie są głupcami i nie jesteśmy też zdrajcami.

— Widzisz więc mój dylemat. Muszę mieć kogoś, kto zrozumie, że Basilika musi pozostać lojalna wobec Imperatora, a jednak ten konsul będzie działał skutecznie tylko wtedy, gdy mieszkańcy Basiliki będą wierzyć, że ona — lub on — jest lojalną Basilikanką, a nie marionetką.

Bitanke wybuchnął śmiechem.

— Mam nadzieję, że ani przez chwilę nie wyobrażasz sobie, że j a nadawałbym się do tego celu. Już wielu ludzi szepcze, że na pewno jestem twoją marionetką, ponieważ wpuściłem cię do tego miasta.

— Wiem — powiedział Moozh. — Jesteś pierwszym, o którym pomyślałem, ale uświadomiłem sobie, że możesz służyć Basilice — a także moim celom — pozostając na swoim stanowisku, nie uzyskując z a d n y c h oczywistych korzyści z powodu moich wpływów w tym mieście.

— Dlaczego więc tu jestem?

— Aby udzielić mi rady, jak ci już powiedziałem. Musisz mi powiedzieć, kogo w tym mieście, gdyby ją — lub jego — mianowano konsulem, słuchałaby straż i miasto.

— N i e ma takiej osoby.

— Mówiąc to, prosisz mnie, żebym przelał krew i wrzucił prochy miasta do jeziora kobiet.

— Nie groź mi!

— Nie grożę ci, Bitanke. Mówię ci, co już kiedyś robiłem, i czego nie chcę zrobić ponownie. Błagam cię, pomóż mi znaleźć sposób, żebym uniknął tego strasznego rozwiązania.

— Niech pomyślę.

— O nic innego nie proszę.

— Pozwól, że przyjdę do ciebie jutro.

— Muszę działać dziś.

— Daj mi godzinę.

— Czy możesz się zastanowić na miejscu? Czy możesz to zrobić, nie opuszczając tego domu?

— Czy jestem zatem aresztowany?

— Ten dom obserwowany jest przez tysiąc par oczu, mój przyjacielu. Jeśli zobaczą, że wychodzisz z niego, a po godzinie wracasz, powiedzą, że składasz zbyt wiele wizyt generałowi Vozmuzhalnoyowi Vozmozhno. Ale jeśli chcesz wyjść, to proszę bardzo.

— Zostanę.

— Każę cię zatem zaprowadzić do biblioteki i udostępnić ci komputer, na którym będziesz mógł pisać. To mi pomoże myśleć, jeśli zapiszesz nazwiska i powody, dla których uważasz, że mogliby lub nie mogli się przydać do tego celu. Po godzinie przyjdź do mnie z listą nazwisk.

— Robię to dla Basiliki, a nie dla ciebie. — „I nie dla własnych korzyści”.

— Proszę o to w imieniu Basiliki — powiedział Moozh. — Mimo że przede wszystkim muszę być lojalny wobec Imperatora, mam nadzieję uratować to miasto przed zniszczeniem, jeśli zdołam.

Rozmowa dobiegła końca. Bitanke wyszedł z pokoju i natychmiast zjawił się przy nim żołnierz Gorayni, który go zaprowadził do biblioteki. Moozh nic nie powiedział do tego żołnierza, a jednak ten wiedział, dokąd go zabrać. Wiedział, że ma przydzielić mu komputer. Albo to znaczyło, że generał pozwolił swoim młodszyń oficerom podsłuchiwać, co było prawie nie do pomyślenia, albo to, że Moozh wydał im te rozkazy jeszcze przed przybyciem Bitanke.

Czy to możliwe, że Moozh to wszystko zaplanował, każde słowo, które wymienili między sobą? Czy to możliwe, że Moozh był taki dobry w manipulacjach, że potrafił z góry przewidzieć wszystkie ich wyniki? W takim razie Bitanke mógł być jeszcze jednym Jeleniem”, który zdradza swoje miasto, ponieważ został zmuszony uwierzyć w to, co Moozh chciał.

„Nie. Nie, wcale nie o to chodziło. Moozh po prostu liczył na to, że potrafi mnie przekonać, abym działał inteligentnie w interesie Basiliki. Tym samym znajdę dla niego kandydatów, jeśli można sobie wyobrazić kogokolwiek na stanowisko konsula, mianowanego na życzenie Gorayni, a mimo to cieszącego się lojalnością ludzi, rady i strażników. Jeśli to możliwe, przyniosę generałowi nazwisko”.

* * *

— Muszę porozmawiać z dziećmi — oświadczyła Rasa. — W s z y s t k i m i .

Luet popatrzyła na nią przez chwilę, niepewna co zrobić; tak mogła powiedzieć dama do swoich służących, nie sprawiając wrażenia, że wydaje im polecenia. Ale Luet nie była służącą w tym domu i nigdy nią nie była, więc miała ignorować takie rozkazy. Rasa jednak wydawała się nie zdawać sobie sprawy, że odezwała się jak do służącej, kiedy nie było tu żadnej takiej osoby.

— Proszę pani — odezwała się Luet — czy wysyła mnie pani w tej sprawie?

Rasa spojrzała na nią prawie z zaskoczeniem.

— Przepraszam, Luet. Zapomniałam, z kim rozmawiam. Nie czuję się najlepiej. Czy mogłabyś poszukać moje dzieci i dzieci mojego męża, i powiedzieć im, że chcę się z nimi teraz zobaczyć?

Teraz to była prośba o przysługę, więc oczywiście skłoniła głowę i wyszła w poszukiwaniu służących, które jej pomogą. Nie znaczy to, że Luet sama nie zrobiłaby tego chętnie, lecz dom Rasy był duży, i jeśli prośba Rasy była pilna — a tak się wydawało — to lepiej było zaprząć kilku ludzi do poszukiwań. A zresztą, służące wiedziały lepiej, gdzie można wszystkich znaleźć.

Łatwo było się dowiedzieć, gdzie jest Nafai, Elemak, Sevet i Kokor, i wysłać służące, żeby ich wezwały. Mebbekewa jednak nie widziano od kilku godzin, odkąd przyszedł do miasta. W końcu Izdavat, młoda dziewczyna o większej gorliwości niż rozumie, wspomniała niechętnie, że przyniosła Mebbekewowi śniadanie do pokoju Dol.

— Ale to było już jakiś czas temu, proszę pani.

— Jestem tylko siostrą lub Luet, proszę.

— Czy chcesz, żebym sprawdziła, czy nadal tam jest, siostró?

— Nie, dziękuję — odparła Luet. — To byłoby niestosowne, gdyby nadal tam był, więc zapytam Dolyę, dokąd poszedł.

Skierowała się ku schodom w nauczycielskim skrzydle domu.

Luet nie zdziwiła się, że Mebbekew już zdołał przyczepić się do jakiejś kobiety, nawet w tym domu, gdzie kobiety uczono rozpoznawać bezwartościowych mężczyzn. Z a s k o c z y ł o ją jednak to, że Dolya ulega temu chłopcu. W trakcie jej kariery aktorskiej dobierali się do niej mistrzowie pochlebstwa i sykofanci, i nie powinna zwracać uwagi na Mebbekewa, chyba że tylko po to, aby dyskretnie go wyśmiać. Z drugiej jednak strony Luet miała świadomość, że łatwiej niż wszyscy inni rozumie pochlebców, ponieważ pochlebcy nigdy nie próbowali wykorzystywać swojej uwodzicielskiej magii w stosunku do niej. Wodne wieszczki znane były z tego, że potrafią rozpoznać kłamstwa — choć prawdę mówiąc, Luet widziała jedynie to, co pokazywała jej Naddusza, a Naddusza nie cieszyła się opinią opiekunki, która pomaga córkom w ich życiu miłosnym. „Jakbym miała życie miłosne”, pomyślała Luet. „Jakbym go potrzebowała. Naddusza wyznaczyła mi ścieżkę. A tam, gdzie moja ścieżka zbiega się z życiem innych ludzi, zaufam Nadduszy, że przekaze im swoją wolę. Mój mąż odkryje mnie jako swoją żonę, kiedy tak zdecyduje. I będę zadowolona”.

Zadowolona... Prawie się roześmiała z samej siebie. Wszystkie moje marzenia koncentrują się na tym chłopcu, razem byliśmy na skraju śmierci, a on nadal tęskni za Eiadh. Czy życie mężczyzn to tylko wydzieliny zbyt aktywnych gruczołów? Czy nie potrafią przeanalizować i zrozumieć otaczającego ich świata, tak jak potrafią to kobiety? Czy Nafai nie widzi, że miłość Eiadh będzie trwała tak długo jak deszcz, gotowy wyparować, gdy tylko burza przeminie? Edhya p o t r z e b u j e takiego mężczyzny jak Elemak, który nie zniesie błędzenia jej serca. Podczas gdy Nafai miałby złamane serce, widząc jej brak lojalności, Elemak byłby brutalnie rozgniewany i Eiadh, biedne głupie stworzenie, znów by się w nim zakochała.

Nie żeby oczywiście Luet sama to wszystko widziała. To Hushidh dostrzegła te wszystkie związki, wszystkie wiążące ludzi nici; to Hushidh jej wyjaśniła, że Nafai wydaje się nie dostrzegać Luet, ponieważ jest taki oczarowany Eiadh. To Hushidh również rozumiała więź między Elemakiem i Eiadh i to, dlaczego są dla siebie tacy odpowiedni.

A teraz Mebbekew i Dol. Cóż, to była kolejna część składanki, prawda? Kiedy Luet miała wizję kobiet w lesie za domem Rasy, tej nocy, kiedy powróciła, ostrzegłszy Wetchika o zamachu na jego życie, to nie miało dla niej żadnego sensu. Teraz jednak wiedziała, dlaczego zobaczyła Dolyę. Będzie z Mebbekewem, tak jak Eiadh z Elemakiem. Shedemei też pójdzie z nimi na pustynię, a przynajmniej będzie zaangażowana w ich podróż, zbierając nasiona i embriony. I Hushidh też pójdzie. I ciocia Rasa. Wizja Luet ukazywała kobiety wezwane na pustynię.

Biedna Dolya. Gdyby wiedziała, że zabranie Mebbekewa do swojego pokoju skieruje ją na ścieżkę prowadzącą poza Basilikę, skopałaby go, pogryzła i pobiła w razie potrzeby, żeby sobie poszedł! Jednak w obecnej sytuacji Luet spodziewała się, że zastanie ich razem.

Zapukała do drzwi Dol. Zgodnie ze swoimi oczekiwaniami usłyszała pośpieszne ruchy w pokoju. I łagodne grzmotnięcie.

— Kto tam? — zapytała Dol.

— Luet.

— Nie jestem w najdogodniejszej sytuacji.

— Nie wątpię — odrzekła Luet — ale lady Rasa przysyła mnie z pilną wiadomością. Czy mogę wejść?

— Tak, oczywiście.

Luet otworzyła drzwi i zastała Dolyę leżącą w łóżku, zakrytą pościelą do samych ramion. Oczywiście po Mebbekewie nie było śladu, ale łóżko było w nieładzie, wanna pełna szarej wody, a na podłodze leżała kiść winogron — nie taki Dolya zostawiała porządek, kiedy się kładła do południowej drzemki.

— Czego chce ode mnie ciocia Rasa? — zapytała Dol.

— Od ciebie niczego — odparła Luet. — Chce, żeby wszystkie jej dzieci i dzieci Wetchika w tej chwili do niej przyszły.

— Dlaczego zatem nie pukasz do drzwi Sevet lub Kokor? Nie ma ich tu.

— Mebbekew wie, dlaczego tu przyszłam — odparła Luet. Przypominając sobie usłyszane grzmotnięcie i krótką zwłokę, zanim mogła otworzyć drzwi, domyśliła się, gdzie Mebbekew się teraz znajduje. — Gdy tylko zamknę drzwi, może wstać z podłogi przy twoim łóżku, narzucić na siebie jakieś ubranie i przyjść do pokoju lady Rasy.

Dol wyglądała na poruszoną.

— Wybacz mi, że próbowałam cię oszukać, wodna wieszczko — szepnęła.

Czasami Luet miała ochotę wrzeszczeć widząc, jak wszyscy zakładają, że kiedy wykazuje się prześlaskiem inteligencji, musi to być objawienie zesłane przez Nadduszę — jakby sama Luet nie była zdolna dostrzec oczywistych, rzeczy. A jednak Luet musiała przyznać, że ma to też plusy. W tym sensie, że ludzie byli skłonni mówić jej prawdę z większą ochotą, ponieważ wierzyli, że przyłapie ich na kłamstwie. Ale ceną tej prawdomówności było to, że nie lubili jej towarzystwa i unikali jej. Tylko przyjaciół łączyła taka zażyłość i tylko z własnej woli. Gdy byli zmuszeni — lub tak im się wydawało — dzielić tajemnice z Luet, zrywali więzy przyjaźni i Luet nie uczestniczyła w życiu większości kobiet ze swojego otoczenia. Były takie pełne nabożnego szacunku dla niej; czuła się przez to zarówno niegodna jak i wściekła.

To właśnie z powodu tego gniewu Luet postanowiła dręczyć Mebbekewa, zmuszając go, żeby się odezwał.

— Słyszałeś, co powiedziałam, Mebbekew? Nastąpiła długa pauza, po czym odpowiedź:

— Tak.

— Powiem cioci Rasie — oznajmiła Luet — że wiadomość została przekazana.

Wyszła przez drzwi i już je zamykała, kiedy Dol zawołała do niej:

— Zaczekaj... Luet.

— Tak?

— Jego ubranie... jest w praniu...

— Każę je przysłać.

— Czy sądzisz, że już wyszło?

— Dostatecznie — odparła Luet. — Nie sądzisz, Mebbekew?

Mebbekew usiadł wyprostowany, dzięki czemu jego głowa wyłoniła się po drugiej stronie łóżka.

— Tak — odpowiedział ponuro.

— Wilgotne ubranie ostudzi cię — stwierdziła Luet. — Jest tak gorąco, przynajmniej w tym pokoju.

Pomyślała, że to świetny żart, ale nikt się nie roześmiał.

* * *

Shedemei szła energicznym krokiem do chłodni Wetchika, która mieściła się w wąskiej dolinie i była ocieniona wysokimi drzewami, tuż za murem miasta okalającym Starą Orchestrę. Była to ostatnia i — jak się obawiała — najtrudniejsza część jej zadania polegającego na zebraniu fauny i flory dla potrzeb szalonej podróży przez kosmos, z powrotem na legendarną, zaginioną planetę Ziemia. „Zadaję sobie ten cały trud, ponieważ miałam sen i przedstawiłam go do zinterpretowania marzycielce. Podróż na wielbłądach — i myślą, że to ich zaprowadzi na Ziemię”.

Jednak nadal pamiętała żywo ten sen. Życie, które przeniosła ze sobą na chmurze.

Przyszła więc pod drzwi chłodni Wetchika, nie mając pewności, czy naprawdę ma nadzieję zastać któregoś z jego służących pełniącego funkcję dozorca.

Kiedy klasnęła w dłonie, nikt nie odpowiedział. Ale maszyny zapewniające niską temperaturę wewnątrz mogły z powodzeniem zagłuszać nawet najgłośniejsze klaskanie. Podeszła więc do drzwi i spróbowała je otworzyć. Były zamknięte na klucz.

Oczywiście. Wetchik wyruszył na pustynię wiele tygodni temu, prawda? A Rashgallivak, jego zarządca i rzekomo nowy Wetchik, ukrywał się gdzieś od tamtej pory. Skoro ich nie było, to kto miał dopilnować, aby chłodnia funkcjonowała?

Tylko że maszyny w chłodni p r a c o w a ł y, prawda? A to oznaczało, że k t o ś nadal troszczył się o to miejsce. Chyba że przez niedbałość pozostawiono urządzenia włączone, nie troszcząc się o dalszy los roślin.

To było oczywiście całkiem możliwe. Rośliny mogły kwitnąć przez wiele dni dzięki zimnemu powietrzu, a chłodnia — czerpiąc moc z baterii słonecznych na palach, które wznosiły się wysoko nad domem — mogła funkcjonować w nieskończoność, nie pobierając nawet mocy z miejskiego układu zasilania.

A jednak Shedemei wiedziała, że ktoś nadal opiekuje się tym miejscem, choć nie umiała powiedzieć, skąd to wie. Ponadto wiedziała, że dozorca jest w tej chwili w chłodni, zdaje sobie sprawę z jej obecności i chce, żeby odeszła. Ktokolwiek był w środku, ukrywał się.

A kto musiał się ukrywać?

— Rashgallivak — zawołała Shedemei. — To tylko ja, Shedemei. Znasz mnie. Przyszedłam sama i nikomu nie powiem, że tu jesteś, ale muszę z tobą porozmawiać. — Zaczekała, ale nie było odpowiedzi. — To nie ma nic wspólnego z miastem ani wydarzeniami, które mają tam miejsce — zawołała głośno. — Po prostu muszę kupić od ciebie kilka urządzeń.

Usłyszała, jak drzwi zostają odryglowane od wewnątrz, po czym otwierają się na swoich ciężkich zawiasach. Stał w nich Rashgallivak, który wyglądał żałośnie i mizernie. Nie trzymał w ręku żadnej broni.

— Jeśli przyszedłeś mnie zdradzić, to przyjmuję to z ulgą. Shedemei powstrzymała się od uwagi, że po tym, jak Rashgallivak zdradził ród Wetchika, sprzymierzając się z Gaballufixem w celu przywłaszczenia sobie pozycji swojego pana, zdrada byłaby jedynie wymierzeniem sprawiedliwości. Miała tu sprawę do załatwienia; nie była sędzią.

— Nie obchodzi mnie polityka — powiedziała — i ty mnie też nie obchodzisz. Po prostu muszę kupić tuzin suchych skrzyń. Przenośnych, wykorzystywanych podczas wypraw karawanowych.

Pokręcił głową.

— Wetchik kazał mi wszystkie sprzedać. Shedemei ze znużeniem przymknęła na chwilę oczy. Zmuszał ją, żeby wygarnęła mu prosto w oczy coś, czego nie chciała mówić.

— Rashgallivak, proszę, nie spodziewaj się, że uwierzę, iż rzeczywiście je sprzedałeś wiedząc, że przejmiesz kontrolę nad domem Wetchika i będziesz musiał dalej istnieć w branży.

Rashgallivak zaczerwienił się — Shedemei miała nadzieję, że ze wstydu.

— Tym niemniej sprzedałem je, jak mi kazano.

— Kto zatem je kupił? — zapytała Shedemei. — Chodzi mi o skrzynie, a nie o ciebie.

Rashgallivak nie odpowiedział.

— Ach, to ty je kupiłeś — domyśliła się Shedemei. Po chwili przerwy Rashgallivak zapytał:

— Po co ci one potrzebne?

— Chcesz, żebym ja się wytłumaczyła?

— Pytam, ponieważ wiem, że masz mnóstwo suchych skrzyń w swoim laboratorium. Przenośne stosuje się tylko w podróżach karawanowych, a na tym zupełnie się nie znasz.

— A więc na pewno zostanę zabita albo obrabowana. Ale to nie twoje zmartwienie. I być może nie zostanę ani zabita, ani obrabowana.

— W takim wypadku — stwierdził Rashgallivak — zamierzasz sprzedać swoje rośliny w odległych krajach, stanowiąc dla mnie konkurencję. Czemu miałbym sprzedawać konkurencji przenośne suche skrzynie?

Shedemei roześmiała się.

— A co, myślisz, że interesy idą tutaj tak jak zwykle? Nie wybieram się w podróż w celach handlowych, ty biedny głupcze. Przenoszę się wraz z całym laboratorium do miejsca, gdzie będę mogła bezpiecznie prowadzić prace badawcze, bez ingerencji uzbrojonych szaleńców, którzy palą i łupią miasto.

Znów się zarumienił.

— Kiedy byli pod moim dowództwem, nie zrobili nikomu krzywdy. Nie byłem Gaballufixem.

— To prawda, Rash. Nie jesteś Gaballufbcem. Można to było zrozumieć w dwojaki sposób, ale Rash najwyraźniej postanowił uznać, że Shedemei wierzy w jego przyzwoitość.

— Nie jesteś moim wrogiem, prawda, Shedy?

— Po prostu chcę dostać skrzynie.

Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym zrobił krok do tyłu i skinął ręką, żeby weszła.

Przedsiębiorca chłodni nie był tak chłodzony jak pomieszczenia wewnętrzne i Rash przemienił go w pewnego rodzaju żalosne mieszkanie. Znajdowało się tam prowizoryczne łóżko i duża balia, która kiedyś zajmowana była przez rośliny, a teraz z pewnością służyła do kąpieli i prania jego rzeczy. Bardzo prymitywne, zarazem jednak pomysłowe rozwiązanie. Shedemei nie mogła się powstrzymać od podziwu — Rashgallivak nie rozpaczał, nawet gdy wszystko obróciło się przeciwko niemu.

— Jestem tu sam — wyjaśnił. — Naddusza na pewno wie, że bardziej potrzebuję pieniędzy niż suchych skrzyń. A rada miasta odcięła mnie od wszystkich moich funduszy. Nie możesz mi nawet zapłacić, ponieważ już nie mam konta, na które mogłabyś przelać pieniądze.

— To nie powinno stanowić problemu — powiedziała Shedemei. — Jak się pewnie domyślasz, wielu ludzi wyciąga pieniądze ze swoich kont w mieście. Mogę ci zapłacić w kamieniach szlachetnych — choć ceny złota i drogocennych kamieni wzrosły trzykrotnie z powodu ostatnich niepokojów.

— Czy myślisz, że mam złudzenia, iż mogę się targować?

— Wystaw skrzynie na zewnątrz — poleciła Shedemei. — Przyślę ludzi, którzy przywiozą mi je do miasta. Później zapłacę ci uczciwie. Powiedz, gdzie mam przyjść.

— Przyjdź później sama — odparł Rash. — I przekaz mi zapłatę osobiście.

— Chyba żartujesz — zaoponowała Shedemei. — Już nigdy tu nie przyjdę i nigdy się też nie spotkamy. Powiedz, gdzie mam ci zostawić klejnoty.

— W pokoju dla podróżnych w domu Wetchika.

— Czy łatwo go znaleźć?

— Nietrudno.

— Zatem znajdą się tam, gdy tylko otrzymam skrzynie.

— To nie jest uczciwe, że ja muszę ci całkowicie ufać, natomiast ty nie musisz mi w ogóle ufać.

Shedemei nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź, która nie byłaby okrutna. Po chwili skinął głową.

— W porządku — powiedział. — Na terenie posiadłości Wetchika znajdują się dwa domy. Zostaw klejnoty w pokoju dla podróżnych, który mieści się w mniejszym, starszym budynku. Na jednej z krokwi. Znajdę je.

— Gdy tylko suche skrzynie pojawią się w moim laboratorium — powiedziała Shedemei.

— Czy myślisz, że mam jakąś siatkę lojalnych ludzi, którzy urządzają na ciebie zasadzkę? — zapytał z goryczą Rashgallivak.

— Nie — odparła. — Ale wiedząc, że wkrótce otrzymasz pieniądze, możesz bez przeszkód wynająć ich w tej chwili.

— A więc to ty zdecydujesz, kiedy i ile mi zapłacić, a ja nie mam tu nic do powiedzenia.

— Rash, potraktuję cię znacznie uczciwiej, niż ty potraktowałeś Wetchika i jego synów.

— Wystawię tuzin suchych skrzyń w ciągu pół godziny. Shedemei wstała i wyszła. Usłyszała, jak Rash zamyka za nią drzwi i wyobraziła sobie, jak rygluje je nieśmiało, w obawie, że ktoś mógłby odkryć, iż człowiek, który przez krótki czas rządził imperium zarówno Gaballufixa, jak i Wetchika, ukrywa się teraz w tych ciężkich, zacienionych murach.

Shedya przeszła przez Bramę Muzyczną, gdzie strażnicy Gorayni w pośpiechu sprawdzili jej tożsamość i przepuścili ją. Nadal niepokoił ją widok tego munduru w bramach Basiliki, ale tak jak wszyscy inni przyzwyczaiła się do idealnej dyscypliny żołnierskiej i nowego ładu, który zapanował przy wejściach do miasta. Wszyscy czekali cierpliwie w kolejce.

I coś jeszcze. Teraz więcej ludzi czekało, by wejść niż wyjść z miasta. Powracała ufność. Ufność w siłę Gorayni. Któż mógł wiedzieć, jak szybko ludzie zaczną ufać Mokro—głowym wrogom?

Przeszedłszy długi odcinek drogi wzdłuż muru miasta do Bramy Targowej, Shedemei znalazła poganiacza mułów, którego wynajęła.

— Ruszaj — rozkazała. — Powinno być dwanaście skrzyń.

Dziewczyna skłoniła głowę i ruszyła truchtem. Niewątpliwie ten pokaz szybkości dobiegnie końca, gdy tylko Shedemei przestanie ją widzieć, ale mimo to Shedemei doceniła to, że dziewczyna chociaż próbuje u d a w a ć, iż się spieszy. Świadczyło to, że poganiacz wie, co to jest szybkość, i uważa, że warto stwarzać takie pozory.

Następnie Shedemei znalazła posłańca w kolejce czekającej na progu Bramy Targowej. Nagryzmoliła wiadomość na jednej z kartek na stanowisku posłańców. Na odwrocie napisała, jak dotrzeć do domu Wetchika i gdzie zostawić wiadomość. Potem wystukała na klawiaturze komputera płatność. Kiedy chłopak zobaczył premię za szybką dostawę, wyszczerzył zęby w uśmiechu, capnął kartkę i pomknął jak strzała.

Rashgallivak oczywiście wpadnie w złość, kiedy zamiast klejnotów znajdzie tratę wystawioną na jednego z jubilerów Bramy Targowej. Shedemei nie zamierzała jednak ani zanosić, ani wysyłać takiej olbrzymiej sumy całkowicie płynnych funduszy do jakiegoś odludnego, opuszczonego miejsca. To Rash potrzebował pieniędzy — niech o n podejmie ryzyko. Przynajmniej wystawiła tratę na jubilera, który miał stolik za Bramą Targową, tak iż Rashgallivak nie będzie musiał przechodzić przez kontrolę żadnych strażników, żeby otrzymać swoją zapłatę.

* * *

Rasa spojrzała na swojego syna, córki i dwóch synów, które Wetchik miał z innymi żonami. „Nie jest to grupa najwspanialszych ludzi na świecie”, pomyślała. „Krytyczniej oceniałabym dwóch starszych synów Volemaka, gdybym sama nie miała dwóch córek, które przypominają mi o własnej nieudolności rodzicielskiej. Jeśli mam być sprawiedliwa, ci wszyscy młodzi ludzie są na swój sposób utalentowani. Ale tylko Nafai i Issib, dwójka moich dzieci z Volemakiem, udowodnili, że cechuje ich prawość, przyzwoitość i umiłowanie dobra”.

— Dlaczego nie przyprowadziliście Issiba?

Elemak westchnął. „Biedny chłopiec”, pomyślała Rasa. „Staruszka znowu żąda od ciebie wyjaśnień, prawda?”

— Nie chcieliśmy mieć kłopotów z jego krzesłem lub łotkami podczas tej podróży — odparł.

— Dobrze się stało, że nie jest zamknięty tu z nami — odezwał się Nafai.

— Nie sędzę, żeby generał zbyt długo trzymał nas w areszcie — powiedziała Rasa. — Kiedy zostanę całkowicie skompromitowana, nie będzie powodu, by stosować tak jawnie represyjne środki. Moozh próbuje pokazać się jako wyzwoliciel i obrońca, a posyłanie żołnierzy na ulice wcale mu w tym nie pomaga.

— I wtedy wyjedziemy? — zapytał Nafai.

— Nie, zapuścimy tu korzenie — zadrwił Mebbekew. — Oczywiście, że wyjedziemy.

— Chcę wrócić do domu — powiedziała Kokor. — Nawet jeśli Obring to nędzny, żaloszny mąż, tęsknię za nim.

Sevet nie odezwała się.

Rasa spojrzała na Elemaka, któremu na ustach igrał pół—uśmieszek.

— A ty, Elemaku, czy też pragniesz jak najszybciej opuścić mój dom?

— Jestem wdzięczny za pani gościnność — odparł. — I zawsze będziemy pamiętać pani dom jako ostatni cywilizowany, w którym mieszkaliśmy przez wiele lat.

— Mów za siebie, Elya — powiedział Mebbekew.

— O czym on mówi? — zapytała Kokor. — Ja mam cywilizowany dom, który w tej chwili na mnie czeka.

Z gardła Sevet wydobył się zduszony śmiech.

— Na twoim miejscu nie przechwalałabym się, jaki to mój dom jest cywilizowany — powiedziała Rasa. — Widzę też, że tylko Elemak rozumie waszą obecną sytuację.

— Ja też rozumiem — wtrącił Nafai. Oczywiście Elemak spojrzał na niego groźnie spod przymkniętych powiek. „Nafai, ty głuptasie”, pomyślała Rasa. „Czy zawsze musisz mówić rzeczy, które prowokują twoich braci? Czy myślisz, że zapomniałam, iż usłyszałeś głos Nadduszy, że rozumiesz znacznie więcej niż twoi bracia i siostry? Czy nie mogłeś zaufać, że będę pamiętała o twojej zacności, i zachować milczenie?”

Nie, nie mógł. Nafai był młody, zbyt młody, by przewidzieć konsekwencje swojego postępowania, zbyt młody, by zapanować nad swoimi uczuciami.

— Tym niemniej to Elemak ją nam wyjaśni.

— Nie możemy zostać w mieście — zaczął Elemak.

— Gdy tylko żołnierze przestaną pilnować domu, musimy uciekać, i to szybko.

— Dlaczego? — zapytał Mebbekew. — To lady Rasa ma kłopoty, a nie my.

— Na Nadduszę, jesteś głupi — stwierdził Elemak. „Cóż za odświeżająco bezpośredni sposób na wyrażenie tego”, pomyślała Rasa. „Nic dziwnego, że twoi bracia cię uwielbiają, Elya”.

— Dopóki lady Rasa będzie pod aresztem, Moozh musi dopilnować, żeby żadnej z obecnych tu osób nie stała się krzywda. Ale zaplanował wszystko tak, żeby Rasa miała mnóstwo wrogów w mieście. Gdy tylko jego żołnierze zejdą z drogi, zaczną się dziać bardzo złe rzeczy.

— Tym bardziej powinniśmy opuścić dom Mamy — powiedziała Kokor — Mama może uciec, jeśli chce, ale do mnie nic nie mają.

— Do k a ż d e g o z nas coś mają — zaprzeczył Elemak.

— Meb, Nafai i ja jesteśmy zbiegami, a na Nafaiu ciąży oskarżenie o dwa morderstwa, z których jedno rzeczywiście popełnił. Kokor może być oskarżona o napaść i próbę zamordowania własnej siostry. Z kolei Sevet to jawna cudzołożnica, a ponieważ uwiodła męża własnej siostry, można powołać się na prawa o kazirodztwie.

— Nie odważyliby się — zaoponowała Kokor. Wnosić oskarżenie przeciwko mnie!

— A dlaczegoż mieliby się nie odważyć? — zapytał Elemak. — I tak przed aresztem uratował cię wielki szacunek i miłość ludzi do lady Rasy. Cóż, t o już minęło, a przynajmniej zostało osłabione.

— Nigdy by mnie nie skazali — stwierdziła Kokor.

— I praw o cudzołóstwie nie egzekwowano już od wieków — dodał Meb. — Ludzie brzydzą się kazirodztwem między powinowatymi, ale dopóki są oni w wieku uprawniającym do wyrażenia zgody na odbycie stosunku cielesnego...

— Czy w s z y s c y jesteście tęp, jeśli chodzi o kwestie przestępstw? — zapytał Elemak. — Nie, zapomniałem: Nafai rozumie wszystko.

— Nie — zaprzeczył Nafai. — Wiem, że musimy pójść na pustynię, ponieważ tak rozkazał Naddusza, ale nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz.

Rasa nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Nafai czasami zachowywał się głupio, ale jego szczerość i bezpośredniość były rozbrajające. Mimowolnie Nafai sprawił przyjemność Elemakowi, upokarzając się i uznając, że Elya jest mądrzejszy.

— A więc wyjaśnię to — zaproponował Elemak. — Lady Rasa to wpływowa kobieta — nawet teraz, ponieważ najmądrzejsi ludzie w Basilice ani przez chwilę nie wierzą w plotki na jej temat. To nie wystarczy, żeby Moozh ją skompromitował. Rasa musi być albo całkowicie pod jego kontrolą, albo martwa. Aby osiągnąć to pierwsze, musi jedynie postawić jedno lub wszystkie jej dzieci przed sądem za morderstwo — a także synów Ojca, jeśli już o to chodzi — i będzie bezradna. Lady Rasa to dzielna kobieta, ale nie sądzę, by miała odwagę pozwolić, aby jej dzieci lub synowie Ojca poszli do więzienia tylko po to, żeby mogła się bawić w politykę. A gdyby p o t r a f i ła się zdobyć na taką bezwzględność, Moozh po prostu podniósłby stawkę. Kogo z nas zabiłby w pierwszym rzędzie? Moozh to sprytny człowiek — posunąłby się tylko tak daleko, żeby dać wyraźnie do zrozumienia, do czego jest zdolny. Sądzę, że zabiłby c i e b i e , Meb, ponieważ jesteś najmniej wart i Ojciec z lady Rasą najmniej by cię oplakiwali.

Meb zerwał się na równe nogi.

— Mam cię już dość, pierdziogębo!

— Siadaj, Mebbekew — wtrąciła się lady Rasa. — Czy nie widzisz, że on cię podjudza dla zabawy?

Elemak wyszczerzył zęby w uśmiechu do Mebbekewa, który wcale nie był ułagodzony. Siadając z powrotem, Mebbekew spojrzał na niego groźnie.

— Kogoś by zabił — ciągnął Elemak — ot tak, dla przestrogi. Oczywiście nie przy pomocy swoich żołnierzy. Ale wiedziałby, że Rasa domyśli się, iż to jego sprawka. A gdyby trzymanie nas jako zakładników w celu zmuszenia jej do grzecznego zachowania nie poskutkowało, to Moozh już ukartował wszystko tak, by usprawiedliwić zabójstwo samej lady Rasy. Łatwo by było znaleźć jakiegoś oburzonego obywatela, który chętnie by ją zamordował za rzekomą zdradę; Moozh musiałby tylko stworzyć dogodną okazję dla takiego skrytobójcy. To byłoby proste. To właśnie wtedy, gdy żołnierze opuszczą ulice w pobliżu tego domu, znajdziemy się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Musimy się więc przygotować do natychmiastowego wyjazdu z Basiliki, potajemnie i na stałe.

— Wyjechać z Basiliki! — wykrzyknęła Kokor. Jej autentyczne przerażenie świadczyło o tym, że w końcu zdała sobie sprawę z ich poważnej sytuacji.

Sevet rozumiała ich położenie, to było pewne. Pochyliła głowę, ale Rasa i tak spostrzegła łzy na jej policzkach.

— Przykro mi, że bliskie kontakty ze mną kosztują was tak drogo — powiedziała Rasa. — Ale przez te wszystkie lata, moje drogie córki, mój kochany synu, moi ukochani studenci, wszyscy odnosiliście korzyści wynikające z prestiżu mojego domu, jak również wielkiej godności

Wetchika. Teraz, gdy w Basilice wszystko obróciło się przeciwko nam, też musicie ponieść konsekwencje.

— Na zawsze — wymamrotała Kokor.

— Na zawsze — potwierdził Elemak. — Ja jednak nie pójdę na pustynię bez żony. Mam nadzieję, że moi bracia też o tym pomyśleli. Przecież to właśnie dlatego tu przyszliśmy.

— Obring — powiedziała Kokor. — Musimy zabrać Obringa!

Sevet uniosła głowę i spojrzała na Matkę. Miała łzy w oczach i wyraz przestrochu na twarzy.

— Myślę, że Vas z tobą pójdzie, jeśli go poprosisz — powiedziała Rasa. — To mądry i wyrozumiały mężczyzna, i kocha cię znacznie bardziej, niż na to zasługujesz.

Jej słowa były zimne, ale mimo to Sevet potraktowała je jako pociechę.

— Ale co z Obringiem? — dopytywała się Kokor.

— To taki słaby mężczyzna — odparła Rasa. — Jestem pewna, że zdołasz go namówić.

Tymczasem Mebbekew zwrócił się do Elemaka.

— Masz żonę? — zapytał.

— Lady Rasa udzieli mi i Eiadh ślubu dziś wieczorem — odparł Elemak.

Twarz Mebbekewa zdradzała jakieś gwałtowne uczucie — wściekłość, zazdrość? Czy Mebbekew też pragnął Eiadh, tak jak biedny Nafai?

— Bierzesz z nią ślub dziś wieczorem? — zapytał Mebbekew.

— Nie wiemy, kiedy Moozh zwolni nas z aresztu domowego, a chcę, żeby nasze małżeństwo było w pełni legalne. Kiedy będziemy na pustyni, nie chcę żadnych wątpliwości w kwestiach partnerskich.

— Nie znaczy to, że nie będziemy mogli pozamieniać się, gdy nasze kontrakty wygasną — wtrąciła Kokor.

Wszyscy na nią spojrzeli.

— Pustynia to nie Basilika — stwierdziła Rasa. — Będzie nas tam niewielu. Małżeństwa będą stałe. Pogódź się z tym już teraz.

— To absurd — powiedziała Kokor. — Nie jadę i nie możesz mnie zmusić.

— Tak, nie mogę cię zmusić — przyznała Rasa. — Ale jeśli zostaniesz, wkrótce się przekonasz, jak twoje życie się zmieni, kiedy nie będziesz córką lady Rasy, lecz tylko młodą śpiewaczką, która jest znaną z tego, że ciosem własnej ręki pozbawiła głosu swoją znacznie sławniejszą siostrę.

— Mogę z tym żyć! — zaperzyła się Kokor.

— Jestem zatem pewna, że nie chcę cię mieć przy boku — odparła gniewnie Rasa. — Czy podczas strasznej podróży, którą mamy przed sobą, potrzebna nam taka dziewczyna bez sumienia? — Jej słowa były ostre, ale rozczerwanie Rasy z powodu Kokor prawie że wywoływało smak paskudnej trucizny na jej języku. — To wszystko, co miałam do powiedzenia. Wszyscy macie coś do zrobienia i musicie dokonać wyboru. Dokonajcie go i basta.

Był to wyraźny sygnał, żeby się rozejść; Kokor i Sevet od razu wstały i wyszły. Kokor przeszła majestatycznie z zadartą głową, urządzając wielki pokaz wyniosłości.

Mebbekew przysunął się ukradkiem do Rasy — czy ten chłopak nie umie chodzić normalnie, nie wyglądając jak donosiciel lub szpieg? — i zadał jej pytanie:

— Czy ślub Elyi dziś wieczorem to ceremonia tylko dla wybranych?

— Wszyscy w tym domu są zaproszeni — odparła Rasa.

— Chodzi mi o coś innego: a gdybym ja też miał dzisiaj kogoś poślubić? Czy udzieliłaby mi pani ślubu?

— Kogoś poślubić? Zapewniam cię, że Dolya być może zachowała się niedyskretnie, ale zdziwię się, jeśli cię weźmie za męża, Mebbekew.

Meb wyglądał na rozwścieczonego.

— Luet pani powiedziała.

— Oczywiście, że mi powiedziała — odrzekła Rasa.

— Połowa służących i sama Dolya powiedziałyby mi przed zmrokiem. Czy naprawdę wyobrażasz sobie, że ktokolwiek może skrywać przede mną taką tajemnicę w moim domu?

— Jeżeli zdołam ją przekonać, żeby zaakceptowała takiego bezwartościowego padalca jak ja — powiedział Meb z dużą dozą sarkazmu — to czy zgodzi się pani włączyć nas do ceremonii?

— Niebezpiecznie by było zabierać cię na pustynię bez żony — oświadczyła Rasa. — Dla ciebie Dolya byłaby aż za dobrą kobietą, choć sama nie mogłaby gorzej trafić.

Meb poczerwieniał z wściekłości.

— Nie zrobiłem nic, czym zasłużyłbym sobie na taką pogardę z pani strony.

— Zawsze robiłeś tylko to, żeby sobie na nią zasłużyć

— odrzekła Rasa. — Uwiodłeś moją siostrzenicę pod moim dachem, a teraz rozważasz małżeństwo z nią — i nie myśl też, że mnie oszukasz. Chcesz ją poślubić nie po to, żeby przyłączyć się do swojego ojca na pustyni, ale by wykorzystać ją jako przepustkę do pozostania w Basilice. Zdradzisz ją już w chwili, gdy wyjedziemy i będziesz miał odpowiedni dokument.

— Przysięgam pani w obliczu Nadduszy, że zabiorę Dolyę na pustynię, tak jak Elya zabierze Eiadh.

— Uważaj, kiedy bierzesz Nadduszę na świadka swojej przysięgi — ostrzegła Rasa. — Ona umie dopilnować, żebyś dotrzymał słowa.

Mebbekew już miał coś odpowiedzieć, ale rozmyślił się i wyszedł dumnym krokiem z prywatnego pokoju przyjąć Rasy. Niewątpliwie szedł do Dolyi, żeby pochlebstwami nakłonić ją, aby jemu zaproponowała ślub.

„I tak się stanie”, pomyślała z goryczą Rasa. „Ponieważ ten chłopak, który nie ma prawie żadnych zalet, umie postępować z kobietami. Czyż nie słyszałam o jego wyczynach od matek tylu dziewcząt w Dolltown i Dauberville? Biedna Dolya. Czy życie tak cię wygłodziło, że zgodzisz się ochoczo nawet na kiepską imitację miłości?”

Pozostali tylko Elemak i Nafai.

— Nie chcę mieć wspólnej ceremonii z Mebbekewem — oświadczył zimno Elemak.

— To tragiczne, że na tym świecie nie zawsze możemy mieć to, czego chcemy, prawda? — stwierdziła Rasa. — Każdy, kto chce wziąć ślub dziś wieczorem, będzie go miał. Nie mamy czasu, żeby zaspokoić twoją próżność, i ty o tym wiesz.

Sam byś mi to powiedział, gdybyś miał mi bezstronnie poradzić.

Przez dobrą chwilę Elemak przyglądał się jej twarzy.

— Tak — odparł. — Jest pani bardzo mądra. Po tych słowach też wyszedł.

Rasa jednak też go rozumiała, lepiej niż sobie wyobrażała. Wiedziała, że ocenił ją i zdecydował, iż być może ma duże wpływy w Basilice, ale na pustyni nie będzie nic znaczyć. Dziś wieczorem ulegnie jej woli, ale z chwilą, gdy znajdą się na pustyni, będzie się rozkoszował, podporządkowując ją sobie. „Cóż, nie boję się upokorzenia”, pomyślała Rasa. „Mogę znieść znacznie więcej, niż sobie wyobrażasz. Cóż będą dla mnie znaczyć zadawane przez ciebie męki, kiedy będę czuła udrękę mojego ukochanego miasta i wiedziała, że na wygnaniu nie mogę zrobić nic, by je ocalić?”

Teraz pozostał z nią tylko Nafai.

— Mamo — odezwał się — a co z Issibem? I skarbnikiem Gaballufixa, Zdorabem? Będą potrzebowali żon. I Elemak zobaczył w swoim śnie żony dla nas wszystkich.

— Zatem Naddusza musi im załatwić żony, nie sądzisz?

— Shedemei też pójdzie — powiedział. — Ona też miała sen. Naddusza ją zabiera. I Hushidh. Ona też jest w to wplątana, prawda? Naddusza z pewnością ją zabierze. Dla Issiba lub Zdoraba.

— Dlaczego jej nie zapytasz? — zaproponowała Rasa.

— Nie ja — powiedział Nafai.

— Powiedziałeś mi, że według Nadduszy ty kiedyś poprowadzisz swoich braci. Jak ma do tego dojść, skoro nie masz odwagi porozmawiać otwarcie z taką słodką i wielkoduszną dziewczyną jak Shuya?

— Tobie wydaje się słodka — odrzekł Nafai. — Ale m n i e ... i pytać ją o coś takiego...

— Ona wie, że wy chłopcy wróciliście tu po żony, ty mały głupcze. Czy myślisz, że nie policzyła osób? To interpretatorka — czy myślisz, że już teraz nie widzi powiązań?

Nafai był zmieszany.

— Nie, wcale tak nie myślałem. Ona prawdopodobnie o wszystkim wie więcej ode mnie.

— Tylko o niektórych sprawach — powiedziała Rasa.

— I nadal unikasz najważniejszej kwestii.

— Wcale nie — zaprzeczył Nafai. — Wiem, że powinienem poślubić Luet i wiem, że poproszę ją o rękę. Nie potrzebowałem twojej rady w tej sprawie.

— A więc nie mam co się o ciebie martwić, mój synu — zakończyła Rasa.

* * *

Żołnierze wprowadzili Rashgallivaka do pokoju Moozha i zgodnie z jego wcześniejszymi poleceniami pchnęli go brutalnie na podłogę. Po wyjściu żołnierzy Rashgallivak dotknął swojego nosa. Nie był złamany, ale krwawił od zderzenia z podłogą. Moozh nie podał mu nic do wytarcia krwi. Ponieważ przed wprowadzeniem Rashgallivaka żołnierze rozebrali go do naga, mógł on jedynie pozwolić, by krew spływała mu do ust lub po brodzie.

— Wiedziałem, że prędzej czy później cię zobaczę — odezwał się Moozh. — Nie musiałem cię szukać. Wiedziałem, że nadejdzie taka chwila, kiedy pomyślisz, iż masz coś, czego będę od ciebie chciał, a potem przyjdiesz do mnie i spróbujesz targować się o swoje życie. Mogę cię jednak zapewnić, że nie potrzebuję od ciebie niczego.

— A więc niech mnie pan zabije i basta — powiedział Rashgallivak.

— To bardzo dramatyczne — stwierdził Moozh. — Powiedziałem, że nie potrzebuję od ciebie niczego, ale mogę czegoś c h c i e ć , i mogę nawet chcieć tego tak bardzo, że ani nie wyłupię ci oczu, ani cię nie wykastрую czy zrobię ci jakąś inną drobną przysługę, zanim zostaniesz spalony jako zdrajca swojego miasta.

— Tak, tak bardzo zależy panu na Basilice — zadrwił Rashgallivak.

— Dałeś mi to miasto, ty biedny głupcze. Przez swoją głupotę i brutalność dałeś mi ją w prezencie. Teraz to mój najbardziej lśniący klejnot. Tak, bardzo mi zależy na Basilice.

— Tylko jeśli zdoła ją pan zatrzymać — powiedział Rashgallivak.

— Och, zapewniam cię, że zatrzymam ten klejnot. Albo nosząc go dla ozdoby, albo ścierając go na proch i połykając.

— Jest pan taki nieustraszony, dzielny generale. A jednak nałożył pan na lady Rasę areszt domowy.

— Nadal mam wiele możliwości — powiedział Moozh. — Nie przychodzi mi na myśl, czemu którakolwiek z nich miałaby prowadzić do jakiegoś innego rozwiązania oprócz twojej natychmiastowej śmierci. Będiesz więc musiał się lepiej postarać, niż mówić mi to, co już wiem.

— Czy to się panu podoba czy nie — powiedział Rashgallivak — ja jestem legalnym Wetchikiem i przywódcą klanu Palwashantu, i choć w tej chwili nikt mnie za bardzo nie kocha, to gdyby pozbawieni praw obywatelskich mężczyźni spoza miasta zobaczyli, że jestem u pana w łasce i mam pewną władzę, stanęliby u mojego boku. Mógłbym się panu przydać.

— Widzę, że masz pewne żalosne marzenia, iż możesz tu ze mną konkurować o władzę.

— Nie, generale — zaprzeczył Rashgallivak. — Przez całe życie byłem służącym i pomagałem zbudować oraz wzmocnić potęgę rodu Wetchika. Gaballufix namówił mnie do działań z pobudek ambicjonalnych, których nigdy nie miałem, dopóki dzięki niemu nie zacząłem ich odczuwać. Miałem mnóstwo czasu, by żałować, że mu uwierzyłem, by pogardzać sobą za to, iż kroczyłem dumnie, jakbym był jakimś wielkim przywódcą, kiedy w rzeczywistości jestem urodzonym służącym. Byłem szczęśliwy tylko wtedy, gdy służyłem człowiekowi silniejszemu ode mnie. Byłem dumny, że zawsze służy najsilniejszemu człowiekowi w Basilice. Tak się składa, że pan nim jest, i gdyby zachował mnie pan przy życiu i wykorzystał, stwierdziłby pan, że jestem człowiekiem z wieloma zaletami.

— Włącznie z niekwestionowaną lojalnością?

— Nigdy nie będzie mi pan ufał, wiem o tym. Ku własnej hańbie zdradziłem Wetchika. Zrobiłem to jednak dopiero wtedy, gdy Volemak już był na wygnaniu i nie posiadał władzy. Pan n i g d y nie osłabnie i nie poniesie porażki, więc może mi pan zaufać bez zastrzeżeń.

Moozh nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Mówisz mi, że mogę zawierzyć twojej lojalności, ponieważ jesteś zbyt dużym tchórzem, by zdradzić silnego człowieka?

— Miałem mnóstwo czasu, by poznać siebie, generale Vozmuzhalnoyu Vozmozhno. Nie chcę oszukiwać ani siebie, ani pana.

— Każdego mogę postawić na czele motłochu, który nazywa się klanem Palwashantu — powiedział Moozh. — Albo mogę sam ich poprowadzić. Czemuż miałbym cię potrzebować żywego, kiedy mogę zyskać znacznie więcej z twojej publicznej spowiedzi i egzekucji?

— Jest pan błyskotliwym generałem i przywódcą, ale nadal nie zna pan Basiliki.

— Znam ją dość dobrze, by rządzić tu, nie tracąc ani jednego mojego człowieka.

— Jeśli zatem jest pan taki wszystkowiedzący, generale Vozmuzhalnoyu Vozmozhno, to być może od razu zrozumie pan, dlaczego to ważne, że Shedemei kupiła dziś ode mnie tuzin suchych skrzyń.

— Nie baw się ze mną, Rashgallivak. Przecież wiesz, że nie mam pojęcia, kim jest ten Shedemei lub co może znaczyć kupno suchych skrzyń.

— Shedemei to kobieta, panie. Znany naukowiec. Zna się bardzo dobrze na genetyce — między innymi stworzyła kilka nowych popularnych roślin.

— Jeśli masz coś konkretnego...

— Shedemei to również nauczycielka w domu Rasy i jedna z jej najbardziej ukochanych siostrzenic.

Ach. A więc Rashgallivak może mieć coś, czego warto się dowiedzieć. Moozh czekał, by usłyszeć więcej.

— Suche skrzynie wykorzystuje się do transportowania nasion i embrionów na duże odległości bez chłodzenia. Powiedziała mi, że przenosi całe swoje laboratorium do odległego miasta i dlatego potrzebuje suchych skrzyń.

— A ty jej nie wierzysz.

— To nie do pomyślenia, żeby Shedemei przenosiła swoje laboratorium teraz. Niebezpieczeństwo najwyraźniej już minęło i normalnie po prostu zagłębiłaby się w swojej pracy. Jest naukowcem, który bardzo się koncentruje na swoich badaniach. Prawie nie zwraca uwagi na otaczający ją świat.

— A więc przypuszczasz, że to Rasa podsunęła jej plan wyjazdu.

— Rasa od wielu lat jest wierną żoną Wetch... Volemaka, dawnego Wetchika. Kilka tygodni temu Volemak opuścił miasto, pozornie postępując zgodnie z jakąś wizją od Nadduszy. Jego synowie wrócili do Basiliki, żeby kupić Indeks Palwashantu od Gaballufua.

Rashgallivak przerwał, jakby czekając, aż Moozh skojarzy te wydarzenia; ale Rashgallivak oczywiście wiedział, że Moozhowi brakuje informacji niezbędnych do skojarzenia tych faktów. Rashgallivak próbował w ten sposób upewnić się, że Moozh go potrzebuje. Moozh jednak nie zamierzał bawić się w tę grę.

— Albo mi powiedz, albo nie — powiedział. — Potem zdecyduję, czy jesteś mi potrzebny, czy nie. Jeśli nadal będziesz sobie wyobrażał, że możesz manipulować moim osądem, to tylko dowodzisz tego, że jesteś bezwartościowy.

— To jasne, że Volemak nadal marzy o tym, żeby rządzić w Basilice. Bo czemuż chciałby Indeks? Jedyna jego wartość to symbol władzy nad członkami Palwashantu; przypomina im o starożytnych czasach, kiedy nie rządziły nimi kobiety. Rasa to jego żona i wpływowa kobieta. Sama byłaby dla pana niebezpieczna — w połączeniu ze swoim mężem byłaby naprawdę groźna. Któż inny mógłby zjednoczyć miasto przeciwko panu? Shedemei nie przygotowywałyby się do takiej podróży, gdyby nie poprosiła ją o to Rasa. Dlatego Rasa i Volemak muszą mieć jakiś plan, do którego potrzebne są suche skrzynie.

— A cóż to miałyby być za plan?

— Jak już powiedziałem, Shedemei to błyskotliwy genetyk. A co, gdyby potrafiła stworzyć jakąś pleśń lub grzyb, który mógłby się rozprzestrzenić w Basilice jak epidemia? Tylko poplecznicy Rasy i Volemaka mieliby substancję niszczącą.

— Grzyb. I myślisz, że to byłaby broń przeciwko żołnierzom Gorayni?

— Nikt nigdy nie wykorzystał takiej rzeczy jako broni, panie — powiedział Rashgallivak. — Sam ledwie mógłbym na to wpaść. Wyobraź sobie jednak, jak twoi żołnierze by walczyli, gdyby nękało ich dręczące, nieznosne świerzbie.

— Świerzbie — zawtórował Moozh. To brzmiało jak absurd, rzecz godna śmiechu. A jednak mogło odnieść skutek — żołnierze, których rozpraszałoby świerzbie, nie dający się usunąć grzyb, nie walczyliby dobrze. Ani też nie można by łatwo rządzić miastem, gdyby ludzie cierpieli z powodu takiej plagi. Rządy były zawsze najmniej skuteczne, gdy nie potrafiły sobie poradzić z głodem. Moozh wielokrotnie wykorzystywał ten fakt przeciwko wrogom Imperatora. Czy to możliwe, że Rasa i Volemak są tacy sprytni, tacy złośliwi, że mogą wymyślić taką niewyobrażalną broń? Wykorzystać naukowca do stworzenia broni — jak Bóg mógł pozwolić, by taka potworność miała miejsce na tym świecie?

Chyba że...

„Chyba że Rasa i Volemak tak jak ja nauczyli się stawiać opór Bogu. Czemu miałbym być jedynym człowiekiem posiadającym siłę, by ignorować wysiłki Boga zmierzające do ogłupiania ludzi, kiedy będą próbować iść ścieżką prowadzącą do władzy?”

Z drugiej jednak strony, czy Rashgallivak nie mógł być też narzędziem, które Bóg wykorzystuje, by go zmylić? Minęło już wiele dni od chwili, kiedy Bóg próbował go powstrzymać od jakichkolwiek działań. Czy to możliwe, że Bóg, nie mogąc zapanować bezpośrednio nad Moozhem, próbuje nim teraz kierować, zwodząc go głupimi, wyimaginowanymi spiskami? Już wielu generałów zniszczyły właśnie takie wymysły, jak ten, z którym przyszedł teraz do niego Rashgallivak.

— Czy suche skrzynie nie mogą być przeznaczone do czegoś innego? — zapytał na próbę Moozh.

— Oczywiście — odparł Rashgallivak. — Wskazałem jedynie najbardziej skrajną możliwość. Suche skrzynie sprawdzają się też przy transportowaniu zapasów przez pustynię. Volemak i jego

synowie — zwłaszcza najstarszy, Elemak — są bardziej obeznani z pustynią niż większość innych ludzi. Nie boją się jej. Mogą planować utworzenie armii. Pan ma tu tylko tysiąc żołnierzy.

— Pozostała część armii Gorayni wkrótce tu dotrze.

— To może właśnie dlatego Volemak potrzebował tylko dwanaście suchych skrzyń: nie będzie musiał zbyt długo dostarczać zapasów swojej małej armii.

— Armia — powiedział pogardliwie Moozh. — Dwanaście suchych skrzyń. Znalaziono cię z tratą na bardzo cenne klejnoty. Skąd mam wiedzieć, czy nie zostałeś przekupiony, żeby opowiadać mi głupie kłamstwa i marnować mój czas?

— Nie znalaziono mnie, panie. Celowo oddałem się w ręce twoich żołnierzy. I zamiast klejnotów przyniosłem tratę, ponieważ chciałem ci pokazać, że to Shedemei podpisała ją własną ręką. Ta kwota znacznie przekracza wartość suchych skrzyń. Ona najwyraźniej próbuje kupić moje milczenie.

— A więc tak się teraz przedstawia twoja sytuacja, Rashgallivak. Kilka dni temu myślałeś, że jesteś władcą miasta. A teraz ponownie zdradzasz swojego poprzedniego pana, aby wkraść się w łaski nowego. Wyjaśnij mi, czemu miałbym nie wymiotować na twój widok.

— Ponieważ mogę się panu przydać.

— Tak, wyobrażam sobie: jak zły, ale głodny pies. Powiedz mi zatem, Rashgallivak, jaką kość chcesz, żebym ci rzucił?

— Moje życie, panie.

— Dopóki będziesz żył, twoje życie już nigdy nie będzie należeć do ciebie. A więc pytam cię jeszcze raz, jakiej chcesz kości?

Rashgallivak zawahał się.

— Jeśli będziesz udawał, że masz jakąś altruistyczną chęć służenia mnie lub Imperatorowi, lub Basilice, każę cię wypatroszyć i spalić na rynku w ciągu godziny.

— W Basilice nie pali się zdrajców. Mieszkańcy uznaliby pana za potwora.

— Wręcz przeciwnie — odrzekł Moozh. — Byliby bardzo szczęśliwi widząc, że ponosisz taką karę. Nikt nie jest aż tak cywilizowany, aby nie rozkoszować się zemstą, nawet jeśli później będą się wstydić swojej radości na widok cierpień wroga przed śmiercią.

— Przestań mi grozić, generale — powiedział Rashgallivak. — Żyłem w strachu i wyszedłem z tego. Może mnie pan zabić, torturować, to dla mnie nie ma znaczenia. Po prostu niech się pan zdecyduje, co chce zrobić.

— Powiedz mi najpierw, czego chcesz. Czego skrycie pragniesz. Co marzy ci się uzyskać z obecnej sytuacji?

Rashgallivak znów się zawahał. Tym razem jednak zdobył się na to, by zdradzić swoje pragnienie.

— Lady Rasa — szepnął. Moozh skinął nieznacznie głową.

— A więc nadal masz ambicję — powiedział. — Nadal marzysz o tym, by żyć znacznie lepiej, niż na to zasługujesz z racji zajmowanej pozycji.

— Powiedziałem panu, ponieważ nalegał pan. Wiem, że to się nie może nigdy zdarzyć.

— Wynos się — powiedział Moozh. — Moi ludzie zaprowadzą cię do łaźni, a potem dadzą ubranie. Będziesz żył jeszcze przynajmniej przez jedną noc.

— Dziękuję, panie.

Żołnierze weszli i zabrali Rashgallivaka — ale tym razem nie wlekli go, nie stosowali brutalnej siły. Nie znaczy to, że Moozh postanowił wykorzystać Rashgallivaka. Jego śmierć była nadal ponętnym rozwiązaniem — byłby to najbardziej zdecydowany sposób na to, by Moozh zadeklarował się władcą Basiliki, by wymierzył sprawiedliwość w obliczu tylu ludzi i z tak

wyraźnym pogwałceniem basilikańskich praw, zwyczajów i przyzwoitości. Obywatele byliby zachwyceni, a przez to przestaliby być starą Basiliką. Staliby się czymś nowym. Nowym miastem. „Moim miastem”.

Rashgallivak mężem Rasy. To była paskudna myśl, zrodzona w paskudnym, małym umyśle. A jednak z pewnością upokorzyłoby to Rasę i utrwaliło w umysłach wielu ludzi jej obraz jako zdrajczyni Basiliki. Mimo to nadal by była najważniejszą obywatelką Basiliki, otoczona aurą prawnego uzasadnienia. W końcu znajdowała się na liście kapitana Bitanke. Tak jak Rashgallivak.

Była to świetna lista. Dobrze przemyślana i całkiem śmiała. Bitanke był błyskotliwym, bardzo pożytecznym człowiekiem. Na przykład, był na tyle mądry, by nie lekceważyć siły perswazji Moozha. Nie wykluczał ludzi z listy tylko dlatego, że przypuszczał, iż nigdy nie zechcą służyć Moozhowi, rządząc Basiliką w jego imieniu.

Tak więc nic dziwnego, że nazwiska pokrywały się z tymi, które Rashgallivak podał jako ewentualnych rywali: Volemak i Rasa. Nazwisko Rashgallivaka też się tam znalazło. I syna oraz spadkobiercy Volemaka w jednej osobie, Ele—maka, z powodu zarówno jego zdolności, jak i przysługującego mu prawa. Na liście był też najmłodszy syn Volemaka i Rasy, Nafai — ponieważ łączył te dwa wielkie nazwiska i zabił Gaballufixa własnymi rękami.

Czy każdy, kto mógł się przydać Moozhowi, był związany z domem Rasy? To go nie zdziwiło — w większości podbitych przez niego miast napotykał najwyżej dwa lub trzy klany, które trzeba było albo zlikwidować, albo przeciągnąć na swoją stronę, aby mieć kontrolę nad ludnością. Prawie wszyscy pozostali na liście kapitana Bitanke byli zbyt słabi, by dobrze rządzić Basiliką bez ciągłej pomocy Moozha, na co sam Bitanke zwrócił uwagę: mieli zbyt bliskie powiązania z pewnymi frakcjami lub nie mieli żadnego poparcia.

Jedynie dwie osoby nie spokrewnione z Volemakiem lub Rasą i tak były siostrzenicami w domu Rasy: wodna wieszczka, Luet, i interpretatorka, Hushidh. Oczywiście, były jeszcze tylko młodymi dziewczynami, niegotowe na to, by poradzić sobie z trudnym zadaniem rządzenia. Cieszyły się jednak dużym prestiżem wśród kobiet w Basilice, zwłaszcza wodna wieszczka. Będą jedynie figurantkami, ale gdy Rashgallivak w rzeczywistości pokieruje wszystkimi sprawami, a Bitanke będzie go pilnował i ochraniał figurantkę przed manipulacjami na szkodę Moozha, miasto będzie mogło bardzo dobrze funkcjonować, podczas gdy Moozh skieruje swoją uwagę na swoje prawdziwe problemy: Miasta Równiny i Imperatora.

Rashgallivak mężem Rasy. To nasuwało skojarzenia z dynastią. Na pewno jednym z marzeń Rasha było zastąpienie Moozha pewnego dnia i objęcie rządów. Cóż, Moozh nie mógł mu zazdrościć tych marzeń. Ale wkrótce nastanie dynastia, która przyćmi biedne marzenia Rasha. Rash może wziąć lady Rasę, ale cóż to będzie znaczyć w porównaniu ze wspaniałym małżeństwem wodnej wieszczki lub interpretatorki z samym generałem Moozhem? To będzie dynastia, która zdoła przetrwać tysiąc lat. To będzie dynastia zdolna pokonać marny ród tego żalosego człowieczka, który śmiał nazwać się wcieleniem Boga — Imperatora, którego siła nie będzie nic znaczyć, gdy Moozh postanowi ruszyć przeciwko niemu.

A najlepsze z tego wszystkiego było to, że poprzez poślubienie i wykorzystanie jednego z tych wybranych „naczyń” Nadduszy Moozh osiągnie rzecz, która przyniesie mu największe zadowolenie: triumf nad Bogiem. „Nigdy nie byłeś dość silny, by nade mną zapanować, o Wszechmogący. A teraz wezmę twoją wybraną córkę, przepełnioną twoimi wizjami, i uczynię z niej matkę dynastii, która przeciwstawi ci się i zniszczy wszystkie twoje plany oraz dokonania.

Powstrzymaj mnie, jeśli potrafisz! Jestem dla ciebie zbyt silny”.

* * *

Nafai znalazł Luet i Hushidh w kryjówce na dachu, gdzie razem na niego czekały. Wyglądały bardzo poważnie, co wcale nie uspiło jego obaw. Do tej pory Nafai nigdy nie odczuwał tego, że jest młody; zawsze czuł, że jest osobą równą każdej innej. Teraz jednak jego młodość stawiała mu duże wymagania. Nie zamierzał się jeszcze żenić ani nawet właściwie postanawiać, kogo poślubić. Nie spodziewał się też, że jego pierwsze małżeństwo będzie łatwym, tymczasowym związkiem. Jego żona będzie prawdopodobnie jego jedyną żoną i jeśli źle trafi, nie będzie mógł się z tego wywinąć. Widząc, jak Luet i Hushidh spoglądają na niego poważnie, kiedy przemierzał zalany słońcem dach, znów pomyślał, czy nie może postąpić następująco: poślubić tej dziewczyny, Luet, która w oczach Nadduszy była taka doskonała i mądra. Przyszła do Nadduszy z miłością, z oddaniem, z odwagą — on przyszedł jak smarkacz, urągając swojemu nieznanemu rodzicowi i testując go. Ona miała za sobą wiele lat praktyki w rozmawianiu z Nadduszą; być może, jeszcze ważniejsze było to, że od wielu lat przemawiała do kobiet w Basilice w imieniu Nadduszy. Umiała zdominować inne kobiety — czyż nie był tego świadkiem na brzegu jeziora kobiet, kiedy zastraszyła je i uratowała mu życie?

„Czy przyjdę do ciebie jako mąż czy dziecko? Partner czy uczeń?”

— A więc narada rodzinna dobiegła końca — odezwała się Hushidh, kiedy wreszcie zbliżył się na tyle, że mogli rozmawiać.

Usiadł na dywanie pod markizą. Cień nie dał mu zbyt dużej ochrony przed upałem. Pot ściekał po jego ciele pod ubraniem. Pomyślał o swoim nagim ciele ukrytym przed ich wzrokiem. Jeśli poślubi Luet, będzie musiał oddać jej to ciało dziś wieczorem. Jak często marzył o takim oddaniu? A jednak nigdy nie pomyślał o tym, że przyjdzie do dziewczyny, która wzbudza w nim grozę i nieśmiałość, a równocześnie sama jest kompletnie niedoświadczona; w jego snach kobieta zawsze go pragnęła, a on był śmiałym i gotowym kochankiem. Dziś wieczorem będzie zupełnie inaczej.

Nasunęła mu się dręcząca myśl. A co, jeżeli Luet nie jest jeszcze gotowa? A co, jeżeli nie jest jeszcze k o b i e t ą ? Szybko pomodlił się w duchu do Nadduszy, ale nie mógł dokończyć modlitwy, ponieważ nie był pewien, czy ma nadzieję, że Luet jest kobietą, czy też, że nią nie jest.

— Ależ pocieszanie są więzi już w tej chwili — oznajmiła Hushidh.

— O czym mówisz? — zapytał Nafai.

— Z przyszłością wiąże nas tyle sznurków. Naddusza zawsze powtarzała drogiej Luet, że chce, aby ludzie szli za nią dobrowolnie. Myślę jednak, że schwyciła nas w bardzo ściśle utknaną sieć i mamy mniej więcej taki wybór, jak wyłowiona z morza ryba.

— Mamy wybór — stwierdził Nafai. — Zawsze mamy wybór.

— Naprawdę?

„Nie chcę rozmawiać z t o b ą , Hushidh. Przyszedłem porozmawiać z Luet”.

— Możemy wybrać, czy iść za Nadduszą, czy nie — oznajmiła Luet głosem, który w porównaniu z ostrzejszym tonem Hushidh brzmiał łagodnie i słodko. — I jeśli zdecydujemy się pójść za nią, to nie jesteśmy schwytani w jej sieć, lecz raczej niesieni w jej koszu w przyszłość.

Hushidh uśmiechnęła się słabo.

— Zawsze masz tyle optymizmu, prawda, Luty?

Nastąpiła przerwa w rozmowie.

„Jeśli mam być mężczyzną i mężem, to muszę się nauczyć działać śmiało, nawet wtedy, gdy się boję”.

— Luet — zaczął, po czym powiedział: — Luty.

— Tak? — podchwyciła.

Ale nie mógł zignorować tego, że Hushidh przewierca go wzrokiem, widząc w nim rzeczy, których nie chciał, aby dostrzegła.

— Hushidh — powiedział — czy mógłbym porozmawiać z Luet w cztery oczy?

— Nie mam tajemnic przed siostrą — wtrąciła Luet.

— I czy nadal tak będzie, kiedy będziesz miała męża? — zapytał Nafai.

— Nie mam męża — odparła Luet.

— Ale gdybyś miała, liczyłbym, że to z nim dzielilibyś sekrety, a nie z siostrą.

— Gdybym miała męża, liczyłabym, że nie będzie aż taki okrutny, by żądać, abym odtrąciła siostrę, która jest moją jedyną rodziną na tym świecie.

— Gdybyś miała męża — ciągnął Nafai — to powinien on kochać twoją siostrę tak, jakby była jego własną siostrą. Lecz mimo to nie aż tak, jak ciebie, więc nie powinnaś kochać swojej siostry tak, jak jego.

— Nie wszystkie małżeństwa są z miłości — stwierdziła Luet. — Niektóre zawierane są dlatego, że człowiek nie ma wyboru.

Te słowa zraniły go do głębi. Luet oczywiście wiedziała — jeśli Naddusza powiedział j e m u, to z pewnością powiedział też j e j. I dziewczyna mówiła mu, że go nie kocha, że wychodzi za niego tylko na rozkaz Nadduszy.

— To prawda — przyznał Nafai. — Ale czy to znaczy, że mąż i żona nie mogą być wobec siebie łagodni i życzliwi, dopóki nie nauczą się sobie ufać? To nie znaczy, że nie mogą postanowić się kochać, nawet jeśli sami nie wybierali dobrowolnie.

— Mam nadzieję, że to, co powiedziałaś, to prawda.

— Obiecuję, że sprawię, by to była prawda, jeśli zechcesz obiecać mi to samo.

Luet spojrzała na niego z bolesnym uśmiechem na twarzy.

— Och, czy to mają być oświadczyzny mojego męża? A więc zepsuł sprawę. Obraził ją, być może zranił, a na pewno rozczarował. Jak bardzo Luet musi nienawidzić myśli o tym, że ma go poślubić. Czy nie widzi tego, że on nigdy nie zdecydowałby się zmuszać jej do czegoś takiego? Skore tylko o tym pomyślał, a już to wypowiedział:

— Naddusza przeznaczyła nas sobie, więc tak, proszę cię o rękę, mimo że się boję.

— M n i e ?

— Nie w tym sensie, że zamierzasz mnie skrzywdzić — już uratowałaś mi życie, a także mojemu ojcu. Boję się... twojej pogardy dla mnie. Boję się, że zawsze będę upokorzony przed tobą i twoją siostrą, że będziecie dostrzegały we mnie wszystkie słabości, że będziecie patrzyły na mnie z góry. Tak jak teraz mnie widzisz.

Nigdy w życiu Nafai nie mówił z taką brutalną szczerością o swojej obawie; nigdy nie czuł się przed nikim taki odsłonięty i bezbronny. Nie śmiał podnieść wzroku na jej twarz — na ich twarze — żeby nie zobaczyć pogardy połączonej z zaintrygowaniem.

— Och, Nafai, przepraszam — szepnęła Luet.

Jej słowa były ciosem, którego obawiał się najbardziej. Litowała się nad nim. Widziała, jaki jest słaby, przestraszony i niepewny, i współczuła mu. A jednak nawet w bólu tej chwili rozczarowania poczuł niewielki, jasny ogień radości. „Mogę to zrobić”, pomyślał. „Okazałem swoją słabość przed tymi dwiema silnymi kobietami i nadal jestem sobą, i żyję, i wcale nie jestem pokonany”.

— Nafaiu, myślałam tylko o tym, jak bardzo sama jestem przestraszona — powiedziała Luet. — Nigdy nie wyobrażałam sobie, że ty też możesz się tak czuć, bo w przeciwnym razie nigdy bym nie prosiła Shuyi, żeby tu pozostała, kiedy do mnie przyszedłeś.

— Zapewniam was, że to żadna przyjemność tu być — dodała Hushidh.

— Popęłiłam błąd, że kazałam ci mówić to wszystko przy Shuyi — powiedziała Luet. — I popęłiłam błąd, bojąc się ciebie. Powinnam była wiedzieć, że Naddusza nie wybrałaby ciebie, gdybyś nie był człowiekiem o dobrym sercu.

To o n a bała się j e g o ?

— Czy nie spojrzysz na mnie, Nafaiu? — zapytała. — Wiem, że nigdy przedtem na mnie nie patrzyłeś — w każdym razie nie robiłeś tego z nadzieją lub pragnieniem — ale teraz, gdy Naddusza przeznaczyła nas sobie, to czy nie możesz na mnie spojrzeć... przynajmniej życzliwie?

Jak mógł na nią teraz spojrzeć, kiedy miał w oczach łzy; a jednak ponieważ go poprosiła, ponieważ byłaby zawiedziona, gdyby tego nie uczynił, czy mógł odmówić? Spojrzał na nią i choć oczy miał pełne łez — z radości, ulgi, uczuć jeszcze silniejszych, których nie rozumiał — zobaczył ją jakby po raz pierwszy, jakby jej dusza stała się dla niego przezroczysta. Zobaczył czystość jej serca. Zobaczył, jak bezbrzeżnie oddała się Nadduszy, Basilice, swojej siostrze i jemu. Zobaczył, że w sercu pragnęła tylko zbudować coś wspaniałego i pięknego, i jaka była chętna spróbować tego dokonać z tym chłopcem, który przed nią siedział.

— Co widzisz, kiedy tak na mnie patrzysz? — ośmieliła się zapytać nieśmiało Luet.

— Widzę, jaką jesteś wielką i wspaniałą kobietą — odrzekł — i jak niewielkie mam podstawy do obaw, ponieważ nigdy byś nie skrzywdziła ani mnie, ani żadnej innej duszy.

— Czy to wszystko, co widzisz? — zapytała.

— Widzę, że Naddusza znalazł w tobie najdoskonalszy przykład tego, czym musi się stać rasa ludzka, jeśli mamy pozostać jednością i nie doprowadzić do ponownego samounicestwienia.

— I nic więcej? — zapytała.

— Cóż może być cudowniej szego od rzeczy, które zobaczyłem?

Teraz widział już dość wyraźnie, by dostrzec, że o n a jest na krawędzi płaczu — ale nie z radości.

— Nafaiu, ty biedny głupcze, ty ślepcze — odezwała się Hushidh — czy nie wiesz, co chciałaby, abyś zobaczył?

„Nie, nie wiem”, pomyślał Nafai. „Nie wiem, co należy w takich sytuacjach powiedzieć. Nie jestem taki jak Mebbekew, nie jestem inteligentny czy taktowny, obrażam wszystkich, kiedy otwieram usta, i jakimś cudem znów popełniłem gafę, choć wszystko, co powiedziałem, płynęło prosto z mojego serca”.

Spojrzał na nią z uczuciem bezradności; cóż mógł zrobić? Patrzyła na niego takim wygłodniałym wzrokiem pragnąc, by dał jej — co takiego? Wychwalał ją tak szczerze, obsypując takimi pochwałami, jakimi nie mógłby obdarzyć żadnej kobiety na świecie, a dla niej to nic nie znaczyło, ponieważ chciała od niego czegoś więcej, a on nie wiedział, czego. Widział, że rani ją swoim milczeniem, przebija jej serce — a jednak nie potrafił powstrzymać się od tego.

Była taka delikatna, taka młoda — młodsza od niego. Nigdy dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy. Zawsze była taka pewna siebie i ponieważ była wodną wieszczką, zawsze czuł dla niej nabożną cześć. Nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, jak... jak krucha jest. Jak cienką ma skórę, jak drobne ma kości. „Mógłby ją zranić kamyczek, a ja teraz widzę, że uderzyłem ją kamieniami, które nieumyślnie cisnąłem. Przebac mi, Luet, delikatne dziecię, łagodna dziewczynko. Tak się bałem o siebie, ale okazało się, że wcale nie jestem kruchy, nawet kiedy myślałem, że ty i Hushidh pogardzacie mną. Podczas gdy ty, którą uważałem za taką silną...”

Odruchowo uklęknął, wziął ją w ramiona i przytulił, tak jak mógłby przytulić łkające dziecko.

— Przepraszam — szepnął.

— Proszę, nie mów tak — powiedziała, ale mówiła wysokim głosem dziecka, które nie chce być przyłapane na płaczu, i Nafai poczuł, jak jej łzy wsiąkają w jego koszulę, a jej ciało drży od tłumionego łkania.

— Przykro mi, że trafia ci się tylko taki mąż jak ja — powiedział.

— A mnie przykro, że trafia ci się tylko taka żona jak ja — odrzekła. — Nie wodna wieszczka, nie wspaniała istota, którą sobie wyobrażałeś. Tylko ja.

W końcu zrozumiał, o co Luet go prosi od samego początku, i nie mógł się powstrzymać od śmiechu, ponieważ nieświadomie właśnie to jej dał.

— Czy myślisz, że mówiłem te wszystkie rzeczy w o d n e j w i e s z c z k e ? — zapytał. — Nie, biedactwo, mówiłem to wszystko tobie, Luet, dziewczynie, która odpowiadała impertynencko mnie i wszystkim innym, kiedy miała na to ochotę, dziewczynie, którą trzymam w tej chwili w ramionach.

Wtedy roześmiała się — lub zaszlochała bardziej — tego nie był pewien. Wiedział jednak, że obojętne, co Luet teraz robi, jest to znaczna poprawa. Właśnie tego potrzebowała — aby jej powiedział, że nie oczekuje tego, iż będzie przez cały czas wodną wieszczką, iż bierze za żonę kruchą, niedoskonałą istotę ludzką, a nie wyobrażenie, które nieumyślnie do niej przyłgnęło.

Przesunął rękami po jej plecach, aby ją pocieszyć, ale wyczuł również krągłości jej ciała, geometrię żeber i kręgosłupa, fakturę i miękkość skóry naciągniętej na mięśniach. Badał ją rękami, zapamiętując jej ciało, odkrywając po raz pierwszy, jak mężczyzna czuje kobiece plecy w dotyku. Luet była prawdziwą istotą, a nie snem.

— Naddusza nie daje mi ciebie — powiedział łagodnie. — To ty sama mi się oddajesz.

— Tak — potwierdziła. — To prawda.

— I ja oddaję się tobie — powiedział. — Choć też należę do Nadduszy.

Cofnął się na tyle, by objąć jej głowę prawą dłonią,

kiedy podniosła na niego wzrok, na tyle, by dotknąć jej policzka palcami lewej ręki.

Potem nagle, jakby w tej samej chwili pomyśleli o tym samym — co z pewnością oboje uczynili — odwrócili c siebie wzrok i spojrzeli w kierunku miejsca, gdzie Hushic siedziała w trakcie tej całej rozmowy. Ale Hushidh tam n było. Spojrzeli zatem znów na siebie i Luet powiedziała przerażona:

— Nie powinnam była kazać jej przychodzić ze mną.

Nie dokończyła zdania, ponieważ w tej chwili Nafai zaczął się uczyć całować kobiety, a ona, choć nigdy dotąd ni całowała mężczyzn, stała się jego nauczycielką.

6. ŚLUBY

SEN INTERPRETATORKI

Hushidh nie cieszyła się z powodu ślubu. Nie znaczy to, że cokolwiek poszło nie tak, jak powinno. Ciocia Rasa dobrze sobie radziła z rytuałami. Jej ceremonia była prosta i urocza, bez cienia fałszywej wzniosłości, do której uciekało się tak wiele innych kobiet, usiłując sprawić wrażenie świętej lub ważnej osoby. Ciocia Rasa nigdy nie musiała niczego udawać. Ale i tak gdy przypadało jej organizowanie publicznych uroczystości — ślubów, ceremonii wkraczania w wiek dojrzałości lub rozpoczęcia kariery zawodowej, absolutorioń, seansów poświęconych wróżeniu, obrzędów związanych z czuwaniem przy zmarłych, pogrzebów — dokładała wszelkich starań, by przebiegały one „na luzie”, płynnie i miło, tak aby ludzie koncentrowali się na samym wydarzeniu, a nie szczegółach technicznych. Nic nigdy nie świadczyło o tym, że ktoś się spieszy lub krząta, że wszystko musi być właśnie tak i dlatego lepiej uważać, żeby nie popełnić gafy...

Nie, ślub, którego Rasa udzieliła swojemu synowi, Nafaiowi, i jego dwóm braciom — lub jeśli spojrzeć na to z drugiej strony — ślub, którego Rasa udzieliła swoim trzem siostrzenicom: Luet, Dol i Eiadh, był prześliczną uroczystością odbywającą się na portyku jej domu, w otoczeniu pachnących kwiatów o jasnych barwach z jej cieplarni i tych, które rosły na portyku. Eiadh i Dol były zdumiewająco piękne, ich suknie dawały złudzenie eleganckiej prostoty, a makijaż był nałożony tak zręcznie, że wydawały się wcale nie umalowane. Przynajmniej takie by się wydawały, gdyby nie Luet.

Ślodka Luet, która nie chciała być w ogóle umalowana, i założyła naprawdę prostą sukienkę. Podczas gdy Eiadh i Dol charakteryzowały się elegancją kobiet, które próbują — z dużym powodzeniem — sprawić wrażenie promiennych, młodych i wesołych, Luet naprawdę była młoda; jej sukienka niewinnie zakrywała ciało, które nadal świadczyło bardziej o obietnicy niż prawdziwych kształtach kobiecych, a jej twarz jaśniała od swoistego rodzaju poważnej i bojaźliwej radości, przez co Eiadh i Dol wyglądały na starsze i za bardzo doświadczone. W pewnym sensie to było prawie okrutne, że starsze dziewczyny musiały mieć ślub w obecności tej dziewczynki, która poniekąd karciła je swoją prostodusznością. Eiadh właściwie dostrzegła to przed rozpoczęciem ceremonii — Hushidh podsłuchiwała, jak nakłania ciocię Rasę, by „wysłać kogoś do Luet, aby pomóc jej wybrać sukienkę, i zrobić coś z twarzą i włosami”, ale ciocia Rasa tylko wybuchnęła śmiechem i powiedziała: „Żadna sztuka nic nie da w przypadku tego dziecka”. Eiadh oczywiście zrozumiała, że ciocia Rasa uważa, iż Luet jest zbyt nieładna, by pomógł jej strój lub makijaż; ale Hushidh wychwyciła po chwili spojrzenie Rasy, która mrugnęła do niej i przewróciła oczami, aby dać jej do zrozumienia, że obie rozumieją, iż biedna Eiadh nie ma pojęcia, co się wydarzy na ślubie.

I to się rzeczywiście wydarzyło, choć na szczęście Eiadh i Dol nie miały zielonego pojęcia, że kiedy obserwujące ceremonię służące, uczennice i nauczycielki szeptały: „Ach, jest taka śliczna”; „Ach, taka urocza”; „Któż wiedział, że ona jest taka piękna”, wszystkie mówiły o Luet, tylko o Luet. Gdy jako najmłodszy mężczyzna Nafai ruszył naprzód, by złożyć przyrzeczenie swojej pannie młodej, westchnienia rozbrzmiały jak pieśń kongregacji, zaimprovizowany hymn na cześć Nadduszy za to, że spowodowała, iż ten czternastoletni chłopiec o posturze i sile mężczyzny poślubia wybraną córkę Nadduszy, wodną wieszczkę, której czyste piękno promieniuje z duszy na zewnątrz. Był jasnym, złotym pierścionkiem, w którym ten klejnot–dziewczyna będzie błyszczeć niezmaconym blaskiem.

Hushidh widziała lepiej od innych, jak ludzie w głębi duszy oddani są Luet. Widziała powiązania między nimi, iskrzące się niczym pokryte rosą pajęczne nici w pierwszym blasku poranka; jak kochają wodną wieszczkę! Ale przede wszystkim w miarę postępowania ceremonii Hushidh widziała mocne więzi między mężczyznami i kobietami. Nieświadomie zauważyła każdy gest, każde spojrzenie, każdy wyraz twarzy, i w umyśle była zdolna zrozumieć wszystkie powiązania.

Między Elemakiem i Eiadh dojdzie do dziwnego partnerstwa, w którym im mniej Eiadh będzie kochać Elemaka, tym bardziej on będzie jej pożądanym; i im bardziej on będzie ją traktował łagodnie i czule, tym bardziej ona będzie nim pogardzić. Bolesne będzie obserwowanie tego małżeństwa, w którym udręka rozejścia będzie właśnie tym, co będzie ich scalać. Ale nie mogła nic o tym powiedzieć — nie zrozumieliby tej prawdy o sobie i tylko wpadliby w złość, gdyby próbowała im to wyjaśnić.

Jeśli chodzi o biedną Dolyę i jej nowego, cennego kochanka, Mebbekewa, to było to rzeczywiście niewłaściwe małżeństwo — a jednak nikt nie miał prawa przypuszczać, że będzie ono miało mniejsze szanse powodzenia od małżeństwa Elemaka i Eiadh. W tej chwili, uradowani tym, że — jak przypuszczali — są w centrum uwagi, byli szczęśliwi z powodu nowych więzi, które między nimi powstały. Wkrótce jednak przekonają się, jak wygląda rzeczywistość. Jeśli pozostaną w mieście, zaczną się nienawidzić po kilku tygodniach — Dol z powodu zdrad i niewierności Mebbekewa, a on z powodu jej silnej, zaborczej potrzeby posiadania go na własność. Hushidh wyobraziła sobie ich życie domowe. Dol będzie ciągle zarzucała mu entuzjastycznie ramiona na szyję myśląc, że okazuje mu miłość, podczas gdy w rzeczywistości będzie pokazywać, iż ma go na własność; z kolei Meb, wzdragając się pod jej licznymi uściskami, będzie się wyslizgiwać przy każdej okazji, aby znaleźć nowe ciała, które można pościć, nowe serca, które można zbałamucić. Na pustyni jednak sprawa będzie wyglądała zupełnie inaczej. Meb nie znajdzie kobiety, która go zapragnie, z wyjątkiem Dolyi, a tym samym jego żądze będą pchać go z powrotem w jej ramiona; i już sam fakt, że nie będzie mógł jej zdradzić, usmierzy jej obawy samotności i Dol nie będzie go tak bardzo nękać swoją potrzebą, by go posiadać. Na pustyni będą mogli stać się prawdziwym małżeństwem, choć Mebbekewa nigdy nie będzie zadowalać nuda związana z uprawianiem miłości z tą samą kobietą, noc za nocą, tydzień za tygodniem, rok za rokiem.

Hushidh wyobraziła sobie — z przyjemnością, z której nie była dumna — co Elemak zrobi, kiedy Meb spróbuje flirtować z Eiadh. Sprawa zostanie załatwiona dyskretnie, aby uniknąć publicznego osłabiania pozycji Elemaka poprzez robienie aluzji, że boi się uchodzić za rogacza. Ale Meb już nigdy nawet nie spojrzy na Eiadh...

Takie więzi jak te między Elemakiem i Eiadh, między Dol i Mebbekewem, Hushidh widywała na co dzień w mieście. To były basilikańskie małżeństwa, bardziej radykalne — i być może bardziej trwałe — dlatego, że wkrótce Naddusza wyprowadzi ich na pustynię, gdzie będą bardziej potrzebowali siebie i będą mieli mniej możliwości niż w mieście.

Jednak małżeństwo Luet i Nafaia nie było basilikańskie. Przede wszystkim byli zbyt młodzi. Luet miała zaledwie trzynaście lat. Właściwie to zakrawało na barbarzyństwo — przypominało obyczaje leśnych plemion Północnego Wybrzeża, gdzie dziewczynę kupowano jako pannę młodą, jeszcze zanim jej pierwsza miesiączka dobiegała końca. Tylko pewność Hushidh, że to Naddusza kazała im się zejść, nie pozwalała jej czuć odrazy do ceremonii. Mimo to czuła głęboką złość, której nie w pełni rozumiała, kiedy obserwowała, jak chwytają się za ręce, wypowiadają przysięgi i całują się tak słodko, podczas gdy ciocia Rasa trzyma ręce na ich ramionach. „Dlaczego tak bardzo nienawidzę tego małżeństwa?”, zastanawiała się. Ponieważ widziała, że Luet jest pełna nadziei i radości, że Nafai czuje dla niej nabożną cześć i chce ją zadowolić — czegoż jeszcze mogła pragnąć Hushidh dla swojej kochanej siostry, dla swojej jedynej rodziny na tym świecie?

A jednak kiedy ślub dobiegł końca, kiedy roześmiani i zasypani kwiatami nowożeńcy wrócili do domu i poszli na górę do swoich pokoi z balkonami, Hushidh nie mogła znieść nawet tego, że nie widzi swojej siostry. Wybiegła na korytarz służących i pognęła nie do swojego pokoju, lecz na dach, gdzie tak często chodziła razem z Luet.

Jednak nawet tutaj, w narastającym mroku wieczoru, wydawało jej się, że widzi cień pierwszego uścisku Luet i Nafaia, ich pierwszy pocałunek. To ją doprowadziło do wściekłości i rzuciła się na puszysty dywan, bijąc w niego pięściami, łkając gorzko i szlochając: „Nie, nie, nie”.

Co to była za rzecz, której mówiła nie? Sama tego nie rozumiała. Leżała i łkała, aż — znużona tym, że wie zbyt dużo, a rozumie za mało — usnęła w chłodnym powietrzu basilikańskiej nocy. Późną wiosną wiatry przynosiły wilgoć i chłód od morza oraz suchość i ciepło od pustyni, i spotykały się, by wykonać swój burzliwy taniec na ulicach i dachach miasta. Włosy Hushidh dostały się w wir tych wiatrów i powiewały oraz tańczyły, jakby żyły własnym życiem i tęskniły za wolnością. Ale ona się nie obudziła.

Śniła i w swoich snach jej nieświadomy umysł przywoływał strach i wściekłość, których nie potrafiła wyrazić, kiedy nie spała. Śniła o własnym ślubie, który odbył się na pustynnym wierzchołku. Stała na samym czubku wysokiej, strzelistej skały, gdzie nie było miejsca dla nikogo innego; a jednak znajdował się tam jej mąż, który unosił się w powietrzu obok niej: Issib, kaleka, który wesoło fruwał sobie jak w czasach szkolnych, kiedy go widziała przemierzającego korytarze domu Rasy. W swoim śnie wykrzychała pytanie, którego dawniej nie ośmieliła się wypowiedzieć głośno: „Dlaczego to ja muszę poślubić kalekę! Dlaczego to właśnie mi przeznaczyłaś takie życie, Nadduszo! Czym cię obraziłam, że nigdy nie stanę tak jak Luet, słodka, młoda i kwitnąca z miłości, mając przy boku mężczyznę, który jest silny i święty, uzdolniony i szlachetny?”

W swoim śnie zobaczyła, jak Issib odpływa od niej, ciągle uśmiechnięty, ale ona wie, że jego uśmiech to tylko przejaw jego odwagi, że jej zawodzenia złamały mu serce. Kiedy tak na niego patrzyła, jego uśmiech zgasł; skulił się, spadł jak ptak ściągnięty z nieba za sprawą okrutnego, zdumiewająco celnego trafienia strzały. Dopiero wtedy uświadomiła sobie w śnie, że frunął tylko dzięki sile swojej miłości do niej, swojej potrzeby, by ją posiadać, a kiedy odsunęła się od niego, stracił moc latania. Spróbowała go dosięgnąć, złapać, ale tylko straciła oparcie na wierzchołku skały i spadła za nim na ziemię.

Obudziła się dysząc, drżąc w chłodzie. Chwyciła wolny koniec dywanu i naciągnęła go na siebie, kuląc się pod nim; jej policzki były zimne od schnących łez, a oczy napuchnięte i obolałe od płaczu. „Nadduszo!”, wykrzyknęła po cichu całym sercem. „Matko Jeziora, powiedz mi, że nie czujesz do mnie aż takiej nienawiści! Powiedz mi, że nie taki masz dla mnie plan, że to tylko przez przypadek czuję się taka pozbawiona nadziei w tę noc ślubu mojej siostry!”

A potem, kierując się brakiem logiki spowodowanym smutkiem i litością nad samą sobą, zaczęła się modlić głośno: „Nadduszo, powiedz mi, dlaczego zaplanowałaś dla mnie takie życie. Muszę to zrozumieć, jeśli mam je wieść. Powiedz mi, że to coś oznacza. Powiedz mi, dlaczego żyję, powiedz mi, czy to jakiś twój plan skierował moje życie na takie tory. Powiedz mi, dlaczego ta siła rozumienia, którą mi dałaś, jest błogosławieństwem, a nie przekleństwem. Powiedz mi, czy kiedykolwiek będę taka szczęśliwa jak Luet dziś wieczorem!” A potem, zawstydzona wyrażaniem swojej zazdrości i pragnień takimi bezceremonialnymi słowami, Hushidh znów załkała i zapadła w sen.

Pod dywanem zrobiło jej się ciepło, ponieważ noc nie była jeszcze taka zimna, kiedy dziewczyna leżała pod przykryciem. Jej łzy zostały zastąpione przez pot, którego krople ściekały po jej ciele. I znów śniła.

Ujrzała się w wejściu do pustynnego namiotu. Nigdy przedtem nie widziała rozbitego namiotu, jedynie na hologramach, a jednak nie był to namiot, który widziała na jakimkolwiek zdjęciu. Stała

tam, trzymając w ramionach niemowlę, podczas gdy z namiotu po kolei wybiegło czworo innych dzieci, od najmniejszego do największego. Pomyślała, że wygląda to, jakby namiot je urodził, jakby właśnie w tej chwili przychodziły w gwałtownym tempie na świat. „Gdybym musiała, urodziłabym je ponownie i sprowadziła tu po to, żeby widzieć, jak żyją w ten sposób, brązowe i roześmiane w słońcu pustyni. Hushidh obserwowała, jak dzieci biegają w kółko, bawiąc się w berka. Potem w swoim śnie zobaczyła, jak niemowlę w jej ramionach zaczyna się wiercić, więc obnażyła pierś i dała ją dziecku do ssania; poczuła, jak mleko wypływa wdzięcznie z jej sutka; poczuła przyjemne mrowienie, kiedy niemowlę całowało,ssało i smakowało życie, ciepłe życie, wilgotne życie, a w kąciakach jego ust utworzyła się piana będąca mieszaniną mleka i śliny.

Potem z wejścia do namiotu wyłoniło się krzesło, na którym siedział mężczyzna. Od razu wiedziała, że to Issib. Teraz jednak, kiedy go zobaczyła, nie czuła w sercu złości, nie miała poczucia, że pozbawiono ją czegoś dobrego w życiu. Zamiast tego widziała, że jest z nim głęboko związana sznurami z jaskrawego jedwabiu; odjęła niemowlę od piersi iложиła je na kolanach Issiba, który przemówił do dziewczynki i rozśmieszył ją, podczas gdy Hushidh leniwie osuszyła i schowała pierś. Wszyscy byli ze sobą związani: matka, ojciec, dzieci... zobaczyła, że to właśnie to się liczy, a nie jakiś wyimaginowany ideał męża. Dzieci podbiegły do ojca i okrążyły jego krzesło. Issib odezwał się do nich, a one słuchały go urzeczone, śmiały się razem z nim, śpiewały razem z nim. Ten Issib ze snów nie był dla niej ciężarem, był prawdziwym przyjacielem i takim mężem, jakich kiedykolwiek widziała.

„Nadduszo”, modliła się w śnie, „jak mnie tu sprowadziłaś? Dlaczego pokochałaś mnie tak bardzo, że sprowadziłaś mnie w te czasy, w to miejsce, do tego mężczyzny, do tych dzieci?”

Odpowiedź nadeszła natychmiast, przetykana złotymi i srebrnymi nitkami, które łączyły dzieci z Hushidh i Issibem, a następnie wychodziły od nich do tyłu, do innych ludzi. Zobaczyła, jak tłum, mrowie, miliard, trylion ludzi faluje, maszeruje, poszukując czegoś niepoznawalnego lub być może migrując. To była straszna wizja, tak wielu ludzi na raz, jak gdyby Hushidh pokazywano każdego mężczyznę i każdą kobietę, którzy kiedykolwiek żyli na Harmonii. A tu i ówdzie między nimi rozciągały się te same srebrne i złote nici.

Od razu zrozumiała: to ci, u których zaowocował prawdziwy związek z Nadduszą. To ci, którzy najlepiej potrafią słyszeć głos Nadduszy, u których genetyczna zmiana wprowadzona przez praojców Harmonii została podwojona, czterokrotnie zwiększona tak, aby ci wyjątkowi ludzie, ci złoci i srebrni przedstawiciele rasy odbierali wyraźne idee, obrazy, a nawet słowa, zamiast odbierać tylko niejasne uczucia i doznawać oglupienia w razie ryzykownego wkroczenia na zakazaną ścieżkę inwencji lub działania.

Na początku te złote i srebrne nitki były krótkie i cienkie, pojawiały się tylko tu i ówdzie — były mutacjami przypadkowymi powiązaniem, losowymi odchyleniami genetycznych molekuł. Ale niekiedy ci ludzie znajdowali się nawzajem i brali ślub; i kiedy zawierali związek partnerski, złoto ze złotem i srebro ze srebrem, niektóre z nich dzieci też miały łączność z Nadduszą. Hushidh rozumiała, że mogą to być dwie różne rasy, połączenie dwóch różnych rodzajów genetycznych; kiedy złoto zawierało związek ze srebrem, dzieci prawie nigdy nie miały tych zdolności. W ciągu wieków, widząc niezliczoną ilość ludzi, Hushidh widziała, że teraz Naddusza stymuluje uzdolnionych ludzi, próbując ich zebrać do kupy, i po milionach lat złoto i srebro nie były już nitkami, lecz mocnymi sznurkami, które przechodziły z pokolenia na pokolenie ze znacznie większą regularnością.

Aż wreszcie nadszedł czas, kiedy jeden rodzic mógł przekazać złotą nitkę swoim wszystkim dzieciom; a potem, wiele pokoleń później, nadszedł czas, kiedy srebrna nitka też stała się dominującą cechą, którą jeden rodzic mógł przekazać potomstwu, bez względu na to, czy drugi rodzic był uzdolniony czy nie.

Teraz Naddusza nabrała większej ochoty i stymulacje przekształciły się w skomplikowane plany, gdy ludzie zaczęli się łączyć pomimo dzielących ich odległości tysięcy kilometrów, zawierając nieprawdopodobne związki małżeńskie i partnerskie. Zobaczyła, jak naga kobieta wynurza się ze strumienia, by złączyć się z mężczyzną, którego znalazła po przejściu tysiąca kilometrów, kobieta, która nigdy nie wiedziała, że taki jest cel Nadduszy. Mężczyzna charakteryzował się zarówno złotem, jak i srebrem, silnym i prawdziwym, i tak samo było w przypadku kobiety, i ich córka urodziła się ze sznurkami najjaśniejszego metalu, błyszcząc jakby własnym światłem.

W swoim śnie Hushidh zobaczyła, jak matka bierze swoje dziecko i składa je w ramionach Rasy, która sama była powiązana z dawnymi pokoleniami za pośrednictwem pasemek złota i srebra. I wtedy ta sama kobieta, ta sama matka, złożyła kolejną córkę, jeszcze bardziej promienne dziecko, w ramionach Rasy. Na jej oczach to drugie dziecko urosło i stało się Luet, i teraz Hushidh dostrzegła, co zobaczyła tej nocy. Luet i Nafai byli związani ze sobą, ale teraz widziała, że — w znacznie większym stopniu niż więzy miłości i lojalności, potrzeby i namiętności, które Hushidh zawsze widziała — istniały również te złote i srebrne powiązania, które w Luet i Nafaiu jaśniały bardziej niż w jakiegokolwiek innej osobie znajdującej się w pokoju. „Nic dziwnego, że ich oczy promieniają takim wdziękiem i pięknnością”, pomyślała Hushidh. Zostali stworzeni przez Nadduszę, tak pewnie, jak gdyby ona przyszła i wytopiła ich z doskonałej rudy, i własną ręką dotknęła ich magią życia.

Następnie Hushidh uniosła się, jakby frunęła nad portykiem, i zobaczyła, że wszystkie pary, które wzięły ślub, mają w sobie te nitki. Nie takie jasne i silne jak w Luet i Nafaiu, ale je posiadały. Zarówno Mebbekew, jak i Elemak mieli w sobie srebro i złoto; Dol miała tylko srebro, a Eiadh złoto, z odrobiną srebra.

Któż jeszcze? Iluż jeszcze sprowadziłaś, Nadduszo?

Wznosiła się coraz wyżej nad miastem, ale ponieważ był to sen, nadal widziała wyraźnie ludzi na ulicach i w domach. Było tu wiele jasnych śladów złota i srebra, znacznie więcej, niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Tutaj, w tym mieście kobiet, wielu kupców przybywało i przynosiło nie tylko swoje towary, lecz także swoje nasienie; wiele kobiet przychodziło w ramach pielgrzymki i zostawało, przynajmniej dość długo, by urodzić dziecko; wiele rodzin wysłało swoje córki i synów na naukę; i teraz trudno byłoby znaleźć osobę, która nie otrzymała daru odczuwania wpływu Nadduszy, w takim czy innym stopniu. A ci, którzy byli tak obdarowani, wyczuwali nie tylko Nadduszę, lecz również samych siebie, choć nigdy nie zdawali sobie sprawy z tego, jak wiele rozumieją. „Nic dziwnego, że jest to święte miasto”, pomyślała Hushidh w swoim śnie. „Nic dziwnego, że jest ono znane w świecie z piękna i prawdy”.

Piękna i prawdy, ale również mroczniejszych rzeczy. Powiązanie z Nadduszą nie oznaczało, że dana osoba będzie bardziej życzliwa lub wspaniałomyślna. I nieświadomą wiedzę o uczuciach innej osoby można było z łatwością wykorzystać, poddać manipulacji, potraktować okrutnie lub zdominować. Hushidh zobaczyła Gaballufixa i uświadomiła sobie, że jego nitki były prawie takie jasne, jak Rasy i Wetchika. Nic dziwnego, że tak dobrze wiedział, jak poprowadzić członków klanu Palwashantu, jak zastraszyć kobiety z Basiliki, jak zdominować ludzi ze swojego otoczenia.

Potem zobaczyła w swoim śnie, jak Gaballufix wychodzi ze swojego domu, machając elektryczną szpadą, jakby atakowało go tysiąc niewidzialnych wrogów. Hushidh zrozumiała, że to tylko jego szaleństwo i Naddusza boleje nad tym, co robi. A więc spowodowała, że Gaballufix się potknął. Upadł na ziemię i leżał, nadal rozpromieniony złotem i srebrem, ale przez chwilę bezradny i bezbronny.

Kiedy tak leżał, przyszedł ktoś inny: wiedziała, że to Nafai. Ujrzała męża Luet w jego najstraszniejszym momencie, ponieważ zobaczyła, jak stoi nad ciałem i błaga, aby Naddusza nie

kazała mu robić tego, o co jest proszony. Kiedy jednak odciął głowę Gaballufixa, nie był kontrolowany przez Nadduszę. Z własnej woli zdecydował się podążyć drogą Nadduszy. Gaballufix został wyeliminowany i Nafai stał sam na pustyni, opromieniony i zawstydzony.

Hushidh przeleciała dość wysoko nad miastem, dostrzegając najjaśniejsze osoby. Shedemei, która była sama w swoim laboratorium, napełniając przenośne suche skrzynie nasionami i embrionami. Człowieka idącego wraz z Nafaiem w kierunku bramy miasta, niosącego owiniętą płótnem kulę — to musiał być Zdorab, człowiek, o którym opowiadał im Nafai — i Zdorab też jaśniał złotem i srebrem. Mąż Sevet, Vas. Mąż Kokor, Obring. Obaj promienieli prawie taką jasnością jak córki Rasy i Gaballufixa. Wszyscy ci ludzie zostali zebrani w tym mieście, w tej chwili, i najlepsi z nich wyruszyli na pustynię, aby przyłączyć się do Wetchika. Naddusza przysposobiła ich do tego i teraz wzywała z tego świata, żeby ich zabrać gdzie indziej.

Jakie będą nasze dzieci? A nasze wnuki?

Ponownie wzniosła się nad miastem, radując się teraz, że rozumie plan Nadduszy, kiedy dostrzegła jeszcze jedną srebrno-złotą nitkę, równie jasną jak te, które kiedykolwiek widziała. Chciała spojrzeć i ponieważ to był sen, od razi runęła w dół i zobaczyła, że światło dochodzi z domu Gaballufixa, ale nie stał tam Gaballufix. Mężczyzna miał na sobie dziwny mundur, a jego włosy były naolejone i zwisały kędziurami, które wyglądały na mokre.

Uświadomiła sobie, że jest to generał Vozmuzhalnoy Vozmozhno. Moozh. On też został tu sprowadzony! Jego też Naddusza pragnie!

Kiedy jednak obserwowała, zobaczyła, że Moozh wstaje i wyciąga swoją metalową szpadę. Czyż był zatem taki jak Gaballufix? Czy będzie machał orężem w szaleńczym popędzie do zabijania?

Nie. Odwrócił się, zobaczył złote i srebrne sznurki wiążące go z Nadduszą i ciachnął w nie szpadą. Przeciął je, a potem od nich uciekł. Po chwili jednak sznurki ponownie odrosły i znów je odciął, i uciekł z miejsca, dokąd sznurki go kiedyś zaprowadziły. Tak się działo raz za razem i Hushidh wiedziała, że Moozh nienawidzi swojego związku z Nadduszą.

A jednak tu był. Obojętne, jak do tego doszło, Naddusza sprowadziła go tutaj. I wtedy Hushidh zrozumiała: Naddusza, wiedząc, jak bardzo Moozh jej nienawidzi, jak się przeciwko niej buntuje, po prostu skłoniła go, żeby n i e robił tego, czego od niego chciała. Tak łatwo dał się oszukać! Tak łatwo było nim pokierować. I roześmiała się w śnie.

Śmiała się i zaczęła się budzić; czuła, jak sen ją opuszcza, czuła teraz swoje ciało, to prawdziwe, owinięte w dywan, pocące się, mimo że otaczające ją powietrze było chłodne.

W tym momencie, kiedy stan świadomości odpędził sen, pojawiła się nagle wizja, która wydawała się różna od wszystkiego, co dotąd się zdarzyło. Hushidh zobaczyła obraz ze swojego wcześniejszego snu, kiedy stała na wierzchołku skały, a Issib unosił się obok niej w powietrzu, po czym przechylił się i spadł, i ona spadła w ślad za nim; wizja przemknęła przez jej umysł błyskawicznie i potem Hushidh zobaczyła coś nowego: skrzydlate stworzenia, włochate jak zwierzęta, a jednak zdolne do lotu; zanurkowały z nieba i chwyciły Issiba oraz Hushidh za ręce i nogi, kiedy spadali w kierunku ziemi, i mocno bijąc oraz trzepocząc skrzydłami, nie dopuściły do tego, by zvalili się na skały, a zamiast tego uniosły ich w niebo.

To ją przeraziło, ten nagły, niespodziewany sen, ponieważ Hushidh wiedziała, że właściwie nie śpi i nie powinna mieć żadnego snu, a zwłaszcza takiego wyraźnego i przerażającego. Czyż Naddusza nie pokazała jej już wszystkiego, o co Hushidh prosiła? Dlaczego teraz pokazywała jej ponownie ten stary obraz?

I znów przypomniła sobie poprzednią chwilę ze snów zaznanych tej nocy: stała z Issibem w wejściu do namiotu, niemowlę spoczywało na kolanach Issiba, a dzieci zebrały się wokół jego latającego krzesła. Scena zmieniła się w momencie, gdy Hushidh ją rozpoznała: już nie byli na

pustyni, lecz w bujnym lesie, w wejściu do drewnianej chaty na polanie, i od razu olbrzymie szczury wynurzyły się z nor w ziemi oraz pospadały z konarów drzew i ruszyły na nich, i Hushidh wiedziała, że zamierzają porwać ich dzieci, żeby je uprowadzić i zjeść, i krzyknęła z przerażenia. Nim jednak dźwięk zdołał dotrzeć do jej ust, znów pojawiły się te latające stworzenia, które spadły z nieba, by chwycić jej dzieci i wyrwać je ze szczęk i łap olbrzymich, żarłoczných szczurów. Widząc, co się dzieje, Hushidh porwała niemowlę z kolan Issiba i uniosła je wysoko nad głowę, i jedno z latających stworzeń zniżyło lot, wyrwało je z jej rąk i zabrało ze sobą. Hushidh stała w miejscu i płakała, ponieważ nie wiedziała, czy nie było to zwykłym przekazaniem swoich dzieci z rąk jednego drapieżcy w ręce drugiego... a jednak wiedziała. Dokonała wyboru i kiedy znów powróciły, chwyciła ramiona Issiba i uniosła je w górę, aby latające stworzenia zabrały go ze sobą. Chwilę przed ich przybyciem szczury rzuciły się na nich, przewracając ich, i sto maleńkich, dzikich łap zaczęło ją łapać, ciągnąc do siebie...

Obudziła się z krzykiem i niemożliwą do uśmierzenia obawą rozdzierającą jej serce. Pot spływał po jej ciele, noc była ciemna, wiatr mroził jej krew w żyłach, ale to nie z zimna drżała. Zrzuciła z siebie dywan i ruszyła pędem, potykając się — nadal na wpół oślepiona od snu i niezdarna wskutek sztywności spowodowanej niewygodną pozycją snu — do otworu w szczycie, który prowadził na strych domu.

Kiedy dotarła do swojego pokoju, widziała już dość dobrze i szła równym, spokojnym krokiem, ale nadal była słaba i przerażona, i nie mogła znieść myśli, że jest sama. Ponieważ znajdowało się tam łóżko Luet — Luet, która powinna tam być, by ją teraz uspokoić — ale było puste, ponieważ Luet poszła spać do innego łóżka i obejmowała kogoś, kto potrzebował jej znacznie mniej niż Hushidh dziś wieczorem. Hushidh skuliła się we własnym łóżku, na przemian drżąc po cichu i szlochając spazmatycznie, aż przestraszyła się, że ktoś w sąsiednim pokoju może ją usłyszeć.

„Jeśli usłyszą, że płaczę, pomyślą, że jestem zazdrosna o Luet. Pomyślą, że nienawidzę jej za to, że przede mną wyszła za mąż, a wcale tak nie jest... w każdym razie nie teraz, odkąd Naddusza pokazała mi, co to wszystko znaczy”. Próbowwała przypomnieć sobie ten sen — o sobie, swoich dzieciach i swoim mężu w wejściu do namiotu — ale gdy tylko to uczyniła, sen znów się przeobraził i ogarnęło ją przerażenie, kiedy szczury zaczęły wychodzić ze swoich nor, spadać z drzew, i jej jedyną nadzieją była rozpaczliwa obcość latających stworów...

I znalazła się na korytarzu przed swoim pokojem, uciekając przed obawą, dręczącą ją w chwili gdy, kiedy biegła. Biegła i biegła, aż gwałtownie otworzyła drzwi do pokoju, gdzie wiedziała, że będzie Luet, ponieważ nie mogła tego znieść, musiała uzyskać pomoc i tylko Luet mogła jej pomóc...

— O co chodzi? — Strach w głosie Luet był echem przerażenia w głosie Hushidh. Hushidh zobaczyła, jak jej siostra siada wyprostowana na łóżku, trzymając pościel przy samej szyi, jakby była ona ochronną tarczą. A potem Nafai, bardziej obudzony przez jej głos niż odgłos otwieranych drzwi, sennie wstał z łóżka, stając na podłodze, idąc w kierunku Hushidh, nie rozumiejąc jeszcze, kto to jest, lecz wiedząc, że jeśli pojawił się intruz, to jego obowiązkiem jest go powstrzymać...

— Shuya — powiedziała Luet.

— Och, Luet, przebac mi — zaszlochała Hushidh. — Pomóż mi. Przytul mnie!

Zanim Luet zdołała do niej dotrzeć, Nafai już tam był, pomagając jej, wprowadzając ją do pokoju. Potem Luet znalazła się przy niej i zaprowadziła ją do zmietoszonego łóżka, na którym siostra mogła usiąść. Teraz Hushidh mogła się rozplakać w ramionach siostry. Prawie nie zdawała sobie sprawy z obecności Nafaia, który poruszał się po pokoju; zamknął drzwi, a potem znalazł ubranie dla siebie i Luet, aby nie czuli się skrępowani, kiedy Hushidh przestanie płakać i dojdzie do siebie.

— Przepraszam, tak mi przykro — powtarzała Hushidh, łkając.

— Nie, proszę, wszystko w porządku — powiedziała Luet.

— Twoja noc poślubna, nigdy nie ośmieliłabym się... ale miałam sen, taki straszny...

— Już dobrze, Shuya — powiedział Nafai. — Żałuję tylko, że nie płaczesz trochę ciszej, bo jeśli ktoś cię usłyszy, pomyśli, że to Luet wypłakuje się w noc poślubną i wtedy kto wie, co o mnie pomyśli. — Przerwał. — Oczywiście, jeśli się nad tym zastanowić, może powinnaś płakać trochę głośniej.

W głosie Nafaia pobrzmiwała nuta śmiechu i spokoju, i Luet też się zaśmiała z jego żartu. Właśnie tego potrzebowała Hushidh, by opanować swoje przerażenie: mogła myśleć o Luet i Nafaiu, a nie o swoim śnie.

— Nikt nigdy nie popełnił czegoś tak ohydneho — stwierdziła Hushidh, nieszczęśliwa i zawstydzona, a jedna tak bardzo uspokojona. — Żeby wpadać tak nagle do swojej siostry w jej noc poślubną.

— W niczym nam nie przeszkodziłaś — powiedziała Nafai, po czym wraz z Luet wybuchnęli śmiechem — nie raczej z a c h i c h o t a l i. Jak małe dzieci, które ukrywają; drobną tajemnicę.

— Przepraszam, że śmieję się, kiedy ty jesteś taka nie szczęśliwa — odezwała się Luet — ale musisz zrozumieć. Tak kiepsko nam to wyszło.

Znów zachichotali.

— To umiejętność nabyta — wyjaśnił Nafai. — Której oboje nie nabyliśmy.

Hushidh udzielił się ich śmiech, poczuła się włączona w spokój, który między sobą stworzyli. To było nie do pomyślenia, że młody mąż i jego żona, którym zakłócono pierwszą wspólną noc, tak chętnie przyjmują i pocieszają siostrę-intruza; jednak tacy właśnie byli, Luty a i jej Nyef. Hushidh poczuła, że przepelnia ją miłość i wdzięczność dla nich, i wybuchnęła płaczem, lecz z radości, a nie rozpacz zrodzonej z samotności i przerażenia, których doznała w ciągu tej nocy.

— Nie płakałam nad sobą — powiedziała, ponieważ była już zdolna mówić. — Przyznaję, że byłam zazdrosna i samotna, ale Naddusza zesłała mi przyjemny sen, dobry sen, w którym pokazała mi siebie i... mojego męża, i moje dzieci... — Potem przyszło jej do głowy coś, o czym nigdy przedtem nie pomyślała. — Nafai, wiem, że jestem przeznaczona Issibowi. Ale muszę zapytać... on... może, prawda?

— Shuya, nie może być g o r s z y niż ja dziś wieczorem. Luet klepnęła żartobliwie Nafaia w rękę.

— Ona pyta się poważnie, Nafaiu.

— Jest taki sam niedoświadczony jak ja — powiedział Nafai — i z dala od miasta nie ma większego pożytku ze swoich rąk. Ale nie jest sparaliżowany i jego... odruchy bezwarunkowe... no cóż... f u n k c j o n u j ą .

— A więc sen był prawdziwy — oznajmiła Hushidh. — A w każdym razie może być. Śniłam o swoich dzieciach. Z Issibem. To może się spełnić, prawda?

— Jeśli tego chcesz — stwierdził Nafai. — Jeśli zechcesz go przyjąć. On jest z nas najlepszy, Shuya, gwarantuję ci to. Najbystrzejszy, najbardziej uprzejmy, najmądrzejszy.

— Tego mi nie mówiłeś — powiedziała Luet. — Powiedziałeś, że to ty jesteś najlepszy.

Nafai tylko uśmiechnął się do niej z idiotycznym wyrazem radości na twarzy.

Hushidh czuła się teraz lepiej, a także wiedziała, że nie powinna dłużej zakłócać ich intymności; otrzymała wszystko, na co mogła liczyć od siostry i teraz mogła wrócić do swojego pokoju i spać sama. Cień złego snu przestał ją nękać.

— Dziękuję wam — szepnęła. — Nigdy nie zapomnę, jacy byliście dziś dla mnie życzliwi.

Wstała z krawędzi łóżka i ruszyła do drzwi.

— Nie odchodź — powiedział Nafai.

— Muszę iść teraz spać — odrzekła.

— Ale najpierw musisz nam opowiedzieć swój sen — wyjaśnił. — Musimy go usłyszeć. Nie słodki sen, ale ten, który tak cię przeraził.

— Nafai ma rację — przyznała Luet. — Tak, to nasza noc poślubna, ale otaczający nas świat jest mroczny i musimy wiedzieć wszystko, co Naddusza mówi każdemu z nas.

— Rano — zaproponowała Hushidh.

— Myślisz, że będziemy w stanie zasnąć, zastanawiając się, jaki to straszny sen tak poruszył naszą siostrę? — zapytał Nafai.

Choć Hushidh wiedziała, jak starannie Nafai dobrał słowa, była wdzięczna za dobro i miłość, które się za nimi kryły. Być może, w głębi duszy czuł obawę lub niechęć do jej bliskiego związku z jego żoną, ale zamiast próbować osłabić ten związek lub rozdzielić siostry, Nafai celowo usiłował nawiązać bliski kontakt z Hushidh i sprawić, by nie czuła się odrzucona z powodu jego małżeństwa z Luet. Zasłużył sobie na miano wielkodusznego, że tak postąpił właśnie w tę noc, kiedy musiało mu się wydawać, iż — widząc, jak Hushidh cała zapłakana wpada do ich ślubnej komnaty w środku nocy — jego najgorsze obawy co do niej okazały się prawdą! Skoro tak bardzo się starał, to czyż ona mogła nie zaakceptować związku, który pragnął stworzyć? Przecież była interpretatorką. Wiedziała, jak umacniać więzi między ludźmi, i z radością pomogła mu zacisnąć ten węzeł.

Wróciła więc i usiedli razem na łóżku, krzyżując nogi i tworząc stykającymi się kolanami trójkąt, podczas gdy Hushidh opowiedziała swoje sny, od początku do końca. Niczego nie ukrywała, przyznając się do niechęci, którą odczuwała na początku, tak aby mogli zrozumieć, jak bardzo ją ucieszyły zapewnienia Nadduszy.

Dwukrotnie przerywali jej, wyrażając swoje zdumienie. Po raz pierwszy, gdy powiedziała im, że zobaczyła Moozha i zrozumiała, iż Naddusza nim kieruje, nawet wtedy, gdy on ją odrzuca. Nafai roześmiał się w zdumieniu.

— Sam Moozh — krwawy generał Gorayni ucieka przed Nadduszą, a tylko trafia na ścieżkę, którą mu wyznaczyła. Kto by to pomyślał!

Po raz drugi przerywali jej, gdy Hushidh opowiedziała o skrzydlatych stworzeniach, które chwyciły ją i Issiba podczas upadku.

— Anioły! — wykrzyknęła Luet.

Hushidh od razu przypomniała sobie sen, który Luet opowiedziała jej kilka dni wcześniej.

— Oczywiście — potwierdziła. — Dlatego zjawily się w moim śnie: ponieważ pamiętałam, jak mi opowiadał o tych aniołach i olbrzymich szczurach.

— Nie wyciągaj jeszcze wniosków — poradziła Luet. — Opowiedz nam resztę snu.

Kiedy Hushidh skończyła opowiadać, siedzieli w milczeniu i przez chwilę myśleli.

— Sądzę, że pierwszy sen, ten o tobie i Issibie, pochodził od ciebie — odezwała się wreszcie Luet.

— Ja też tak myślę — potwierdziła Hushidh. — A teraz, kiedy przypominam sobie, że mi opowiedział tamten sen o włochatych aniołach...

— Poczekaj — powiedziała Luet. — Nie wyprzedzaj snu. Po tej pierwszej wizji, która wynikała z twoich obaw związanych ze ślubem z Issibem, poprosiłaś Nadduszę, aby wyjawiała ci swój cel. Pokazała ci ten cudowny sen o więziach między ludźmi w postaci złotych i srebrnych sznurków...

— Dzięki którym będziemy rozmnażać się jak bydło — wtrącił Nafai.

— Nie okazuj braku szacunku — skarciła go Luet.

— Nie okazuj zbyt dużego szacunku — odrzekł Nafai. — Naprawdę wątpię, czy pierwotne zaprogramowanie Nad—duszy kazało mu rozpocząć projekt rozmnażania ludzi z Harmonii.

— Wiem, że masz rację — powiedziała Luet. Naddusza to komputer, który zainstalowano u zarania dziejów naszego świata, aby pilnował ludzi i powstrzymywał nas przed samozagładą, ale nadal w głębi duszy odbieram Nadduszę jako kobietę, jako Matkę Jeziora.

— Kobieta czy maszyna, ma teraz własne cele, a ten mnie niepokoi — oświadczył Nafai. — Akceptuję to, że mamy się zebrać, aby odbyć podróż na Ziemię, cieszę się z tego — to wspaniałe przedsięwzięcie. Ale ta sprawa z rozmnażaniem. Moja matka i ojciec, którzy parzą się jak owca i baran skojarzeni ze sobą w celu zachowania czystości krwi...

— Nadal się kochają — powiedziała Luet. Wyciągnął do niej rękę i delikatnie chwycił jej palce.

— Lutya, rzeczywiście kochają się, tak jak my będziemy się kochali. Ale to, co zrobiliśmy, uczyniliśmy z chęcią, znając cel Nadduszy i wyrażając na niego zgodę, a przynajmniej tak nam się wydawało. Cóż jeszcze Naddusza dla nas planuje, o czym dowiemy się dopiero później?

— Naddusza powiedziała mi to, ponieważ ją zapytałam — powiedziała Hushidh. — Jeżeli jest komputerem, jak twierdzisz — a wierzę ci, naprawdę — to być może po prostu nie może nam powiedzieć tego, o co jeszcze nie zapytaliśmy.

— A więc musimy zapytać. Musimy wiedzieć d o k ł a d n i e, co ona — co on — co ono planuje — stwierdził Nafai.

Widząc jego dezorientację, Luet uśmiechnęła się, ale nie roześmiała. Hushidh nie była jego lojalną żoną; nie potrafiła powstrzymać się od wybuchu śmiechu.

— Obojętne, za kogo uważamy Nadduszę — powiedział cierpliwie Nafai — musimy mu zadać kilka pytań. Na przykład, co oznacza obecność Moozha w Basilice. Czy jego też mamy nakłonić do wyprawy na pustynię? Czy to dlatego Naddusza go tu sprowadził? I te dziwne stworzenia: te anioły i szczury — co one znaczą? Naddusza musi nam powiedzieć.

— Myślę, że zobaczyłam szczury i anioły, ponieważ Lutya śniła i opowiedziała mi o nich, i oto zjawiły się, dając wyraz moim obawom — oświadczyła Hushidh.

— Ale dlaczego zjawiły się w śnie Luet? — zapytał Nafai. — Ona się ich nie bała.

— I w moim śnie szczury nie były ani straszne, ani niebezpieczne — dodała Luet. Były po prostu... sobą. Żyły własnym życiem. Nie miały nic wspólnego z ludźmi w moim śnie.

— Przestańmy zgadywać — zaproponował Nafai — i zapytajmy Nadduszę.

Nigdy dotąd tego nie robili. W basylikańskich kultach religijnych mężczyźni i kobiety nie modlili się wspólnie — mężczyźni wykorzystywali do modlitwy krew i wodę w swojej świątyni lub w swoich prywatnych miejscach, a kobiety modliły się w wodzie jeziora lub w swoich prywatnych miejscach. Byli więc nieśmiali i niepewni. Nafai odruchowo wyciągnął ręce do Hushidh i Luet, one zaś ujęły jego dłonie i same też chwyciły się za ręce.

— Zawsze rozmawiam z Nadduszą po cichu — odezwał się Nafai. — W umyśle.

— Ja też — oznajmiła Luet — ale czasami na głos, a ty nie?

— Ja też — powiedziała Hushidh. — Luet, mów w naszym imieniu.

Luet pokręciła głową.

— To ty miałaś dziś sen, Hushidh. To do ciebie przemówiła Naddusza.

Hushidh zadrżała wbrew własnej woli.

— A co, jeśli powróci do mnie ten zły sen?

— Czy to ważne, kto będzie mówił? — zapytał Nafai.

— Jeśli w sercu zadamy te same pytania? Ojciec, Issib i ja bez trudu rozmawiamy z Nadduszą, kiedy mamy przy sobie Indeks, zadając pytania i otrzymując odpowiedzi, jak byśmy rozmawiali z komputerem w szkole. Teraz zrobimy to samo.

— Nie mamy Indeksu — zauważyła Luet.

— Tak, ale jesteśmy połączeni z Nadduszą złotymi i srebrnymi nitkami — odrzekł Nafai, spoglądając na Hushidh. — To powinno wystarczyć, prawda?

— A więc mów w naszym imieniu, Luet — zakończyła Hushidh.

Luet zadała ich pytania, a potem wypowiedziała głośno własne zmartwienia, a także troski Nafaia i grozę, której doświadczyła Hushidh. To właśnie na to pytanie nadeszła pierwsza odpowiedź.

„Nie wiem”, odparł Nadduszą.

Luet umilkła zaskoczona.

— Czy słyszałyście to co ja? — zapytał Nafai. Ponieważ nikt nie wiedział, co usłyszał Nafai, nikt nie mógł odpowiedzieć. Dopóki Hushidh nie odważyła się powiedzieć tego, co sama usłyszała w umyśle.

— Ona nie wie — szepnęła Hushidh.

Nafai ścisnął mocniej ich ręce i odezwał się do Nadduszy — teraz on mówił w ich imieniu.

— Czego nie wiesz?

„Zesłałem sen o złotych i srebrnych nitkach”, odparł Naddusza. „Zesłałem sen o Issibie i dzieciach w wejściu do namiotu. Ale nie zamierzałem ukazywać wam generała. Nie pokazałem wam generała”.

— A... szczury? — zapytała Hushidh.

— I anioły? — dodała Luet.

„Nie wiem, skąd się wzięły ani co oznaczają”.

— Aha — powiedziała Hushidh. — To był tylko dziwny, przypadkowy sen w twoim umyśle, Luet. A potem, ponieważ opowiedziałas mi go, utkwiał w m o o i m umyśle i to wszystko.

„Nie!”

Przypominało to krzyk Nadduszy w jej umyśle i Hushidh zadrżała z powodu jego natężenia.

— A więc co! — wykrzyknęła Hushidh. — Jeśli nie wiesz, skąd się wziął, to skąd wiesz, że nie był to tylko zwykły, przerażający sen?

„Ponieważ generał też go miał”. Spojrzeli na siebie zdumieni.

— Generał M o o z h ?

W umyśle Hushidh pojawił się przelotny obraz człowieka — latające stworzenie siedziało mu na ramieniu, olbrzymi szczur trzymał się kurczowo jego nogi, a ogromna ilość ludzi, szczurów i aniołów podchodziła i dotykała całej trójki, oddając jej cześć. Obraz zniknął tak szybko, jak się pojawił.

— Generał miał ten sen? — zapytała Hushidh. „Miał. Wiele tygodni temu. Jeszcze zanim którekolwiek z was śniło o tych stworzeniach”.

— A więc jest nas troje — powiedziała Luet. — Nigdy nie widziałyśmy generała i on nigdy nie widział nas, a jednak wszyscy śniliśmy o tych stworzeniach. On widział oddawanie czci, ja widziałam sztukę, a ty wojnę, Hushidh, wojnę i wybawienie.

— Jeśli nie pochodził od ciebie, Nadduszo — zapytał z naciskiem Nafai, trzymając się kurczowo rąk dziewczyn — to skąd mógł się wziąć taki sen?

„Nie mam pojęcia”.

— Czy istnieje jakiś inny komputer? — zapytała Hushidh. „Nie tutaj. Nie na Harmonii”.

— Może po prostu nic o nim nie wiedziałeś — zasugerował Nafai.

„Wiedziałbym o nim”.

— A więc dlaczego mamy te sny? — dopytywał się Nafai.

Czekali, ale nie było odpowiedzi. A potem n a d e s z ł a , ale taka, której nie chcieli.

„Boję się”, powiedział Naddusza.

Hushidh poczuła, jak strach ponownie wkłada się w jej serce, i ścisnęła mocniej rękę siostry, jak również Nafaia.

— Nienawidzę tego — powiedziała. — Nie chciałam się tego dowiedzieć.

„Boję się”, powtórzył Naddusza, tak wyraźnie, jak gdyby przemawiał w umyśle Hushidh, która miała nadzieję, że Luet i Nafai także go słyszą w swoich umysłach. „Boję się, ponieważ strachem określam niepewność, niemożliwość, która tym niemniej jest realna. Mam jednak również nadzieję, ponieważ tym słowem określam niemożliwość, która może się okazać realna. Żywię nadzieję, że to, co ujrzeliście, pokazał wam Stróż Ziemi. Że pokonując odległość wielu lat świetlnych, Stróż Ziemi wyciąga do nas rękę”.

— Kim jest Stróż Ziemi? — zapytała Hushidh.

— Naddusza już o nim wspomniał — odrzekł Nafai. — Nigdy tego nie wyjaśnił, ale przypuszczam, że to komputer, który zainstalowano w charakterze opiekuna Ziemi, kiedy nasi przodkowie opuścili ją czterdzieści milionów lat temu.

„To nie komputer”, powiedziała Naddusza.

— A więc co? — zapytał Nafai. „Nie jest maszyną”.

— A więc czym? „Żywą istotą”.

— Cóż mogłoby jeszcze żyć po tych wszystkich latach?

„Stróż Ziemi. Wzywa nas. Wzywa was. Być może moje pragnienie sprowadzenia was z powrotem na Ziemię to także sen od Stróża. Ja też byłem zdezorientowany i nie wiedziałem, co powinienem zrobić, a potem w moim umyśle zrodziły się pomysły. Myślałem, że były rezultatem rutynowych czynności randomizera. Myślałem, że wynikają z mojego zaprogramowania. Ale skoro wy i Moozh możecie mieć dziwne sny o stworzeniach nigdy nie znanych na tym świecie, to czy ja też nie mogę mieć myśli, których mi nigdy nie zaprogramowano, które nie pochodzą od niczego na tym świecie?”

Nie mieli żadnej odpowiedzi na pytanie Nadduszy.

— Nie wiem, jak wy — odezwała się Hushidh — ale ja liczyłam, że Naddusza weźmie wszystko w swoje ręce, i naprawdę nie podoba mi się, że ona nie wie, co się dzieje.

— Ziemia nas wzywa — stwierdził Nafai. — Nie rozumiesz? Ziemia nas wzywa. Wzywa Nadduszę, ale nie tylko o jego. Nas. W każdym razie was i Moozha. Wzywa was, żebyście wrócili na Ziemię.

„Moozha nie”, powiedział Naddusza.

— Skąd wiesz, że Moozha nie? — zapytała Hushidh. — Jeśli nie wiesz, dlaczego lub jak, lub nawet czy Stróż Ziemi zesłał nam te sny, to skąd wiesz, że Moozh nie ma pójść z nami na pustynię?

„Moozh nie”, powtórzył Naddusza. „Zostawcie Moozha w spokoju”.

— Jeżeli nie chciałeś, żeby Moozh do nas dołączył, to dlaczego go tu sprowadziłeś? — zapytał Nafai.

„Sprowadziłem go tu, ale nie dla was”.

— On ma takie same złote i srebrne nitki jak my — powiedziała Luet. — I Stróż Ziemi też do niego przemówił.

„Sprowadziłem go tu, żeby zniszczyć Basilikę”.

— To wszystko rujnuje — powiedział Nafai. — To naprawdę wszystko rujnuje. Naddusza ma jeden pomysł. Stróż Ziemi ma inny. I co mamy my zrobić?

„Zostawcie Moozha w spokoju. Nie tykajcie go. On kroczy własną ścieżką”.

— Akurat — powiedział Nafai. — Przed chwilą powiedziałeś nam, że nie wiesz, co się dzieje, a teraz mamy uwierzyć ci na słowo, że Moozh nie odgrywa roli w tym, co robimy! Nie jesteśmy marionetkami, Nadduszo! Czy mnie rozumiesz? Jeśli nie wiesz, co się dzieje, to dlaczego mielibyśmy spełniać twoje polecenia? Skąd wiesz, że ty masz rację, a my jesteśmy w błędzie?

„Nie wiem”.

— No to skąd wiesz, że nie powinienem pójść do niego i poprosić, żeby z nami poszedł?

„Ponieważ jest niebezpieczny i straszny, i mógłby was wykorzystać i zniszczyć, a ja nie mogę go powstrzymać, jeśli postanowi to zrobić”.

— Nie idź — powiedziała Luet.

— On jest jednym z nas — wyjaśnił Nafai. — Jeśli nasz cel jest szlachetny, to dlatego, że my, ludzie wychowani przez Nadduszę, nadajemy się do powrotu na Ziemię. Jeśli jest szlachetny, to dlatego, że wzywa nas Stróż Ziemi.

— Nie wiem, czy to, co zesłało mi ten straszny sen, jest szlachetne czy nie — powiedziała Hushidh.

— Być może sen był ostrzeżeniem — zasugerował Nafai. — Może istnieje jakieś niebezpieczeństwo, któremu będziemy musieli stawić czoła, a sen był dla was ostrzeżeniem.

— A może sen był ostrzeżeniem, abyś trzymał się z dala od Moozha — powiedziała Luet.

— Jak, u licha, sen mógłby to oznaczać? — zapytał. Zrzucił z siebie dziwne ubranie, które w pośpiechu przed chwilą założył, i teraz zakładał rzeczy, w których mógł wyjść na miasto.

— Ponieważ ja chcę, żeby właśnie to oznaczał — odparła Luet i nagle się rozplakała. — Jesteś moim mężem zaledwie od kilku godzin, a nagle chcesz iść do człowieka, którego Naddusza uważa za niebezpiecznego i strasznego, i w jakim celu? Aby zaprosić go do wyprawy na pustynię? Aby go poprosić, żeby zrezygnował ze swojej armii, swoich królestw, krwi i przemocy, i wybrał się z nami na pustynię w podróż, która w jakiś sposób zawiedzie nas na Ziemię? On cię zabije, Nafaiu! Albo uwięzi i nie dopuści, abyś z nami poszedł. S t r a c ę cię.

— Nie stracisz — zaprzeczył Nafai. — Naddusza mnie ochroni.

— Naddusza ostrzegła cię, żebyś nie szedł. Jeśli postąpisz inaczej...

— Naddusza nie ukarze mnie, ponieważ nawet nie wie, czy nie mam racji. Naddusza przyprowadzi mnie z powrotem, ponieważ pragnie, abym był z tobą prawie tak bardzo, jak ja tego pragnę.

„Nie wiem, czy zdołam cię ochronić”.

— Tak, no cóż, nie wiesz strasznie dużo rzeczy — stwierdził Nafai. — Myślę, że wyjaśniłeś nam to dziś wieczorem. Jesteś potężnym komputerem i masz najlepsze intencje na świecie, ale już nie bardziej ode mnie wiesz, co jest słuszne. Nie wiesz, czy na wszystkie twoje plany w stosunku do Moozha nie wpłynął Stróż Ziemi, prawda? — nie wiesz, czy S t r ó ż nie zaplanował, abym zrobił dokładnie to, co robię, i nie chce, aby twój plan zniszczenia Basiliki nie spalił na panewce. Kto by pomyślał, zniszczyć Basilikę! To przecież twoje wybrane miasto, prawda? Zgromadziłeś w tym miejscu wszystkich ludzi, którzy są ci najbliżsi, i chcesz je zniszczyć?

„Zgromadziłem ich, aby stworzyć was, głupie dzieci. Teraz zniszczę Basilikę, aby znów rozproszyć moich ludzi na całym świecie. Tak, aby wpływ, jaki mi pozostał na tym świecie, dosięgnął wszystkie krainy i narody. Czym jest Basilika w porównaniu ze światem?”

— Ostatnio, kiedy tak mówiłeś, zabiłem człowieka — powiedział Nafai.

— Proszę — odezwała się Luet. — Zostań ze mną.

— Albo pozwól mi iść ze sobą — wtrąciła Hushidh.

— Nie ma mowy — odrzekł Nafai. — I Luty, w r ó c ę do ciebie. Ponieważ Naddusza mnie ochroni.

„Nie wiem, czy zdołam”.

— A więc postaraj się — powiedział Nafai, po czym wyszedł z pokoju.

— Zaaresztują go, gdy tylko wyjdzie na ulicę — stwierdziła Hushidh.

— Wiem — powiedziała Luet. — I rozumiem, dlaczego to robi. Postępuje odważnie i nawet uważam, że właściwie, a l e n i e c h c ę, żeby to robił!

Luet rozplakała się i teraz nadeszła kolej, by Hushidh ją objęła i pocieszyła. „Cóż to za kołomyja toczyła się tu dziś wieczorem”, pomyślała. „Cóż to za noc poślubna dla ciebie, cóż za noc

snów dla mnie. A jakież to teraz będzie poranek? Możesz zostać wdową, nawet nie mając w sobie jego dziecka”. Lub — dlaczego nie? — wielki generał Mo—ozh przyjdzie z Nafaiem, zrezygnuje ze swojej armii i zniknie z nami na pustyni. Wszystko mogło się zdarzyć. Dosłownie wszystko.

DOM GABALLUFIXA, RZECZYWISTOŚĆ

Moozh rozpostarł mapę Zachodniego Wybrzeża na stole Gaballufixa i przeanalizował sytuację. Miasta Równiny i Seggidugu rozciągały się przed nim jak pole. Trudno było zgadnąć, którą drogę wybrać. Teraz już wszyscy musieli wiedzieć, że armia Gorayni zajęła Basilikę. Z pewnością narwańcy w Seggidugu domagali się szybkiej i brutalnej reakcji, ale nie mogli przeważać szali — północna granica Seggidugu znajdowała się zbyt blisko głównych sił Gorayni w Khlam i Ulye. Zajęcie Basiliki wymagałoby tak wielu żołnierzy — nawet gdyby wiedzieli, że broni jej zaledwie tysięczna armia Gorayni — że Seggidugu narażeni by byli na kontratak.

Zaiste, wielu tchórzów w Seggidugu już będzie się zastanawiać, czy nie lepiej stanąć przed Imperatorem w charakterze poddanych, którzy błagają, żeby zapewnił im swoją dobroczynną opiekę. Ale Moozh był pewien, że tym nie poszczęści się bardziej od narwańców. Zamiast tego najbardziej wyrachowane umysły, najostrożniejsi ludzie wezmą górę. Poczekają, żeby się przekonać. I na to właśnie liczył Moozh.

Nie ulegało wątpliwości, że w Miastach Równiny już powstał ruch propagujący odrodzenie Ligi Obrony, która dziewięć razy odpędziła najeźdźców z Seggidugu. Ale to było ponad tysiąc lat temu, kiedy Seggidugu po raz pierwszy przemaszrowali szybko przez góry, idąc z pustyni; istniało takie prawdopodobieństwo, że niewiele miast się zjednoczy, a nawet w rzekomej jedności będą się klócić, okradać i osłabiać bardziej, niż gdyby każde występowało samo.

Czegóż mógł dokonać Moozh? W tym momencie, gdyby wysłał delegację z ostrym żądaniem kapitulacji najbliższych miast, na pewno uzyskaliby szybką zgodę. Ale uciekinierzy wytrysnęliby z tych miast jak krew z rany serca i wtedy pozostałe Miasta Równiny zjednoczyłyby się. Mogłyby nawet poprosić Seggidugu o przywództwo i w tym przypadku Seggidugu mogliby się porwać do działania.

Zamiast tego mógł się domagać kapitulacji Seggidugu. Gdyby się zgodzili, wszystkie Miasta Równiny uległyby i udawały umarłe. Ale to było zbyt wielkie ryzyko, jeśli mógł znaleźć lepsze rozwiązanie. Naprawdę mógł wymusić kapitulację każdego, lub nawet dwóch Miast Równiny, ale miał za mało żołnierzy — i zbyt słabą więź z głównymi armiami Gorayni — aby stawiać ultimatum, gdyby Seggidugu zdecydowali się stawić mu opór. Takimi niebezpiecznymi blefami uniknięto wielkich wojen, stworzono wielkie imperia, i Moozh nie bał się zaryzykować, jeśli nie było lepszego rozwiązania.

A jeśli istniało lepsze rozwiązanie, będzie musiał je szybko znaleźć. Teraz sam Imperator na pewno już wie, że zarówno Plod, jak i przydzielony do armii Moozha orędownik zostali zabici — oczywiście przez basilikańskiego zamachowca, ale nikt nie mógł go przesłuchać, ponieważ Moozh zabił tego człowieka własnymi rękami. Następnie Moozh ruszył w drogę z tysiącem żołnierzy i nikt nie wiedział, gdzie jest. Ta wiadomość panicznie przstraszy Imperatora, ponieważ dobrze wiedział, jak krucha jest potęga władcy, kiedy jego najlepsi generałowie zyskują zbyt dużą popularność. Imperator będzie się zastanawiał, ilu jego żołnierzy podąży tłumnie za Moozhem, jeśli ten podniesie bunt w górach; i ilu innych, zbyt lojalnych, by dezertować, będzie zbyt przerażonych, aby walczyć przeciwko największemu generałowi Gorayni. Wszystkie te obawy

skłonią Imperatora, żeby wysłał swoje armie i kazał im iść na południe i zachód, w kierunku Khlamu i Ulye.

Wszystko dobre... co jeszcze bardziej przestraszy Seggidugu i zwiększy szansę, że doprowadzenie ich blefem do uległości może się powieść. A wysłane armie nie zajdą zbyt daleko, nim następna wiadomość dotrze do Imperatora — że śmiałe posunięcie Moozha powiodło się znakomicie, że osławione miasto Basilika jest teraz w rękach Gorayni.

Moozh uśmiechnął się zadowolony na myśl, jak ta wiadomość przerazi wszystkich dworzan, którzy szeptali Imperatorowi, że Moozh to zdrajca. Zdrajca? Mężczyzna, który ma rozum i odwagę podbić miasto z pomocą tysięcznej armii? Przemaszerować przez terytorium dwóch wrogich królestw i zająć górską fortecę usytuowaną na ich tyłach? „To ma być zdrajca?”, zapyta Imperator.

Mimo to będzie się bał, ponieważ śmiałość jego generałów zawsze go przerażała. Zwłaszcza śmiałość Vozmuzhalnoya Vozmozhno. Tak więc Imperator wysłał do niego kilku posłów — na pewno orędownika, nowego przyjaciela, a także kilku bliskich i zaufanych członków rodziny. Nie będą upoważnieni do rządzenia Moozhem — Gorayni nigdy by nie podbili tylu królestw, gdyby imperatorzy pozwolili swoim podrzędnym figurom odwoływać rozkazy generałów na polu. Ale będą mogli ingerować, pytać, protestować, domagać się wyjaśnień i powiadamiać Imperatora o wszystkim, co nie będzie im się podobało.

Kiedy przybędą ci wysłannicy? Będą musieli wybrać ten sam pustynny szlak, którym szedł Moozh ze swoimi ludźmi. Teraz jednak ta droga będzie pilnie obserwowana przez Seggidugu i Izmennik, a to będzie wymagało zabrania ze sobą niewygodnej ochrony osobistej, wozów z zapasami, wielu wywiadowców i namiotów oraz żywego inwentarza najróżniejszego rodzaju. Tym samym wysłannicy nie będą mieli ani ochoty, ani możliwości przemieszczać się nawet w połowie tak szybko jak armia Moozha. Przybędą zatem najprędzej za tydzień, a prawdopodobnie później. Ale zjawia się z wieloma żołnierzami — być może tyloma, ilu przyprowadził Moozh — i ci żołnierze prawie na pewno nie będą się zaliczać do ludzi, którzy walczyli pod komendą Moozha, ludzi, których wyszkolił, ludzi, na których mógł liczyć.

Tydzień. Moozh miał co najmniej tydzień na rozpoczęcie projektu, który zamierzał realizować. Mógł teraz spróbować blefu w stosunku do Seggidugu i zaryzykować dotkliwe upokorzenie, gdyby napotkał opór — Miasta Równiny z pewnością zjednoczyłyby się wtedy przeciwko niemu i wkrótce broniłyby Basiliki przed oblężeniem. Nie zostałby z tego powodu wyrugowany ze swojego generalskiego stanowiska, ale miałby plamę na nazwisku i znów znalazłby się pod władzą Imperatora. W ciągu tych kilku ostatnich dni czuł się tak fantastycznie, że nie musiał bawić się w oszustwa i podstęp, które pochłonięły połowę jego życia, kiedy musiał się borykać z wyznaczonym przez Imperatora przyjacielem, nie mówiąc już o jakimś karierowiczowskim, wścibskim orędowniku. Moozh zabił stosunkowo niewielu ludzi własnymi rękami, ale z pewnością rozkoszował się wspomnieniem ich śmierci — zdziwieniem na ich twarzach, nadzwyczajną ulgą, której wtedy doznał. Nawet konieczność zamordowania tego dobrego żołnierza z Basiliki, Smelosta, nawet to nie zmąciło błogiej radości jego nowej wolności.

„Czy jestem gotowy? Czy jestem gotowy wykonać mój życiowy ruch, zemścić się na Imperatorze w imię Pravo Gollosa? Zaryzykować, licząc na to, że potrafię zjednoczyć Basilikę, Seggidugu i Miasta Równiny, z poparciem każdego żołnierza Gorayni, który za mną pójdzie, i ze wsparciem, które zdołamy uzyskać od Potokgavana?

A jeśli nie jestem na to gotowy, to czy jestem gotowy dać kark z powrotem pod jarzmo, które Imperator narzuca wszystkim swoim generałom? Czy jestem gotowy nagiąć się do woli boskiego wcielenia tu, na Harmonii? Czy jestem gotowy czekać latami, aż nadarzy się sposobność, która być może nigdy nie będzie taka dogodna jak teraz?”

Znał odpowiedź już w chwili, kiedy stawiał to pytanie. W jakiś sposób musi w tym tygodniu, w tym dniu, w tej godzinie, znaleźć okazję, szansę doprowadzenia Gorayni do upadku i zastąpienia ich okrutnego i brutalnego mocarstwa wielkodusznym i demokratycznym imperium rządzonym przez Sotchitsiya, których zemsta była długo odwleczona, lecz mimo to nieuchronna. Oto Moozh stał ze swoją armią — niewielką, ale w ł a s n ą — w mieście, które symbolizowało wszystko co słabe, bezpłodne i poddańcze na świecie.

„Pragnąłem cię zniszczyć, Basiliko, ale co powiesz, jeśli zamiast tego uczynię cię silną? Co powiesz, jeśli uczynię cię pępkiem świata — ale świata rządanego przez silnych mężczyzn, a nie te słabe i służalcze kobiety, te politykujące amatorki, plotkarki, aktorki i śpiewaczki? Co powiesz, jeśli najwspanialsza opowieść krążąca o Basilice nie będzie słać jej jako miasta kobiet, lecz miasta rządów ludu Sotchitsiya? Basiliko, ty miasto kobiet, przyszedł do ciebie twój mąż, aby cię opanować i nauczyć życia domowego, które tak dawno zapomniałaś”.

Moozh znów spojrzał na listę nazwisk sporządzoną przez kapitana Bitanke. Jeżeli szukał kogoś do rządu Basiliką w imieniu Imperatora, to będzie musiał wybrać mężczyznę na konsula: jednego z synów Wetchika, o ile można ich odnaleźć, lub samego Rashgallivaka, lub jakiegoś słabszego mężczyznę, którego mógłby wesprzeć Bitanke.

Ale jeśli Moozh chciał zjednoczyć Basilikę, Miasta Równiny i Seggidugu przeciwko Imperatorowi, to musiał zostać obywatelem Basiliki poprzez małżeństwo z obywatelką i zapewnić sobie miejsce na czele miasta; potrzebował panny młodej, a nie konsula.

Tak więc najbardziej zaintrygowały go nazwiska dwóch dziewcząt, wodnej wieszczki i interpretatorki. Były młode — dość młode, by obraził wiele osób, jeśli poślubi którąkolwiek z nich, zwłaszcza wodną wieszczkę, która miała zaledwie trzynaście lat! A jednak te dwie dziewczyny cieszyły się odpowiednim prestiżem, takim, który i jemu przypadłby w udziale, gdyby poślubił jedną lub drugą. Moozh, wielki generał Gorayni, poślubi jedną z najbardziej świętych kobiet w Basilice — upokarza się, aby wejść do miasta jako zwykły mąż, a nie zdobywca. W ten sposób zjednałby sobie sympatię nie tylko tych, którzy już byli mu wdzięczni za przywrócenie pokoju, lecz wszystkich, ponieważ zobaczyliby, że nie pragnie ich podbić, ale poprowadzić do wielkości.

Mając żonę w osobie interpretatorki lub wodnej wieszczki, Moozh nie byłby tylko z d o b y w c ą Basiliki, lecz jej w ł a d c ą , i zamiast postawić ultimatum południowym królestwom i miastom Zachodniego Wybrzeża, wypowiedziałby im wojnę. Zaaresztowałby szpiegów Potokgavana i odesłał z prezentami oraz obietnicami do domu, do ich gnuśnego, nasiąkniętego wodą imperium. I na północy wieść rozeszłaby się lotem błyskawicy: Vozmuzhalnoy Vozmozh—no ogłosił się nowym wcieleniem, prawdziwym Imperatorem. Apeluje do wszystkich lojalnych żołnierzy Boga, aby przybyli do niego na południe albo powstałi przeciwko uzurpatorowi tam, gdzie są! Tymczasem w Pravo Gollosa rozejdzie się pogłoska: Sotchitsiya będą rządzić. Powstańcie i weźcie, co do was należało przez te wszystkie lata!

W zamieszaniu, które by zapanowało w północnych krainach, Moozh pomaszerowałby na północ, powiększając swoją armię o kolejnych sojuszników. Wojska Gorayni wycofałyby się przed nim; podbite narody witałyby go jako wyzwoliciela. Dopiero po zepchnięciu Gorayni na ich tereny przerwałby marsz — na okres jednej, długiej zimy w Pravo Gollosa, gdzie wyszkoliłby zbieranie swoich żołnierzy i uczynił z nich prężne wojsko. Potem, wiosną następnego roku, wyruszyłby do górzystej krainy Gorayni i całkowicie pozbawił ich zdolności rządu. Każdemu zdolnemu do walki mężczyźnie odcięto by kciuk, tak aby nigdy nie mógł ani wlać szablą, ani strzelać z łuku, i każdy odrąbany kciuk przypominałby im o cierpieniu Sotchitsiya, którym odcięto języki.

Niech Bóg spróbuje go teraz powstrzymać!

Ale wiedział, że Bóg tego nie zrobi. W ciągu tych kilku ostatnich dni, odkąd przeciwstawił się Bogu i przyszedł na południe, aby zawładnąć Basiliką, Bóg nie próbował mu przeszkodzić, nie próbował go w żaden sposób zastopować. Moozh po trosze spodziewał się, że Bóg każe mu zapomnieć o planowanych przedsięwzięciach. Ale Bóg musiał teraz wiedzieć, że nie miałyby znaczenia, gdyby to zrobił, ponieważ plany były takie prawdziwe i oczywiste, że Moozh po prostu znów o nich będzie myślał — w kółko, jeśli zajdzie taka konieczność.

„Dla siebie obalę rządy Gorayni i zjednoczę Zachodnie Wybrzeże. Dla mojego syna podbiję Potokgavan, ucywilizuję plemiona północnych lasów i utemperuję piratów grasujących w okolicach północnego wybrzeża. Dla syna mojego i mojej żony. Która z was nią zostanie?” Wodna wieszczka była bardziej wpływowa, cieszyła się większym prestiżem; ale była młodsza, właściwie zbyt młoda. Pojawi się niebezpieczeństwo, że ludzie będą jej współczuć z powodu takiego małżeństwa, chyba że Moozh zdoła naprawdę ją przekonać, aby się zgodziła z własnej woli.

Druga jednak, interpretatorka, choć cieszyła się mniejszym prestiżem, byłaby mimo wszystko wystarczająca, i miała szesnaście lat. Szesnaście lat, dobry wiek do politycznego małżeństwa, ponieważ nie była jeszcze dotąd zamężna i — o ile Bitanke miał rację — nie miała nawet kochanków, o których ktokolwiek by wiedział. Ponadto, część prestiżu wodnej wieszczki spłynęłaby na to małżeństwo, ponieważ interpretatorka była jej siostrą, i Moozh zamierzał dopilnować, aby wodną wieszczkę dobrze traktowano — i aby miała bliskie powiązania z nową dynastią, którą Moozh wkrótce ustanowi.

Był to bardzo ponętny plan. Moozh musiał jedynie uzyskać pewność — dostateczną pewność, by działać. Dostateczną pewność, by pójść do domu Rasy i zapewnić sobie małżeństwo z jedną z tych dziewczyn.

Usłyszał jedno puknięcie do drzwi. Stuknął jeden raz w stół. Drzwi otworzyły się.

— Panie — odezwał się żołnierz. — Zaaresztowaliśmy interesującą osobę na ulicy przed domem lady Rasy.

Moozh podniósł wzrok znad rozłożonej na stole mapy i zaczął na resztę informacji.

— To najmłodszy syn lady Rasy. Ten, który zabił Ga—ballufixa.

— Przecież on uciekł na pustynię — powiedział Moozh. — Czy jesteś pewien, że to nie jest uzurpator?

— To całkiem możliwe — przyznał żołnierz. — Ale wyszedł z domu Rasy, podszedł prosto do sierżanta na służbie i powiedział, kim jest i że musi natychmiast z panem porozmawiać o sprawach, które zadecydują o pańskiej przyszłości i przyszłości Basiliki.

— Ach — skomentował Moozh.

— Zatem albo jest chłopcem z mosiężnymi jajami, który odciął głowę Gaballufixowi, założył jego ubranie i wyszedł z miasta, albo jest szaleńcem, który pragnie śmierci.

— Albo i tym, i tym — powiedział Moozh. — Przyprowadź go i bądź gotowy z eskortą czterech żołnierzy odprowadzić go po rozmowie z powrotem do domu lady Rasy. Jeśli uderzę go w twarz, kiedy otworzysz drzwi, by go zabrać, zabijesz go na werandzie domu lady Rasy. Jeśli uśmiechnę się do niego, będziesz go traktował godnie i uprzejmie.

W przeciwnym razie ma być aresztowany i nie wolno mu będzie ponownie wychodzić z domu.

Żołnierz nie zamknął za sobą drzwi. Moozh rozsiadł się wygodnie na krześle i czekał. „To interesujące”, pomyślał, „że nie muszę szukać głównych aktorów w krwawych gierkach tego miasta. Jeden po drugim, wszyscy do mnie przychodzą. Nafai miał pozostawać bezpieczny na pustyni, poza moim zasięgiem — ale przez cały czas przebywał w domu lady Rasy. Jakich jeszcze niespodzianek możemy się spodziewać w jej domu? Pozostałych synów? Jak to ich podsumował Bitanke... Elemak, bystry i niebezpieczny przewodnik karawan; Mebbekew, chodzący penis;

Issib, genialny kaleka. A dlaczegoż by nie Wetchik, sam wizjoner–sprzedawca roślin? Wszyscy oni mogą czekać w domu lady Rasy, aż Moozh zdecyduje, jak ich wykorzystać”.

Czy istnieje możliwość — choćby cień możliwości — że Bóg naprawdę postanowił popierać sprawę Moozha? Że zamiast mu się sprzeciwiać, pomaga mu, pchając w jego ręce wszystkie narzędzia, których generał potrzebuje, by osiągnąć swój cel?

„Na pewno nie jestem wcieleniem niczego z wyjątkiem samego siebie”, pomyślał Moozh. „Nie chcę się bawić w świętość, tak jak to robi Imperator. Ale jeśli Bóg na dłuższą metę pragnie mi udzielić pomocy w mojej sprawie, nie odmówię. Być może w sercu Boga nadeszła godzina Sotchitsiya”.

* * *

Nafai zarazem bał się i nie. To było bardzo dziwne uczucie. Jak gdyby wewnątrz niego czaiło się jakieś przestraszone zwierzę, przerażone, że chłopiec wchodzi do pomieszczenia, gdzie jedno słowo może oznaczać jego śmierć, a jednak samego Nafaia, tę część niego, która była nim, a nie zwierzęciem, fascynowała kwestia, co może powiedzieć, czy spotka się z Moozhem i co się potem stanie. Nie znaczy to, że nie zdawał sobie sprawy z ciągłej obecności śmierci wśród Gorayni; raczej po prostu zdecydował, w głębszych zakamarkach umysłu, że kwestia jego przeżycia jest nieistotna.

Żołnierze wydawali się bardziej zakłopotani niż zatrwożeni tym, że ich zaczepił na ulicy, mówiąc:

— Zaprowadźcie mnie do generała. Jestem Nafai, syn Wetchika, i zabiłem Gaballufixa.

Tymi słowami naraził swoje życie na niebezpieczeństwo, ponieważ Moozh miał teraz świadków jego przyznania się do zbrodni, która mogła doprowadzić do jego egzekucji; Moozh nie musiał nawet wynajdywać pretekstu, by kazać go zabić, gdyby chciał.

Dom Gaballufixa nie zmienił się, a jednak był całkowicie zmieniony. Nie zmieniono ani jednej kotary na ścianie, ani jednego mebla. Nie tknięto całego gnuśnego zbytku, bogactwa, przesadnych dekoracji, śmiałych kolorów. A jednak zamiast przytłaczać, cała ta wystawność robiła wrażenie dość żalosnej, ponieważ prosta dyscyplina i absolutne posłuszeństwo żołnierzy Gorayni powodowało, że wszystko wokół nich traciło na znaczeniu. Gaballufix wybrał te meble, by zastraszyć swoich gości, by ich przerazić; teraz wyglądały na słabe, zużyte, jak gdyby człowiek, który je sprowadził, bał się, że ludzie mogą dostrzec, jak słabą ma duszę, i dlatego musiał ją ukrywać za tą barykadą jaskrawych kolorów i złocen.

„Prawdziwa władza”, uświadomił sobie Nafai, „nie objawia się w niczym, co można kupić za zwykłe pieniądze. Za pieniądze można kupić jedynie złudzenie władzy. Prawdziwa władza leży w sile woli — woli dość silnej, by inni naginali się do niej i chętnie ją spełniali. Władza, którą zdobywa się oszustwem, wyparuje pod wpływem gorącego światła prawdy, jak się przekonał Rashgallivak; ale prawdziwa władza umacnia się, im bardziej człowiek na nią spojrzy nawet kiedy posiada ją pojedyncza osoba, bez armii, bez służących, bez przyjaciół, ale z nieokiełznaną wolą”.

Właśnie taki człowiek na niego czekał, siedząc przy stole za otwartymi drzwiami. Nafai znał ten pokój. To właśnie tutaj on i jego bracia stawili czoła Gaballufixowi, tutaj Nafai wypaplał coś, co zniszczyło subtelne negocjacje Elemaka w celu uzyskania Indeksu. Nie znaczy to, że Gaballufix nie zamierzał ich oszukać. Faktem było, że Nafai odezwał się bez zastanowienia, nie zdając sobie sprawy, że twardy w interesach Elemak nie ujawnia kluczowej informacji.

Nafai postanowił, że teraz będzie ostrożniejszy, że nie ujawni informacji tak, jak by to uczynił Elemak, że będzie przebiegły w tej rozmowie.

Generał Moozh podniósł głowę i Nafai spojrzał mu w oczy, dostrzegając głęboką studnię wściekłości, cierpienia i dumy, a na dnie tej studni, dziką inteligencję, która przejrzy na wylot każdą blagę.

„Czy właśnie taki jest Moozh? Czy zobaczyłem jego prawdziwe oblicze?”

„Pokazałem ci”, szepnął Naddusza, „jaki w głębi duszy naprawdę jest”.

„A więc nie mogę kłamać temu człowiekowi”, pomyślał Nafai. „To się dobrze składa, ponieważ nie umiem dobrze kłamać. Nie mam do tego zdolności. Nie potrafię zachowywać pozorów, że sam głęboko wierzę w swoje oszustwa, a tego właśnie wymaga udane kłamanie. Prawda ciągle wpływa na wierzch w moim umyśle i dlatego przyznaję się w każdym słowie, spojrzeniu i geście.

Poza tym, nie przyszedłem tu bawić się w jakąś grę, konkurować rozumem z generałem Vozmuzhalnoyem Vozmozhno. Przyszedłem dać mu szansę przyłączenia się do nas w powrotnej podróży na Ziemię. Jak mógłby to uczynić, jeśli nie powiem mu prawdy?”

— Nafaiu — odezwał się Moozh. — Usiądź, proszę.

Nafai usiadł. Zauważył, że na stole przed generałem leży rozłożona mapa. Zachodnie Wybrzeże. Gdzieś na tej mapie, daleko w południowo—zachodnim narożniku znajdował się strumień, gdzie Ojciec, Issib i Zdorab czekali w namiotach, wsłuchując się w odgłosy stada pawianów, które pohukiwały i poszczekiwały na siebie. „Czy Naddusza pokazuje Ojcu, co teraz robię? Czy Issib ma Indeks i pyta go, gdzie jestem?”

— Zakładam, że nie oddałeś się w moje ręce dlatego, że tknęło cię sumienie i chciałeś stanąć przed sądem za morderstwo Gaballufixa, aby oczyścić się z winy.

— Nie, panie — odparł Nafai. — Zeszłej nocy ożeniłem się. Nie chcę być ani uwięziony, ani sądzony, ani zabity.

— Ożeniłeś się zeszłej nocy? I jeszcze przed świtem wyszedłeś na ulicę, przyznając się do zbrodni? Mój chłopcze, obawiam się, że niezbyt dobrze trafiłeś, skoro twoja żona nie potrafi cię zatrzymać nawet przez jedną noc.

— Przyszedłem z powodu snu — odrzekł Nafai.

— Ach... t w o j e g o , czy twojej żony?

— T w o j e g o , panie.

Moozh czekał, jego twarz była pozbawiona wyrazu.

— Przypuszczam, że śniłeś kiedyś o człowieku, któremu włochate, latające stworzenie przysiadło na ramieniu, a olbrzymi szczur przywarł do nogi, i potem przyszli ludzie, szczury i anioły, oddając im cześć, całej trójce, dotykając jej...

Ale Nafai przerwał, ponieważ Moozh wstał i świdrował go tymi niebezpiecznymi, przyprowadzającymi o udrękę oczami.

— Powiedziałem o tym Płodowi, a on zameldował orędownikowi i tym sposobem wieść się rozniosła — powiedział Moozh. — Az tego, że o tym wiesz, wnioskuję, iż byłeś w kontakcie z kimś z dworu Imperatora. Skończ więc z tym udawaniem i powiedz mi prawdę!

— Panie, nie wiem, kim jest Plod i orędownik, i twojego snu nie opowiedział mi nikt z dworu Imperatora. Usłyszałem go od Nadduszy. Czy myślisz, że Naddusza nie zna twoich snów?

Moozh ponownie usiadł, ale jego zachowanie uległo zmianie. Zniknęła pewność siebie.

— Czy jesteś postacią, którą Bóg teraz przyjął? Czy jesteś wcieleniem?

— Ja? — zapytał Nafai. — Widzisz, kim jestem: czternastoletnim chłopcem. Może trochę dużym, jak na swój wiek.

— Trochę młodym, by się żenić.

— Ale nie za młodym, by rozmawiać z Nadduszą.

— Wiele osób w tym mieście robi karierę twierdząc, że rozmawia z Nadduszą. Tobie jednak Bóg najwyraźniej udziela odpowiedzi.

— Nie ma w tym nic mistycznego, panie. Naddusza to komputer — potężny, taki, który potrafi sam się odnawiać. Nasi przodkowie zainstalowali go czterdzieści milionów lat temu, kiedy po raz pierwszy dotarli do planety Harmonia jako uciekinierzy ze zniszczonej Ziemi. Dokonali genetycznych zmian u siebie i wszystkich swoich dzieciach — włącznie z nami, po tylu pokoleniach — aby w najgłębszych zakamarkach mózgu reagować na impulsy od Nadduszy. Potem zaprogramowali komputer tak, aby odwieść nas od wszelkich myśli, wszelkich planów prowadzących do rozwoju zaawansowanej techniki i szybkiej łączności oraz transportu po to, żeby świat pozostał dla nas olbrzymim i niepoznawalnym miejscem, a wojny sprawami lokalnymi.

— Dopóki ja się nie pojawiłem — wtrącił Moozh.

— Twoje podboje rzeczywiście znacznie wykraczają poza obszar działań, na które Nadduszą normalnie by pozwolił.

— Ponieważ nie jestem niewolnikiem Boga — powiedział Moozh. — Bez względu na władzę, jaką Bóg — lub, jeśli masz rację, ten komputer — może mieć nad innymi ludźmi, nade mną ma słabszą i ja się jej oparłem, a nawet ją przezwyciężyłem. Jestem tu dziś, ponieważ jestem za silny dla Boga.

— Tak, powiedział nam, że tak myślisz — oznajmił Nafai. — Ale w rzeczywistości wpływ Nadduszy na ciebie jest jeszcze większy od jego wpływu na większość ludzi. Prawdopodobnie tak duży jak na mnie. Gdyby to było stosowne, gdybyś otworzył się na jego głos, Nadduszą mógłbyś z tobą rozmawiać i nie potrzebowałbyś mnie, żeby się dowiedzieć tego, co przyszedłem ci powiedzieć.

— Jeżeli Naddusza powiedział ci, że ma w i ę k s z y wpływ na mnie niż na większość ludzi, to twój komputer kłamie — stwierdził Moozh.

— Musisz zrozumieć: Nadduszy nie interesuje życie poszczególnych ludzi, chyba że przeprowadza jakiś program rozmnażania, aby spróbować stworzyć ludzi takich jak ja — i oczywiście ty. Nie spodobało mi się, kiedy się dowiedziałem, że to właśnie dlatego żyję, lub przynajmniej dlatego doszło do małżeństwa moich rodziców. Nadduszą manipuluje ludźmi. To jego zadanie. Manipulował tobą prawie przez cały czas.

— Mam świadomość, że próbował. Nazwałem go Bogiem, ty go nazywasz Nadduszą, ale nie udało mu się mną sterować.

— Gdy tylko uświadomił sobie, że zamierzałeś stawić mu opór, po prostu zadziałał w przeciwną stronę — wyjaśnił Nafai. — Zakazał ci robić wszystko to, co chciał, żebyś zrobił. A potem dopilnował, żebyś przypominał sobie, że masz to zrobić i spełniałeś jego życzenia prawie w stu procentach.

— To kłamstwo — szepnął Moozh.

Nafai przestraszył się widząc, jak ten człowiek doznaje emocji. Generał wyraźnie nie przywykł do uczuć, których nie potrafił opanować; Nafai zastanawiał się, czy przed dalszą rozmową być może nie powinien odczekać, aby Moozh się uspokoił.

— Czy dobrze się czujesz? — zapytał.

— Mów dalej — powiedział cierpko Moozh. — Mogę wysłuchać wszystkiego, co mają do powiedzenia martwi ludzie.

Był to przejaw takiej słabości, że Nafai poczuł oburzenie.

— Czy mam zmieniać opowieść, ponieważ zagroziłeś mi śmiercią? — zapytał. — Czy myślisz, że przyszedłbym tu, gdybym się bał śmierci?

Nafai dostrzegł zmianę w zachowaniu Moozha. Jakby generał ściągnął cugle.

— Przepraszam — powiedział. — Przez chwilę zachowywałem się tak, jak ludzie, którymi najbardziej pogardzam. Uciekłem się do groźby, aby zmienić wiadomość posłańca, który

przynajmniej wierzy, że mówi mi prawdę. Zapewniam cię jednak, że bez względu na to, co czuję, jeśli dziś umrzesz, to nie z powodu jakichkolwiek słów, które tu wypowiesz. Mów, proszę, dalej.

— Musisz zrozumieć — ciągnął Nafai — że jeśli Naddusza naprawdę będzie chciał, żebyś o czymś zapomniał, to na pewno zapomnisz. Mój brat Issib i ja myśleliśmy, że jesteśmy bardzo sprytni, przerywając zapory Nad—duszy. Ale w rzeczywistości wcale ich nie przerwaliśmy. Po prostu sprawialiśmy tyle kłopotu, że nie warto było nas powstrzymywać. Naddusza wolał nakłonić nas do świadomej realizacji jego planów niż nami sterować i manipulować. Dlatego tu jestem, ponieważ siostra mojej żony zobaczyła w śnie, jak mocna jest twoja więź z Nadduszą i jak marnujesz swoje siły, próbując na próżno stawić mu opór. Przyszedłem ci powiedzieć, że jedynym sposobem na to, by się wyzwolić spod jego kontroli, jest przyłączenie się do jego planu.

— Drogą do zwycięstwa jest kapitulacja? — zapytał ironicznie Moozh.

— Drogą do wolności jest zaprzestanie oporu i rozpoczęcie rozmów — odrzekł Nafai. — Naddusza jest sługą, a nie władcą ludzkości. Można go przekonać. Będzie słuchał. Czasami potrzebuje naszej pomocy. Generale, my cię potrzebujemy, jeśli tylko zechcesz z nami pójść.

— Pójść z wami?

— Pierwszym krokiem w wielkiej podróży było wezwanie mojego ojca na pustynię.

— Twój ojciec został wypędzony na pustynię wskutek machinacji Gaballufixa. Rozmawiałem z Rashgallivakiem i nie dam się oszukać.

— Czy naprawdę wierzysz, że rozmowa z Rashgallivakiem zapewnia ci, iż nie zostaniesz oszukany?

— Wiedziałbym, gdyby mnie okłamał.

— Ale co, gdyby wierzył w to, co ci powiedział, a jednak nie byłoby to prawdą?

Moozh czekał w milczeniu.

— Mówię ci, że bez względu na bezpośredni impuls który skłonił nas do wyjazdu pewnego dnia o pewnej go dzinie, Naddusza chciał, aby Ojciec wraz ze mną i moim braćmi poszedł na pustynię, co stanowi pierwszy krok w po drodze.

— A jednak jesteś w mieście.

— Powiedziałem ci — wyjaśnił Nafai. — Zeszłej nocy ożeniłem się. Moi bracia też.

— Elemak, Mebbekew i Issib.

Nafai zdziwił się i trochę przestraszył, że Moozh tak wiele o nich wie. Ale przyszedł powiedzieć prawdę i miał zamiar tak uczynić.

— Issib pozostał z Ojcem. Chciał przyjść. I ja chciałem, żeby przyszedł. Ale Elemak nie chciał się na to zgodzić i Ojciec uległ. Przyszliśmy po żony. I po żonę Ojca. Kiedy przybyliśmy, Mama roześmiała się i powiedziała, że nigdy nie pójdzie na pustynię, bez względu na szaleńcze zamysły Wetchika. Ale potem aresztowałeś ją i rozgłosiłeś te plotki na jej temat. W rezultacie odciąłeś ją od Basiliki i teraz Rasa rozumie, że nic tu po niej, więc też pójdzie z nami na pustynię.

— Twierdzisz, że moje działania były częścią planu Nadduszy, aby nakłonić twoją matkę do przyłączenia się do męża koczującego w namiocie?

— Twierdzę, że twoje cele zostały nagięte tak, aby służyły planom Nadduszy. I zawsze tak będzie, generale. Zawsze tak było.

— Ale co, jeśli nie pozwolę twojej matce opuścić domu? Co, jeśli zatrzymam ciebie, twoich braci i wasze żony w areszcie domowym? Co, jeśli wyślę żołnierzy, żeby powstrzymali Shedemei przed zbieraniem nasion i embrionów, które chcecie zabrać ze sobą w podróż?

Nafai był zdumiony. Czy Moozh wiedział o Shedemei? To niemożliwe — nigdy by nikomu nie wygadała. Do czego był zdolny ten Moozh, jeśli potrafił przyjść do obcego miasta i dowiedzieć się o różnych sprawach tak szybko, że domyślił się, iż zbieranie nasion przez Shedemei ma coś wspólnego z wygnaniem Wetchika?

— No i widzisz — powiedział Moozh. — Nadduszą nie ma władzy tam, gdzie ja rządę.

— Możesz nas trzymać w areszcie. Ale kiedy Naddusza zdecyduje, że pora, abyśmy wyruszyli, stwierdzisz, że coś cię zmusza do tego, aby nas puścić i tak zrobisz.

— Jeśli Nadduszą będzie chciał, żebyście poszli, mój chłopcze, to możesz być pewny, że nie pójdziecie.

— Nie rozumiesz. Nie powiedziałem ci najważniejszej rzeczy. Bez względu na wojnę, którą w swoim mniemaniu toczysz z Nadduszą, nazwaną przez ciebie Bogiem, liczy się tylko twój sen. O latających stworach i olbrzymich szczurach.

Moozh czekał, ale Nafai znów widział, że generał jest głęboko zaniepokojony.

— To nie Nadduszą zesłał ten sen — powiedział Nafai.

— Naddusza go nie rozumie.

— A więc był to nic nie znaczący sen, zwykły sen śpiącego człowieka.

— Wcale nie. Ponieważ moja żona i jej siostra też śniły o tych samych stworzeniach. I to nie były zwykłe sny. Dla każdego z was były one ważne. Wiedzieliście, że mają znaczenie. A jednak nie pochodziły od Nadduszy.

Moozh znów czekał.

— Minęło czterdzieści milionów lat od chwili, kiedy ludzie porzucili Ziemię, którą prawie doszczętnie zniszczyli — ciągnął Nafai. — To dość czasu, by Ziemia mogła się wyleczyć. Aby powstało tam nowe życie. Aby znalazło się tam miejsce dla ludzkości. Wiele gatunków wyginęło — dlatego Shedemei zbiera nasiona i embriony dla naszej podróży. To my posiadamy dar łatwego porozumiewania się z Nadduszą. To my zostaliśmy zgromadzeni, tutaj w Basilice, w tym dniu, w tej godzinie, abyśmy mogli wyruszyć w podróż, która zawiedzie nas z powrotem na Ziemię.

— Oprócz tego, że Ziemia, o ile istnieje, to planeta krążąca po orbicie odległej gwiazdy, do której nie dolecą nawet ptaki — powiedział Moozh — nadal nie wspomniałeś o ewentualnym związku tej podróży z moim snem.

— Nie znamy go — odparł Nafai. — Domyślamy się tylko, ale Naddusza też uważa, że to może być prawda. Jakimś cudem Stróż Ziemi wzywa nas. Poprzez wszystkie dzielące nas od Ziemi lata świetlne dotarł do nas i wzywa nas do powrotu. O ile nam wiadomo, nawet zmienił zaprogramowanie samej Nadduszy, każąc mu nas zebrać. Naddusza myślał, że wie, dlaczego to robi, ale dopiero niedawno poznał prawdziwy powód. Tak jak ty dopiero teraz poznajesz prawdziwy powód wszystkich swoich uczynków w życiu.

— Przesłanie w śnie, które pochodzi od kogoś znajdującego się w odległości tysięcy lat świetlnych stąd? Zatem sen musiał być wysłany trzydzieści pokoleń przed moimi narodzinami. Nie rozśmieszaj mnie, Nafai. Jesteś zbyt rozgarnięty, by w to wierzyć. Czy nie przychodzi ci do głowy, że być może Naddusza manipuluje tobą?

Nafai to rozważył.

— Naddusza nie okłamuje mnie — odparł.

— A jednak twierdzisz, że okłamywał mnie od samego początku. A więc nie możemy udawać, że Naddusza jest ściśle zaprogramowany na prawdomówność, prawda?

— Ale m n i e nie okłamał.

— Skąd wiesz? — zapytał Moozh.

— Ponieważ to, co mi mówi... w y d a j e się prawdą.

— Jeśli potrafi spowodować, abym ja zapomniał o różnych rzeczach — a potrafi, to się zdarzyło już tyle razy... — Zawiesił głos, najwyraźniej postanawiając nie zagłębiać się w te wspomnienia. — Jeśli potrafi tego dokonać, to czemu nie może też spowodować, aby tobie, jak mówisz, coś „wydawało się prawdą”?

Nafai nie umiał wprost odpowiedzieć. Dotychczas nie kwestionował własnej pewności, więc nie wiedział, dlaczego rozumowanie Moozha jest fałszywe.

— Nie jestem jedyny — powiedział Nafai, usiłując znaleźć powód. — Moja żona też ufa Nadduszy. Jej siostra również. Przez całe życie doznawały snów i wizji, i Nad—dusza nigdy ich nie okłamał.

— Przez całe życie doznawały snów i wizji? — Moozh pochylił się do przodu nad stołem. — Kogo ty właściwie poślubiłeś?

— Myślałem, że już ci powiedziałem — odparł Nafai.

— Luet. To siostrzenica mojej matki w jej szkole domowej.

— Wodna wieszczka — powiedział Moozh.

— Nie dziwi mnie, że o niej słyszałeś.

— Ma trzynaście lat — stwierdził Moozh.

— Jest za młoda, wiem. Ale chciała spełnić prośbę Nadduszy, tak jak i ja.

— Myślisz, że będziesz mógł zabrać wodną wieszczkę z Basiliki w jakąś zwariowaną podróż na pustynię, aby znaleźć starożytną, legendarną planetę? — zapytał Moozh.

— Nawet jeśli ja nie zrobię nic, by cię powstrzymać, to myślisz, że mieszkańcy tego miasta zgodzą się na to?

— Tak, jeśli Naddusza nam pomoże, a na pewno pomoże.

— A którego z twoich braci poślubiła siostra twojej żony? Elemaka?

— Ona wyjdzie za Issiba, który czeka na nas w namiocie mojego ojca.

Moozh odchylił się w krześle i wesoło zachichotał.

— Trudno stwierdzić, kto tu kim kieruje — powiedział. — Według ciebie Naddusza ma masę planów, których jestem niewielką częścią. Ale mnie się wydaje, że Bóg kieruje sprawami tak, aby wszystko poszło po mojej myśli. Przed twoim przyjściem pomyślałem, że Bóg chyba w końcu przestał być moim wrogiem.

— Naddusza nigdy nie był twoim wrogiem — powiedział Nafai. — To ty postanowiłeś zrobić z tego zawody.

Moozh wstał od stołu, obszedł go, usiadł obok Nafaia i chwycił go za rękę.

— Mój chłopcze, to była najbardziej niezwykła rozmowa w moim życiu.

„W moim też”, pomyślał Nafai, ale był zbyt zdumiony, by się odezwać.

— Jestem pewien, że mówisz bardzo poważnie o chęci wyruszenia w tę podróż, ale mogę cię zapewnić, że jesteś w dużym błędzie. Nie wyjedziesz z tego miasta, tak jak nie zrobi tego ani twoja żona i jej siostra, ani żadna z pozostałych osób, które zamierzasz ze sobą zabrać. Prędzej czy później przekonasz się o tym. Jeśli prędzej — teraz — to mam dla ciebie plan, który moim zdaniem spodoba ci się bardziej od łązenia wśród kamieni i skorpionów i spania w namiocie.

Nafai znów pragnął mu wyjaśnić, dlaczego chce podążać za Nadduszą. Dlaczego wie, że z własnej woli podąży za Nadduszą, a być może także za Stróżem Ziemi. Dlaczego wie, że Naddusza go nie okłamuje ani nim nie kieruje czy manipuluje. Ale ponieważ nie potrafił znaleźć słów czy choćby powodów, zachował milczenie.

— Twoja żona i jej siostra są kluczem do wszystkiego. Nie przyszedłem tu podbijać Basiliki, przyszedłem zdobyć jej lojalność. Obserwowałem cię przez ostatnią godzinę, słuchałem twojego głosu i powiem ci jedno, chłopcze, jesteś niezwykły. Taki poważny. Taki uczciwy. I chętny, i masz dobre zamiary. Nawet półślepy by zauważył, że nie chcesz nikomu zrobić krzywdy. A jednak to ty zabiłeś Gaballufixa i tym samym uwolniłeś miasto od człowieka, który byłby tyranem, gdyby żył jeszcze kilka dni. I tak się składa, że dopiero co poślubiłeś najbardziej poważaną osobę w Basilice, dziewczynę, która wzbudza najbardziej powszechną miłość, szacunek, lojalność i nadzieję w tym mieście.

— Poślubiłem ją, aby służyć Nadduszy.

— Powtarzaj to, proszę, chcę, aby wszyscy w to uwierzyli, i kiedy to mówisz, brzmi to zdumiewająco prawdziwie. Łatwo mi będzie rozgłosić opowieść o tym, jak Naddusza kazał ci zabić Gaballufixa w celu ocalenia miasta. I możesz nawet rozsiewać pogłoski, że m n i e Naddusza też tu sprowadził, abym ocalił miasto przed chaosem, który nastąpił po tym, jak siostra twojej żony, interpretatorka, podkopała władzę Rashgallivaka. To wszystko tak zgrabnie do siebie pasuje — nie widzisz tego? Ty, Luet, Hushidh i ja, wysłani przez Nadduszę w celu ocalenia miasta, poprowadzenia Basiliki do wielkości. Wszyscy mamy misję od Nadduszy... to historia, przy której bzdurne gadanie Imperatora o tym, że jest wcieleniem Boga, będzie żalosne.

— Dlaczego to robisz? — zapytał Nafai. Nie mógł się dopatrzeć sensu w tym, że Moozh proponuje zrobić z niego bohatera zamiast zabójcy, że chce się związać z trójką ludzi, których więzi w domu Rasy. Chyba że...

— A jak myślisz? — zapytał Moozh.

— Moim zdaniem, wyobrażasz sobie, że zamiast Gaballufixa możesz m n i e uczynić tyranem Basiliki.

— Nie tyranem — zaprzeczył Moozh. — Konsulem. Rada miasta nadal by pozostała, jak zwykle kłócąc się, spierając i nie robiąc nic konkretnego. Ty byś tylko kierował strażą miasta i sprawami zagranicznymi; pilnowałbyś bram i tego, aby Basilika pozostała wobec mnie lojalna.

— Czy sądzisz, że ludzie nie zorientowaliby się, że jestem marionetką?

— Zorientowaliby się, gdybym ja sam nie został obywatelem Basiliki, twoim dobrym przyjacielem i bliskim krewnym. Ale gdy zostanę jednym z nich, stanę się częścią ich, jeśli zostanę generałem basilikańskiej armii i będę wszystko robił w twoim imieniu, wówczas nie będzie ich obchodzić, kto jest czyją marionetką.

— Bunt — domyślił się Nafai. — Przeciw Gorayni.

— Przeciw najbardziej okrutnym i zdemoralizowanym potworom, które kiedykolwiek chodziły po biednej powierzchni Harmonii — wyjaśnił Moozh. — Pomszczenie potwornej zdrady i ujarzżenia mojego ludu, Sotchitsiya.

— A więc w taki sposób Basilika zostanie zniszczona — powiedział Nafai. — Nie przez ciebie, ale z powodu twojego buntu.

— Zapewniam cię, Nafaiu, z n a m Gorayni. W głębi duszy są słabi, a ich żołnierze kochają mnie bardziej niż swojego żalosnego Imperatora.

— Och, nie wątpię.

— Jeśli Basilika będzie moją stolicą, Gorayni jej nie zniszczą. Nic jej nie zniszczy, ponieważ ja będę zwycięzcą.

— Basilika nic dla ciebie nie znaczy — stwierdził Nafai.

— Jest tymczasowym narzędziem. Już sobie wyobrażam ciebie na północy, jak z olbrzymią armią przygotowujesz się do zniszczenia armii broniącej Golloa, miasta Imperatora, i w tym momencie słyszysz, że Potokgavan korzysta ze sposobności, by wylądować całą armią na Zachodnim Wybrzeżu. Twoi ludzie będą błagać, żebyś wrócił i bronił Basiliki. J a będę cię błagał. Luet będzie cię błagać. Ty jednak zdecydujesz, że jest mnóstwo czasu, by załatwić się z Po—tokgavanem później, po pokonaniu Gorayni. Zostaniesz więc i dokończysz dzieła, a w następnym roku pójdziesz szybko na południe i ukarzesz Potokgavan za ich okrucieństwa, i staniesz na zgłiszczach Basiliki, łkając nad losem miasta kobiet. Twoje łzy mogą być nawet szczere.

Moozh drżał. Nafai to czuł w rękach, które trzymały jego dłonie.

— Decyduj się — powiedział Moozh. — Bez względu na to, co się wydarzy, albo będziesz dla mnie rządził Basiliką, albo umrzesz w Basilice — również dla mnie. Jedno jest pewne: Już nigdy nie wyjedziesz z Basiliki.

— Moje życie spoczywa w rękach Nadduszy.

— Odpowiedz mi — rozkazał Moozh. — Zdecyduj się.

— Gdyby Naddusza chciał, abym ci pomógł podporządkować sobie to miasto, zgodziłbym się być konsulem — odparł Nafai. — Ale Naddusza chce, abym wrócił na Ziemię, więc nie będę konsulem.

— A więc Naddusza znów cię oszukał i tym razem możesz przypłacić to życiem — powiedział Moozh.

— Naddusza nigdy mnie nie oszukał — oświadczył Nafai. — Ci, którzy chętnie podążają za Nadduszą, nigdy nie są okłamywani.

— Chciałeś powiedzieć, że nigdy nie udaje wam się przyłapać Nadduszy na kłamstwie — sprostował Moozh.

— Nie! — wykrzyknął Nafai. — Nie. Naddusza nie okłamuje mnie, ponieważ... ponieważ dotrzymał wszystkich obietnic, które mi dał. Wszystko się sprawdziło.

— Albo kazał ci zapomnieć o tych, których n i e dotrzymał.

— Gdybym chciał wątpić, to mógłbym to robić bez końca — stwierdził Nafai. Ale w pewnym momencie człowiek musi przestać wątpić i zacząć d z i a ł a ć , i w tym momencie trzeba zaufać, że coś jest prawdą. Trzeba działać, jakby coś było prawdą, i wybrać rzecz, która daje największe podstawy do wiary, trzeba żyć w świecie, w którym pokłada się największe nadzieje. Podążam za Nadduszą, wierzę Nadduszy, ponieważ chcę żyć w świecie, który Naddusza mi pokazał.

— Tak, Ziemia — powiedział pogardliwie Moozh.

— Nie mam na myśli planety, chodzi mi o to, że... chcę żyć w rzeczywistości, którą Naddusza mi pokazał. W którym życiu ma jakieś znaczenie i cel. W którym jest jakiś plan warty realizowania. W którym ludzie nie umierają i nie cierpią na próżno, ponieważ wyniknie z tego jakieś dobro.

— Z twoich słów wynika, że chcesz się oszukiwać.

— Z moich słów wynika, że wersja Nadduszy pasuje do wszystkich faktów, które widzę. Twoja wersja, w której jestem bezgranicznie oszukany, też wyjaśnia wszystkie te fakty. Nie potrafię rozstrzygnąć, czy twoja wersja nie jest prawdziwa — ale ty nie potrafisz rozstrzygnąć, czy moja wersja nie jest prawdziwa. Wybiorę więc tę, którą kocham. Wybiorę tę, która — jeśli jest prawdziwa — sprawia, że w tej rzeczywistości warto żyć. Będę działał tak, jak gdyby życie, na które mam nadzieję, to prawdziwe życie, a życie, którym się brzydzę — twoje życie, twoje widzenie życia — to kłamstwo. I ono j e s t kłamstwem. Nawet sam w nie nie wierzysz.

— Czy nie widzisz, chłopcze, że opowiedziałeś mi dokładnie to samo, co ja tobie? Że Naddusza oszukiwał mnie od samego początku? Ja tylko skierowałem pod twoim adresem zwariowaną opowieść, którą ty skierowałeś pod moim. Prawda jest taka, że Naddusza z nas obu zrobił głupców, więc możemy jedynie zapewnić sobie najlepsze życie, jakie zdołamy osiągnąć w tym świecie. Jeśli uważasz, że najlepszym życiem dla ciebie i twojej żony jest rządy Basiliką w moim imieniu, wzięcie udziału w stworzeniu największego imperium, które kiedykolwiek istniało na Harmonii, to oferuję ci je, i będę lojalny wobec ciebie tak, jak ty wobec mnie. Podejmij decyzję w tej chwili.

— Już ją podjąłem — odrzekł Nafai. — Nie będzie żadnego wielkiego imperium. Naddusza nie pozwoli na to. A nawet gdyby powstało takie imperium, nic by dla mnie nie znaczyło. Stróż Ziemi wzywa nas. Stróż Ziemi wzywa ciebie. I proszę cię jeszcze raz, generale Vozmuzhalnoyu Vozmozhno, zapomnij o tym nic nie znaczącym dążeniu do imperium lub zemsty, lub

czegokolwiek, co przez te wszystkie lata było przedmiotem twoich starań. Chodź z nami do świata, gdzie się narodziła ludzkość. Zamień swoją wielkość na sprawę, która jest ciebie godna. Chodź z nami.

— Iść z wami? — zapytał Moozh. — Zmierzacie donikąd. — Wstał, podszedł do drzwi i je otworzył. — Zabierzcie tego chłopca z powrotem do jego matki.

Pojawiło się dwóch żołnierzy, jakby czekali pod drzwiami. Nafai wstał z krzesła i podszedł do miejsca, w którym stał Moozh, blokując częściowo wejście. Spojrzeli sobie w oczy. Nafai widział w nich nadal wściekłość, nie ukojoną niczym, co zostało tu powiedziane dziś rano. Ale zobaczył też strach, którego przedtem nie było w oczach Moozha.

Moozh uniósł rękę, jakby chciał uderzyć Nafaia w twarz; Nafai ani nie skrzywił się, ani nie cofnął przed ciosem. Moozh zawahał się i uderzył Nafaia w ramię, a potem uśmiechnął się do niego. W umyśle Nafai usłyszał głos, który rozpoznał jako głos Nadduszy: uderzenie w twarz było sygnałem dla żołnierzy, żeby cię zamordować. Mam jeszcze taką władzę nad tym zbuntowanym człowiekiem, że przemieniłem jego uderzenie w uśmiech. Ale w głębi serca Moozh pragnie twojej śmierci.

— Nie jesteśmy wrogami, chłopcze — powiedział Moozh. — Nie mów nikomu, co ci tu dziś powiedziałem.

— Panie — odezwał się Nafai — powiem żonie, moim siostram, mojej matce i moim braciom wszystko, co wiem. Nie mamy przed sobą tajemnic. A nawet gdybym im nie powiedział, Naddusza by to uczynił; przez swoją dyskrecję tylko utraciłbym ich zaufanie.

W chwili, kiedy nie zgodził się na dyskrecję, Nafai zaważył, że żołnierze sztywniej, gotowi go uderzyć. Ale sygnał, na który czekali, nie pojawił się.

Zamiast tego Moozh znów się uśmiechnął.

— Słaby człowiek obiecałby, że nie powie, a potem powiedział. Strachliwy człowiek obiecałby, że nie powie, i nie powiedziałby. Ale ty nie jesteś ani słaby, ani strachliwy.

— Generał ocenia mnie zbyt wysoko — powiedział Nafai.

— To będzie taka przykrość, jeśli będę musiał cię zabić — stwierdził Moozh.

— To będzie taka przykrość umierać. — Nafai mógł ledwie w to uwierzyć, kiedy usłyszał, że odpowiada tak nonszalancko.

— Naprawdę wierzysz, że Naddusza cię ochroni — powiedział Moozh.

— Naddusza już dziś uratował mi życie — odrzekł Nafai.

Odwrócił się i wyszedł, jeden żołnierz szedł przed nim, a jeden za nim.

— Czekaj — powiedział Moozh.

Nafai zatrzymał się i odwrócił. Moozh przeszedł przez korytarz.

— Pójdę z tobą — zaproponował Moozh.

Nafai wyczuł po sposobie, w jaki żołnierze nerwowo się poruszają, choć nawet nie spojrzeli na siebie, że to było nieoczekiwane. To nie należało do planu.

„A więc to tak”, pomyślał Nafai. „Może nie osiągnąłem tego, na co miałem nadzieję. Może nie przekonałem Moozha, żeby pojechał z nami na Ziemię. Ale c o ś się zmieniło. W jakiś sposób sprawy przyjęły inny obrót wskutek mojej wizyty. Mam nadzieję, że na lepsze”.

Naddusza odparł w jego umyśle: „Ja też mam taką nadzieję”.

7. CÓRKI

SEN LADY

Po ceremonii ślubnej Rasa czuła się niedobrze. Zgodnie ze zwyczajem basilikańskich nauczycielek zatrzymała swoje obawy dla siebie, ale wyczerpało ją emocjonalnie oddanie swojej drogiej, słabej Dolyi młodemu człowiekowi, którego Rasa nie lubiła tak bardzo jak syna Wetchika, Mebbekewa. Och, chłopak był przystojny i czarujący — Rasa nie była ślepa, dokładnie wiedziała, jaki atrakcyjny potrafił być — i nie miałyby nic przeciwko temu, żeby był pierwszym mężem Dolyi w normalnych okolicznościach, ponieważ Dolya nie była głupia i z pewnością postanowiłaby nie odnawiać kontraktu z Mebem po pierwszym roku. Ale po wyruszeniu na pustynię kwestia odnawiania kontraktu nie będzie wchodzić w rachubę. Dokądkolwiek ta podróż ich zaprowadzi — czy to, według nieprawdopodobnej teorii Nafaia, na Ziemię, czy do jakiegoś bardziej prawdopodobnego miejsca na Harmonii — nie będzie tam swobodnego podejścia do kwestii małżeństwa i choć Rasa ostrzegała ich niejednokrotnie, wiedziała, że przynajmniej Meb i Dolya kompletnie nie zważali na jej ostrzeżenia.

Rasa oczywiście była pewna, że Meb nie zamierza opuścić Basiliki. Będąc mężem Dolyi, miał teraz prawo pozostać — uzyskał obywatelstwo i tym samym zamierzał wyśmiewać wszelkie próby jakichkolwiek osób, by go wyciągnąć z miasta. Gdyby przed domem nie było żołnierzy Gorayni, Meb zabrałby Dolyę i wyprowadził się dziś wieczorem, nie pokazując się, dopóki reszta nie zrezygnuje z niego i nie opuści miasta. Tak więc tylko dzięki temu, że Rasa była w areszcie domowym, Meb zachowywał się posłusznie. Cóż, niech i tak będzie. Naddusza poustawia wszystko tak, jak uzna za stosowne, i Mebbekew nie zaliczał się do osób, które mogą pokrzyżować jej plany.

Meb i Dolya, Elya i Edhya... Cóż, już dawniej widywała, jak jej siostrzenice zawierają kiepskie małżeństwa. Czy nie była świadkiem niekorzystnych małżeństw swoich córek? No cóż, właściwie to Kokor wyszła pechowo za mąż — Obring miał więcej przyzwoitości od Mebbekewa tylko dlatego, że był zbyt słaby, bojaźliwy i głupi, by oszukiwać i wyzyskiwać kobiety na skalę Mebbekewa. Jeśli chodzi o Sevet, to właściwie poślubiła dobrego mężczyznę i zachowanie Vasa w ciągu minionych kilku dni wywarło dość duże wrażenie na Rasie. Był dobrym człowiekiem i być może teraz, kiedy straciła głos, ból w końcu uczyni z Sevet dobrą kobietę. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Kiedy jednak Rasa poszła spać po ceremonii ślubnej i nie mogła zapaść w sen, to właśnie ślub jej syna, Nafaia, i jej najdroższej siostrzenicy, Luet, niepokoił ją i nie pozwalał zasnąć. Luet była za młoda, tak jak i Nafai. Jak mogli zostać tak wcześnie pchnięci w dojrzały wiek, kiedy ich dzieciństwu jeszcze wiele brakowało do końca? Obojgu ukradziono coś cennego. A ich słodkie podejście do całej sprawy, to, w jaki sposób próbowali tak bardzo zakochać się w sobie, tylko łamało serce Rasy jeszcze bardziej.

„Nadduszo, jesteś odpowiedzialna za tyle rzeczy. Czy to warte tego całego poświęcenia? Mój syn, Nafai, ma zaledwie czternaście lat, ale dla ciebie splamił ręce ludzką krwią i teraz zarówno on, jak i Luet dzielą małżeńskie łóżko, kiedy w swoim wieku powinni patrzeć na siebie nieśmiało, zastanawiając się, czy kiedyś jedno może się zakochać w drugim”.

Przewracała się na łóżku. Noc była gorąca i ciemna — gwiazdy świeciły, ale księżyc dawał skąpe światło, a latarnie uliczne słabo płonęły w mieście, w którym obowiązywała godzina policyjna. Rasa prawie nic nie widziała w pokoju, a jednak nie chciała zapalać światła; służąca na

pewno by je zobaczyła, pomyślała, że być może jej pani czegoś potrzebuje i dyskretnie weszła, żeby zapytać. „Muszę być sama”, pomyślała i dalej leżała w ciemnościach.

„Co knujesz, Nadduszo? Jestem aresztowana, nikt nie może ani wejść, ani wyjść z mojego domu. Moozh odciął mnie od świata, tak iż nie mogę się nawet domyślić, komu mogłabym lub nie mogłabym zaufać w Basilice, i dlatego muszę tu czekać, aż jego i twoje zamiary zostaną ujawnione. Kto tu zatriumfuje, czy Moozh ze swoimi knowaniami, czy ty ze swoimi planami, Nadduszo?

Czego chcesz od mojej rodziny? Co z r o b i s z mojej rodzinie, moim najdroższym? Na niektóre rzeczy wyrażam zgodę, choć niechętnie: zgadzam się na małżeństwo Nyefa z Lutyą. A Issib i Hushidh — kiedy nadejdzie ich pora, to jeśli Shuya będzie chętna, ja będę zadowolona, ponieważ zawsze marzyłam o tym, żeby Issib znalazł sobie jakąś miłą kobietę, która nie będzie przywiązywać wagi do jego kalectwa i zobaczy w nim mężczyznę, którym jest, męża, którym może być — i któż jest do tego bardziej zdolny niż moja droga interpretatorka, moja spokojna, mądra Shuya?

Ale ta wyprawa na pustynię — nie jesteśmy do niej przygotowani i nie zdołamy się przygotować w tym domu. Czy w swoich intrygach wzięłaś pod uwagę tę sprawę? Czy to wszystko, co się teraz dzieje, trochę cię nie przerasta? Takie ekspedycje wymagają odrobiny planowania. Wetchik i jego synowie mogli pójść na pustynię, nie mając zbyt dużo czasu na przygotowania, ponieważ mieli cały potrzebny sprzęt i pewne doświadczenie w kwestii wielbłądów i namiotów. Mam nadzieję, że nie oczekujesz, iż ja lub moje dziewczyny będziemy w stanie to zrobić!”

A potem, trochę zawstydzona, że złażała Nadduszę tak obcesowo, Rasa odmówiła znacznie pokorniejszą modlitwę. „Pozwól mi zasnąć”, modliła się, zanurzając palce w modlitewnej misce przy łóżku. „Pozwól mi odpocząć dziś wieczorem, a jeśli nie będzie to zbyt dużym kłopotem, ukaż mi jakąś wizję planów, które masz w stosunku do nas”. Następnie scalała modlitewną wodę z palców.

Kiedy to robiła, przez jej umysł przewinęły się kolejne słowa, przypominając nonszalancki dodatek do jej modlitwy.

„Kiedy będziesz mi wyjawiać swoje plany, Nadduszo, nie bój się prosić o poradę. Znam trochę to miasto i kocham oraz rozumiem tych ludzi bardziej od ciebie, i jak dotąd nie szło ci najlepiej lub przynajmniej tak mi się wydaje. Och, przebac mi!” — wykrzyknęła po cichu, zmieszana. „Och, nie zważaj na to”, powiedziała następnie, przewróciła się na drugi bok i zasnęła pozwalając, by jej palce wyschły na lekkim wietrze wpadającym przez okna jej sypialni.

Wreszcie zasnęła; śniła.

W swoim śnie siedziała w łódce na jeziorze kobiet, a naprzeciwko niej — przy sterze — siedziała Naddusza. Nie znaczy to, że Rasa kiedykolwiek przedtem widziała Nadduszę, ale to był przecież sen i dlatego od razu ją rozpoznała. Naddusza przypominała z wyglądu matkę Wetchika — surową, lecz nie pozbawioną życzliwości kobietę.

— Wiosłuj dalej — powiedziała Naddusza.

Rasa spuściła wzrok i zobaczyła, że siedzi przy wiosłach.

— Ale nie mam tyle siły.

— Zdziwiłabyś się.

— Wolałabym się nie dziwić — odparła Rasa. — Wolałabym robić to, co ty robisz. To ty tu jesteś bóstwem, posiadasz nieograniczona moc. Ty wiosłuj. Ja będę sterować.

— Jestem tylko komputerem — powiedziała Naddusza. — Nie mam rąk i nóg. Ty musisz wiosłować.

— Ja widzę twoje ręce i nogi, i są one znacznie silniejsze od moich. Ponadto nie wiem, dokąd

nas zabierasz. Nie widzę, dokąd płyniemy, bo siedzę tyłem do kierunku, w którym się posuwamy.

— Wiem — powiedziała Naddusza. — Właśnie tak byłaś zwrócona przez całe życie, próbując odtworzyć jakąś wspaniałą przeszłość.

— Jeśli tego nie aprobujesz, to bądź na tyle inteligentna, jeśli nie przyzwolta, by zamienić się ze mną miejscami. Pozwól mi spojrzeć w przyszłość, podczas gdy ty dla odmiany będziesz wiosłować.

— Tak mną poniewierasz — stwierdziła Naddusza. — Zaczynam żałować, że was wszystkich wychowałam. Kiedy za bardzo się ze mną spoufalacie, przestajecie mnie szanować.

— To nie n a s z a wina — odrzekła Rasa. — Nie możemy przejść obok siebie, łódź jest za wąska i przewrócimy się. Przeczolągaj się między moimi nogami, w ten sposób nie wypadniemy z łodzi.

Naddusza sarknęła, przeczołgując się między nogami Rasy.

— Widzisz? Kompletny brak szacunku.

— Ja cię naprawdę szanuję — powiedziała Rasa. — Po prostu nie mam złudzeń, że zawsze masz rację. Nafai i Issib twierdzą, że jesteś komputerem. Właściwie programem, który żyje w komputerze. A więc nie jesteś mądrzejsza od tych, którzy cię zaprogramowali.

— Może zaprogramowali mnie tak, abym uczyła się mądrości. Po czterdziestu milionach lat może nawet wpadłam na kilka dobrych pomysłów.

— Och, jestem tego pewna. Kiedyś musisz mi któryś z nich wyjawić — na pewno do tej pory nie szło ci zbyt dobrze.

— Może po prostu n i e w i e s z o wszystkim, co zrobiłam.

Rasa usadowiła się na rufie łodzi, trzymając rękę na dziobie, i z zadowoleniem zauważyła, że Naddusza pewnie dzierży wiosła i jest w stanie porządnie wiosłować.

Łódź jednak tylko skoczyła w przód, a potem stanęła w miejscu. Rasa rozejrzała się, żeby zobaczyć dłaczego, i uświadomiła sobie, że wcale nie są na wodzie, lecz znajdują się na środku połaci pofałdowanego przez wiatr piasku.

— No cóż, sprawy przyjęły paskudny obrót — stwierdziła Rasa.

— Nie imponujesz mi swoimi umiejętnościami sternika — powiedziała Naddusza. — Chyba nie oczekujesz, że t u mam wiosłować.

— Z m o i m i umiejętnościami sternika? — zapytała Rasa. — To ty wyprowadziłaś nas na pustynię.

— A ty poradziłabyś sobie lepiej?

— Tak myślę. Na przykład, gdzie są wielbłądy? Potrzebujemy wielbłądów. I namiotów! Tyle, żeby wystarczyło dla... ilu nas jest? Elemak i Eiadh, Mebbekew i Doi, Nafai i Luet

— i oczywiście Hushidh. To już siedmioro. I ja. No i lepiej zabierzmy ze sobą Sevet i Kokor z mężami, jeśli będą chcieli iść — to już dwanaście osób. Czy o kimś nie zapomniałam? Aha, jest jeszcze oczywiście Shedemei ze swoimi nasionami i embrionami — ile suchych skrzyń? Nie pamiętam; jej sprzęt będzie wymagał co najmniej sześciu wielbłądów. A nasze zapasy? Nawet nie jestem pewna, jak to oszacować. Będzie nas trzynastu, a wyżywienie tylu ludzi i zapewnienie im schronienia w czasie drogi to nie lada problem.

— Czemu mi o tym mówisz? — zapytała Naddusza.

— Czy myślisz, że przechowuję w pamięci jakieś binarne wielbłądy i namioty?

— A więc jest tak, jak myślałam. Nic nie przygotowałaś do podróży. Czy nie wiesz, że takich rzeczy nie da się zrobić na poczekaniu? Jeśli nie możesz mi pomóc, zaprowadź mnie do kogoś, kto może.

Naddusza zaczęła ją prowadzić w kierunku odległego wzgórza.

— Jesteś taka apodyktyczna — powiedziała Naddusza. — To ja mam być opiekunem ludzkości,

jeśli zechcesz łaskawie o tym pamiętać.

— Świetnie, ty rób swoje, podczas gdy ja poszukam ludzi, których kocham. Kto się zajmie domem po moim wyjeździe? Czy kiedykolwiek o tym myślałeś? Tak wielu uczniów i nauczycielek jest ode mnie zależnych.

— Wszyscy pójdą do domu. Znajdą innych nauczycieli lub inne prace. Nie jesteś niezbędną.

Dotarły do grzbietu wzgórza — jak we wszystkich snach, czasami były w stanie poruszać się bardzo szybko, czasami bardzo wolno. Teraz, na szczycie wzgórza, Rasa zobaczyła, że jest na ulicy przed swoim domem. Nigdy nie wiedziała, że z jej ulicy można zejść ze wzgórza bezpośrednio na pustynię. Rozejrzała się, żeby zobaczyć, od której strony przyprowadziła ją Naddusza, i stanęła twarzą w twarz z jakimś żołnierzem. Ku jej uldze nie był to Gorayni, lecz jeden z oficerów basilikańskiej straży.

— Lady Rasa — odezwał się z nabożną czcią.

— Mam dla ciebie pewne zadanie — powiedziała. — Naddusza już by ci to wszystko powiedziała, tylko że postanowiła pozostawić tę konkretną pracę w mojej gestii. Mam nadzieję, że nie odmówisz pomocy.

— Chcę jedynie służyć Nadduszy — zapewnił.

— A więc mam nadzieję, że wykażesz się pomysłowością i wykonasz wszystkie te prace jak należy, ponieważ ja nie jestem fachowcem i będę musiała pozostawić wiele spraw twojej ocenie. Przede wszystkim będzie nas trzynastu.

— Co zamierza zrobić ta trzynastka?

— Wybrać się na pustynię.

— Generał Moozh zatrzymał panią w areszcie domowym.

— Och, Naddusza się tym zajmie. Ja nie mogę robić w s z y s t k i e g o .

— A więc dobrze — powiedział oficer. — Wyprawa na pustynię. Trzynaście osób.

— Będziemy potrzebowali wielbłądów i namiotów.

— Dużych namiotów czy małych?

— Co to znaczy: duży i mały?

— Duży może pomieścić do dwunastu osób, ale bardzo trudno się go rozbija. Małe są na dwie osoby.

— A więc małe — zdecydowała Rasa. — Wszyscy będą spać w parach, z wyjątkiem jednego namiotu na trzy osoby: dla mnie, Hushidh i Shedemei.

— Hushidh interpretatorka? Wyjeżdża?

— Mniejsza z listą osób, to nie twoja sprawa — powiedziała Rasa.

— Nie sądzę, żeby Moozh chciał, aby Hushidh wyjeżdżała.

— Mnie też nie chce puścić — n a r a z i e — zaznaczyła Rasa. — Mam nadzieję, że notujesz.

— Zapamiętam.

— Świetnie. Załatw wielbłądy i namioty dla nas, a potem wielbłądy do dźwigania namiotów i zapasów, które wystarczą nam na podróż — jak daleko? Nie pamiętam, dziesięć dni powinno wystarczyć.

— To wymaga wielu wielbłądów.

— Nic na to nie poradzę. Jesteś oficerem, jestem, pewna, że wiesz, gdzie są wielbłądy i jak je zdobyć.

— Tak.

— I coś jeszcze. Dodatkowe sześć wielbłądów do dźwigania suchych skrzyń Shedemei. Może już sama je skombinowała — będziesz musiał ją o to spytać.

— Kiedy będzie pani tego wszystkiego potrzebowała?

— Natychmiast — odparła Rasa. — Nie mam pojęcia, kiedy rozpocznie się ta podróż — być

może słyszałeś, że w tej chwili znajdujemy się w areszcie domowym.

— Słyszałem.

— Ale musimy być gotowi do wyjazdu w ciągu godziny, gdy nadejdzie pora.

— Lady Raso, nie mogę tego zrobić bez upoważnienia Moozha. Teraz on rządzi miastem i nie jestem nawet dowódcą straży.

— W porządku — powiedziała Rasa. — Niniejszym daję ci upoważnienie Moozha.

— Nie może mi go pani dać — zaprzeczył oficer.

— Nadduszo? — przemówiła Rasa. — Czy nie nadeszła pora, żebyś wkroczyła i coś zrobiła? Obok oficera pojawił się niezwłocznie sam Moozh.

— Rozmawiasz z lady Rasą — odezwał się surowym tonem.

— To ona przyszła do mnie — wyjaśnił oficer.

— Świetnie. Mam nadzieję, że dokładnie słuchałeś wszystkiego, co ci powiedziała.

— A więc dajesz mi upoważnienie?

— W tej chwili nie mogę — rzekł Moozh. — Nie mogę tego zrobić oficjalnie, ponieważ właściwie nie wiem, czy będę chciał, żebyś to zrobił. Musisz więc zrobić to bardzo dyskretnie, tak abym nawet ja się o tym nie dowiedział. Rozumiesz?

— Mam nadzieję, że nie będę miał zbyt dużych kłopotów, jeśli się dowiesz.

— Żadnych. Nie dowiem się, o ile sam mi nie wypaplasz.

— Co za ulga.

— Gdy zechcę, aby ta podróż się rozpoczęła, rozkażę ci poczynić przygotowania. Musisz tylko powiedzieć: „Tak, panie, można to zrobić w tej chwili.” Proszę, n i e stawiaj mnie w kłopotliwej sytuacji nadmienając, że wszystko jest już gotowe od południa, nie mów też nic takiego, co dawałoby wrażenie, że moje rozkazy nie są wydawane pod wpływem chwili. Rozumiesz?

— Tak jest, panie.

— Nie chcę cię zabijać, więc proszę, nie stawiaj mnie w kłopotliwej sytuacji, dobrze? Mogę cię potrzebować później.

— Jak sobie życzysz, panie.

— Możesz odejść — powiedział Moozh. Oficer straży natychmiast zniknął.

Moozh od razu przeobraził się w śnie Rasy w Nadduszę.

— To chyba załatwia sprawę, Raso — powiedziała Naddusza.

— Chyba tak — potwierdziła Rasa.

— Świetnie — powiedziała Naddusza. — Teraz możesz się obudzić. Wkrótce do twoich drzwi zapuka prawdziwy Moozh i musisz być przygotowana.

— Stokrotne dzięki — zadrwiła Rasa, dość poirytowana. — Niewiele spałam, a ty już każesz mi się budzić?

— Nie odpowiadam za synchronizację — broniła się Naddusza. — Gdyby Nafai nie wybiegł na chybcika nad ranem, domagając się rozmowy z Moozhem jeszcze przed świtem, mogłabyś sobie pospać do godziwej godziny.

— Która jest godzina?

— Powiedziałam ci, zbudź się i spójrz na zegar.

Po tych słowach Naddusza zniknęła i Rasa się obudziła, spoglądając na zegar. Niebo zaczynało dopiero szarzeć i Rasa nie mogła zobaczyć, która jest godzina, nie wstając z łóżka i spoglądając na zegar z bliska. Ze znużeniem jęknęła i włączyła światło. Zbyt wczesna pora, by wstawać. Jednak sen, pomimo swojej dziwaczności, był prawdziwy przynajmniej w jednym względzie: ktoś dzwonił do drzwi.

Służące wiedziały, że o tej godzinie nie wolno im otwierać drzwi, dopóki sama Rasa nie zostanie zawiadomiona ale zdziwiły się widząc, że pani domu tak szybko zjawiała się w hallu.

— Kto tam? — zapytała.

— Twój syn, lady Raso. I generał Vozmoozh... generał.

— Otwórzcie drzwi i możecie odejść — powiedziała Raso.

Nocny dzwonek nie rozbrzmiewał tak głośno, by go słyszano w całym domu, więc i tak w hallu było prawie pusto. Po otwarciu drzwi Nafai i Moozh weszli razem. I nikt inny. Nie było żadnych żołnierzy — choć bez wątpienia czekali na ulicy. Mimo to Raso nie mogła nie przypomnieć sobie dwóch wcześniejszych wizyt złożonych przez ludzi, którzy zamierzali rządzić Basiliką. Zarówno Gaballufix, jak i Rashgallivak przyprowadzili ze sobą zamaskowanych w holograficznych kostiumach żołnierzy, nie próbując tak bardzo przerazić ją, jak podbudować własną pewność siebie. To było znaczące, że Moozh nie czuł potrzeby posiadania ochrony.

— Nie wiedziałam, że mój syn włóczy się po ulicach o tej godzinie — odezwała się Raso. — Tak więc, doceniam pańską życzliwość, że przyprowadził pan go do mojego domu.

— Chyba teraz, kiedy jest żonaty — odrzekł Moozh

— nie będzie pani tak starannie pilnować, kiedy przychodzi i wychodzi, prawda?

Raso okazała swoje zniecierpliwienie Nafaiowi. Cóż on wyrabia, rozповідаjąc, że zeszłej nocy poślubił wodną wieszczkę? Czy już kompletnie nie potrafi zachować dyskrecji? Nie, oczywiście, że nie, bo w przeciwnym razie nie wychodziłby, żeby dać się złapać żołnierzom Moozha. Co, czy próbował uciec?

Lecz nie, czy nie było czegoś... we śnie — tak, Nad—dusza powiedziała coś o Nafaiu, który biegnie na chybcika, domagając się rozmowy z Moozhem.

— Mam nadzieję, że nie sprawił panu kłopotu — odezwała się Raso.

— Przyznam, że trochę sprawił — odrzekł Moozh. — Miałem nadzieję, że może mi pomoże w doprowadzeniu Basiliki do wielkości, na jaką to miasto zasługuje, ale odrzucił ten zaszczyt.

— Proszę mi wybaczyć ignorancję, ale nie widzę, jak coś, co mógłby uczynić mój syn, mogłoby przynieść wielkość miastu, które już jest legendą na całym świecie. Czy istnieje jakiekolwiek miasto, które jest starsze i bardziej święte od Basiliki? Czy istnieje jakieś, które przez tak długi czas było miastem pokoju?

— Osamotnione miasto, pani — powiedział Moozh.

— Samotne miasto. Miasto dla pielgrzymów. Ale wkrótce, mam nadzieję, miasto ambasadorów ze wszystkich wielkich królestw świata.

— Którzy bez wątpienia przyzeglują tu na falach morza krwi.

— Wcale nie, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Jeśli otrzymam znaczącą pomoc.

— Od kogo? — zapytała Raso. — Ode mnie? Od mojego syna?

— Choć wiem, że nie jest to najdogodniejsza sytuacja, chciałbym poznać pani dwie siostrzenice. Tak się składa, że jedna z nich jest żoną Nafaia. Druga to jej niezamężna siostra.

— Nie chcę, żeby pan się z nimi spotykał.

— Ale one będą chciały się ze mną spotkać. Nie sądzi pani? Ponieważ Hushidh ukończyła szesnasty rok życia i zgodnie z prawem może przyjmować gości, a Luet też jest zamężna i tym samym może przyjmować gości, mam nadzieję, że uszanuje pani zarówno prawo jak i formy grzeczności i powiadomi je, że chciałbym się z nimi spotkać.

Raso nie mogła nie podziwiać Moozha, nawet mimo że się go bała — ponieważ w tej chwili, gdy Gabya lub Rash wygrażaliby jej lub grozili, Moozh po prostu domagał się uprzejmości. Nie zaprzętał sobie głowy przypominaniem jej o swoim tysiącu żołnierzy, o swojej władzy na świecie. Po prostu liczył na jej dobre maniere i była wobec niego bezradna, ponieważ słuszność nie była jeszcze po jej stronie.

— Odesłałam służące. Zaczekam tu z panem, gdy Nafai po nie pójdzie.

Kiedy Moozh skinął głową, Nafai wyszedł, idąc zwawym krokiem w kierunku skrzydła domu,

gdzie nowożeńcy spędzali noc. Rasa przez chwilę zastanawiała się, o której godzinie Elemak i Eiadh, Mebbekew i Doi wstaną, i co pomyśla o tym, że Nafai poszedł do generała Moozha. Być może, powinni podziwiać odwagę chłopca, ale Elemak niewątpliwie będzie czuł niechęć do niego za to, że się wtrąca, że zawsze ingeruje w sprawy, które nie powinny go interesować. Natomiast Rasa nie czuła niechęci do tego, że Nafai nie pamięta, iż jest tylko chłopcem. Raczej obawiała się o niego z tego powodu.

— Hall nie jest zbyt wygodnym miejscem — powiedział Moozh. — Być może, znajdzie się jakiś prywatny pokój, gdzie ci, którzy wcześniej wstają, nie będą nam przeszkadzać.

— Ale czemu mielibyśmy potrzebować prywatnego pokoju, skoro jeszcze nie wiemy, czy moje siostrzenice pana przyjmą?

— Pani siostrzenica i synowa — powiedział Moozh.

— Nowy związek; i tak nie mogłby zbliżyć nas do siebie jeszcze bardziej.

— Bardzo pani kocha te dziewczyny — stwierdził Moozh.

— Oddałabym za nie życie.

— A jednak nie może pani znaleźć prywatnego pokoju na spotkanie z obcym gościem?

Rasa rzuciła mu groźne spojrzenie i wyprowadziła go na prywatny portyk — odgrodzony obszar, skąd nie było widoku na Rozpadlinę. Moozh jednak nie stwarzał pozorów, że usiadzie na wskazanym przez nią miejscu. Ruszył do balustrady za przepierzeniem. Mężczyznom nie wolno było tam chodzić, patrzeć na ten widok; a jednak Rasa wiedziała, że gdyby spróbowała mu tego zakazać, osłabiłaby swoją pozycję. To byłoby... żalosne.

Tak więc wstała i stanęła obok niego, patrząc na dolinę.

— Widzi pan to, co niewielu mężczyzn widziało — powiedziała Rasa.

— Ale pani syn to widział — odezwał się Moozh. — Pływał nago na wodzie jeziora kobiet.

— To nie był mój pomysł — wyjaśniła Rasa.

— Nadduszy, wiem — oznajmił Moozh. — Prowadzi nas tyloma krętymi ścieżkami. Moja, być może, jest najbardziej kręta.

— I który zakręt teraz pan wybierze?

— W kierunku wielkości i chwały. Sprawiedliwości i wolności.

— Dla kogo?

— Dla Basiliki, jeśli to miasto zechce je przyjąć.

— My mamy wielkość i chwałę. Mamy sprawiedliwość i wolność. Jak może pan sobie wyobrazić, że jakiekolwiek pańskie wysiłki dodadzą coś do tego, co już posiadamy?

— Być może ma pani rację — stwierdził Moozh. — Być może wykorzystuję Basilikę tylko po to, żeby dodać blasku mojemu nazwisku, zaraz na samym początku, kiedy tego potrzebuję. Czy basilikańska chwała jest taka droga i rzadka, że nie mogę w niej mieć choćby maleńkiego udziału?

— Moozh, lubię pana tak bardzo, że prawie żałuję przerażenia, które mnie ogarnia za każdym razem, kiedy o panu myślę.

— Dlaczego? Nie chcę zrobić krzywdy ani pani, ani żadnej osobie, którą pani kocha.

— Przerażenie nie dotyczy tych spraw. Dotyczy tego, co pan oznacza dla mojego miasta. Dla świata. Jest pan dokładnie taką osobą, której narodzinom Naddusza miała zapobiec. Jest pan uosobieniem machiny wojny, uwielbienia władzy, żądzy powiększania swoich wpływów.

— Nie mogłaby pani wprawić mnie w większą dumę. Usłyszeli za sobą kroki. Rasa odwróciła się i zobaczyła Luet oraz Hushidh. Nafai trzymał się z tyłu.

— Podejdź ze swoją żoną i szwagierką, Nafaiu — powiedziała Rasa. — Generał Moozh uchylił nasz odwieczny zwyczaj, przynajmniej na okres dzisiejszego poranka, gdy słońce przygotowuje się do wzejścia za górami.

Wtedy Nafai ruszył żwawszym krokiem i zajęli miejsca. Moozh rozmieścił ich z łatwością i

zręcznością, zajmując miejsce przy balustradzie, tak iż kiedy usiedli na ustawionych w półkole ławkach, ich punktem centralnym, ogniskiem, był Moozh.

— Przyszedłem tu dziś rano, żeby osobiście pogratulować wodnej wieszczce z powodu jej ślubu zeszłej nocy.

Luet skinęła poważnie głową, choć Rasa miała podstawy przypuszczać, że Luet wie, iż Moozh wcale nie ma takiego celu. W rzeczywistości Rasa miała nadzieję, że Nafai w przybliżeniu zna zamiary Moozha i poinstruował dziewczyny przed przybyciem.

— To zdumiewające w przypadku takiej młodej osoby — ciągnął Moozh. — A jednak, poznawszy stojącego tu młodego Nafaia, widzę, że trafił ci się dobry mąż. Odpowiedni małżonek dla wodnej wieszczki, ponieważ Nafai to dzielny i szlachetny młodzieniec. Właściwie taki szlachetny, że poprosiłem go, aby pozwolił mi wysunąć jego kandydaturę na urząd konsula Basiliki.

— Nie ma takiego urzędu — oznajmiła Rasa.

— Ale będzie — powiedział Moozh. — Tak jak dawniej. Urząd, który jest właściwie zbędny w czasie pokoju, lecz dość potrzebny w okresie wojny.

— Która by nie zawisła nad nami, gdyby pan tylko stąd odszedł.

— To nie ma większego znaczenia, ponieważ pani syn odrzucił ten zaszczyt. W pewnym sensie jest to prawie pomyślna okoliczność. Nie znaczy to, że nie byłby wspaniałym konsulem. Ludzie zaakceptowaliby go, bo nie tylko jest mężem wodnej wieszczki, lecz również sam słyszy głos Nadduszy. Prorok i prorokini, razem w najwyższej izbie miasta. A tym, którzy by się obawiali, że mógłby być słabeuszem, marionetką w rękach zwierzchnika Gorayni, musimy tylko uzmysłwić, że na długo przed przybyciem starego generała Moozha Nafai na rozkaz Nadduszy zażegnał w śmiały sposób niebezpieczeństwo zagrażające wolności Basiliki i sprawiedliwie ukarał śmiercią niejakiego Gaballufixa, który zasłużył na to za wydanie rozkazu zamordowania Roptata. Och, ludzie by chętnie zaakceptowali Nafaia, a on byłby mądrym i zdolnym władcą. Zwłaszcza mając doradcę w osobie lady Rasy.

— Ale odmówił — zaznaczyła Rasa.

— Tak.

— Po cóż więc obsypywać nas kolejnymi pochlebstwami?

— Ponieważ mam kilka możliwości osiągnięcia tego samego celu — odparł Moozh. — Na przykład, mógłbym zadenuncjować Nafaia za tchórzliwe zamordowanie Gaballufixa i zaproponować Rashgallivaka jako człowieka, który bohatercko usiłował bronić miasta w burzliwym okresie. Gdyby nie złośliwa ingerencja interpretatorki o imieniu Hushidh, mógłby odnieść sukces — ponieważ wszyscy wiedzieli, że ręce Rashgallivaka nie są splamione niczyją krwią. Zamiast tego był zdolnym zarządcą, który usiłował nie dopuścić do upadku domu zarówno Wetchika, jak i Gaballufixa. Podczas gdy Nafai i Hushidh staną przed sądem za swoje zbrodnie, Rashgallivak zostanie mianowany konsulem miasta. No i, oczywiście, całkiem słusznie weźmie córki Gaballufixa pod kuratelę, tak jak to uczynił z wdową po Nafaiu po jego egzekucji, a także z interpretatorką po jej ułaskawieniu. Rada miasta nie chciałaby pozostawiać tych biednych kobiet pod wpływem niebezpiecznej, samolubnej lady Rasy.

— A więc jednak ucieka się pan do grózb — stwierdziła Rasa.

— Lady Raso, ja tylko przedstawiam poważne możliwości — alternatywne rozwiązania, które mogą zastosować i dzięki nim dotrzeć do celu, który, tak czy inaczej, osiągnę. Ja naprawdę doprowadzę do tego, że Basilika sprzymierzy się ze mną z własnej woli. Uczynię z niej moje miasto, zanim rzucę wyzwanie tyranii Imperatora Gorayni.

— Czy istnieje jakieś inne rozwiązanie? — zapytała cichym głosem Hushidh.

— Tak, i to prawdopodobnie najlepsze wyjście — odparł Moozh. — To właśnie dlatego Nafai

przyprowadził mnie tutaj — abym mógł stanąć przed interpretatorką i poprosić ją o rękę.

Rasa była przerażona.

— Miałaby poślubić p a n a !

— Pomimo mojego przydomka nie jestem żonaty — powiedział Moozh. — Nie jest to dobre, jeśli mężczyzna zbyt długo żyje sam. Mam trzydzieści lat — mam nadzieję, że nie jestem za stary, abyś zgodziła się mnie poślubić, Hushidh.

— Ona ma wyjść za mojego syna — wtrąciła Rasa.

Moozh odwrócił się do niej i po raz pierwszy jego uprzejme zachowanie zastąpiła zjadliwa, niebezpieczna złość.

— Za kalekę, który ukrywa się na pustyni, kiepski okaz mężczyzny, którego ta urocza dziewczyna nigdy nie pragnęła na męża i teraz też nie pragnie!

— Jest pan w błędzie — zaprzeczyła Hushidh. — Ja go p r a g n ę .

— Ale jeszcze za niego nie wyszłaś — powiedział Moozh.

— To prawda.

— Nie ma prawnych przeszkód, żebyś mnie poślubiła — ciągnął Moozh.

— Nie ma.

— Może pan wejść do tego domu i zabić nas wszystkich — odezwała się Rasa — ale nie pozwolę panu wziąć tej dziewczyny siłą.

— Proszę nie dramatyzować — powiedział Moozh. — Nie zamierzam niczego robić na siłę. Jak już wspomniałem, mam kilka możliwości. Nafai może w każdej chwili powiedzieć „zostanę konsulem”, a wtedy moja propozycja małżeństwa nie będzie taka natarczywa — choć nie wycofam jej, jeśli Hushidh zechce dzielić ze mną przyszłość. Bo zapewniam cię, Hushidh, że bez względu na wszystko moje życie będzie wspaniałe i imię mojej żony znajdzie się obok mojego we wszystkich pieśniach opiewających je po wsze czasy.

— Odpowiedź brzmi: nie — oświadczyła Rasa.

— Nie do pani skierowane jest pytanie — powiedział Moozh.

Hushidh przeniosła wzrok z jednego na drugie, ale o nic ich nie zapytała. Zaiste, Rasa była przekonana, że to nie ich rysy twarzy widzi Hushidh, lecz raczej więzi miłości i lojalności, które ich łączą.

— Ciociu Raso — odezwała się wreszcie Hushidh — mam nadzieję, że mi wybaczysz, iż sprawię zawód twojemu synowi.

— Nie daj się mu zastraszyć — rozogniła się Rasa. — Naddusza nigdy by nie pozwoliła, żeby kazał stracić Nafaia — to tylko pogrożki.

— Naddusza jest komputerem — powiedziała Hushidh. — Nie jest wszechmocna.

— Hushidh, w wizjach należysz do Issiba. Naddusza przeznaczyła was sobie!

— Ciociu Raso — ciągnęła Hushidh — mogę cię tylko błagać o zachowanie milczenia i uszanowanie mojej decyzji, ponieważ zobaczyłam nitki, które łączą mnie z tym człowiekiem, a których istnienia nigdy nie podejrzewałam. Kiedy usłyszałam, że nazywa się Moozh, nie myślałam, że to właśnie ja będę tą jedyną kobietą posiadającą p r a w o do nazywania go tym imieniem.

— Hushidh — odezwał się Moozh — nigdy cię nie widziałem i moja decyzja, by ci się oświadczyć, podyktowana była względami politycznymi. Ale słyszałem, że jesteś mądra, i od razu spostrzegłem twój urok. Teraz poznałem twój sposób myślenia i usłyszałem twoje wypowiedzi, i wiem, iż mogę ci zapewnić nie tylko władzę i chwałę, lecz również czułe dary prawdziwego męża.

— A ja zapewnię panu oddanie prawdziwej żony — odrzekła Hushidh, wstając i podchodząc do niego. Wyciągnął do niej rękę i dziewczyna przyjęła jego delikatny uścisk oraz pocałunek w policzek.

Zdruzgotana Rasa nie była w stanie nic powiedzieć.

— Czy moja ciocia Rasa może dopełnić ceremonii? — zapytała Hushidh. — Zakładam, że... ze względów politycznych... będzie pan chciał, aby ślub odbył się szybko.

— Szybko, ale nie może go udzielić lady Rasa — odparł Moozh. — Jej reputacja nie jest w tej chwili zbyt dobra, choć jestem pewien, że tę sytuację będzie można wyjaśnić wkrótce po ślubie.

— Czy mogę spędzić ostatni dzień z siostrą?

— To będzie twój ślub, a nie pogrzeb — powiedział Moozh. — Będiesz mogła spędzać wiele dni z siostrą. Ale ślub odbędzie się dzisiaj. W południe. W Orchestrze, na oczach całego miasta. I ceremonii dopełni twoja siostra.

To było zbyt straszne. Moozh bardzo dobrze wiedział, jak obrócić wszystko na swoją korzyść. Gdyby ślubu udzieliła Luet, wówczas część jej prestiżu spłynęłaby na ten związek. Moozh zostałby w pełni zaakceptowany jako szlachetny obywatel Basiliki i nie potrzebowałby żadnego zastępcy w roli swojego marionetkowego konsula. Raczej sam zostałby z łatwością ogłoszony konsulem, a Hushidh byłaby jego małżonką, pierwszą damą Basiliki. Byłaby wspaniała w tej roli, godna jej pod każdym względem — tylko że nikt nie powinien odgrywać tej roli, a Moozh zniszczy Basilikę z powodu swojej ambicji. Zniszczenie Basiliki...

— Nadduszo! — zawołała Rasa z głębi serca. — Czy właśnie to planowałaś od samego początku?

— Oczywiście, że tak — odrzekł Moozh. — Zgodnie z tym, co powiedział mi Nafai, sam Bóg mnie tu sprowadził za pomocą swoich machinacji. Po cóż by innego, jeśli nie w celu znalezienia żony?

Znów odwrócił się do Hushidh, która nadal na niego patrzyła, nadal go dotykała, trzymając rękę na jego ramieniu.

— Moja droga damo — odezwał się Moozh — czy teraz ze mną pójdziesz? Podczas gdy twoja siostra będzie się przygotowywać do ceremonii, my musimy porozmawiać o wielu rzeczach i powinnaś być ze mną, kiedy dziś rano ogłosimy nasz ślub radzie miasta.

Luet wstała i ruszyła naprzód.

— Jeszcze się nie zgodziłam grać jakąkolwiek rolę w tej ohydnej farsie!

— Luty — odezwał się Nafai.

— Nie może jej pan zmusić! — wykrzyknęła triumfująco Rasa.

Odpowiedziała jednak Hushidh, a nie Moozh.

— Siostro, jeśli mnie kochasz, jeśli mnie kiedykolwiek kochałaś, to błagam cię, przyjdź do Orchestry przygotowana udzielić nam ślubu. — Spojrzała na wszystkich. — Ciociu Raso, musisz tam przyjść. I przyprowadź swoje córki z mężami, a ty, Nafaiu, przyprowadź swoich braci z żonami. Przyprowadźcie wszystkie nauczycielki i uczniów z tego domu, nawet tych, którzy mieszkają gdzie indziej. Czy przyprowadzicie ich, aby zobaczyli, jak wychodzę za mąż? Czy wyświadczycie mi tę jedną grzeczność, ku pamięci wszystkich szczęśliwych lat, które spędziłam w tym zacnym domu?

Oficjalny charakter jej mowy, rezerwa w jej zachowaniu przybiły Rasę, która rozplakała się, wyrażając zgodę. Luet też obiecała, że dopełni ceremonii.

— Wypuści je pan z domu na ceremonię ślubną, prawda? — zapytała Hushidh Moozha. Uśmiechnął się do niej czule.

— Zostaną odprowadzone pod eskortą do Orchestry — odrzekł — a potem odeskortowane do domu.

— To wszystko, o co proszę — powiedziała Hushidh, a potem opuściła portyk wsparta na ramieniu Moozha.

Po ich wyjściu Rasa usiadła na ławce i załkała gorzko.

— Czemu służyliśmy jej przez te wszystkie lata? — zapytała. — Nic dla niej nie znaczymy. Nic!

— Hushidh nas kocha — powiedziała Luet.

— Ona nie mówi o Hushidh — wyjaśnił Nafai.

— Nadduszo! — zawołała Rasa, a potem wykrzyknęła to słowo, jakby piała do wschodzącego słońca. — Nadduszo!

— Jeśli straciłaś wiarę w Nadduszę — powiedział Narai — to przynajmniej miej wiarę w Hushidh. Czy nie widzisz, że ona nadal ma nadzieję obrócić to na naszą korzyść? Przyjęła propozycję Moozha, ponieważ dostrzegła w tym jakiś plan. Czy przyszło ci do głowy, że być może Naddusza nawet k a z a ł jej wyrazić zgodę?

— Rozważałam tę możliwość — powiedziała Luet — ale trudno mi w to uwierzyć. Naddusza nic nam o tym nie wspominała.

— A więc zamiast rozmawiać ze sobą — podsunął Narai — i zamiast się oburzać, być może powinniśmy słuchać. Może Naddusza tylko czeka, aż poświęcimy mu odrobinę uwagi, aby mógł nam powiedzieć, co się dzieje.

— Zatem będę czekać — powiedziała Rasa. — Ale lepiej, żeby to był dobry plan.

Czekali, cała trójka z własnymi pytaniami w sercu.

Sądząc po minie Nafaia i Luet, oni pierwsi otrzymali odpowiedź. W miarę przeciągającego się czekania Rasa uświadomiła sobie, że w ogóle nie uzyska odpowiedzi.

— Słyszaliście? — zapytał Nafai.

— Nic — odparła Rasa. — Zupełnie nic.

— Być może jesteś zbyt rozgniewana na Nadduszę, żeby cokolwiek od niej usłyszeć — stwierdziła Luet.

— Albo w ten sposób wymierza mi karę — zasugerowała Rasa. — Złośliwa maszyna! Co miała do powiedzenia?

Nafai i Luet spojrzeli na siebie. A więc wiadomość nie była pomyślna.

— Naddusza właściwie nie panuje nad tym — odrzekła w końcu Luet.

— To moja wina — powiedział Nafai. — Moja wizyta u generała przyspieszyła bieg spraw o co najmniej jeden dzień. Już zamierzał poślubić jedną z sióstr, ale zastanawiałby się nad tym jeszcze co najmniej przez jeden dzień.

— Dzień! Czy to by aż tak wiele zmieniło?

— Naddusza nie jest pewna, czy potrafi tak szybko wcielić swój najlepszy plan w życie — powiedziała Luet. — Ale nie możemy też winić za to Nafaia. Moozh jest impulsywny i błyskotliwy, i mógł to zrobić tak szybko nawet gdyby Nafai nie był taki...

— Głupi — podsunął Nafai.

— Odważny — dokończyła Luet.

— A więc skazani jesteśmy pozostać tu w charakterze narzędzi Moozha? — zapytała Rasa. — Cóż, nie mogłby chyba wykorzystać nas w gorszy sposób niż Naddusza.

— Mamo — powiedział Nafai dość ostrym tonem. — Naddusza nie wykorzystał nas. Czy Hushidh wyjdzie za Moozha czy nie, i tak wyruszymy w naszą podróż. Jeśli zostanie żoną Moozha, to wykorzysta swoje wpływy, żeby nas uwolnić — z chwilą, gdy generał umocni swoją pozycję w mieście, nie będzie nas potrzebował.

— Nas? — zapytała Rasa. — Uwolni nas?

— Każdego z nas, kto ma wziąć udział w tej podróży, nawet Shedemei.

— A co z Hushidh? — spytała Rasa.

— Tego właśnie Naddusza nie może zrobić — odparła Luet. — Jeśli nie może zapobiec ślubowi, to Hushidh tu pozostanie.

— Będę nienawidzić Nadduszy do końca życia — oświadczyła Rasa. — Jeśli zrobi to słodkiej Hushidh, to już nigdy więcej nie będę jej służyć. Słyszycie mnie?

— Uspokój się, Mamo — powiedział Nafai. — Gdyby Hushidh mu odmówiła, to zgodziłbym się zostać konsulem, i wtedy to ja i Luet pozostalibyśmy tutaj. Tak czy inaczej, to się musiało zdarzyć.

— Czy to ma mnie pocieszyć? — spytała z goryczą Rasa.

— Pocieszyć ci e b i e ? — zapytała Luet. — Ciebie, lady Raso? Hushidh to moja siostra, moja jedyna krewna — ty będziesz miała wszystkie swoje dzieci, a także męża. Cóż tracisz w porównaniu z tym, co ja stracę? Czy jednak widzisz u mnie łzy?

— Powinnaś płakać — powiedziała Rasa.

— Będę płakać przez całą drogę, kiedy pójdziemy na pustynię — odrzekła Luet. — Teraz jednak mamy niewiele godzin na przygotowania.

— Och, czy mam cię uczyć, jak się udziela ślubu?

— To potrwa pięć minut — powiedziała Luet — a poza tym i tak pomogą mi kapłanki. Czas, który nam pozostał, musimy wykorzystać na spakowanie się do podróży.

— Podróży — powtórzyła gorzko Rasa.

— Musimy mieć wszystko przygotowane, aby załadować bagaże na wielbłądy w ciągu pięciu minut — powiedziała Luet. — Czy mam rację, Nafaiu?

— Nadal istnieje szansa, że wszystko się dobrze ułoży — odrzekł Nafai. — Mamo, teraz nie pora, żebyś się podawała. Przez całe życie byłem świadkiem, że jesteś niewzruszona pomimo wszelkich prowokacji. Czy załamujesz się teraz, kiedy potrzebujemy cię najbardziej, abyś ustawiła pozostałych tak jak trzeba?

— Czy oczekujesz, że to m y nakłonimy Sevet i Vasa, okor i Obringa, żeby się spakowali do podróży na pustynię? — zapytała Luet.

— Czy sądzisz, że Elemak i Mebbekew będą słuchać m o i c h poleceń? — dodał Nafai.

Rasa osuszyła oczy.

— Zbyt wiele ode mnie żądacie — powiedziała. — Nie jestem taka młoda jak wy. Nie jestem taka elastyczna.

— Potrafisz się nagiąć tak, jak potrzeba — zapewniła ją Luet. — A teraz powiedz nam, proszę, co mamy zrobić.

Tak więc Rasa chwilowo zdławiła w sobie smutek i wróciła do swojej starej, znajomej roli. Po kilku minutach w całym domu zapanował ruch: służące zajęły się pakowaniem i przygotowaniami, a urzędniczki pisały listy polecające dla wszystkich nauczycielek, które pozostaną w domu, oraz sprawozdania z postępów w nauce dla wszystkich uczniów, tak aby po wyjeździe Rasy i zamknięciu szkoły wszyscy mogli bez trudu znaleźć sobie nowe szkoły.

Następnie Rasa poszła długim korytarzem do małżeńskiej komnaty Elemaka, aby rozpocząć męczący proces informowania niechętnych podróżników, że wezmą udział w ceremonii ślubnej, ponieważ żołnierze odprowadzą ich na miejsce, i przygotowują się do wyprawy na pustynię, ponieważ z jakiegoś powodu Naddusza zdecydowała, że ich cierpienie nie będzie wystarczające, dopóki nie znajdą się w otoczeniu skorpionów.

ORCHESTRA, RZECZYWISTOŚĆ

Nie tak Elemak pragnął spędzić poranek po swoim ślubie. Miały to być spokojne chwile snu i miłości, rozmów i żartów. Zamiast tego zapanowało zamieszanie związane z przygotowaniami —

i to beznadziejnie nieudanymi przygotowaniami, ponieważ rzekomo szykowali się do wyjazdu na pustynię, a nie mieli ani wielbłądów, ani namiotów, ani zapasów. I niepokoił fakt, że Eiadh nie potrafiła się przystosować do sytuacji. Podczas gdy Doi od razu zaczęła pomagać — bardziej niż sam Meb, ten flegmatyk — Eiadh zwracała Elemakowi głowę protestami i dyskusjami. „Czy nie moglibyśmy tu zostać i dołączyć do nich później? Dlaczego my musimy wyjeżdżać tylko dlatego, że ciocia Rasa jest aresztowana?”

W końcu Elemak wysłał Eiadh po odpowiedzi na te pytania do Luet i Nafaia, a sam przypilnował pakowania, aby wyeliminować zbędną garderobę — spowodowało to zaciekle spory z córką Rasy, Kokor, która nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej zwiewne i prowokujące sukienki nie przydadzą się na pustyni. W końcu stracił cierpliwość w obecności jej siostry, Sevet, oraz ich mężów, i powiedział:

— Słuchaj, Kokor, jedyny mężczyzna, którego będziesz tam miała, to twój mąż, a gdy będziesz chciała go uwieść, możesz zdjąć ubranie.

Po tych słowach wziął jej ulubioną sukienkę i rozdarł na pół. Kokor oczywiście wrzasnęła i wybuchnęła płaczem — ale później zobaczył, że dziewczyna wspaniałomyślnie oddaje wszystkie swoje ulubione sukienki — lub być może wymienia je na praktyczniejsze ubiory, ponieważ prawdopodobnie nie posiadała żadnych rzeczy nadających się do noszenia na co dzień.

Jak gdyby trudne zadanie spakowania wszystkich rzeczy nie było wystarczającym utrapieniem, podczas przejścia przez miasto doznali upokorzenia. To prawda, że żołnierze starali się zachowywać dyskretnie — nie maszerowali przy aresztowanych zbitą masą chamowatych wojaków. Byli jednak żołnierzami Gorayni i dlatego przechodnie — większość z nich też szła w kierunku Orchestry — robili wokół nich miejsce, a potem gapili się na nich, gdy ich mijali.

— Patrzą na nas jak na przestępców — zauważyła Eiadh.

Elemak jednak uspokoił ją, że większość gapiów prawdopodobnie uważa ich za honorowych gości eskortowanych przez wojsko, i Eiadh zaczęła się wdzięczyć. W głębi duszy Elemak czuł się trochę zaniepokojony, że Eiadh jest taka dziecinna. Czyż Ojciec nie ostrzegał go, że młode żony mają, co prawda, ładniejsze, szczupłe ciała, lecz również nietęgą umysł? Eiadh była po prostu młoda; Elemak nie mógł oczekiwać, iż dziewczyna będzie traktować poważne sprawy poważnie lub choćby nawet rozumieć, które sprawy są poważne.

Teraz siedzieli na honorowych miejscach, nie pośród ławek na wznoszących się stokach amfiteatru, lecz na samej Orchestrze, po prawej stronie niskiego podwyższenia, które zmontowano na środku dla potrzeb samej ceremonii. Byli grupą panny młodej; po drugiej stronie, grupa pana młodego składała się z wielu członków rady miasta oraz oficerów basilikańskiej straży i kilku — zaledwie garstki — oficerów Gorayni. Nie było tu widać żadnych oznak dominacji Gorayni. Nie znaczy to, że takie oznaki były potrzebne. Elemak wiedział, że mnóstwo żołnierzy Gorayni i basilikańskich strażników czeka dyskretnie ukrytych poza zasięgiem wzroku, lecz dostatecznie blisko, by zainterweniować, gdyby zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Gdyby, na przykład, jakiś skrytobójca lub inny ciekawski próbował przemierzyć otwartą przestrzeń pomiędzy ławkami i ślubnymi grupami wokół podwyższenia, zaliczyłby strzałę wystrzeloną przez jednego z łuczników siedzących w budce suflera i kanale dla muzyków.

„Jak szybko się zmienia sytuacja”, pomyślał Elemak. „Zaledwie kilka tygodni temu wróciłem do domu z udanej wyprawy karawanowej, wyobrażając sobie, że jestem gotów zdobyć ważny głos w sprawach Basiliki. Gaballufix wydawał mi się wtedy najpotężniejszym człowiekiem na świecie, a moja przyszłość jako spadkobiercy Wetchika i brata Gabyi rzeczywiście wyglądała różowo”. Od tamtej pory wszystko zmieniał się w zawrotnym tempie. Czy tydzień temu, odwadniając sobie ciało i umysł na pustyni, uwierzyłby, że w ciągu niespełna siedmiu dni poślubi Eiadh w domu Rasy? A nawet zeszłej nocy, kiedy on i Eiadh byli centralnymi postaciami ceremonii ślubnej, czy

mogło mu przyjść do głowy, że nazajutrz w południe Nafai i Luet, zamiast być dziećmi, żalosnymi intruzami na ślubie Elemaka, będą teraz siedzieć na samym podwyższeniu, gdzie Luet dopełni ceremonii, a Nafai będzie rzecznikiem generała Moozha?

Nafai! Czternastoletni chłopiec! I to właśnie do niego zwrócił się generał Moozh, aby chłopiec zagwarantował mu uzyskanie obywatelstwa Basiliki, oddając go Hushidh, jakby Nafai był jakąś ważną figurą w mieście. Cóż, był ważną figurą — ale tylko jako mąż wodnej wieszczki. Nikomu nie mogło przyjść do głowy, że Nafai zasługuje na ten zaszczyt ze względu na swoją osobę.

Wodna wieszczka, interpretatorka... Elemak nigdy nie przywiązywał zbytnej wagi do takich rzeczy. To były tylko sztuczki kapłańskie — dochodowy interes, ale on nie miał do niego cierpliwości. Jak na przykład głupi sen, który Elemak miał na pustyni — tak łatwo można było przekręcić bezsensowny sen w plan działania, a to z powodu naiwnych głupców, którzy wierzyli, że Naddusza to jakaś szlachetna istota, a nie zwykły program komputerowy odpowiedzialny za przekazywanie danych i dokumentów do różnych miast za pośrednictwem satelity. Nawet sam Nafai twierdził, że Naddusza to tylko komputer, a jednak on, Luet, Hushidh i Rasa opowiadali wiele historii o tym, jak Naddusza próbuje tak wszystko urządzić, aby nie doszło do tego małżeństwa i żeby wylądowali wszyscy na pustyni, gotowi do podróży, nim ten dzień dobiegnie końca. Jak to, czy program komputerowy może sprawić, by ni stąd ni zowąd pojawiły się wielbłądy? By z pustynnego kurzu powstały namioty? By kamienie i piasek przemieniły się w ser i ziarno?

— Czyż on nie wygląda jak odważny i wspaniały mężczyzna? — zapytała Eiadh.

Elemak odwrócił się do niej.

— Kto? Czy generał Moozh już tu jest?

— Mówię o twoim bracie, głuptasie. Spójrz.

Elemak spojrzał w kierunku podwyższenia i nie pomyślał, że Nafai wygląda na szczególnie odważnego lub wspaniałego. Właściwie wyglądał głupio, cały wystrojony jak chłopiec, który udaje mężczyznę.

— Nie mogę uwierzyć, że podszedł do żołnierza Gorayni — powiedziała Eiadh — i poszedł porozmawiać z samym generałem Vozmuzhalnoyem Vozmozhno — podczas gdy wszyscy inni spali!

— Cóż w tym takiego odważnego? To było niebezpieczne i głupie, i spójrz, do czego to doprowadziło — Hushidh musi poślubić tego człowieka.

Eiadh spojrzała na niego zaskoczona.

— Elya, ona wychodzi za najpotężniejszego człowieka na świecie! A Nafai będzie jego rzecznikiem.

— Tylko dlatego, że jest mężem wodnej wieszczki.

Eiadh westchnęła.

— Ona naprawdę jest taka nieładna. Ale te sny... sama próbowałam je mieć, ale nikt nie traktuje ich poważnie. Prawdę mówiąc, zeszłej nocy miałam bardzo dziwny sen. Włochata, latająca małpa z okropnymi zębami zrzuciła na mnie odchody, a olbrzymi szczur zestrzelił ją z łuku — uwierzyłbyś w coś tak idiotycznego? Dlaczego ja nie mogę mieć snów od Nadduszy, możesz mi to powiedzieć?

Elemak prawie nie słuchał. Myślał o wyraźnej zazdrości Eiadh z powodu tego, że Hushidh wychodzi za najpotężniejszego człowieka na świecie. I o jej podziwie dla Nafai z powodu jego przekłętą tupetu, że wyszedł z domu i zaczepił generała Moozha w środku nocy. Czegóż mógł dokonać, jeśli nie tylko rozwścieczyć człowieka? To było czyste, idiotyczne szczęście, że w rezultacie Nafai wylądował na tym podwyższeniu. Mimo wszystko drażniło Elemaka, że to właśnie Nafai tu siedzi, a wszystkie oczy Basiliki zwrócone są na niego. Nafai, o którym szeptano,

Nafai, który będzie postrzegany jako mąż wodnej wieszczki, szwagier interpretatorki. I kiedy Moozh mianuje się królem — o tak, oficjalnie będzie się określać mianem k o n s u l a , ale to będzie znaczyło to samo — Nafai będzie szwagrem Jego Królewskiej Mości i mężem wielkiej osobistości, a Elemak pustynnym handlarzem. Och, oczywiście przywrócą Ojcu status Wetchika, gdy Ojciec uświadomi sobie, że Naddusza przecież nie był w stanie nikogo wyprowadzić z Basiliki. I Elemak znów będzie jego spadkobiercą, ale cóż będzie wtedy znaczył ten tytuł? A najgorsze będzie to, że odzyska swoją pozycję i przyszłość w prezencji od Nafaia. Zawrzał z gniewu.

— Nafai jest taki impulsywny — powiedziała Eiadh. — Czy nie jesteś z niego dumny?

Czy ona nie może przestać o nim mówić? Do dzisiejszego poranka Elemak wiedział, że Eiadh to najwspanialsza partia, jaką mężczyzna może sobie znaleźć w tym mieście. Teraz jednak uświadomił sobie, iż w głębi duszy właściwie myślał, że Eiadh to najwspanialsza p i e r w s z a partia, jaką młody mężczyzna może sobie znaleźć. Pewnego dnia będzie potrzebował prawdziwej żony, małżonki, i nie było podstaw przypuszczać, że Eiadh dorosnie do tej roli. Prawdopodobnie zawsze będzie płytka i lekkomyślna, a to właśnie te cechy budziły w nim czułość. Kiedy śpiewała mu zeszłej nocy, gardłowym głosem pełnym wyuczanej namiętności, pomyślał sobie, że mógłby słuchać jej śpiewu bez końca. Teraz spojrzał na podwyższenie i uświadomił sobie, że jakkolwiek by nie było, to Nafai zawarł związek małżeński, który warto będzie kontynuować przez trzydzieści lat.

„No cóż, świetnie”, pomyślał Elemak. „Ponieważ nie wyjedziemy z Basiliki, zatrzymam Eiadh na kilka lat, a potem łagodnie się jej pozbędę. Kto wie? Może Luet nie pozostanie z Nafaiem. Gdy będzie starsza, może zapragnie silnego mężczyzny. Będziemy mogli potraktować te pierwsze małżeństwa jako dziecinny etap, przez który przeszliśmy w młodości. Wtedy j a będę szwagrem konsula.

A jeśli chodzi o Eiadh, no cóż, przy odrobinie szczęścia urodzi mi syna, zanim się rozejdziemy. Ale czy to by było naprawdę szczęście? Czy mój najstarszy syn, mój spadkobierca, powinien mieć matkę, która jest taka płytka? Najprawdopodobniej to synowie z moich późniejszych małżeństw, dojrzałych małżeństw, będą najbardziej godni, „by zająć moje miejsce”.

Potem, jak gdyby dostał nagłego ataku niestrawności, uświadomił sobie, że Ojciec też może tak uważać. Przecież związek z lady Rasą był j e g o dojrzałym małżeństwem, a Issib i Nafai synami z tego małżeństwa. Czyż Mebbekew nie był chodzącym, mówiącym dowodem niefortunnych rezultatów wczesnych małżeństw?

„Ale ja nie”, pomyślał Elemak. „Ja nie jestem synem z jakiegoś lekkomyślnego, wczesnego małżeństwa. Ja jestem synem, o którego nie mógł się odważyć poprosić — synem jego cioci, synem Hosni, urodzonym tylko dlatego, że tak podziwiała młodego Volemaka, kiedy wprowadziła go w przyjemności łóżka. Hosni była kobietą majątną i Ojciec ufa mi oraz podziwia mnie bardziej od swoich pozostałych dzieci. Lub przynajmniej tak było, dopóki nie zaczął doznawać wizji od Nadduszy i Nafai nie nauczył się tego wykorzystywać udając, że też doznaje wizji”.

Elemaka przepełniała wściekłość — stara, głęboko tkwiąca wściekłość oraz nowa, paląca zazdrość o podziw Eiadh dla Nafaia. Jednak rzeczą, która dopiekała mu najbardziej i najgłębiej, była jego obawa, że Nafai nie udaje, że z jakiegoś niepoznawalnego powodu na spadkobiercę Wetchika Naddusza wybrał najmłodszego, a nie najstarszego syna Ojca. Czyż Naddusza tak nie powiedział, kiedy przejął kontrolę nad krzesłem Issiba i kazał Elemakowi przestać bić Nafaia w tamtym wozie poza miastem? Czyż nie powiedział, że pewnego dnia Nafai poprowadzi swoich braci, lub coś w tym guście?

„Cóż, drogi Nadduszo, nie stanie się tak, jeśli Nafai będzie martwy. Czy kiedykolwiek przyszło ci to na myśl? Jeśli możesz rozmawiać z n i m , to i ze mną, i najwyższa pora, żebyś zaczął to

robić”.

„Dałem ci sen o żonach”.

To zdanie rozbrzmiało w umyśle Elemaka tak wyraźnie, jakby ktoś je wypowiedział głośno. Elemak wybuchnął śmiechem.

— Z czego się śmiesz, Elya, kochanie? — zapytała Eiadh.

— Z tego, jak łatwo ludzie oszukują samych siebie — odparł Elemak.

— Ludzie bez przerwy rozmawiają o tym, jak człowiek potrafi się okłamywać, ale ja nigdy tego nie rozumiałam — oznajmiła Eiadh. — Jeśli mówisz sobie jakieś kłamstwo, to wiesz, że kłamiesz, prawda?

— Tak — potwierdził Elemak. — Wiesz, że kłamiesz, i wiesz, jaka jest prawda. Ale niektórzy ludzie zakochują się w kłamstwie i całkowicie ignorują prawdę.

„Tak jak ty to teraz robisz”, powiedział głos w jego głowie. „Wolisz wierzyć w kłamstwo, że nie mogę rozmawiać z tobą ani z nikim innym, i dlatego się mi przeciwstawisz”.

— Pocałuj mnie — powiedział Elemak.

— Jesteśmy na środku Orchestry, Elya! — zaprotestowała, ale wiedział, że Eiadh ma na to ochotę.

— Tym lepiej — stwierdził. — Wczoraj wzięliśmy ślub — ludzie oczekują, że nie będziemy zwracać uwagi na nic z wyjątkiem nas samych.

Tak więc Eiadh go pocałowała, a Elemak zatracił się w tym pocałunku, zapominając o wszystkim oprócz pożądania. Gdy pocałunek wreszcie dobiegł końca, rozległy się oklaski — zauważono ich i Eiadh była zachwycona.

Mebbekew oczywiście natychmiast zaproponował Doi identyczny pocałunek, ale ona była na tyle rozsądna, że mu odmówiła. Mimo to Mebbekew nalegał, dopóki Elemak nie pochylił się w jego kierunku, mówiąc:

— Meb, nieoczekiwane osłabienie efektu to zawsze kiepska zagrywka — czy sam mi tego nie mówiłeś?

Meb spojrzał groźnie i zrezygnował z pomysłu.

„Nadal kontroluję sytuację”, pomyślał Elemak. „Inie zamierzam zacząć wierzyć w głosy w moim umyśle, tylko dlatego, że pragnę je słyszeć. Nie jestem taki jak Ojciec, Nafai i Issib, którzy zdecydowani są wierzyć w fantazje, ponieważ tak miło i przyjemnie jest myśleć, że nad wszystkim czuwa jakaś wyższa istota. Jestem w stanie dać sobie radę z zimną, bezwzględną prawdą. To zawsze wystarcza prawdziwemu mężczyźnie”.

Rozbrzmiały rogi. Ze wszystkich minaretów wokół amfiteatru muzycy grający na rogu uderzyli w płaczliwy ton. Były to starożytne instrumenty, a nie dokładnie dostrojone rogi wykorzystywane w teatrach lub na koncertach, i nie usiłowano stworzyć harmonii między nimi. Z każdego rogu wydobywał się jeden dźwięk na raz, który rozbrzmiewał długo i głośno, a potem cichł, gdy grającemu brakowało tchu. Nuty nachodziły na siebie, czasami z ujmującym dysonansem, innymi razy ze zdumiewającą harmonią; zawsze jednak był to przejmujący, piękny dźwięk.

Zgromadzeni na ławkach obywatele umilkli, a Elemak z drżeniem oczekiwał ceremonii, tak jak wszyscy w Orchestrze. Za chwilę miał się rozpocząć ślub.

* * *

Spragniona stała przy bramie Basiliki i zastanawiała się, dlaczego Naddusza ją teraz zawiodła. Czyż nie otrzymywała pomocy na każdym kroku podczas drogi z Potokgavana? Natknęła się na kanałową łódź i poprosiła przewoźników, aby ją zabrali, i bez pytania wzięli ją na pokład, choć nie mogła im zapłacić. W dużym porcie powiedziała zuchwale kapitanowi statku korsarskiego, że

Naddusza każe jej dotrzeć do Czerwonego Wybrzeża tak szybko, jak jeszcze nikt nigdy nie dotarł, na co kapitan wybuchnął śmiechem i zaczął się przechwalać, że przy takim sprzyjającym wietrze, jeśli nie będzie miał ładunku, pokona drogę w jeden dzień. W Czerwonym Wybrzeżu jakaś dama zsiadła z konia i oddała go Spragnionej na ulicy.

To właśnie na tym koniu Spragniona przybyła pod Dolną Bramę oczekując, że bez problemów zostanie wpuszczona, tak jak wszystkie kobiety zawsze wpuszczano, czy były obywatelkami, czy nie. Zamiast tego stwierdziła, że bramy pilnują żołnierze Gorayni, którzy wszystkich odsyłają.

— W mieście odbywa się wielki ślub — wyjaśnił jej żołnierz. — Generał Moozh żeni się z jakąś basilikańską damą.

Spragniona nie miała pojęcia, w jaki sposób, ale od razu wiedziała, że powodem jej przybycia jest właśnie ten ślub.

— A więc musi mnie pan wpuścić — powiedziała — ponieważ jestem zaproszona.

— Zaproszeni są tylko obywatele Basiliki i tylko ci, którzy już znajdowali się w obrębie murów. Nasze rozkazy nie dopuszczają żadnych wyjątków, nawet w przypadku karmiących matek, których dzieci są w mieście, nawet w przypadku lekarzy, których umierający pacjenci są w środku.

— Jestem zaproszona przez Nadduszę — powiedziała Spragniona — i na tej podstawie unieważniam wszelkie rozkazy, które wydał panu śmiertelnik.

Żołnierz roześmiał się, ale szybko umilkł, ponieważ głos Spragnionej rozbrzmiał głośno i tłum przy bramie obserwował ich, słuchał. Ci ludzie też nie zostali wpuszczeni i skłonni byli do brutalnych działań przy najmniejszej prowokacji.

— Wpuść ją — odezwał się jeden z żołnierzy — choćby po to, żeby tłum się nie zbuntował.

— Nie bądź głupcem — powiedział inny. — Jeśli ją wpuścimy, będziemy musieli wpuścić wszystkich.

— Oni wszyscy chcą, abym weszła — podkreśliła Spragniona.

Tłum mruknął na znak potwierdzenia. Spragniona zastanawiała się nad tym — tłum Basilikańczyków tak żywo reaguje na Nadduszę, natomiast żołnierze Gorayni są nieczuli na jej wpływ. Być może to właśnie dlatego Gorayni byli takimi złymi ludźmi, jak to słyszała w Potokgawanie: ponieważ nie słyszeli głosu Nadduszy.

— Mój mąż czeka na mnie tam w środku — oświadczyła Spragniona, choć uświadomiła sobie, że to prawda dopiero wtedy, gdy usłyszała, jak wypowiada te słowa.

— Twój mąż będzie musiał poczekać — odrzekł żołnierz.

— Lub wziąć sobie kochankę — dodał inny i roześmiali się.

— Lub sam się zadowolić — powiedział pierwszy i znów ryknęli śmiechem.

— Powinniśmy ją wpuścić — powiedział jeden z żołnierzy. — A co, jeżeli jest wybranką Boga?

Jeden z pozostałych żołnierzy natychmiast wyciągnął nóż i przyłożył go do gardła tego, który to powiedział.

— Wiesz, jakie otrzymaliśmy ostrzeżenie — musimy zatrzymać właśnie tę, którą chcemy wpuścić!

— Ale ona musi się tam znaleźć — powiedział żołnierz, który był czuły na wpływ Nadduszy.

— Jeszcze jedno słowo i cię zabiję.

— Nie! — wykrzyknęła Spragniona. — Pójdę sobie. Nie dla mnie ta brama.

W głębi duszy poczuła, jak potrzeba wejścia do miasta narasta; ale nie dopuści do zamordowania tego człowieka, skoro i tak nie pozwoli jej to przejść przez bramę. Zamiast tego zawróciła konia i ruszyła z powrotem przez tłum, który się przed nią rozstąpił. Szybko wspięła się stromym szlakiem prowadzącym do Drogi Karawanowej, ale nie próbowała wejść przez Bramę Targową; pojechała Drogą Wyżynną, ale też nie próbowała wejść ani przez Górną Bramę, ani przez Bramę Stożkową. Popędziła wierzchowca Ciemną Ścieżką, która wiła się wśród głębokich

wawozów wznoszących się do zalesionych wzgórz na północ od miasta, aż dotarła do Drogi Leśnej — jednak nie skierowała się też w kierunku Tylnej Bramy.

Zamiast tego zsiadła z konia i zanurzyła się w gęstych zaroślach Leśnych Bezdroży, zmierzając ku prywatnej bramie, o której tylko kobiety wiedziały i z której tylko kobiety korzystały. Obejście miasta zabrało jej godzinę, a przy tym wybrała długą drogę — ale wokół wschodniej ściany, która opadała prosto ku urwistym stokom i przepaściom, nie było ścieżki dla koni, a wdrapywanie się tym szlakiem pieszo zabrałoby znacznie więcej czasu. Teraz sam las wydawał się stawiać jej przeszkody, powstrzymywać ją, choć wiedziała, że Naddusza kieruje nią na każdym kroku, aby znalazła najszybszą drogę do prywatnej bramy. Jednak nawet po wejściu tamtą drogą potrzebowała wiele czasu, żeby dotrzeć do miasta, a już słyszała rogi, które zaczynały swoją pełną żałości serenadę. Ceremonia wkrótce się rozpocznie, a Spragniona na nią nie zdąży.

* * *

Luet poruszała się i przemawiała najwolniej, jak mogła, ale kiedy dopełniała ceremonii, nie miała możliwości zrobienia tego, czego pragnęła w głębi serca — przerwania ślubu i zdemaskowania Moozha przed zgromadzonymi obywatelami. W najlepszym razie zostałyby po prostu zepchnięta z podwyższenia, zanim zdążyłaby coś powiedzieć, podczas gdy jej miejsce zajęłaby bardziej odpowiedzialna kapłanka; w najgorszym razie zdołałaby przemówić, prawdopodobnie zostałaby powstrzymana przez strzałę, po czym wybuchłyby rozruchy i polałaby się krew, i Basilikę można by łatwo zniszczyć przed nadejściem następnego dnia. Cóż by to dało?

Tak więc kontynuowała ceremonię, z rozważą, z długimi pauzami, ale w żadnym momencie nie przerywając uroczystości, nie ignorując szeptanych podpowiedzi kapłanek, które były obok niej przy każdym zwrotnym punkcie, przy każdej mowie.

Pomimo jednak całego nękającego ją wzburzenia Luet nie potrafiła dostrzec, by Hushidh odczuwała cokolwiek oprócz całkowitego spokoju. Czy to możliwe, że Hushidh cieszy się z tego małżeństwa, które pozwoli jej uniknąć życia w charakterze żony kaleki? Nie — Shuya była szczera, kiedy powiedziała, że Naddusza kazała jej się pogodzić z tą przyszłością. Jej spokój musi wynikać z całkowitego zaufania pokładanego w Nadduszy.

— Ma rację, że jej ufa — odezwał się głos, a właściwie szept. Przez chwilę wydawało się jej, że to Naddusza, ale uświadomiła sobie, że to Nafai, który odezwał się, kiedy przechodziła obok niego podczas procesji z kwiatami. Skąd wiedział, jakich akurat wtedy ma użyć słów, aby tak trafnie odpowiedzieć na jej myśli? Czy to zasługa Nadduszy, która wykuwała między nimi jeszcze bliższą więź? Czy może to sprawka samego Nafaia, który wnikał w jej serce tak głęboko, że wiedział, co potrzebowała od niego usłyszeć?

„Niech to będzie prawdą, że Shuya ma rację, iż ufa Nadduszy. Niech to będzie prawdą, że nie będziemy musieli jej tu zostawiać, kiedy wyruszymy na pustynię, do innej gwiazdy. Bo nie mogłabym jej stracić, zostawić. Być może znów poznałabym smak radości; być może mój nowy mąż mógłby być dla mnie takim drogim towarzyszem, jakim była Hushidh. Ale zawsze pozostałby ból, puste miejsce, smutek, który by nigdy nie minął, za moją siostrą, moją jedyną krewną na tym świecie, moją interpretatorką, która w moim niemowlęcym wieku zawiązała węzeł łączący nas ze sobą na wieki”.

A potem wreszcie nadeszła chwila składania przyrzeczeń

— Luet trzymała ręce na ich ramionach: dotykała barku Moozha — tak twardego, dużego i obcego — i barku Hushidh, tak znajomego i delikatnego w porównaniu z Moozhem.

— Naddusza czyni z mężczyzny i kobiety jedną duszę — powiedziała Luet. Zacerpnęła oddech, zrobiła długą pauzę, a potem wypowiedziała słowa, których nie mogła znieść, a jednak

musiała wypowiedzieć:

— Dokonało się.

Mieszkańcy Basiliki powstali z miejsc jak jeden mąż i zaczęli wiwatować, klaskać oraz wołać ich imiona:

— Hushidh! Interpretatorka! Moozh! Generał! Vozmuzhalnoy! Vozmozhno!

Moozh pocałował Hushidh tak, jak mąż całuje żonę — Luet jednak zauważyła, że zrobił to łagodnie, uprzejmie. Następnie odwrócił się i zaprowadził Hushidh na przód podwyższenia. Sto, tysiąc kwiatów poleciało w ich kierunku; te, które posypały się z tylnych miejsc amfiteatru, zostały podniesione i ponownie rzucone, aż kwiaty wypełniły przestrzeń między podwyższeniem i pierwszym rzędem ławek.

W tej wrzawie do Luet dotarło, że to sam Moozh krzyczy. Nie słyszała jego słów, lecz tylko to, że coś mówi, ponieważ był do niej zwrócony plecami. Stopniowo ludzie w pierwszym rzędzie zaczęli sobie uświadamiać, co Moozh mówi, i powtarzali jego słowa w formie śpiewu. Dopiero wtedy Luet zrozumiała, jak Moozh wykorzystuje własny ślub w celu zdobycia politycznej przewagi. Ponieważ wymawiał tylko jedno słowo, powtarzane w kółko, rozprzestrzeniające się w tłumie, aż wszyscy krzyczeli tym samym, niewiarygodnie donośnym głosem.

— Basilika! Basilika! Basilika! Ciągnęło się to bez końca.

Luet łkała, ponieważ teraz wiedziała, że Naddusza zawiodła, że Hushidh wyszła za człowieka, który nigdy nie pokocha jej, lecz tylko miasto, które wziął w posagu.

W końcu Moozh uniósł ręce — lewą wyżej, otwierając dłoń, aby ich uciszyć, a prawą nadal trzymając rękę Hushidh. Nie miał zamiaru zrywać więzi z nią, ponieważ była to jego więź z miastem. Śpiew powoli umilkł, aż cisza zaległa Orchestrę.

Mówił prosto, ale elokwentnie. Uroczyście zapewniał o swojej miłości dla tego miasta, o wdzięczności za możliwość przywrócenia Basilice pokoju i bezpieczeństwa, o obecnej radości, że za chwilę zostanie obywatelem, mężem słodkiej dziewczyny o czystej urodzie, prawdziwej córki Nadduszy. Wspominał też o Luet i Nafaiu — powiedział, jak bardzo jest zaszczycony pokrewieństwem z najlepszymi i najodważniejszymi dziećmi Basiliki.

Luet wiedziała, co teraz nastąpi. Delegacja radnych już wstała z miejsc, gotowa wystąpić i poprosić, aby miasto zaakceptowało Moozha jako konsula, który pokieruje sprawami wojskowymi i stosunkami zagranicznymi Basiliki. Było z góry przesądzone, że ogromna większość ludzi, przepełniona radością i przejęta dostojnością chwili, wyrazi zgodę. Dopiero później ludzie uświadomią sobie, co zrobili, a nawet wtedy większość będzie przekonana, że to był mądry i dobry wybór.

Mowa Moozha zmierzała ku końcowi — i zanosilo się na wspaniały koniec, przyjęty przez ludzi bardzo przychylnie, mimo że Moozh mówił z południowym akcentem, który w innych czasach zostałby wyśmiany lub potraktowany z pogardą.

Moozh zawahał się. W nieoczekiwanym momencie przemowy. W nieodpowiednim momencie. Wahanie przerodziło się w pauzę i Luet dostrzegła, że generał spogląda na kogoś lub na coś, czego ona nie może zobaczyć. Ruszyła więc naprzód i prawie natychmiast dołączył do niej Nafai; razem zrobili kilka kroków, by znaleźć się po lewej stronie Moozha; nadal stali za jego plecami, ale teraz mogli zobaczyć, na kogo generał patrzy.

To była kobieta. Kobieta ubrana w prosty strój farmerki z Potokgavana — rzeczywiście dziwny strój na taką okazję i w takim miejscu. Stała u podnóża środkowych schodów prowadzących do amfiteatru; nie ruszyła naprzód, więc łucznicy Gorayni i dwaj basilikanscy strażnicy nie uczynili do tej pory nic, by ją powstrzymać.

Ponieważ generał nic nie powiedział, żołnierze nie wiedzieli, co robić — czy powinni schwytać i przepędzić kobietę?

— To ty — odezwał się Moozh. A więc ją znał.

— Co ty wyrabiasz? — zapytała. Nie mówiła głośno, a jednak Luet słyszała ją wyraźnie. Jak to możliwe?

„Ponieważ powtarzam jej słowa w umysłach wszystkich zgromadzonych tu osób”, odparła Naddusza.

— Żenię się — oznajmił Moozh.

— Nie było tu żadnego ślubu — zaprzeczyła — znów mówiła spokojnym głosem i znów wszyscy ją bardzo dobrze usłyszeli.

Moozh wskazał na tłum.

— Oni wszyscy to widzieli.

— Nie wiem, co oni widzieli — powiedziała kobieta. — Ale ja widzę mężczyznę, który trzyma za rękę swoją córkę.

Wśród zgromadzonych ludzi powstał szmer.

— Boże, coś ty zrobił — szepnął Moozh, ale jego ciche słowa Naddusza też wszystkim przekazała.

Teraz kobieta ruszyła naprzód, a żołnierze nie próbowali jej powstrzymać, ponieważ zobaczyli, że obecne wydarzenie to coś więcej niż zwykły zamach.

— Naddusza przyprowadziła mnie do ciebie — powiedziała. — Dwukrotnie to zrobiła i za każdym razem poczęłam i urodziłam córkę. Ale nie byłam twoją żoną. Byłam raczej ciałem, które Naddusza postanowiła wykorzystać, które miało dać życie jej córkom. Zniosłam córki Nadduszy do lady Rasy, która zgodnie z jej wolą miała je wychowywać i uczyć aż do dnia, kiedy Naddusza się o nie upomni.

Kobieta zwróciła się do Rasy i wskazała na nią palcem.

— Lady Raso, poznajesz mnie? Kiedy do ciebie przyszłam, byłam naga i brudna. Czy teraz mnie rozpoznajesz?

Ciocia Rasa wstała niepewnie.

— To ty przyniosłaś je do mnie. Najpierw Hushidh, a potem Luet. Kazałaś mi je wychować jak własne córki i tak uczyniłam.

— Nie były twoimi córkami. Nie były moimi córkami. Są córkami Nadduszy, a ten mężczyzna, którego Gorayni nazywają Vozmuzhalnoy Vozmozhno, to człowiek, którego Naddusza wybrała na swojego Moozha.

Moozh. Moozh. Tłum szeptał jego imię.

— Małżeństwo, które tu dziś widzieliście, nie zostało zawarte między tym mężczyzną i tą dziewczyną. Ona tylko wystąpiła w charakterze pełnomocnika Matki. On został mężem Nadduszy! I skoro jest to miasto Matki, on został mężem Basiliki! Mówię to, ponieważ Naddusza przemawia moimi ustami! Teraz wy musicie to powiedzieć! Cała Basilika musi to powiedzieć! Mąż! Mąż!

Ludzie zaczęli skandować. Mąż! Mąż! Mąż! A potem stopniowo zmienili to słowo na inne o tym samym znaczeniu. Moozh! Moozh! Moozh!

Kiedy tak skandowali, kobieta podeszła do niskiego podwyższenia. Hushidh puściła rękę Moozha i ruszyła naprzód, po czym uklękła przed kobietą; Luet poszła jej śladem, zbyt oszołomiona, by płakać, zbyt uradowana tym, co Naddusza uczyniła, by uchronić Hushidh przed tym małżeństwem, zbyt zasmucona, że nigdy nie знаła tej kobiety, która jest jej matką, zbyt zdumiona odkryciem, że jej ojcem jest ten nieznajomy człowiek z północy, ten przerażający generał.

— Mamo — odezwała się Hushidh, ona była w stanie płakać, jej łzy kapąły na rękę kobiety.

— Urodziłam cię, tak — powiedziała kobieta. — Ale nie jestem twoją matką. Jest nią kobieta, która cię wychowała. I Naddusza, która sprawiła, że się urodziłaś. Ja jestem tylko żoną farmera na

mokradłach Potokgavana. To właśnie tam żyją dzieci, które nazywają mnie matką, i muszę do nich wrócić.

— Nie — szepnęła Luet. — Czy możemy cię widzieć tylko jeden raz?

— Zapamiętam was na wieki — odparła kobieta. — I wy mnie zapamiętacie. Naddusza dopilnuje, aby te wspomnienia wciąż były żywe w naszych sercach. — Wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Hushidh, a drugą pogłaskała Luet po włosach. — Jesteście takie urocze. Takie godne. Wasza matka bardzo was teraz kocha.

Odwróciła się od nich i odeszła — zeszła z podwyższenia i dotarła do rampy prowadzącej do garderób pod amfiteatrem, po czym zniknęła. Nikt nie widział, jak opuszczała miasto, choć wkrótce zaczęły krążyć opowieści o dziwnych cudach i niezwykłych wizjach, o rzeczach, które rzekomo zrobiła, lecz nie mogła zrobić w trakcie opuszczania Basiliki w tamtym dniu.

* * *

Moozh obserwował, jak kobieta odwraca się i odchodzi. Zabrała ze sobą wszystkie jego nadzieje, plany i marzenia; zabrała ze sobą jego życie. Bardzo wyraźnie pamiętał czas, który z nią spędził — to właśnie przez nią nigdy się nie ożenił, bo jakaż kobieta potrafiłaby wzbudzić w nim uczucie, którym ją darzył. W tamtym okresie był pewien, że kocha ją na przekór woli Boga, bo czyż nie odczuwał tego ostrego zakazu? Kiedy z nim była, to czyż nie budził się wielokrotnie, zupełnie o niej nie pamiętając, a jednak pokonywał przeszkody stawiane przez Boga w jego umyśle, zatrzymywał ją i kochał? Nafai miał rację — nawet jego bunt był zaaranżowany przez Nadduszę.

„Jestem głupcem Boga, narzędziem Boga, tak jak wszyscy inni, i kiedy myślałem, że mam własne marzenia, że sam kieruję swoim przeznaczeniem, Bóg obnażył moją słabość i zdruzgotał mnie w obecności mieszkańców miasta. I to akurat t e g o miasta — Basiliki. Basiliki”.

Hushidh i Luet wstały z klęczek na skraju sceny; Nafai przyłączył się do nich, kiedy podeszły do Moozha. Musiały podejść do niego bardzo blisko, aby usłyszał je ponad wrzawą wznieconą przez skandujący tłum.

— Ojcie — odezwała się Hushidh.

— Nasz ojcie — zawtórowała Luet.

— Nigdy nie wiedziałem, że mam dzieci — powiedział Moozh. — Powinienem był wiedzieć. Kiedy na was patrzyłem, powinienem był dostrzec odbicie własnej twarzy.

I to była prawda — teraz, kiedy wszystko się wydało, podobieństwo rzucało się w oczy. Ich twarze charakteryzowało piękno, które odbiegało od normalnego typu basilikańskiej urody, ponieważ ich Ojciec wywodził się z ludu Sotchitsiya, a jeśli chodzi o ich matkę, to tylko jeden Bóg mógł wiedzieć, skąd pochodziła. Tym niemniej były piękne, cechowała je dziwna, egzotyczna uroda. Były pięknymi, mądrymi, a także silnymi kobietami. Moozh mógł być z nich dumny. Jego kariera legła w gruzach, ale mógł być z nich dumny. Uciekł od Imperatora, który z pewnością będzie wiedział, co Moozh zamierzał osiągnąć tym nieudanym małżeństwem, ale mógł być z nich dumny. Ponieważ były jedynym stworzonym przez niego „dziełem”, które przetrwa.

— Musimy iść na pustynię — odezwał się Nafai.

— Teraz nie będę stawiał przeszkód.

— Potrzebujemy twojej pomocy — powiedział Nafai. — Musimy wyruszać w tej chwili.

Moozh przebiegł spojrzeniem po grupie, która zebrała się po jego stronie przy podwyższeniu. Bitanke. To Bitanke musi im teraz pomóc. Na jego skinienie Bitanke wstał i wskoczył na podwyższenie.

— Bitanke — powiedział Moozh — poczyń przygotowania do wyprawy na pustynię. —

Odwrócił się do Nafaia. — Ilu was będzie?

— Trzynaście osób — odparł Nafai — chyba że zdecydujesz się z nami pójść.

— Chodź z nami, Ojcie — poprosiła Hushidh.

— Nie może z nami pójść — powiedziała Luet. — Jego miejsce jest tutaj.

— Luet ma rację — potwierdził Moozh. — Nigdy bym nie mógł się wybrać w podróż dla Boga.

— W każdym razie — podjęła Luet — będzie z nami, ponieważ płynie w nas jego krew. — Dotknęła ramienia Nafaia. — Będzie dziadkiem wszystkich naszych dzieci, a także dzieci Hushidh.

Moozh ponownie zwrócił się do kapitana Bitanke.

— Trzynaście osób. Przygotuj wielbłądy i namioty do wyprawy na pustynię.

— Każę je przygotować — powiedział Bitanke, ale z tonu jego głosu, z jego pewności siebie i z tego, że nie zadawał żadnych pytań Moozh wyniosł, że kapitana nie zdziwiło ani nie zmartwiło to zadanie.

— Już wiedziałeś — powiedział Moozh, po czym spojrzał na pozostałych. — Wszyscy planowaliście to od samego początku.

— Nie, panie — zaprzeczył Nafai. — Wiedzieliśmy tylko, że Naddusza postara się nie dopuścić do tego małżeństwa.

— Czy myślisz, że siedziałybyśmy cicho — dodała Luet — gdybyśmy wiedziały, że jesteśmy twoimi córkami?

— Panie — odezwał się Bitanke — musisz pamiętać, że ty i lady Rasa kazaliście mi przygotować wielbłądy, namioty i zapasy.

— A kiedyż to powiedziałem ci coś takiego?

— W moim śnie zeszłej nocy — odparł Bitanke.

To był druzgocący cios. Bóg go zniszczył, a nawet posunął się do tego, by wcielić się w niego w proroczym śnie innego człowieka. Porażka wydawała się Moozhowi ogromnym ciężarem zarzuconym na jego barki; przygniotła go.

— Panie — powiedział Nafai — dlaczego wyobrażasz sobie, że zostałeś zniszczony? Czy nie słyszysz, co ludzie skandują?

Generał wsłuchał się.

„Moozh”, skandowali. „Moozh. Moozh. Moozh”.

— Czy nie rozumiesz, że nawet jeśli nas puścisz, jesteś silniejszy niż dotychczas? Miasto należy do ciebie. Naddusza dała ci je. Czy nie słyszałeś, co powiedziała ich matka? Jesteś mężem Nadduszy i Basiliki.

Owszem, Moozh słyszał, co powiedziała, ale po raz pierwszy w życiu — nie, po raz pierwszy odkąd ją kochał tyle lat temu — nie pomyślał od razu, jaką korzyść lub niekorzyść mogą mu przynieść jej słowa. Pomyślał tylko: moją jedyną ukochaną manipulował Bóg; moja przyszłość została zniszczona przez Boga; miał mnie na własność i zrujnował zarówno moją przeszłość, jak i przyszłość.

Teraz uświadomił sobie, że Nafai ma rację. Czy w ciągu kilku ostatnich dni Moozh nie czuł, że być może Bóg zmienił zdanie i teraz działa na jego korzyść? To odczucie wydawało się właściwe. Bóg zamierzał zabrać jego nowo odkryte córki na pustynię, aby wypełniły niewiarygodną misję, ale poza tym plany Moozha pozostały nienaruszone. Basilika należała do niego.

Moozh uniósł ręce i tłum — który skandował już ciszej, prawdopodobnie ze zmęczenia — umilkł.

— Jak wielki jest Naddusza! — krzyknął Moozh.

Ludzie wiwatowali.

— Moje miasto! — krzyknął. — Ach, moja panna młoda!

Znów wiwatowali.

Odwrócił się do dziewczyn i zapytał cicho:

— Macie jakiś pomysł, w jaki sposób mam was wyprowadzić z miasta tak, aby ludzie nie pomyśleli, że skazuję własne córki na wygnanie lub że ode mnie uciekacie?

Hushidh spojrzała na Luet.

— Wodna wieszczka potrafi to załatwić.

— Och, dzięki — powiedziała Luet. — Nagle wszystko zależy ode mnie?

— W dużym stopniu tak — odrzekł Nafai. — Potrafisz to załatwić.

Luet wyprostowała ramiona, odwróciła się i podeszła do skraju podwyższenia. Tłum ponownie umilkł i czekał. Nadal była podłączona do systemu nagłośnieniowego w Orchestrze, ale nie miało to większego znaczenia — ludzie byli tacy zespoleni, tacy dostrojeni do Nadduszy, że musieli usłyszeć wszystko, co dziewczynka chciała im powiedzieć.

— Moja siostra i ja jesteśmy nie mniej zdumione niż wy. Nigdy byśmy nie zgadły, kim są nasi rodzice, bo mimo że Naddusza rozmawiała z nami przez całe nasze życie, nigdy nam nie powiedziała — a przynajmniej nie w taki sposób, nie tak, jak to dziś widzieliście — że jesteśmy jej dziećmi. Teraz słyszymy jej głos, który wzywa nas na pustynię. Musimy do niej iść i jej służyć. Zamiast nas pozostawia swojego męża, naszego ojca. Bądź mu wierną żoną, Basiliko!

Nie było wiwatów, rozległy się jedynie głośnie pomruki. Luet spojrzała przez ramię, wyraźnie zaniepokojona, czy nie obrała złej drogi. Ale było tak tylko dlatego, że nie miała praktyki w manipulowaniu tłumami ludzi — Moozh wiedział, że jego córka dobrze sobie radzi. Skinął więc głową, wskazał gestem, że ma kontynuować.

— Rada miasta była przygotowana poprosić naszego ojca, żeby został konsulem. Jeśli przedtem było to mądre posunięcie, to teraz tym bardziej. Bo kiedy ludzie dowiedzą się o czynach Nadduszy, wszystkie narody świata będą zazdrościć Basilice i dobrze będzie mieć takiego człowieka w roli naszego rzecznika na arenie światowej i naszego obrońcy przed wilkami, które nas napadną!

Teraz rozległy się wiwaty, ale szybko ucichły.

— Basiliko, w imię Nadduszy, czy zgodzisz się, aby Vozmuzhalnoy Vozmozhno zostać twoim konsulem?

Moozh wiedział, że o to właśnie chodziło. Luet w końcu dała im wyraźny moment, aby jej odpowiedzieli, i odpowiedź była taka, jakiej się spodziewał: głośny krzyk wyrażający aprobatę stu tysięcy ludzi. To, że sama wodna wieszczka poprosiła ich o zaakceptowanie jego rządów, i to w imię Boga, było znacznie lepszym rozwiązaniem, niż gdyby zaproponowała to jakaś radna. Któż mógł mu się teraz sprzeciwić?

— Ojcie — powiedziała, kiedy krzyki ucichły. — Ojcie, czy przyjmiesz błogosławieństwo z rąk córek?

Co to miało znaczyć? Co ona teraz wyrabiała? Przez chwilę Moozh był zdezorientowany. Dopóki nie uświadomił sobie, że Luet nie robi tego przez wzgląd na tłum. Nie robiła tego, by manipulować lub sterować wydarzeniami. Mówiła prosto z serca; odzyskała dziś ojca i miała go dziś stracić, więc chciała mu dać jakiś pożegnalny prezent. Chwycił więc Hushidh za rękę i ruszyli do przodu; Moozh uklęknął między nimi, a one położyły ręce na jego głowie.

— Vozmuzhalnoy Vozmozhno — zaczęła — nasz ojcie, nasz kochany ojcie, Naddusza sprowadziła cię tu, żebyś poprowadził to miasto ku jego przeznaczeniu. Kobiety w Basilice zmieniają mężów co roku, ale przez cały ten czas miasto kobiet pozostawało bez męża. Teraz Naddusza dokonała wyboru, Basilika znalazła wreszcie godnego człowieka, i będziesz jej jedynym mężem, dopóki te mury się nie zawalą. Ale wszystkie wielkie wydarzenia, których będziesz świadkiem, wszyscy ludzie, którzy będą cię kochać i pójdą za tobą w ciągu nadchodzących lat, nie

pozwoła ci o nas zapomnieć. Błogosławimy cię, abyś nas pamiętał, a w godzinie swojej śmierci przypomnisz sobie nasze twarze i w sercu poczujesz miłość swoich córek. Dokonało się.

* * *

Przeszli przez Bramę Stożkową. Moozh stanął przy kapitanie Bitanke i Rashgallivaku, aby zasalutować podróżnikom przy wyjściu. Moozh już postanowił mianować Bitanke dowódcą straży miasta, a Rash będzie gubernatorem Basiliki podczas wypadów generała z armią poza miasto. Podróżnicy przeszli gęsiego przed Moozhem i przed tłumem, który się tam zgromadził, machając rękami, płacząc, wiwatując — karawana składająca się z trzech tuzinów wielbłądów, które dźwigały namioty i zapasy, pasażerów i suche skrzynie.

Wiwaty umilkły w oddali. Poczuli szczypanie od gorącego, pustynnego powietrza, kiedy zeszli na skalistą równinę, gdzie zwęglone polana z oszukańczych ognisk Moozha widniały jak chrosty po jakiejś strasznej chorobie. Mimo to wszyscy zachowywali milczenie, ponieważ towarzyszyła im uzbrojona eskorta Moozha, która miała ochraniać ich w drodze — i upewnić się, czy żaden z opornych podróżników nie zawraca.

Jechali więc prawie do zmierzchu, kiedy Elemak ustalił, gdzie rozbiją namioty. Zrobili to za nich żołnierze, choć na rozkaz Elemaka dokładnie pokazali laikom, jak to się robi. Obringa, Vasa i kobiety przerażała myśl, że sami będą musieli wykonywać taką trudną pracę, ale Elemak dodał im odwagi i wszystko poszło gładko.

Kiedy jednak żołnierze odchodzili, to nie Elemakowi zasalutowali, lecz lady Rasie, Luet, wodnej wieszczce, Hushidh, interpretatorce i — z powodów, których Elemak nie mógł zrozumieć — Nafaiowi.

Gdy tylko żołnierze odjechali, wybuchły kłótnie.

— Oby chrząszcze wpełzły do waszych nosów i uszu, i wyżarły wam mózg! — wrzasnął Mebbekew do Nafaia, lady Rasy, wszystkich, którzy znajdowali się w zasięgu słuchu. — Dlaczego musieliście mnie włączać do tej samobójczej karawany?

Shedemei była równie rozgniewana, tylko zachowywała się spokojniej.

— Nigdy nie mówiłam, że zgadzam się z wami iść. Miałam was tylko nauczyć, jak przywrócić embriony do życia. Nie mieliście prawa zmuszać mnie, żebym z wami poszła.

Kokor i Sevet płakały, a Obring dorzucił swoje zrzędlive uwagi do wściekłych wrzasków Mebbekewa. Nic, co Rasa, Hushidh lub Luet mogły powiedzieć, nie było w stanie ich uspokoić, a jeśli chodzi o Nafaia, to kiedy próbował otworzyć usta, Mebbekew ciskał mu w twarz piasek, przez co chłopiec łapał gwałtownie oddech, pluł — i milczał.

Elemak obserwował to wszystko i kiedy doszedł do wniosku, że wściekłość wszystkim przeszła, stanął pośrodku grupy i powiedział:

— Obojętne, co jeszcze zrobimy, moja ukochana grupo, słońce już zaszło i wkrótce na pustyni zrobi się zimno. Wchodźcie do namiotów i siedźcie cicho, aby nie sprowadzić tu rabusiów.

Oczywiście nie zagrażały im tutaj żadne bandy rabusiów, ponieważ znajdowali się tak blisko Basiliki i byli taką liczną grupą. Poza tym Elemak podejrzewał, że niedaleko obozują żołnierze Gorayni, gotowi w razie potrzeby przyjść im niezwłocznie z pomocą. I niewątpliwie powstrzymać kogokolwiek przed powrotem do Basiliki.

Ale oni nie byli ludźmi pustyni, tak jak Elemak. „Jeśli postanowię wrócić do Basiliki”, powiedział po cichu do niewidocznych żołnierzy Gorayni, „to pójde do Basiliki i nawet w y, najwspanialszy żołnierze na świecie, nie powstrzymacie mnie, nie zorientujecie się nawet, że obok was przeszedłem”.

Potem Elemak poszedł do swojego namiotu, gdzie Eiadh na niego czekała, łkając cicho.

Wkrótce zapomniała o łzach. Elemak jednak nie zapomniiał o swoim gniewie. Nie wrzeszczał tak jak Mebbekew, nie wył, jęczał, biadolił czy spierał się. Nie oznaczało to jednak, że był mniej rozgniewany od innych. Tylko że kiedy wkroczy do akcji, jego działania odniosą jakiś skutek.

„Być może Moozh nie umie przeciwstawić się intrygom i planom Nadduszy, ale to nie oznacza, że j a nie potrafię”, pomyślał Elemak, a potem zasnął.

Wysoko w górze przelatywał powoli satelita, odbijając promień słońca znad horyzontu. Było to jedno z oczu Nadduszy, które widziało wszystko, co się działo, odbierało wszystkie myśli, które przemykały przez umysły ludzi znajdujących się w strefie jego wpływu. Gdy po kolei zasypiali, Naddusza zaczął śledzić ich sny, czekając, żywiąc nadzieję, wypatrując bacznie jakiejś tajemnej wiadomości od Stróża Ziemi. Dziś jednak nie było żadnych wizji o włochatych aniołach, żadnych olbrzymich szczurów, żadnych snów oprócz przypadkowych wyładowań prądów trzynastu śpiących ludzkich umysłów, układających się w nic nie znaczące opowieści, które ci ludzie zapomną zaraz po przebudzeniu.

EPILOG

Generał Moozh osiągnął taki sukces, na jaki liczył. Zjednoczył Miasta Równiny i Seggidugu; wiele tysięcy żołnierzy Gorayni zdezerterowało i przyłączyło się do niego. Wojska Imperatora rozpieczęły się i przed końcem lata ziemie Sotchitsiya były wolne. Tej zimy Imperator zaszył się w śniegach Golloda, podczas gdy jego szpiedzi i ambasadory próbowali nakłonić Potokgavan, aby zaatakował swoją armią, zadając Moozhowi cios w plecy.

Moozh jednak to przewidział i kiedy przyплыnęła flota Potoku, napotkała generała Bitanke i dziesięć tysięcy żołnierzy, mężczyzn i kobiet z milicji, których sam wyszkolił. Większość żołnierzy Potoku zginęła w wodzie, ich statki spłonęły, a ich krew zabarwiła na czerwono wszystkie fale, które rozbijały się na plaży. Wiosną Gollod upadł i Imperator zginął z własnej ręki, zanim Moozh zdołał do niego dotrzeć. Moozh stanął w letnim pałacu Imperatora i ogłosił, że na Harmonii nie ma wcielenia Boga, i nigdy nie było — z wyjątkiem pewnej nieznannej kobiety, która przysłała do niego jako ciało Nadduszy i urodziła dwie córki mężowi Nadduszy.

Moozh zmarł rok później, zatruty strzałą Potoku, kiedy oblegał otoczoną wodą stolicę Potokgavana. Trzech krewnych z ludu Sotchitsiya, pół tuzina oficerów Gorayni i Rashgallivak z Basiliki twierdzili, że są jego następcami. W trakcie wojen domowych, które nastąpiły, trzy armie najechały Basilikę i jej mieszkańcy uciekli. Pomimo odważnej obrony generała Bitanke miasto upadło. Wszystkie mury i budynki zostały zburzone, a grupy jeńców wojennych wrzucały kamienie do jeziora kobiet, aż wszystkie zostały wykorzystane i z jeziora zrobiła się szeroka płycizna.

Następnego lata tylko stare drogi świadczyły o tym, że kiedyś było tu miasto. I choć kilka kapłanek wróciło i zbudowało małą świątynię przy jeziorze kobiet, gorące i zimne wody mieszały się teraz głęboko pod nową powierzchnią jeziora i dlatego gęste mgły już nie szły do góry i to miejsce już nie było takie święte. Przychodziło niewielu pielgrzymów.

Dawne obywatelki Basiliki rozpieczęły się po świecie, ale wiele z nich pamiętało, kim było, i przekazywały opowieści dalej, pokolenie po pokoleniu. „Wywodzimy się z Basiliki”, mówiły swoim dzieciom, „i dlatego Naddusza wciąż żyje w naszych sercach”.